

Aleksander Buszkow

# ANTYKWARIUSZ

*Antikwar*

Polowanie na złoty pociąg

Przełożył Jan Cichocki



- Dawid Wilson - zaczął swoją opowieść - był prawdziwym królem tropicieli, myszkujących po wszelkich kątach, piwnicach i sklepikach w poszukiwaniu rzadkich książek.

Miał węch wyżła i żelazny uścisk buldoga.

Walter Scott, *Antykwariusz*

Część pierwsza  
JASKINIA ALI BABY

## Rozdział 1.

### DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Jeśli uprzejmość jest główną bronią złodzieja, jak bez szczególnych podstaw przekonywano w jednej klasycznej komedii filmowej, to głównym orężem antykwariusza jest cierpliwość. Można potwierdzić to z pełnym przekonaniem. Cierpliwość, jak u sapersa, tylko z tą różnicą, że saper znacznie częściej chodzi ze śmiercią pod rękę - aczkolwiek i w wesołym biznesie antykwarycznym także bywa różnie...

Stąd też Smolin, co jakiś czas sącząc dla przyzwoitości bledziutką herbatę ekspresową, z wielką cierpliwością słuchał kolejnej epickiej opowieści staruszki - z mnóstwem absolutnie mu niepotrzebnych szczegółów i trzeciorzędnych detali. Tym razem mowa była o tym, jak Fidel Castro, w tamtych zamierzonych czasach bardzo młody, wręcz klusem biegał po pracowni podobnie młodego wówczas Fiedy Biedrygina, z latynoamerykańskim temperamentem strzelając komplementami, które ledwo nadażał przekładać tłumacz z komsomolskim znaczkim. Jak młody wódz młodej rewolucji, zachwycał się, a nawet klaskał w dłonie przed świeżutkim płótnem, przedstawiającym pół tuzina Barbadoszczyków z nim samym, momentalnie rozpoznawalnym, na czele. Jak schwycił pędzelek i w ostatnim momencie, poprosiwszy artystę o pozwolenie, troskliwie umoczył go w czerwonej farbie i wykaligrafował krótki napis na wolnym miejscu w prawym dolnym rogu. Tłumacz-komsomolista po chwili oznajmił półszepem, że comandante Fidel pisemnie wyraził zachwyt nad nieprawdopodobnym podobieństwem i zakończył tradycyjnym „Ojczyzna albo śmierć!”. Po czym Fiedia Biedrygin od ręki epickie płótno mu podarował, zupełnie za darmo, rozumie się - żadnemu komsomolcowi lat sześćdziesiątych do głowy by nie przyszło wspomnieć o nikczemnym metalu, nie tacy byli ludzie, nie to wychowanie, nie te czasy, nie ten kraj... Wtedy comandante Fidel, długo ściskając artystę w objęciach, z pewnym roztargnieniem poklepał się po kieszeniach rozmyślając, czym by się mógł zrewanżować - ale o pieniądzach również nie myślał, oczywiście, a odznaczeń młoda republika póki co nie miała, więc niewiele myśląc, zerwał z głowy beret z czerwoną gwiazdką i naciągnął go na głowę Fiedy, którego zatkało z zachwytu. Jakich zamachów na ten historyczny beret nie czynili konsekwentni pod względem ideologicznym towarzysze z muzeum, ale Fiedia go nie oddał. Oto właśnie ten beret, tylko odrobinę spłowiały, wisi sobie na honorowym gwoździку w rogu...

Może być paczka baksów<sup>1</sup> - Smolin automatycznie nakleił w myśli etykietkę. Nie więcej, ale też nie mniej. Rzecz w pełni atrybuowana, fakt podarowania odnotowany został w dwóch czy trzech drukowanych pamiętnikach, zresztą świadectwo staruszki też jest coś warte. Dlatego nie ma co myśleć, że uda się zamachnąć na historyczną czapeczkę w celu handlowym, psia jego...

Staruszka wyśpiewywała niczym kurski słowiczek, cała zrobiła się uduchowiona, natchniona, nawet jakby odmłodziła o znaczną ilość latek, gdy wspominała, jak gorąco przytakiwał Fidelowi towarzysz Che, jak Nikita Siergiejewicz Chruszczow, obecny przy tym (a jakże!), dreptał z tępawo-triumfującą miną, czasem wstawiając słówko odnośnie do radzieckich samorodków i kubańsko-radzieckiego braterstwa...

Smolin słuchał ze stoicyzmem, ale w głowie ze zdrowym zawodowym cynizmem stukał mu kalkulator, przekładający wszystko, na co padało spojrzenie, na cyferki.

Zorientowani ludzie dobrze wiedzą, że antyki to bynajmniej nie tylko obsypane diamentami złote tabakierki, bezcenne obrazy, antyczne gemmy i inne oszałamiająco drogie starocie. Właściwie mówiąc, antykiem jest wszystko, co tylko chcecie. Byle tylko miało latek tak z pół setki, a czasem nawet nie więcej niż dwadzieścia. Sprzedać można wszystko, ponieważ znajdują się chętni nie tylko na złotą papierośnicę, ale i na najbardziej prozaiczną uczniowską obsadkę ze stalówką z czasów obalenia Chruszczowa, a nawet na same leciuteńkie stalóweczki (masa rodzajów!) i na niewywrotny kałamarz z tychże lat. Słowem na wszystek były chłam, który kiedyś z zadziwiającą łatwością wyrzucano do śmietników. Dlatego dzisiaj, na przykład, ze świecą nie znajdziecie, powiedzmy, odznaki kolejowej z parowozikiem na tle pięcioramiennej gwiazdy - chociaż kiedyś naklepano ich, z grubszą biorąc, kilka milionów. Nie dalej jak wczoraj za trzysta dolców poszły kolejarskie pagony - to w Szantarsku, bo w Moskwie poleciałyby z pewnością znacznie drożej. I tak dalej...

Pokój, w którym siedział Smolin, był istnym składem antyków - niedrogich, ale w obfitości: i 40-letnie plastikowe kotezki, i lampa na biurko jeszcze bardziej szacownego rocznika, i metalowy przekładany kalendarz, i wazoniki-statuetki (w ostatnim roku ceny porcelanowych przedmiotów powszechnego użytku z minionych lat podskoczyły trzykrotnie i zatrzymać się nie mają zamiaru)... i czego tam nie było! Sprzedać można wszystko.

Jednak najważniejsze - obrazy nieboszczyka, drogiego Fiodora Stiepanowicza Biedrygina, których w mieszkaniu, połączonym z sąsiednim, przekształconym na pracownię (szczodry dar Nikity Siergiejewicza, przekazany pod wpływem kubańskiego zachwyty), było

---

<sup>1</sup> Paczka baksów (żarg.) - tysiąc dolarów - przyp. tłum.

mnóstwo, a oprócz nich etiudy, szkice, linoryty i inne rodzaje wieloletnich prac mistrza pędzla...

Od wieków wiadomo, że popyt na tego, czy innego malarza to rzecz nie do przewidzenia, czasem zgoła irracjonalna. Nie mająca nic wspólnego z pojęciami „geniusz” i „beztalencie” - po prostu czasem *huknie* coś, co wywołuje straszny błysk podniecenia. Jak to było w czasach pierestrojki, strach wspomnieć, z kierunkiem znanym jako soc-art: cała zagranica wariowała na jego punkcie, wyrachowane zagraniczne chłopiska wyrzucały szalone pieniądze, a później moda jakoś niezauważalnie spłynęła i kupionego w pośpiechu, po szalonych cenach już za takie same za nic nie uda się sprzedać. Dokładnie tak dostało się niektórym krajowym bankierom, którzy za niesamowite pieniądze kupili sobie coś w rodzaju Malewicza: wisieć to ono wisi, ale za tę samą kasę takiego wała zhandlujesz...

Coś podobnego zdarzyło się również z nieboszczykiem Biedryginem, który nagle, w wyniku absolutnie nieogarnionego rozumem procesu złapał ciąg. Taniej niż za pięć sztuk dolców obraz średnich rozmiarów poza stolicą nie idzie, w Moskwie zaś tamtejsze żuki nakręcają jeszcze ze dwieście procent. Tyle że popyt kilkakrotnie przewyższa podaż: prawie dziewięćdziesiąt procent płócien Biedrygina, pozostających w Szantarsku w prywatnych rękach, już zostało wyssane, a te sąsiadki, na których niczym, z przeproszeniem, pies ogrodnika, siedzi babcia Faina Anatoliewna, są nie do ruszenia... Dlatego że babulka, proszę ja was, ma ideały i przekonania nic nie zmienione od czasów, gdy po tym oto pokoju biegał ekspansywny Fidel. I nie są potrzebne babuli pieniądze, ponieważ one, tak naprawdę, to trywialność i brud i nic się z nią nie da zrobić...

Zmęczyła się nasza staruszczenja snując opowieść o czasach teraz niemal zamierzchłych, przycichła, herbatkę zaczęła popijać... I Smolin, korzystając z pauzy, ostrożniutko odezwał się:

- Faino Anatoliewno, w rzeczy samej, powinna pani napisać pamiętniki. Dobrze by się czytały nawet w naszych nieprostych czasach. Kłamią wszyscy, jakoby teraz mają powodzenie tylko kryminały i porno, poważna literatura również jest chodliwa... Ale ja nie o tym chciałbym, proszę mi łaskawie wybaczyć... Gdybyśmy wrócili do naszej dawnej rozmowy o sprzedażach...

Odstawił filiżankę (również starość ze znakomitych niegdyś chińskich serwisów z kwiatem bzu, dawniej artykuł powszechnego użytku, ale weź teraz i znajdź...) i zawiesił głowę z głębokim spojrzeniem, absolutnie uczciwym, może nawet odrobinę naiwnym. W żadnym wypadku nie wolno było *przeziąć*.

Staruszka odstawiła pustą filiżankę, jej sucha rączka uniosła się w zdecydowanie

niezłomnym gościu - już było jasne, że kolejna runda będzie przegrana.

- Wasiliju Jakowlewiczu - odezwała się stara wdowa głębokim tonem. Proszę tylko nie pomyśleć, że jestem do pana źle nastawiona... Proszę mi wierzyć, nic podobnego. Niezły z pana człowiek, jestem panu w wielu sprawach zobowiązana, pomagał pan, proszę nie zaprzeczać, bezinteresownie... Jednak pan jest, proszę się nie pogniewać, przede wszystkim handlowcem...

- Ależ, co tam, Faino Anatoliewno - rzekł Smolin ze smutkiem w głosie. - Proszę mówić wprost, handlarz. Po co robić ceregiele z osobnikiem zgoła nieinteligentnej profesji...

- Co też pan mówi! - wykrzyknęła staruszka z niekłamaną urazą. - Bynajmniej nie miałam zamiaru pana dotknąć podobnym słowem... Skądże znowu? Handel antykami to rzemiosło stare, w pełni szacowne, odnotowane przez klasyków, choćby wziąć Waltera Scotta... Ja absolutnie nie w poniżającym sensie, serdeńko! Po prostu... Jakby to powiedzieć... Nasze dążenia życiowe są diametralnie sprzeczne, zgodzi się pan. Każde z nas patrzy z własnej dzwonnicy, ze swojego ździebełka. Pan, co jest zrozumiałe i absolutnie uzasadnione, chciałby wziąć to wszystko i jak najszybciej sprzedać...

- Istotne uściślenie - powiedział Smolin neutralnym tonem. - Pieniądze, Faino Anatoliewno, w większości dostałaby pani, mnie zaś od niniejszych negocjacji przypadłby nieszczęśliwie wysoki procent...

- Któż mógłby wątpić. Nigdy pana nie podejrzewałam o próbę oszukania biednej starej kobiety... Chodzi o co innego, Wasiliju Jakowlewiczu. Po pierwsze, pieniądze nieszczęśliwie są mi potrzebne, w moim smutnym wieku, przy całkowitym braku spadkobierców i bliskich... Po drugie, co ważniejsze, jeśli zacznie pan sprzedawać obrazy, *rozproszy* je pan po kraju. Czy nie tak? Rozlecą się we wszystkie strony byłej wielkiej i nieobjętej... Przecież nie ma pan nabywcy, gotowego kupić całą spuściznę twórczą Fiedi z zamiarem, iżby jej nigdy nie dzielić?

- Nie - przyznał Smolin.

- Widzi pan... Dla pana, być może, wszystkie te wysokie słowa są nawet śmieszne, jednak ja, mój drogi, czuję się zobowiązana, żeby Fiediną spuściznę zachować w nietykalności i całości. Fiedi w żaden sposób nie można stawiać obok wielkich, jednakże, zgodzi się pan, należy on do artystów nietuzinkowych... I nigdy nie pójdę na to, żeby tę twórczość *rozproszyć*... Wszystko musi być zachowane w całości.

- Doskonale panią rozumiem i nie dyskutuję. Proszę nie myśleć, że nie rozumiem... Jeśli jednak będziemy realistami, Faino Anatoliewno... Surowymi realistami, niestety... Przecież przy tym automatycznie pojawia się pytanie: dokąd... Proszę wybaczyć pewien

cynizm, ale nie jest pani wieczna... Mówię to nie z wyższością, ale z pełnym zrozumieniem: ostatecznie mam pięćdziesiąt cztery lata, są i choroby, i *dzwoneczki*, tak że sam nie jestem z tych żwawych młodzieńców... Spadkobierców, sama pani przyznaje, nie ma. Gdyby się coś stało, nie daj Boże, nie daj Boże! Wszystko to - zrobił płynny szeroki gest - przejmie państwo, to znaczy praktycznie nikt. A państwo... ja o państwie, przyznaję, nie mam najlepszego zdania. Przede wszystkim dlatego, że państwo lata wysoko i do drobiazgów się nie zniża. Oboje rozumiemy, co znaczą te obrazy, a czy zrozumie je przypadkowy urzędnik, który będzie przeglądał bezpański majątek... Jestem handlowcem, co tam, handlarzem, ale ja, Faino Anatoliewno, ostatecznie doskonale wiem, czym handluję, natomiast dzisiejsi obojętni klerkowie... Tysiąc razy proszę wybaczyć, że poruszyłem tak delikatne kwestie...

- Ależ co pan - powiedziała staruszka ze smutnym, jakby nieobecny uśmiechem. - Wszystko dobrze, wszystko logiczne. Sama wiem, że *czas*. Myślałam o tym nieraz. Rzeczywiście, nasze muzeum zrezygnowało z przyjęcia kolekcji, ponieważ nie dysponuje pomieszczeniami...

Smolin z żalem, z najszczerzym współczuciem pokiwał głową. Staruszka o tajemnych sprężynach tej decyzji wiedzieć nie mogła. Jednak przyczyna, jeśli chceć znać prawdę, była w tym, że dyrektor muzeum, który ze dwadzieścia lat zbierał odznaki emitowane przez Imperium Rosyjskie, oczywiście się nie powstrzymał przed podsunieniem Smolinowi pary unikatów. Kosztowało to Smolina trzy sztuki dolców, za to dyrektor (choć odrobinę gardząc sobą w głębi duszy) będzie wymawiał się przed staruszką brakiem pomieszczeń i dziesiątkiem innych powodów...

- Słyszałem - powiedział Smolin. - A nasze władze, niestety, są indyferentne i do sfinansowania utworzenia tutaj muzeum wcale się nie palą...

- Niestety...

- Widzi więc pani - powiedział Smolin z największą ostrożnością, zabarwiając głos smutkiem, a nawet zmartwieniem. - Powstaje dylemat: być może, jednak lepiej sprzedać obrazy, niż narażać je na ryzyko przepadku... Tak przynajmniej trafią w dobre ręce, niechby nawet pojedynczo. A jeśli... Nie chcę myśleć, że obrazy mogą przepaść. Nie można przecież trzydzieści lat handlować antykami i nie być *przejętym*, to nie kartofle przecież, czy buraki, słowo daję...

- W najmniejszym stopniu nie wątpię w pańskie pobudki. Ta obawa przynosi panu zaszczyt, Wasiliju Jakowlewiczu. Jednak nie wszystko jeszcze stracone, wie pan. Są możliwości...

- To znaczy?



Starsza pani uśmiechnęła się blado. W jej głosie dała się nawet słyszeć odrobina triumfu:

- Proszę sobie wyobrazić, pojawiła się szansa utworzenia muzeum w atelier... Tylko szczegółów na razie panu nie zdradzę i niech pan nawet nie prosi, zarówno dlatego, że mnie stanowczo proszono, jak też ze zwykłego przesądu...

Jakby nad uchem huknęło mu z obu łuf! Smolin sprężył się, jak wilk do skoku, ale na zewnątrz to, oczywiście, w żaden sposób się nie ujawniło, jego poza pozostała tak samo niedbała, wyraz twarzy zaś beztroski. Myśli skakały gorączkowo. Czy to znaczy, że ktoś babkę *urabia*? Nie do wiary, że urzędnicy miasta nagle, ni z tego, ni z owego, rozgorzeli pragnieniem bezinteresownego uratowania niebagatelnych wartości narodowych - nie widać było dotąd po nich takiego altruizmu i filantropii. Kampanii ochrony dziedzictwa kulturalnego w Szantarsku nie planuje się, nikt namaszczony władzą sytuacją się nie przejmował, polecenia z góry nie nadeszły... Och, nie podoba mi się to wszystko... Jednak męczyć babulki nie ma co, bo jeżeli inteligentka starej daty dała komuś słowo, że będzie trzymać język za zębami, to będzie...

- I nawet żadnej aluzji nie może pani?

- Nie mogę, Wasiliju Jakowlewiczu, proszę darować...

- No cóż - powiedział tak samo beznamiętnie. - Z jednej strony, nawet się cieszę, słowo daję, że nic się obrazom nie stanie i niepokoić się o ich los nie ma potrzeby... Z drugiej... Jest pani pewna, że nie ma w tym afery, oszustwa i tak dalej?

- Tak myślę - odparła staruszka z beztroskim wyrazem twarzy. - Tak myślę.

- Najważniejsze to starać się ustrzec pochopnych kroków... Proszę pamiętać, że zawsze jestem gotów być konsultantem, doradcą, kim tylko pani zechce. Bezpłannie, bez cienia korzyści, rozumie pani. Nie można ciągle myśleć o korzyściach...

- Wasiliju Jakowlewiczu, przyjdzie czas i z całą pewnością się do pana zwrócę - zapewniła staruszka. - Może pan być pewny.

- Przyjemnie to słyszeć... - powiedział Smolin. - À propos, co z *guziczkami*?

- Och... - na pomarszczonej twarzy staruszki odbiło się wyraźne zmieszanie. - Znowu je gdzieś wsadziłam, oba...

- Faino Anatoliewno... - nie wytrzymałszy, zmarszczył się gość. - No cóż pani, naprawdę... Proszę poszukać i schować głęboko, kto wie... Błagam panią!

- No dobrze, dobrze, popatrzę...

Ciężko wstała z fotela (przedwojenny, odnowiony przez samego Maestra, dwie sztuki dolców co najmniej), podeszła do serwantki i zaczęła bez pośpiechu wyciągać szufladki.

Smolin, korzystając z tego, że babula stała tyłem do niego, ciężko westchnął, wpatrzony w sufit. To była jego osobista inicjatywa, zrealizowana za własne pieniądze (niewielkie) - nadajnik na balkonie, niezależne zasilanie na wypadek odcięcia elektryczności, dwa breloczki z guzikami, w razie czego radiowóz z uzbrojonymi zuchami jednej z agencji ochrony zjawi się przed domem po kilku minutach. Kochana Faina Anatoliewna do tej pory sądzi, że o to absolutnie bezpłatnie postarały się władze miasta, no i dobrze...

Zmęczony i przygnębiony oglądał pejzaż za oknem: malownicze sosny, szeroka rzeka, za rzeką ostro wznoszą się zbocza porośnięte dziką tajgą. Miasto-satelita Szantarska, zbudowane niegdyś wyłącznie dla elektrowni wodnej, dlatego mieszkali tu głównie komsomolcy-entuzjaści - romantyka lat sześćdziesiątych, szczerą wiarą w wysokie ideały. Nawet teraz, po dwudziestu latach przebudowy, aura ta nadal daje znać o sobie - miasto praktycznie się nie rozrastało, a podstarzałych komsomolców-entuzjastów, którzy do dzisiaj nie stracili nostalgicznej wiary w ideały, jest tu bez liku. Choćby Faina Anatoliewna. I spróbuj jej wytłumaczyć realia epoki: jeśli w mieszkaniu zgromadzono malarstwa na jakieś trzysta tysięcy dolców (i to według szantarskich, nie stołecznych cen!), a mieszka w nim tylko babula - staruszczenka, nie obciążona stałą ochroną w postaci pary fizylierów w przedpokoju, to wcześniej czy później, wróżki tu nie potrzeba, z pewnością znajdą się bezwstydne zuchy... Można się dziwić, że nie objawili się do tej pory - Syberia jednak, nie stolica...

Zabrzączał dzwonek. Nie odwracając się, staruszka poprosiła:

- Wasiliju Jakowlewiczu, gdyby pan zechciał...

Kierując się do przedpokoju włożył rękę do lekkiej kurtki i delikatnie dotknął palcami paralizatora - na wszelki wypadek, z przezorności, nieoczekiwany dzwonek do mieszkania, z którego można wynieść trzysta tysięcy dolców, trzeba to wiedzieć, czasem jest brzemienny w skutki i lepiej przesadzić, niż nie dopilnować...

Miał wielką nadzieję, że jego uczciwa, otwarta fizjonomia wciąż pozostaje beznamiętna. Aczkolwiek były powody do zdziwienia: na klatce w towarzystwie jakiegoś długowłosego młodego człowieka stała Daszeńka Berger. Niczym niewyróżniające się dwudziestoletnie ładniutkie stworzenie w lekkich spodniach i białym topiku, z gołym, zgodnie z dzisiejszą modą, brzuszkiem oraz srebrną kulką piercingu w lewym nozdrzu. Trzeci rok instytutu sztuki, gwiazd z nieba nie chwyta, talentami nie błyszczy i wątpliwe jest, czy wybije się na wielką śpiewaczkę operową, to nie Chworostowski<sup>2</sup>. Panienska, jak panienska,

---

<sup>2</sup> Dmitrij Chworostowski (ur. 1962) - wywodzący się z Krasnojarska śpiewak operowy, baryton - przyp. tłum.

niezłe byłoby ją, oczywiście, przelecieć wnikliwie a bez pośpiechu i to wszystko, co można o niej powiedzieć...

Tylko że owo młode apetyczne stworzenie to rodzona wnuczka szantarskiej żywej legendy, kolekcjonera numer jeden, Nikifora Stiepanycza Czepurnowa, przezywanego Kościejem lub Potrzaskiem: w pierwszym przypadku za wiek, osiemdziesiąt cztery latka, w drugim zachwyty, z latami prawie nieosłabły.

Uśmiechnąwszy się do niej z galanterią, Smolin zrobił przejście, przepuszczając do mieszkania dziewczynę i jej towarzysza - długowłosego junaka o wiolinowym wyglądzie, sądząc po trójkolorowym jubileuszowym znaczku na koszulce, również wychowanka instytutu sztuki. W głowie kłębił się mu istny galimatias. Daszeńka do tej pory nie była notowana na polu zainteresowań starymi przedmiotami, nie ujawniała się w tym towarzystwie, ale jeśli wziąć pod uwagę, czyja to wnuczka... Jeśli wspomnieć usłyszaną dopiero co wzmiankę o jakimś nieznanym dobroczyńcy, który zatroszczył się o stworzenie muzeum w domu... Cóż to, Kościej do babuleńki wyciąga łapy? Kościej w ostatnim czasie okłapał, lata robią swoje, ile go kosztowała choćby wiosenna historia, gdy nie przyjrząwszy się jak należy stemplowi, przyjął za radziecki wyrób uchwyt do szklanki Fabergé (wyrób powszechnego użytku w swoim czasie, ale przecież Fabergé!) - i został ów uchwyt wystawiony na sprzedaż za pięć tysięcy sześćset rubli i pół godziny później kupiony przez znawcę, który nie polenił się i zbadał znak. A letnia historia z austriackim talarem z próbą, a casus z polską szabelką... Okłapał Kościej, co tam, mocno się czasem potknie, ale w pełny i całkowity marazm jeszcze nie wpadł, nie stracił chwytu... Cóż więc, ta stara paskuda ma na oku pracownię? Bo po co tu Daszeńka? Bardzo ciekawe...

Za plecami dały się słyszeć powitalne szczebioty-cmokania. Sądząc z usłyszanego, laska była tu nie pierwszy raz i z panią domu pozostawała w najserdeczniejszych relacjach. Smolin zajrzał do pokoju - Daszeńka wyjmowała z dużej plastikowej reklamówki rozmaite konfitury i ciasteczka... Aha, młodzi timurowcy<sup>3</sup> szlachetnie opiekują się samotną staruszką i w tym celu gnali do tego patriarchalnego miasteczka dwadzieścia wiorst z Szantarska. A mówią, że dzisiejsza młodzież wyprana jest z bezinteresownych uczuć. Smakołyków, na oko, za parę paczek, przecież staruszka przy swojej ubogiej emeryturze nie wysłała ich po zakupy...

Kategorycznie nie chciało mu się wierzyć w wersję o bezinteresownych timurowcach i

---

<sup>3</sup> Nawiązanie do bohaterów popularnej powieści dla młodzieży A. Gajdara *Timur i jego drużyna* - przyp. tłum.

tyle! Czyżby Kościej...

Spostrzegłszy uprzejmie badawcze spojrzenie długowłosego, Smolin oprzytomniał i przywołał na twarz absolutną beznamiętność z lekka się skłonił:

- Wasilij Jakowlewicz...

- Michaił - równie uprzejmie przedstawił się młodzian.

Inteligentna mordeczka, warto podkreślić, wyraźnie nie pochodzi z Olchowki z tamtejszymi downiętami, tu rasa daje znać o sobie...

Ponieważ jakby nie było już o czym rozmawiać, obaj odwrócili wzrok i Smolin od razu zauważył, że na twarzach obu dam, starej i młodziutkiej, pojawiło się pewne napięcie. Dotyczące najwyraźniej jego osoby, to oczywiste. „Jasne - pomyślał - *macki* Kościeja, które nie straciły, niezależnie od wszystkiego, dawnej chwytności. Jakby nie było, trzysta tysięcy dolców, proszę was. Ciekawe, jak stary czart chce to osiągnąć? Ten włochaty i ta świecąca gołym brzuchem suczka, oczywiście, dziatki nowoczesne, ale czy aż tak, żeby udusić babcię poduszką? Nie, czegoś *takiego* Kościej z pewnością nie zamyślał, całe życie unikał *bezpośrednich* związków z kryminalistami, z konieczności miał styczność tylko z tymi paragrafami k.k., które każdemu antykwariuszowi-kolekcjonerowi towarzyszą niemal od kołyski... Tu jest coś innego... co? Jakby to wszystko załatwić tak, żeby po odejściu babuli było bez zarzutu? Fundacje kultury, organizacje społeczne, upoważnienia... do diabła z nimi, po śmierci staruszki w muzeum raz dwa może zdarzyć się pożar z powodu starych przewodów i zgadnij potem, *co* dokładnie spłonęło... Najprostszy wariant - i na mokrą robotę nie idziesz, i nie zaprzątasz sobie głowy *chytrym* prawniczym załatwianiem. Najpewniejszy wariant. Weźmy tylko płótno wielkiego mistrza *Danae*, które jakiś czubek jeszcze w radzieckich czasach zapaskudził kwasem. Wszyscy mówią, że obecny obraz, wystawiony w muzeum to rekonstrukcja, nieomal w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach nowy obraz. A niektórzy cynicy do tej pory wśród swoich z uśmiechem zadają pytanie: a gdzie, tak naprawdę, są dowody, że obecna *Danae* i poprzednia, sprzed kwaśnego deszczu - to jedno i to samo płótno? Nie ma takich dowodów i być nie może, co charakterystyczne..

Żeby nie przedłużać niezręcznej sytuacji, powiedział pospiesznie:

- Faino Anatoliewno, proszę wybaczyć, muszę lecieć... Sprawy.

- Do zobaczenia, kochany - z wyraźną ulgą odpowiedziała staruszka. - Proszę mnie odwiedzać, nie zapominać, zawsze chętnie się z panem zobaczę...

Schodząc po schodach, Smolin wyrzucił sobie, że przegapił najbardziej prostą możliwość wyjaśnienia ciemnych miejsc: trzeba było już dawno, nie kombinując, zainstalować u staruszki mikrofon w pokoju gościnnym. Choćby na wysokańskiej szafie, z

której diabli wiedzą ile lat, wiedział o tym doskonale, nie ścierano kurzu. Wcale nie trzeba zdobywać za szalone pieniądze jakiejś superminiatury z importu: szantarscy mistrzowie dawno już klepią równie pewne, nawet bardzo tanie takie urządzenia. Pudełeczko o wymiarach karmelka, sterczy z niego drucik - parę centymetrów i w promieniu stu metrów przez najzwyczajniejszy tranzystor będzie można słuchać wszystkie rozmowy prowadzone w dużym pokoju. Trzeba będzie jutro złożyć babci Fainie kolejną wizytę i...

Wyjmując w marszu papierosa i z niezadowoleniem kręcąc głową, podszedł do zwyczajnej toyoty. Wszystkie szyby były opuszczone, dym papierosowy walił na zewnątrz, wierna drużyna czekała cierpliwie.

- Kościejowa Daszeńka przyjechała - odezwał się Szwarz. - Z jakimś botanikiem. Łęty do ramion, sam...

- Wiem - przerwał Smolin. - Stop... Czym przyjechali?

- A tym - Szwarz kiwnął w stronę przytulonej niedaleko wiśniowej „ósemki”<sup>4</sup>, nienowej, ale dosyć zadbanej. - Botan za kierownicą.

- Rozumiem. Ponudźcie się jeszcze chwilkę, sprawdzę posterunek...

Zamaszystym krokiem skierował się w stronę piętrowego drewnianego domku, pociemniałego z upływem czasu (z pewnością pamiętającego i Fidela, i Nikitę), wbiegł po skrzypiących wąskich schodach, zapukał do drzwi obitych podniszczoną dermą.

Po jakichś dziesięciu sekundach z wnętrza dobiegło czujne pytanie:

- Ktoj to?

- Jaj to - odpowiedział Smolin. - Otwieraj, Kuźmicz, żywo...

Zazgrzytał klucz, szczęknęła zasuwa, potem dźwięknął łańcuch, drzwi otworzyły się ze wstrętym piskiem i na progu zjawił się staruszek w grubych wełnianych skarpetach i dawno temu wycofanym z wojska umundurowaniu: bryczesy i bluza mundurowa p/w, to znaczy półwełniane, wszystkie malutkie wypolerowane guziczki porządnie zapięte do najwyższego (choć kołnierzyk musiał odczuwalnie wpijać się w jego szyję), mundur bez pagonów troskliwie wyprasowany, talia otoczona pasem całkowicie regulaminowo, że tylko dwa palce wejda, absolutnie nie więcej. Staruszek był wiekowy, ale z gatunku ruchliwych. Chromowe oficerki, wyglansowane do połysku, stały przy progu, baretki odznaczeń wyczyszczone, cienki pleksyglas bez najmniejszej ryski. Tylko zorientowany człowiek może rozpoznać, że wstążeczki należą do drobnych medali - komplet „za nienaganą służbę”, wszystkie jubileuszowe czasu pokoju oraz pozostałe „wyróżnienia” i „ofiarnie prace”. Orderu,

---

<sup>4</sup> „Ósemka” - model radzieckiego auta marki Łada - przyp. tłum.

rozumie się, ani jednego: skąd orderu u starego gliniarza?

- Posmarowałbyś zasuwę, czy co... - skrzywił się Smolin. - Dać kopiejczkę na oliwę?

- Nic podobnego, towarzyszu komendancie! - uciał staruszek. - Gdy wszystko skrzypi, w mig usłyszysz, jeśli ktoś wlezie...

- A po co do ciebie włączyć, sokole jasny? - leniwie spytał Smolin, bez pytania wchodząc do pokoiku. - Skarbów nie nzbierałeś, kapitałów nie masz...

- Czasy teraz skrajnie kryminogenne - gładko odparł Kuźmicz. - Wynalazczość elementu przestępczego znam nie ze słyszenia. Doświadczenie, rozumiecie... Zwiększona czujność to nie zwrot słowny i nie przesada, ale istotna ostrożność...

- Dobra, dobra... - mruknął Smolin.

Wziął z wąskiego parapetu czarną dziesięciokrotną lornetkę, odsunął się trochę w głąb pokoju i podregulował okulary do swojego wzroku. Czteropiętrowy blok był oddalony od baraku może ze czterdzieści metrów, więc uzbrojony w optykę widział pokój gościnny babci Fainy tak, jakby stał na balkonie jej domu. Obraz był całkiem idylliczny - cała trójka zasiadała przy stole, właśnie zaczynając picie herbaty z konfiturami i ciasteczkami. O czym rozmawiają, rzecz jasna, nie można zrozumieć, nie umiał czytać z ust - ale było widać, że atmosfera jest jak najbardziej beztroska: siedzą ludzie, znający się od dawna, ćwierkają uśmiechnięci, spokojnie, o sprawach na pewno zgodnych i przyjemnych... „Dokładnie, w tym tygodniu wsadzę mikrofon - pomyślał Smolin, odkładając lornetkę na parapet. - Uczciwy procent od trzystu tysięcy dolców to suma, dla której nawet oklapły w ostatnim czasie Kościej w miarę możliwości dłużej zachowa chłodny rozsądek...”

- Dziennik obserwacji - zameldował Kuźmicz, podając znany mu zeszycik. - Jak już podkreślałem, nie mając możliwości określenia, kto konkretnie wchodzi do mieszkania figuranta i obserwując takowych jedynie w przypadku niezaciągniętych zasłon przy pomocy optyki, zgodnie z poleceniem, zapisuję numery samochodów zatrzymujących się przed klatką, jak również osoby tam wchodzące...

Smolin przebiegł wzrokiem osiągnięcia ubiegłego tygodnia: jedni oznaczeni jako „lokator”, lub „lokatorka”, inni scharakteryzowani dwoma albo trzema zdaniem - trzeba przyznać dosyć profesjonalnie, nieliczną swoją zapłatę Kuźmicz odpracowywał jak należy. Numery samochodów... A jeśli wrócić do poprzedniego miesiąca...

Ach ty, psia twoja... Po raz pierwszy wiśniowa „ósemka”, która teraz idyllicznie stoi przed wejściem, została odnotowana przez wywiad w osobie Kuźmicza miesiąc i osiem dni temu. Za każdym razem przyjeżdżali nią Daszeńka i Miszeńka... Znaczy, że staruszkę zaczęli *paść* dawno...

- Kuźmicz... Ta parka z „ósemki”, zanim pojawiła się autem, wcześniej przychodziła pieszo? Pojedynczo?

- Pozwólcie, że sprawdzę... - stary glina, marszcząc czoło, przekartkował zeszytik, poruszył krzaczastymi siwymi brwiami, po czym oznajmił: - Nie byli notowani. Po raz pierwszy pojawili się danym samochodem, jak zaznaczono...

Rzuciwszy zeszytik na parapet, Smolin chciał zadać następne pytanie, ale kątem oka dostrzegł na stole coś interesującego, więc bezceremonialnie podniósł gruby pstrokaty tabloid i wyciągnął za rożek jeszcze jeden zeszytik. Ledwo otworzył, stwierdził, że są w nim gorliwie odnotowane wszystkie, co do jednej, jego własne wizyty w czasie ich dwumiesięcznej współpracy: data, godzina, nawet czas trwania...

- To tak, stareńki? - spytał z uśmiechem. Drugą ręką, znaczący się, również mnie *prześwietlasz*?

Staruszek, tak samo beztrosko uśmiechnięty, nie odwrócił wzroku, wzruszył ramionami z miną całkowitej niewinności:

- Jakowlewicz, nie jesteś malutki, żeby się obrażać... Życie jest teraz złożone i zawile. Nie jestem ciemny pieniek, dobrze wiem, że babka ma w domu obrazy warte niezłą kupę kasy... Wiem, po ile takie obrazki schodzą...

- Skąd?

- Wieść niesie. Ciekawe, przecież...

- Jasne - powiedział Smolin. - Więc mnie, na wszelki wypadek trzeba odnotowywać? Bo może jej nie ochraniam, a mam zamiar odwrotnie postąpić? Co?

- Czujność to rzecz niebezużyteczna - powiedział Kuźmicz. - Ja ciebie, komendancie, o nic takiego nie podejrzewam, Boże broń, ale porządek musi być, gdy obok są takie wartości materialne. Ty, sokole, chociaż mi płacisz nielicho, jednak jesteś człowiekiem zagadkowym... a i siedziałeś, przepraszam za otwartość... Ja nie mówię, że na ciebie gdzieś kabluję, po prostu notuję absolutnie wszystko co wokół wartości się dzieje... - podniósł palec wskazujący. - Wartości kultury, zwróć uwagę! Nie jesteśmy ciemni, mamy dostępów, jak kundel pcheł...

- Ciekawe - powiedział Smolin z nieszczerólnie dobrym uśmiechem. - A jaka sroka ci na ogonie przyniosła, że siedziałem?

- Czemu sroka? Jeśli pamiętasz, czterdzieści lat pilnowałem *kontyngentu*. Postaw mi jakikolwiek tłum, a ja w nim tych co *garowali*, co do jednego wypatrzę w krótkim czasie...

- Stirlitzu ty nasz... - chrząknął Smolin. - Tylko że ja, Kuźmiczu, oba swoje wyroki garowałem za to, co za przestępstwo dawno już nie jest uważane i w ogóle zostało wykreślone z kodeksu...

- A mnie co za różnica? Ja mówię jedno: porządek powinien być zdecydowanie we wszystkim...

Nie miało sensu obrażać się na poważnie, dawać burę - skoro nie miał zamiaru przedsięwziąć przeciwko staruszce czegokolwiek. Trzeba było po prostu wziąć pod uwagę przyzwyczajenia Kuźmicza i tyle. Obserwator z niego, trzeba przyznać, był dobry, zresztą na zamianę póki co nie ma kogo...

- Dobra - powiedział Smolin, wyjął portfel i odliczył kilka banknotów. - Dziękuję za służbę, a to zapłata za pół miesiąca. Na dobrą sprawę kicham na to, żeś i na mnie zaprowadził zeszyty, ale wiedz o tym, że jeśli coś niedobrego się stanie, a ty weteran niewidzialnego frontu przegapisz... Wybacz otwartość, ale uduszę, jak prostytutkę Trockiego...

- Nie gazuj, Jakowlewicz - z naciskiem powiedział staruszek. Kryminału nie dopuścimy w żadnym razie. Ty do mnie urazy nie chowaj, ja ci jestem nawet bardzo wdzięczny za to, że znowu, że tak powiem, postawiłeś mnie w szeregach, napełniłeś życie sensem..., ale porządek, wybacz, musi być we wszystkim. Kryminalitetu<sup>5</sup> z niczyjej strony nie zniosę, tak mnie wychowały partia i rząd.

„Kanalnia - pomyślał Smolin. - Jednak kanalnia pożyteczna, z jego bezsennością, ostrym wzrokiem i tęsknotą za *pracą*. Dziennik obserwacji prowadzi znakomicie, co by nie mówić...”

Za plecami brzęknął łańcuch, zaskrzypiała zasuwka, zgrzytnął klucz. Smolin zszedł po rozeschniętych schodach, bez pośpiechu podszedł do toyoty i klapnął na siedzenie obok rozwalonego za kierownicą Szwarca. Tamten spojrzał pytająco.

- Posiedzimy - odezwał się Smolin ospale. - Czapaj będzie myślał<sup>6</sup>...

O niczym jednak specjalnie nie myślał - po prostu siedział z zamkniętymi oczami, odchyłony na oparcie fotela. Ferajna milczała w trosce o spokój szefa - starzy kamraci, zdyscyplinowani, zgrani...

Człowiekowi postronnemu jego drużyna mogła się wydać nieco dziwna, ale to tylko komuś, kto nigdy nie zetknął się ze światkiem handlu antykami, o którym wie się zwykle tyle, co o tajemnicach sejfów Sztabu Generalnego. Specyficzny światek, proszę was, który nigdy nie pretendował do pokazywania się i sławy, wręcz przeciwnie. Zdecydowana większość obywateli się więc z nim nie zetknie przez całe długie życie. Miliony ludzi nigdy nie widziały żywego, prawdziwego szpiega. Dokładnie tak samo miliony w życiu nie zetkną się z żywym, naturalnym antykwariuszem. Obydwu zaś łączy to, że dążą do maksymalnej konspiracji,

---

<sup>5</sup> Nowe określenie ros. utworzone z dwóch słów: kryminał i komitet - kryminalny komitet, zorganizowana przestępczość, mafia - przyp. tłum.

<sup>6</sup> Zdanie z serii dowcipów o Czapajewie - przyp. tłum.



starannie udając, że w ogóle nie istnieją... I szpieg, i antykwariusz trafiają na łamy gazet i stają się bohaterami kolejnej sensacji tylko po wpadce. Motywy ich zachowań nie są, co prawda, podobne. Szpieg z zasady jest zajęty tym, co jest niezgodne z prawem. Antykwariusz narusza prawo tyle o ile i tylko tam, gdzie w żaden sposób nie można inaczej, ponadto bez rozgłosu musi żyć również w trosce o swoich klientów. Poważny kolekcjoner bynajmniej nie pragnie, żeby otoczenie dokładnie wiedziało, ile i co wartościowego ma rozstawione, rozłożone i rozwieszane po kątach (dotyczy to nie tylko naszej niespokojnej ojczyzny, ale także całej wiodącej pomyślnie życie zagranicą, gdzie również niezbyt przyjęte jest ujawnianie kolekcji). A wreszcie, niezależnie, czy to na rosyjskich przestworzach, czy też poza nimi, zbieracze to narodek fanatyczny i zdecydowany, bardzo często niezainteresowany stuprocentowym przestrzeganiem prawa. Wszystko to, razem wzięte, prowadzi do tego, że antykwariusz czasem konspiruje się bardziej niż szpieg: za każdym szpiegiem stoi mocarstwo, które swojego człowieka spróbuje tak czy inaczej wyciągnąć z tarapatów, natomiast antykwariusz takiego luksusu jest z gruntu pozbawiony...

Tak więc, dzielny hufiec...

Szwarc, który swoje przewisko zawdzięczał podobieństwu sylwetki, a nawet w pewnym stopniu rysów twarzy do Schwarzneggera, był tu najmłodszy i biografię miał, jak się zdaje, najbardziej pokręconą. Los i genetyka rozporządziły się tak, że był on wnukiem znakomitego niegdyś szantarskiego profesora Kładiencewa i synem dwu doktorów habilitowanych (różnej płci, rzecz oczywista) - wszelako z jakiejś nieznaney przyczyny młodzieniec od maleńkości żywił nieopanowany wstręt do działalności intelektualnej, wykształcenia wyższego, pracy naukowej i wszystkiego temu podobnego. Od kontynuacji mądrej *dynastii* odżegnał się kategorycznie. Zaniepokojona rodzina (w której poza historycznym dziadkiem i dość znanymi tatą i mamą znalazłoby się jeszcze pół tuzina posiadaczy stopni naukowych) początkowo próbowała udawać, że nic się nie dzieje i zebrawszy siły, uruchomiwszy wszelkie kontakty umieściła Szwarca na Uniwersytecie Szantarskim, skąd, dołożywszy niemałych starań, wyleciał już na pierwszym roku. Bez szczególnego lęku ozdobił swoją osobą szeregi wojsk powietrzno-desantowych i ostatnie pół roku odbębnił w Czeczenii, w głośnym wśród ludzi zorientowanych trzysta trzydziestym pierwszym pułku, a dzięki swemu niezrównanemu tatulkowi, opuścił tamte niegościnne miejsca z minimalnymi stratami. Znalazłszy się w cywilu Maksim (jeszcze nie Szwarce) wytrąbił należyłą ilość wódki i wcisnąwszy w najdalszy kąt szufladki kredensu dwa odznaczenia na wstążkach i jedno na agrafce, jakiś czas obijał się bez zajęcia. Przez żywy charakter o mało co nie trafił do mafii, ale w tym momencie jego ścieżki przecięły się ze

Smolinem, który momentalnie docenił trzy najwartościowsze cechy nowego znajomka. Szwarz, po pierwsze, organicznie był niezdolny do *odsiadywania*, gdziekolwiek by to nie było, od ósmej do piątej, po drugie, dzięki pochodzeniu doskonale znał angielski, po trzecie i najważniejsze, miał doskonałe rozeznanie w antykach, których wielkim miłośnikiem był dziadek-profesor. Do tego - żadnego parcia na robienie kariery oraz natura urodzonego poszukiwacza przygód w połączeniu z niezłą głową na karku. Dlatego już siódmy rok Szwarz, jak rybka w wodzie, pływał w splątanych labiryntach niewidzialnego dla świata biznesu.

Człowiek z pseudonimem Kot Uczony do wymienionego biznesu dotarł nieco inną dróżką. Po obronie doktoratu nauk matematyczno-fizycznych, z początkiem pierestrojki klepał najbardziej pospolitą biedę, a do tego zorientował się, że żaden luminarz nauki z niego, ogólnie rzecz biorąc, się nie wykluje, więc Wadim Iwanycz Chiżniak, doskonały znawca i kolekcjoner ikon, cerkiewnych przedmiotów z brązu, także cerkiewnych pieczęci, znajomość ze Smolinem zawarł jeszcze w czasach późnego Breżniewa. Ostatecznie, plunął na wielką naukę i bez reszty poświęcił się handlowi antykami, czego ani trochę nie żałował. Był to konus w wieku czterdziestu pięciu lat, absolutnie łysy i z zadbaną czarną bródką, dobry karateka i wytrawny koneser panienek w wieku niezagrożonym kodeksem karnym. Z racji swej powierzchowności był niezastąpiony w momencie, gdy konieczny był ktoś wyglądający na stuprocentowego profesora - okulary ze zwykłymi szkiełkami, klasyczny garnitur z kamizelką i krawatem w paseczki, język inteligenta bez zarzutu... Zdarzają się różne sytuacje i nie wszędzie można posłać Szwarca z jego odstrasżającymi gabarytami, życzliwą gębą feldfebla plutonu egzekucyjnego i nieprzewyciężonym przyzwyczajeniem posługiwania się mieszaniną niecenzuralnych słów i wsiowej elokwencji (absolutnie niezrozumiałej przy takiej genealogii).

Wreszcie, Stiopa Gienierałow, czterdziestoletni, chudy, żylasty, wąsaty, z fizjonomią klasycznego koszarowego *zupaka*, jakim też przez wiele lat był, dosłużywszy się majora został wymieciony przez kolejną redukcję w tych obłądnych czasach, gdy ministrem obrony, jak wieść niosła, niemal zrobili mademoiselle Nowodworską. Smolin, który początkowo zamierzał wykorzystywać go w charakterze zwykłego security, bardzo szybko przekonał się, że major rezerwy to niezły znawca białej broni oraz niemieckich odznaczeń z dwóch ostatnich stuleci (dawne hobby, jeszcze z młodości). Potem stało się jasne, że Feldmarszałka, jak szybko ochrzcili byłego raketowca, należy wykorzystywać na znacznie bardziej złożonych i delikatnych odcinkach pracy.

Smolin otrząsnął się i spytał:

- Co?

- Mówię - załatwią babkę jak nic - powtórzył Szwarz.

- Teoria prawdopodobieństwa głosi, że procent podobnego wyniku dąży do punktu końcowego... - w zamyśleniu przytaknął Kot Uczony.

- A co my możemy zrobić? - Smolin wzruszył ramionami.

- Jeśli staruszczenja wciąż tkwi w romantycznych latach sześćdziesiątych i kategorycznie odmawia sprzedania płócien? Ale to wszystko liryka. Jeszcze nie jest powiedziane, że ją koniecznie załatwią. Ostatecznie, nieboszczyk to nie Rubens, co tam gadać. To z powodu Rubensa mogą jej urwać makówkę, Rubensem jest sens handlować *po cichu* - ale przecież nie Biedryginem...

- Ale, jakby nie było, trzysta tauzenów zielonych - rzucił mimochodem Feldmarszałek. - Głupków nie brak...

- Nawet nie ilość głupków na metr kwadratowy mnie porusza - przyznał Smolin. - Niepokoi mnie to, że do babuni, jak się okazało, zaczęła biegać Daszeńka Berger...

- Ach, pro-oszę, do kogo ona... - przeciągnął Kot Uczony. - A my tu patrzymy, Daszeńka pupką kręci, daje nura do tej samej klatki pod rączkę z jakimś hippisowskim chłopczykiem... Pro-oszę, to tak... Kościej, paskuda?

- Diabli go wiedzą - ponuro odpowiedział Smolin. - Tylko że staruszczenja czemuś zaczęła mówić zagadkami i zapewnia, co najciekawsze, że na horyzoncie zamajaczył wreszcie nieznany filantrop, który obiecał pomóc w sprawie muzeum...

- Kto?

- A czy ja wiem? - Smolin wzruszył ramionami. - Przecież mówię, że to wszystko aluzje. Jednak kto jak kto, ale nasz przyjaciel Nikifor Stiepanycz, żeby tak w niegłębokim miejscu utonął, jest absolutnie zdolny wyszykować jakąś aferę. Wszyscy jesteśmy tu dorośli i otrzaskani, mechanizm z grubsza znamy...

- Też mi rebus - parsknął Szwarz. - Biorę botana, damę mu parę razy po nerach i śpiewa mi, jak Słowik-Rozbójnik na sęku...

- Wróć! - ton Smolina był zdecydowany. - Szwarz, nie chodzi o to, że to Hollywood, ale, że to *tanie* Hollywood. Jakby nie było, nie jesteśmy *cosa nostra*, a nawet nie mafia dworcowych taksówkarzy. Twój botan, ledwie wytrze smarki, polecą do psiarni z donosem i wszystkim nam będzie ponuro. Nie mówiąc już o tym, że chłopaczek spokojnie może się okazać kimś przypadkowym. Absolutnie. Tylko panienkę bzyka i wozi ją, gdzie ona potrzebuje. Jeśli to Kościej - w życiu by nie wykorzystywał takiego smarka. Daszka - to inna sprawa, swoja krew z krwi przy całej jego niechęci wobec bliskich krewnych, zresztą mądra dziunia, mówią...

- Nu to, joły-pały... - znowu wtrącił się Szwarc. - Można też Daszkę... przesłuchać jak się masz.

- Szwarc, ażeby cię... - rozzłościł się Smolin. - Co to za durne popisy?

- Przecież ja nie na poważnie, kurna - Szwarc próbował udobruchać szefa. - Po prostu ciężko patrzeć na te okieneczka, jak się wie, że tam taka kasa... Trzysta tysięcy. Kapuchy.

- Wszystkim ciężko - odparł Smolin. - Ale to jeszcze nie powód, żeby pleść byle co. Dobra. Jeśli to Kościej, to sekret się długo nie utrzyma, wcześniej czy później będzie przeciek, popatrzymy, czy będziemy mogli coś z tego wykroić dla siebie. Kościej już nie ma takiego chwytu, słabnie starowinka w oczach, więc są szanse, są... - kiwnął w stronę „ósemki”. - A numerki koniecznie sprawdźcie i bez odkładania. Popatrzymy, kto to taki, czym oddycha i skąd się tu w ogóle wziął, przypadkiem, czy jak... Jedźmy, Szwarc, i bez babuni mamy kupę roboty...

## Rozdział 2.

### DNI POWSZEDNIE BEZ SZCZEGÓLNYCH NIESPODZIANEK

Sklep mieścił się na parterze dziewięciopiętrowego bloku z żółtej cegły z jedną klatką schodową. W dawnych czasach, to znaczy w latach niezłomnego związku wolnych republik, była tu pierogarnia, pamiętna dla Smolina od wczesnego dzieciństwa: niezły był lokal, kilka zwawych ciotek lepiło tu pielmienie praktycznie na oczach publiki, w kuchni oddzielonej od sali tylko niziutką barierką. Tu gotowano, tu również wydawano. I jeśli już drażnić nostalgię, to właśnie tu, na zapleczu, Smolin stracił niewinność z jedną rezolutną pierogarką. Nostalgia ta nie miała zresztą żadnego związku z kupieniem przez niego w swoim czasie danego lokalu (pierogarnia jakoś tak niezauważalnie uległa samolikwidacji, jak tylko huknęła gajdarowszczyzna, później zmieniło się tu z półtuzina właścicieli, którzy otwierali a to sklep spożywczy, a to, przepraszam za wyrażenie, butik, a to zwyczajnie jakieś abstrakcyjne „biuro” - a cztery lata wstecz w wyniku wcale nie tak skomplikowanej kombinacji, w pięćdziesięciu procentach najuczciwszej, a w pozostałej połowie związanej z zakulisowymi intrygami i niewątpliwą urzędniczą korupcją, usadowił się tu Smolin.

Miejsce było wybierane bardzo skrupulatnie, po długich kalkulacjach: praktycznie w samym śródmieściu, jednakże w pewnej odległości od trzech najbardziej ożywionych centralnych alei, więc zwyczajnym gapiom, snującym się po historycznym centrum Szantarska, trafić tu wcale nie było łatwo. Sklep antykwaryczny to nie sklepik z upominkami i przypadkowi spacerowicze zawsze tu byli przykrym utrudnieniem, zasadnicze pieniądze od wieków uzyskuje się od stałych klientów, regularnie zaglądających po konkretne rzeczy. Duże znaczenie dla wyboru tej lokalizacji miał obszerny parking, znajdujący się tuż obok - poważni kolekcjonerzy pieszo chodzą rzadko, im poza wszystkim, potrzebne jest wygodne miejsce do postawienia auta...

O wymyślną nazwę nie dbał nigdy: nad wejściem widniała niezbyt duża tabliczka, na której czarno na jasnozielonym było wypisane zwyczajnym liternictwem: Antykwariat. Mądryemu wystarczy.

Po kilku rozmowach przez jedną komórkę (jej numer, zresztą, zna wiele osób), paru przez drugą (znacznie bardziej zakonspirowaną), Smolin wysiadł z samochodu i poczłapał do swojego legowiska. Wyglądające standardowo, że aż przygnębiająco, niewiele różniące się od setek współbraci, rozrzuconych po całej Rosji, obrazy na ścianach, trzy rzędy

wypolerowanych samowarów różnych kalibrów i kształtów na ciemnym stelażu, oszklone witryny z różnościami, rozstawione wzdłuż ścian stare radioodbiorniki, pół tuzina dzwonów (cerkiewne - z „uchem” w kształcie krzyża, okrętowe - z prostym), niewielkie koło sterowe, chińskie wazony (nie unikaty) i pozostały chłam w postaci maszyn do pisania, nieodnowionych krzesel i różnorodnych figurek z brązu współczesnej roboty, w większości Chińczyków i Hiszpanów. W większości był to właśnie *chłam* - z punktu widzenia poważnego zbieracza. Prawdziwe skarby (zarówno niewchodzące w kolizję z kodeksem karnym, jak i naganne) zawsze są umieszczane w tylnych pokojach, dokąd przypadkowy gap w żaden sposób nie trafi...

Kadra była na miejscu w pełnym składzie: Mariszka zasiadała na specjalnie dla niej dobranym wysokim taborecie, podobnym do tych, które stoją przy ladzie baru - gdy tak sobie siedziała z nóżką na nóżce, spódniczka mini, obrazek prezentował się niezwykle romantycznie, zabójczo działał na każdego klienta poniżej pięćdziesięciu lat (a trzeba jeszcze uwzględnić białą bluzeczkę z cynicznym dekoltem). Każdemu sklepowi, czym by on nie handlował, kategorycznie niezbędna jest taka właśnie kształtna ślicznotka, skąpo odziana i błyskająca śnieżnobiałym uśmiechem - szczególnie antykwarycznemu, w którym zdecydowaną większość klientów, tak już jest od dawien dawna, stanowią faceci. Oprócz wyglądu fotomodelki, panienska miała jeszcze jedną niewątpliwą zaletę: szczerze mówiąc, głupia była, jak korek, ale tego w podobnym rzemiośle właśnie potrzeba. Jak w tym starym dowcipie, miałem mądrą, to pół interesu ze sobą zabrała... Handel antykami obrotnemu sprzedawcy daje niezłe możliwości rozkręcania swojego własnego biznesiku pod nieobecność właściciela, a jeśli tego w odpowiednim czasie się nie ukróci, to, oczywiście, nie wpadnie się w nędzę, ale można doznać skutków dystrofii własnych kieszeni... Bywały, proszę was, żalosne precedensy...

Gosza, inwalida liczący sobie nieco ponad trzydziestkę, brzuchaty, kędzierzawy, pucołowaty, o bezbrzeżnie naiwnym wyrazie fizjonomii, był nieporównanie mądrzejszy i obrotniejszy - ale póki co (sprawdzone w wyniku niejawnych przedsięwzięć) nie jest skłonny do kręcenia lodów za plecami bossa. Nie wiadomo, co będzie w przyszłości, ale na razie można być pewnym chłopaka, szczególnie jeśli w porę dostanie po karku za drobne błędy i niepoważne niedobory...

Mariszka nudziła się, ponieważ jedyny klient, taki odrobinę podniszczony inteligent o przygnębionym wyglądzie, w żaden sposób nie nadawał się do przeciwiczenia na nim serii nieskomplikowanych chwytów (uśmieszki, strzelanie oczkami, próba sięgnięcia na górną półkę po jakiś drobiazg, do czego, jasna rzecz, panienska musiała odwrócić się do klienta

plecami, stanąć na palcach, wyciągnąć się). Klient nie zdradzał chęci kupienia czegokolwiek, przeciwnie, wskazując palcem leżący na szklanym daszku witryny ciemny krążek, coś z zapalem klarował Goszy, a tamten krzywiąc się, jakby siorbnął octu, próbował wytłumaczyć przypadkowemu prawdziwy stan rzeczy. Smolinowi wystarczyło usłyszeć kilka zdań, żeby westchnąć ponuro. Klasyczny przypadek, jeden z tych zawodowych szablonów, które znudziły mu się bardziej, niż gorzka rzepa. Chłopina, który nigdy dotąd nie miał do czynienia z zabytkowymi przedmiotami, gdzieś wytrzasnął pospolity miedziak z czasów miłościwie panującego Mikołaja I, na którym wielkimi literami było wybite: „2 kopiejki srebrem” - i teraz, podobnie jak niezmierna mnogość łosi, wyobraził sobie, że stał się posiadaczem niewysłowionego unikatu, za który mu natychmiast odwałą albo mieszkancko w śródmieściu, albo prawie nowego „merca”. Nawet już nie setny taki - nudy...

Gosza z żelazną (cierpliwością człowieka, który widział w życiu niezliczoną ilość idiotów, delikatnie próbował wytłumaczyć łosiowi, jak sprawa się ma w rzeczywistości: że srebra w tym „unikacie” nie ma nawet miligrama, napis zaś oznacza jedynie to, że ciężkawy krążek jest *równowartością* dwóch złotych<sup>7</sup> „silvera”; że cena tych śmieci to pół setki rubli w dzień targowy z powodu masowego bicia; że w witrynie - tej na lewo! - leży pół tuzina takich samych „rzadkości”, wartych mniej niż butelka dobrej wódki. Łoś nie był w stanie rozstać się z rozbłyśłym marzeniem o nowym mieszkancko albo aucie, dlatego nie wierzył w to, co oczywiste i usiłował udowodniać swoje - co z jego strony było kompletnym idiotyzmem. Zresztą, briefing zbliżał się do końca: Gosza sięgnął na półkę po grubaśny informator Munza, gdzie taka sama moneta pokazana jest w naturalnej wielkości i podana jej marna cena...

Straciwszy wszelkie zainteresowanie tym, co się dzieje, Smolin zdjął pluszowy sznur, przegradzający wąskie przejście za witryny i skierował się ku pomieszczeniom na zapleczu, wyłączając po drodze dźwięk obydwu komórek. To śmieszne, ale do tej pory zdawało mu się, że w powietrzu unosi się pożywnie ciepły aromat świeżo ugotowanych pielmieni, czego, oczywiście, być nie mogło, biorąc pod uwagę tuzin remontów i przebudowań tych wnętrz...

Otworzywszy swój pokój, klapnął na fotel przeznaczony dla klientów i wyjął papierosy. To tutaj, w trzech szafach, w biurku, a nawet po prostu rozłożone, rozstawione albo wiszące, kryły się przedmiociki *ciekawsze* i, rozumie się, droższe, przeznaczone dla ludzi bynajmniej nieprzypadkowych... Stało tu naręczce broni siecznej (tej bardziej prostej), ciekawsze egzemplarze wisiały na ścianie, obok leżało pół tuzina srebrnych papierośnic (nic

---

<sup>7</sup> Złotnik = 4266 g - przyp. tłum.

szczególnego, ale przecież nie *żużel*), tabunek statuetek z brązu na biurku, pudełko z *blitem*<sup>8</sup> wyglądało różkiem spod kupy spłowiejących papierów i temu podobne... Tak, tutaj był *kesz*...

Nad drzwiami zapaliła się i wypełniła czerwonym blaskiem maleńka lampeczka - to Gosza nacisnął niewidoczny przycisk pod ladą. Mogło to oznaczać cokolwiek, ale zwykle - przykre głupstwa, a nie straszne udręki, dlatego też Smolin wstał bez pośpiechu i skierował się ku drzwiom. Tak już jest, że bandyckie napady na sklepy antykwareczne, w zasadzie, nie zdarzają się, przestępcze niespodzianki, z reguły, mają dwojaki charakter: albo złodzieje próbują coś zwędzić ciemną nocą, z bezludnego pomieszczenia, albo, częściej, młodociana granda rąbnie jakiś niewielki drobiazg z „wolnego dostępu” (przy czym, charakterystyczne jest, że te potwory bardzo często idą sprzedać zdobycz do innego sklepiku z antykami, nie podejrzewając, że w tym wesołym biznesie wszyscy są związani jednym sznureczkiem i w przypadku jakiegokolwiek kradzieży momentalnie się informują...).

Smolin stanął za kontuarem. Łosia ze „srebrnym unikatem” już nie było, natomiast przed Goszą stała starsza femina we wczesnych latach emerytalnych. Fizjonomię miała skora do uśmiechu, otwartą, inteligentną, usposabiającą przychylnie do siebie - taka nauczycielka na emeryturze, była ulubienica dzieciarni, a przed nią na kontuarze...

A przed nią na kontuarze wdzięczył się „łysy” - to znaczy Order Lenina, *kompletny*, jak Smolin momentalnie ocenił wprawnym okiem, praktycznie w ideale...

- No, co tam mamy? - odezwał się głośno, promiennie uśmiechając się do klientki.

Jaśniejac nie mniej promiennym uśmiechem - ideał uprzejmego sprzedawcy - Gosza tak samo głośno oznajmił:

- Właśnie, Wasiliju Jakowlewiczu, obywatelka sprzedaje order...

- Po nieboszczyku został - poinformowała wspomniana obywatelka, wnosząc swój wkład promiennego uśmiechu (prostodusznego, żeby nie wiem co!). - Emerytura, sam pan wie jaka, więc chciałabym...

- Sprzedać? - Smolin uśmiechnął się jeszcze bardziej szeroko.

- Sprzedać.

- Nam?

- No, oczywiście. Ma pan, słyszałam, porządny sklep, więc nie oszuka. Obawiałabym się sprzedawać z ręki komu popadnie...

Wziąwszy ciężki order (złota solidnie, a i platynowy profil wodza niemało waży), Smolin odwrócił go, szybkie spojrzenie rzucił na numer. Znany numer. Wzruszył ramionami

---

<sup>8</sup> Złoto - przyp. tłum.



(w myśli, rozumie się) - małe dzieci, żadnej fantazji...

- Aby prawdziwy ten orderek? - spytał, starannie „okając”.

- Oczywiście, mam dokument...

- Tak, rozumie się - powiedział Smolin z obojętnym wyrazem twarzy. - Te antyspołeczne reformy, które spowodowały nędzę człowieka pracy... Czubajs, te tam vouchery i tak dalej... Gołąbeczko, czy ja i ten miły młody człowiek wyglądamy na idiotów?

- Ależ, co też pan! - wciąż tak samo promiennie uśmiechając się zawołała „gołąbeczka” (ach, jaka prościutka wciąż była jej mina!). - Wcale nie wyglądacie...

- Ano właśnie, ofiaro naszej antyspołecznej pierestrojki - powiedział Smolin. - Jakby, śmiem myśleć, nie wyglądamy... Tylko kompletny idiota, nieszczęsna nasza wdówko, za własne uczciwe pieniądze kupuje sobie same nieprzyjemności. Jasne?

- Niezupełnie...

- Jest, mateńko, taka nudna książka. Zatytułowana krótko: Kodeks karny. Tak więc tam, charakterystyczna rzecz, napisano czarno na białym, że zbyt odznaczeń państwowych nie tylko w Federacji Rosyjskiej, ale i w ZSRR jest zjawiskiem przestępczym i bezwzględnie podlegającym karze. I kary, kochana, zaznaczono poważne... Dla ciebie, pierwszej. Dla nas, zresztą, również...

- Ale order przecież nie jest kradziony! - rzekła wizytantka, zachowując na twarzy ciągle tę samą świętą naiwność i niewysłowioną błogość. - Ja sprzedałam, pan kupił, co tu ma do rzeczy kodeks? Przecież nie pójde później z donosem na pana...

- Ja i ten oto młody człowiek mamy jednego bzika - odparł Smolin. - Jesteśmy praworządnyimi obywatelami i kodeks karny, postępując zgodnie z przykazaniami towarzysza O. Bendera<sup>9</sup>, czcimy święcie! - Był już znudzony, w najmniejszym stopniu nie chciało mu się ciągnąć dalej spektaklu. - Dlatego też, kochana, jak wyjdiesz za drzwi, idź...

I kilkoma wymyślnymi zdaniem, nader soczyście i zręcznie wskazał od razu kilka na wskroś niecenzuralnych azymutów, którymi przybyła powinna podążać. Najciekawsze, że ta sprawiała wrażenie nieszczególnie zszokowanej, wzruszyła zaledwie ramionami:

- A wydawałoby się człowiek inteligentny...

- Ja?! - Smolin otwarcie wzruszył ramionami. - Znalazła sobie inteligenta... - i jeszcze jednym barwnym zdaniem już nie wskazywał drogi, ale charakteryzował osobę wizytantki.

- Inteligentów tutaj nie ma, uczciwie ci mówię... Tak więc zabieraj przedziutko jasny wizerunek wodza światowego proletariatu i dygaj stąd w cholere... Bo jak nie, to nacisnę ten

---

<sup>9</sup> Ostap Bender, główny bohater satyrycznej powieści Ilfa i Pietrowa *Dwanaście krzesel* - przyp. tłum.

oto guziczek, a jak maksimum za kilka minut podleci patrol ochrony, w mig napiszę doniesienie w związku z artykułem trzysta dwudziestym czwartym Kodeksu karnego... - Demonstracyjnie włożył dłoń pod kontuar. - Do kogo mówię, kluko rąbana?

Wciąż z niezmaconym spokojem klientka starannie zawinęła „łysego” w chusteczkę do nosa, schowała do torebki, wzruszyła ramionami mówiąc:

- Tacy porządni ludzie i tak się wyrażają...

I przedefilowała do drzwi. Patrząc, jak niespiesznie oddala się w stronę placu, Gosza krótko i soczyście wyraził się o niej nieładnie.

- Jak powiedziała by towarzysz Stalin, nad podziw trafne określenie - bez szczególnych emocji zgodził się Smolin. - Tak więc i do nas dowlokła się stara opałka...

Popatrzył na parking, ale żaden samochód nie odjechał, wszystkie stały puste - albo tajniacy zatrzymali się gdzieś poza zasięgiem wzroku, albo przyszli pieszo. Przez ostatni tydzień ta zmija o jak najbardziej miłym i budzącym zaufanie wyglądzie zdążyła obejść wszystkie sklepy antykwaryczne w Szantarsku, z wyjątkiem Smolina - a teraz, widać, i tu dotarła, paskuda. Nie było w tym żadnego złego zamiaru wobec Smolina, ot, rutyna, szare milicyjne dni powszednie, zarzucili wędkę na chybił trafił, łapserdaki, a nuż jakiś dumny karasik się złapie. Tylko że w tym odmęcie dumnych karasi nie ma, w pierwszym saloniku, w którym ta młoda przyjaciółka milicji się pojawiła - i wywołała podejrzenia - nie tylko w cholerę ją posłali, nie przebierając w słowach, ale numer orderku zapamiętali i od ręki przekazali po linii...

- Następnym razem naprawdę naciskajcie guzik, orły - Smolin był zdecydowany. - Niech się później dwie służby za łby wodzą, drobiazg, a przyjemnie, zresztą nawet nie zdenerwujecie zbytnio nikogo takim drobnym świństwem...Zrozumiano? Ponieważ...

Szklane drzwi otworzyły się pod melodyjne dzwonięcie chińskiego dzwoneczka feng shui i Fiedia Żychariow swoim zwyczajem jak meteor wpadł do sklepu, błyskając trzema złotymi zębami, zrzucił z ramienia torbę, która głucho stuknęła o podłogę i ryknął:

- Jak się macie, czarty? Margot, radości moja, niewysłowienie piękniejemy, kiedyż mi, łapciarzowi, wystarczy śmiałości, żeby cię do drogiej knajpy zabrać... Można bez dalszego ciągu, ale lepiej by z dalszym ciągiem...

- A pan, Fiodorze Dmitriczu, małżonkę ma czarującą - powściągliwie odezwała się Mariszka.

- Czego ona nie wie, to jej nie zaszkodzi...

W drzwiach stał, wzięwszy się pod boki, mocny jak grzyb borowik, czterdziestoletni mieszkaniec wsi o ksywce Bosman (służba zasadnicza we Flocie Bałtyckiej, marynarska

koszulka w paski pod wyprasowaną koszulą). Tylko, że były wilk morski i były dzielnicowy bynajmniej nie był standardowym wieśniakiem. Usadowił się w mieście rejonowym ze sto pięćdziesiąt kilometrów od Szantarska, już od dziesięciu lat, jak odkurzacz, wysysał dookoła wszystko, co miało bodaj najmniejsze oznaki starych rzeczy, na dodatek regularnie włóczył się z drogim japońskim aparatem w okolicach istniejących wiosek, jak i tych, które znikły z powierzchni ziemi. Połów, rzecz jasna, nie składał się z unikatów - skąd by miały być na syberyjskich szlakach, ale jednak trafiało się niemało ciekawego, a czasem, chociaż nie były to unikaty, ale przecież rzeczy rzadkie...

- No? - rzucił niecierpliwie. - Cóż to mnie do komory nie wołasz, herbatki nie proponujesz?

- Chodźmy - powiedział Smolin. - Marisz, podaj herbatę...

Ledwie weszli do pokoju, Bosman na stole położył torbę, w której coś brzęknęło, dźwięcznie rozsunał zamek błyskawiczny i włożył rękę do jej wnętrza. Smolin wyczekująco patrzył, przysiadłszy na brzegu niskiego blatu.

- No?

- Nieźle - przyznał Smolin. - Nawet całkiem nieźle...

Na jego dłoni leżała masywna odznaka wiejskiego starosty, ozdobiona herbem szantarskiej guberni i carską koroną. Ciemnoczekoladowa patyna, spod której praktycznie nie było widać jasnego brązu, jakbyś nie badał, była *oryginalna* - przyjemnie było myśleć, że rozmnożeni podrabiacze jeszcze nie osiągnęli w tej dziedzinie *pełnej* doskonałości. Oczywiście, gdyby chodziło o jakiś unikat, za który trzeba krzyknąć sześciocyfrową sumę w zielonych, nieznani światu mistrzowie postaraliby się ze skóry wyleźć, żeby osiągnąć całkowite podobieństwo - ale nie ma sensu doskonale podrabiać takiego drobiazgu, nie opłaca się przecież...

- A listewka! - triumfująco uzupełnił Fiedia.

- Widzę... - kiwnął głową Smolin.

Zdecydowana większość podobnych oznak służbowych trafia na rynek bez zawieszek - te w pierwszej kolejności się gubią, łamią, giną. Natomiast odznaka Fiedi przyjemnie cieszyła oko nie tylko podwójnym oryginalnym łańcuszkiem, ale również poziomą wypukłą listewką. Jedyne, czego brakowało, to agrafki, którą odznaka była przyczepiana do armiaka, czy innej siermięgi. Niestety, doskonałości na tym świecie się nie doszukasz...

- Wykopana - objaśnił Fiedia. - Wykrywacz metalu zadrżał mniej więcej pół kilometra od skraju Bekietowki, na orange... Myślę, że kiedyś urzędnicy starosta szedł poza wsią i zgubił to cacko...

- Najprawdopodobniej - Smolin znowu przytaknął. - I co?

- Myśmy ludzie prości - Fiedia zmrużył oczy. - Setka baksów. Jakby nie było, za sto pięćdziesiąt ją ożenisz...

- A nie za dużo?

- Z łańcuszkiem, z listewką... A może masz drugą?

- No dobrze. Co jeszcze?

Wszystko inne, co znalazło się na stoliku, odznace, bez wątpienia, ustępowało - para pociemniałych medali na trzystulecie Domu Romanowów, które w trzynastym roku klepali niemal w każdym warsztacie stolarskim, kilka srebrnych półrubłówek oraz miedziaków, bitych w wielkich seriach, masywny szklany kałamarz bez przykrywki z lat czterdziestych, brązowa pieczęć powiatowego komitetu wykonawczego (prosta, jak dwie kopiejki, ale z masywną wymyślną rączką, wyraźnie oderwaną w latach dwudziestych przez towarzyszy komisarzy od jakiejś droższej i jakościowej pieczęci), dwa bagnety od karabinu Mosina, prawie nietknięte rdzą, sterta przedrewolucyjnych papierów (karta powołania żołnierza drugiej kategorii, list gratulacyjny szkoły realnej i temu podobna masówka). Cena tego była niewysoka, ale swojego znawcę i nabywcę mogło znaleźć dość prędko.

- Wszystko? - zapytał Smolin.

- Trzymajcie się krzeseł, obywatele... - Fiedia szeroko uśmiechnął się i zanurzył rękę w torbie. - Ap!, i tygrysy siedzą przy mojej nodze!

Smolin nie miał zamiaru ukrywać zainteresowania, natychmiast wyciągnął rękę i wycedził przez zęby:

- To jest, rzeczywiście, coś...

Na stole z ciężkim stuknięciem znalazł się czarny mauzer, na oko w idealnym stanie. Smolin, na razie nie dotykając broni, powoli przeczytał na głos wyraźny napis, wybity nad rękojęścią, między dwoma zagłębieniami, większym i mniejszym, tworzącymi kąt prosty:

- Waffenfabrik Mauser, Oberndorf, A. Neckar... Czyściłeś?

- Tylko odrobinę, jak widzisz. Mechanizm z lekka przeczyściłem, naoliwiłem... Wypróbuj.

Smolin odciągnął na „uszka” długi prostokątny zamek, który połyskiwał świeżym smarem, popukał małym palcem w otwartą komorę nabożową (sprężyna sprawnie się ścisnęła), kciukiem napiął kurek i zamek ze zgrzytem wrócił na miejsce. Nacisnął języczek spustowy, pobawił się celowaniem, sprawdził bezpiecznik. Prawa strona pistoletu zachowała się w nienagannym stanie, natomiast lewa gorzej, była dosyć gęsto usiana drobnymi wrzodami rdzy.

- A to już, zdaje się, nie kopanka - powiedział w zamyśleniu. - „Strychowiec”?

- No właśnie - przytaknął Fiedia. Najprawdziwszy „strychowiec”. Leżał sobie za krowią, dopóki nie zaczęli rozbierać izby. Dobrze, że się tam akurat znalazłem... To przecież „Bolo”, nie?

- Klasyczny „Bolo” - powiedział Smolin powoli.

Spojrzeni po sobie i pokiwali głowami z miną ludzi znających się na rzeczy. Skrócone mauzery tego typu, nazywane „Bolo”, lub „Bolszewickie”, w latach dwudziestych Niemcy dostarczały do ZSRR, przede wszystkim dla potrzeb GPU. Dlatego można snuć różne przypuszczenia, ale najbardziej prawdopodobna jest następująca wersja: skoro taki mauzer całe dziesięciolecie przeleżał ukryty na strychu zwyczajnej wiejskiej chałupy, to z wielką dozą prawdopodobieństwa jej gospodarz kiedyś spotkał się z czekistą albo milicjantem, od którego przejął pistolecik. Czekiście, można przypuszczać, mauzer był już na nic. Surowe lata dwudzieste...

- Też Bekietowka?

- Nie, Podtajożnoje.

- Jasne - powiedział Smolin. - Kto tam hulał w czasie kolektywizacji, ataman Choma?

- I Choma, i esauł Pierieliegin... A poza tym, iluż to niezorganizowanych czało się za wsią na komisarzy... Słuchaj, Wasia, można przypuszczać, że z niego niejednego czerwoniaka kropnęli...

- Można przypuszczać - przytaknął Smolin.

Przez jakiś czas *bawili się* pistoletem, wrywając go sobie nawzajem, celowali w kąty, naciskając na spust, pstrykając wszystkim, czym tylko było można pstryknąć. Broń ma nad mężczyznami magiczną władzę, tak prosto jej z rąk nie można wypuścić nie pobawiwszy się do syta...

Smolin zreflektował się:

- Dobra, to wszystko liryka... I co?

- Sztuczkę baksów, na mleczko - Fiedia błysnął trzema fiksami (odlanymi nie z taniego stomatologicznego blitu, ale z prawdziwych carskich czerwonońców). - Ty go przecież puścisz minimum za dwie.

„Wszystko to prawda - pomyślał Smolin. - A jeśli jeszcze wykosztować się na kaburę - teraz za jakieś dziewięć sztuk rubli można szybciusieńko kupić niechby nawet podróbę, ale idealnie zrobioną...”

- Poczekaj - powiedział, widząc jak zamigotał ekranik jednej z komórek, wciąż nieprzestawionych z bezgłośności.

- Tak... Aha... No tak. Kiedy będziesz? Oko... Dobra, Fiedia. Niech będzie. Potrzymaj go tak...

Otworzył szafę, wyjął z dolnej półki ciężką niemiecką wiertarkę i włączył do gniazdka.

- Waśka! - ze smutkiem jęknął Bosman.

- Sza! - Smolin był zdecydowany. - Możesz uważać, że go kupiłem, więc robię, co mi się podoba...

Bosman mocno trzymał mauzer magazynkiem do góry, Smolin zaś z wielką wprawą w pół minuty wywiercił w dolnej części lufy równiutki otwór o średnicy ośmiu milimetrów. Wyciągnął solidny grot iglicy i bezlitośnie cisnął go do kosza na śmieci, zawinawszy przedtem w papier.

- Tylko tak - powiedział kołysząc na dłoni czarny pistolet, od tej chwili już niekwalifikujący się do określenia „broń palna”. - Zaślepkę Maestro dostarczy w mig, a ja już wiem, kto lubi klamki, z których, jak się wydaje, położyli niejednego czerwoniaka...

- Taką rzecz zmarnowałeś - Fiedia nie krył smutku. - W domu mam...

- Doskonale pamiętam, co masz w domu. Ty siedzisz na głuchej wsi, aczkolwiek mieni się miastem rejonowym. U was tam wszystko jest inaczej. Ja ci, oczywiście, troszeczkę zazdroszczę...

Miłośnik broni miał czego zazdrościć: w komodzie Bosmana pod ręcznikami i marynarskimi podkoszulkami beztrzesko leżały nagant z czterdziestego drugiego roku (sprawny) i amerykański colt z jedenastego (analogicznie), w sieni zaś na dodatek stał jeszcze winchester z dziewięćset pierwszego roku - lufa mocno się wytarła, stała się cienka, ale strzelała amerykańska rura wciąż jak się masz, tyle że metalowe gilzy trzeba było nabijać ręcznie. Wieś, proszę was, na takie rzeczy patrzy prościej...

- Miasto to co innego - Smolin nie krył smutku. - Nie chcę własnymi rękami pakować sobie na grzbiet ciężkiego artykułu...

- Ja wszystko rozumiem. Jednak wszystko jedno, szkoda, sprawna maszyna...

- Biznes to biznes - powiedział Smolin. - Przeżyjemy, przecież, tak naprawdę nie jesteśmy kolekcjonerami... Wszystko? Czy nie? Coś ty zagadkowo oczami błyskasz... Wyjmuj.

- Chodźmy do samochodu. To waży...

- Słuchaj, czyżby wreszcie „Maksim”?

Bosman uśmiechnął się z zagadkową miną:

- „Maksima” wciąż jeszcze nie obiecuję, ale coś jest...

Przez drzwi kuchenne wyszli na podwórko, gdzie przy jedynym wejściu stała „gazela” Fiedia z brezentową budą. Podeszli do tylnej klapy, wskoczyli do wnętrza... Fiedia tajemniczo chichotał. W samochodzie poniewierało się jakieś żelastwo - tylna oś ciężarówki, jeszcze coś...

- A twoim zdaniem, co to takiego? - spytał Fiedia tonem triumfatora. - To, przy burcie...

Zginając się w paragraf, Smolin się rozglądał. Później kucnął i przypatrzył się dokładniej. Zaklął po cichu, piętrowo. Nie wstając i nie odwracając się powiedział:

- Bosman, do jasnej Anielki! Toż to jest działko lotnicze!

- Poznał, znawca! - zaśmiał się Fiedia. - Działko z Miga, dwadzieścia trzy milimetry, sprawne... W Kubarajce likwidują pułk lotniczy, chorążowie rozprzedają wszystko, co można, więc kupiłem za śmieszne pieniądze... Amunicji nie ma, nie bój się, nie jestem głupi, żeby wozić naboje... Aczkolwiek on by mi, kij złamany, również naboje całą ciężarówkę sprzedał... Ty, Fiodor powiada, że do Czeczeńca nijak nie jesteś podobny, nie ma obawy, że broń z amunicją na głupią sprawę puścisz... Poważnie, a może potrzebne są komu naboje?

Smolin wciąż przeklinał, ciągle siedząc w kucki w niewygodnej pozycji. Gdy nieco oprzytomniał, spytał markotnie:

- Jakżeś ty je tutaj dowiózł, dziecino szalona? Tu od was sto pięćdziesiąt kilometrów, a od Kubarajki do was jeszcze setka...

- A, o tak dowiozłem. Otwarcie. Zresztą gibbony do paki zaglądały cztery razy. Tylko, że ta rura w żaden sposób im się nie skojarzyła z pojęciem „działko”... Gdzieżby mieli widzieć działko lotnicze? Pół skrzyni żelastwa, części do japońskiej koparki... Japońskiej koparki też w życiu nie widzieli, nie mówiąc o tym, żeby do jej bebechów zaglądać i części znać na pamięć... Bierzesz?

- A niech cię - powiedział Smolin, prostując się w ciemności. - Dobra, jeśli cię do tej pory nie skuli, znaczy, że jakoś przeszło bokiem... Ale gdyby cię mieli na oku i chapnęli zaraz przy lotnisku... Masz pojęcie, ile byś załapał na swój grzbiet?

- Nie pękaj, Wasia, przedarliśmy się przecież... Udało się. Twojego ryzyka nie było ani kropelki, tylko moje, a ja zawsze mam szczęście... Bierzesz? Też za paczkę docłów odstąpię, nie będę ściemniał, że się strasznie wykosztowałem...

Kręcąc głową i wciąż jeszcze klnąc pod nosem, Smolin już zaczął układać w myśli dalsze postępowanie. Sprzedać, jak już niejednokrotnie było mówione, można wszystko - jak nie dzisiaj, to jutro. Właściciele mnożących się wokół Szantarska imponujących willi opętani są najrozmaitszymi dziwactwami: jeden pracowicie skupuje i rozstawia na podwórzu stare

pługi, koła od wozów i brony, inny, co dobrze wiadomo, wydał niemałe pieniądze za złomowany transporter opancerzony (pomalował, wciągnął na najwyższe wzniesienie działki i często pociąga piwo, siedząc na wieżyczce), trzeci... Z pewnością, wcześniej czy później znajdzie się amator i na tę egzotykę.

- Biorę - powiedział po namyśle. - Tylko natychmiast przewierćmy, jak należy, iglicę i jeszcze coś tam... Brezent masz?

- Skąd? Tylko ten kawałek...

- Będzie mało...

- Nie pękaj, Waśka, przebijemy się... Owiń lufę, na koniec w sam raz wystarczy, tu dwa i pół kroku...

Smolin starannie owinął koniec lufy niewielkim kawałkiem brezentu i we dwóch zaczęli wyciągać rurę na świat boży. Działko, niech go szlag, było ciężkie jak diabli, z trudem zarzucili je na ramiona, odwrócili się w stronę tylnego wejścia do sklepu...

W brzuchu Smolina coś zakotłowało się, jakby wirnik, dosłowne wrażenie, ze wstrętnym metalicznym chrzęstem. Poczul chłód, jakby klapnął na skrzynkę z lodami...

Pięć metrów obok stał samochód patrolowy ochrony<sup>10</sup>, w charakterystycznych białoniebieskich barwach, ze stylizowanym okiem na przednich drzwiach, z kogutem, jak należy. Dwa siedzące wewnątrz młode orły w kamizelkach kuloodpornych i hełmach gapiły się wprost na nich, z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy.

Nogi dosłownie wrosły mu w ziemię. Pomyślał z niepokojem: nikt na razie nie rzuca się, żeby nas obezwładnić, nikt nie łapie za klapy, nie wrzeszczy niczego strasznego... Trzeba było tak głupio wpaść, stoisz z tonową rurą na ramieniu, w żaden sposób nie udowodnisz, że nie masz z nią nic wspólnego...

- Siemion! - dzielnie warknął Bosman za plecami. - Czego stoisz? Dygaj z tym koksem, bo brygadzysta pęknie z wściekłości...

Opamiętawszy się nieco i wzięwszy w garść, Smolin zrobił jeden krok w stronę drzwi, potem drugi, trzeci... Nikt na nich się nie rzucił, dookoła była cisza. Odwróciwszy z lekka głowę, kątem oka zobaczył, jak z wejścia wyskoczył trzeci orzeł, również w kasku i kamizelce, z AKSU<sup>11</sup> na ramieniu - i silnik samochodu momentalnie zawarczał. Następnie zatrzasnęły się za nimi drzwi i nikt nie rzucił się ich śladem, nikt nie czekał w pokoju...

Po plecach spłynęło mu dobre pół litra potu.

---

<sup>10</sup> *Wniewiedomstwiennaja ochrana* (ros.) - ochrona firm, domów jednorodzinnych i mieszkań, wykonywana przez milicję na zasadach komercyjnych - przyp. tłum.

<sup>11</sup> AKSU (ros.) - automat Kałasznikowa ze składaną kolbą, skrótowy - przyp. tłum.



- Poszło bokiem... - parsknął, ostrożnie opuszczając na podłogę swój koniec ciężaru.

- No, i ze mnie też...

Smolin zdławionym głosem obiecał:

- Ja ci, kurna, procent policzę za takie figle... Wykończysz kiedyś wszystkich swoimi wyskokami...

- Nie bździj, jeśli wykończę, to siebie. Jakoś się wykręcę...

- Waszą jadaczką, hipciu, tylko miodek z beczki lizać... - Smolin urwał ze złością.

Nie zwlekając, złapał za wiertarkę, wyjął z plastikowej walizeczki wiertło centymetrowej średnicy - dla pewności i żeby nerwy uspokoić... Odkręcając uchwyt, ciągle jeszcze warczał:

- Dokładnie, potrącę dziesięć procent, żebyś nie doprowadzał do zawału...

- Dobra, dobra - podśmiewał się Fiedia, pomagając mu podłączyć wiertarkę do gniazdka. - Częściej bzykaj Mariszkę, łykaj koniaczek zamiast wódeczki, to nie będziesz miał żadnych zawałów... Jeszcze jedno działło nie przyda się?

- Idź ty!

- Ale nie, ja nie o tym... Kapujesz, mówią, że w Czuszumanie, u starowierców, za opłotkami poniewiera się jakieś działko... A sądząc po tym, jak je opisują, to na pewno kozackie, to znaczy z siedemnastego wieku, nie późniejsze... Dlatego że później garnizonów z artylerią w tej głuszy już nie było, natomiast Kozacy za Aleksieja Michałycza po tych miejscach akurat chodzili... Interesuje?

- To od tego trzeba było zaczynać - powiedział Smolin, mocując wiertło w uchwycie. - Rzeczywiście, jakie tam garnizony z artylerią... Tylko że to z siedemset kilometrów...

- No i co? Sześćdziesiątej szóstej wachy<sup>12</sup> zdobędę, znajdziemy trochę czasu i kopniemy się? Prawdziwe działło z siedemnastego wieku... Co? Nawet jeśli podzielimy kasę po połowie, to i tak niekiepsko wychodzi...

Wiertarka zawyla basem, wiertło pomalutku zaczęło zagłębiać się w lufę działka lotniczego...

---

<sup>12</sup> Benzyna 66 oktanów - przyp. tłum.

## Rozdział 3

### CZASZKA SCYTYJSKIEGO WODZA

W przeciwieństwie do hałaśliwego, nieokiełzanego, z sercem na dłoni Bosmana, Roma Lewicki (a może nawet nie Roma i nie Lewicki) był człowiekiem zupełnie innego pokroju. Wszystko odbyło się według ustalonego trybu: dokładnie po czterdziestu minutach od uprzedzającego telefonu przed tylnym wejściem zatrzymała się taksówka, z której wysiadł Lewicki, bez wysiłku niosący podłużne kartonowe pudełko, dokładnie oklejone przezroczystym skoczem, z wygodnymi sznurkowymi uchwytami, ozdobione blisko tuzinem stempli koloru lila, oznaczających „górną” i „szkło”. Zawartości przeczyło to zdecydowanie, oczywiście, ale tak było bezpieczniej...

Roma znaną drogą wszedł do pokoju Smolina, postawił pudełko w rogu i stanął obok, nie rozglądając się - niewysoki, dość nieokreślonego wieku (około czterdziestki, jak gdyby, ale od razu trudno powiedzieć, w którą stronę), pociągła twarz bez szczególnych emocji i zdolna wylecieć z pamięci bardzo szybko, jeśli specjalnie nie starać się jej zapamiętać...

Smolin nawet nie proponował niczego ze swojego dyżurnego zestawu - ani usiąść, ani kawy-herbaty, ani nawet papierosa. Jakby nie było, spotykali się po raz szósty i wszystko było z góry wiadome... Spytał tylko, stojąc przy stole:

- Ile?

Równym, niemal pozbawionym zabarwienia emocjonalnego głosem robota Wertera, patrząc jakby prosto w twarz, ale nie zderzając się wzrokiem, Lewicki odparł:

- Powiedziano mi dziesięć. Od wagi, stosownie, wypada dziesiątka, plus procent.

Wyjawszy z szufladki paczkę „jednostek przeliczeniowych”, Smolin skrupulatnie odliczył jedenaście tysięcy i podał Romie. Ten wprawnie przeliczył - bez cienia niedowierzania na twarzy, po prostu takie ma człowiek przyzwyczajenie. Kiwnął:

- W porządku. Dziękuję. Jeśli co - zadzwonię.

I dosłownie rozplynął się niczym zjawa - praktycznie bezgłośnie, jakby go tu nigdy nie było. Przez okno wychodzące na podwórze Smolin widział, jak odjeżdża taksówka, która z oburzeniem warknęła sygnałem na pijaczka, który z za rogu zatoczył się niemal pod koła.

Tak oto człowiek zarabia sobie grosik - wieczny i pewny kurier, którego, bardzo możliwe, w sąsiednim mieście (a może nawet w innej dzielnicy Szantarska) znają pod zupełnie innym roboczym pseudonimem. Doręczy punktualnie cokolwiek mu powierzą,

przyjmie należną za dostarczenie kasę ze swoim niezmiennym dziesięcioprocentowym narzutem i rozplynie się w powietrzu. Można jedynie zgadywać, gdzie ma dom rodzinny, można jedynie przypuszczać, że Roma nie tylko z biznesem antykwarycznym jest związany i główne pieniądze, bardzo możliwe, robi na czymś innym - ale zgadywać, przypuszczać i kombinować absolutnie nie ma po co. Najważniejsze, że Roma jest, cieszy się dobrą reputacją i bierze wcale nie tak drogo - to wszystko...

Uzbroiwszy się w nożyce i bardzo ostry nóż austriackich komandosów marki Glock, Smolin metodycznie zabrał się do pracy. Ciął, rozdzielał, wprawnie drobił przezroczysty skocz, pęcherzykową folię, mocny papier i szpagat. Niebawem, spoczywający w szmatach i pogniecionych plastikowych torbach, podłużny pakunek rozpadł się na pięć mniejszych, niejednakowej długości i niejednakowej wagi, spłaszczonych o charakterystycznym kształcie. Smolin zabrał się do drugiego pakunku, znacznie cięższego i mniejszego. Dosyć szybko rozdzielił go na pięć jeszcze mniejszych. Rozciął skocz na wszystkich pakunkach tak, że pozostało tylko je rozwinąć. Zapalił i usiadł w fotelu, odczuwając lekkie podniecenie, podobne, można przypuszczać, do ożywienia karciarza (sam Smolin w żadne gry hazardowe nigdy nie grał, dlatego nie wiedział naprawdę, co to za wrażenie, mógł tylko teoretycznie przypuszczać).

Zawsze to było czymś w rodzaju loterii, dlatego że nigdy wcześniej nie było wiadomo, co konkretnie znajdzie się w przesyłce, wiedział tylko jedno: stratny nie będzie...

Z peterskim *kontaktem*, trzeba przyznać, podeszło mu. Klasyczny inteligent według wszelkich oznak zewnętrznych, gość już dwa lata wykazywał godną szacunku rzutkość w interesach, w najmniejszym stopniu nieprzypominającą zwykłego rosyjskiego bałaganiarstwa wspomnianej *warstwy*. Wycierając spodnie w jednym z najpoważniejszych peterskich muzeów z wciąż gigantycznymi (i jak najgorzej udokumentowanymi) zasobami, człowiek ten zajmował marne stanowisko (aczkolwiek wyposażone w szacowną dla prostych ludzi długą nazwę) i swój mały biznes prowadził metodycznie i rytmicznie. Unikaty omijał wielkim łukiem - natomiast pomalutku, po dwie *jednostki* miesięcznie (nie więcej i nie mniej, już dwa kolejne lata), delikatnie się wyrażając, bez pytania wynosił ze swojej instytucji naukowej rzeczy stare, ale, w zasadzie, zwyczajne. Za każdą rzetelnie dostawał od Smolina paczkę docłów i ten układ w zupełności go zadowalał. Mądry był jednak chłopina - nie wrywał się i nie próbował prowadzić swoich spraw samodzielnie, żeby chapnąć więcej. Zapewnił sobie stabilny dochód. I jeśli, nie daj Boże, nie poślizgnie się na jakimś głupim przypadku, to ten handelek będzie trwał długo...

Zgasiwszy dokładnie niedopałek w pospolitej szklanej popielnicy, Smolin najpierw

rozwinął broń sieczną.

Dwie zwykłe, niczym nie wyróżniające się niemieckie paradne z blücherowskimi rękojeściami: jedna z bogatszą, ozdobioną głową lwa, z kobiecą główką na tarczce jelca, druga bardziej zwyczajna, z zupełnie prostą rękojeścią, na jelcu mająca nakładany granat z białego metalu. Smolin nawet nie próbował określić ich konkretnego pochodzenia - biorąc pod uwagę niezwykle różnorodność niemieckich kling warto było poczekać na znawcę, to znaczy Feldmarszałka.

Japoński miecz wojskowy, klasyczny shin-gunto, wzór 1934: pochwa metalowa malowana ochronnie z jedną ryfką, głownia ze stali z dosyć jednak marną imitacją „bułatowego” wzoru trawionego kwasem... Słowem standard, produkcja taśmowa, tym niemniej jednak oryginał, bez najmniejszych braków, a to znaczy, że swojego nabywcę znajdzie... Smolin siedział, w zamyśleniu patrząc na błyszczące ostrze. Teoretycznie każdy, kto poważnie interesuje się japońskimi mieczami, miał szansę natrafienia na unikalny egzemplarz. Zdarzało się, że pieprzeni samuraje podczas drugiej wojny światowej ruszali na front z rodowymi klingami, czasem nawet z szesnastego wieku. Wykonanie regulaminowe - rękojeść (tsuka), pochwa, przeploty i cała reszta - natomiast samo ostrze ma lat trzysta, może czterysta. W czterdziestym piątym, po rozbiciu armii kwantuńskiej nasi zdobyli niemałą ilość mieczy, w większości zabierając je do domu na upominki - teoretycznie jest więc możliwość natknięcia się na taką rzadkość. Natomiast praktyka, niestety... Wątpliwe.

Żołnierska szabla dragońska bez pochwy, wzór 1881 - znowu standardowa, ale także w ideale... Przyda się w gospodarstwie.

Szpada bez pochwy, dosyć dziwna: jak gdyby rosyjska, z czasów carskich, urzędnicza, tarczka z prawej strony otwierana, charakterystyczna rękojeść... tylko klinga budzi wątpliwość: korona wcale niepodobna do carskiej, monogram jakiś dziwny, spleciony z łańskich liter, z żadnym z władców (ani władczyń) się nie kojarzy...

Smolin długo nie łamał sobie głowy, najspokojniej w świecie postawił dziwną szpadę w kącie - niech poczeka na Feldmarszałka. Jemu osobiście wystarczył bezsprzeczny fakt, że rzecz jest stara. Koniec końców, nie był ekspertem, który ma w głowie wszystkie bez wyjątku klingi, ale handlowcem, przy czym handlował wszystkim naraz. W tych warunkach nie warto wyteżać mózgu na jedną specjalizację - są doskonałe katalogi, jest Feldmarszałek i inni znawcy. A przy tym warto pamiętać, że co i raz pojawiają się klingi, których próżno szukać w najlepszych informatorach, wobec których najlepsi eksperci rozkładają ręce...

Broń palna, jak się należało spodziewać, również nie była unikatami. Dwie „pieprzniczki” - pistolety kieszonkowe - sześciolufowe (znaki belgijskie, wykonanie

kiepściutkie - chociaż takie zdarzają się nawet z bogatymi zdobieniami). Dwa pistolety skałkowe - sumiennie zdobione, z wytartym posrebrzeniem i wstawkami z brązu w drewnianych rękojeściach, ale to zdobnictwo nosi jakiś niezatarty ślad wiejskiego warsztatu mieszczącego się gdzieś w głuchym zakątku Bałkanów. Obydwa mają daty wybite znakami o tureckim kroju, bez zaglądnia do katalogu jasne jest, że daty nie są szczególnie stare. Zamek skałkowy wcale jeszcze nie świadczy, że pistolety są naprawdę stare: na tychże Bałkanach skałkowce cynowali do pierwszej wojny światowej. Takie tam panowały mody i obyczaje: uważano, że prawdziwy Bałkańczyk powinien dźwigać za pasem nie nowomodny browning czy mauzer, ale koniecznie skałkową armatę, w przeciwnym razie nie doczeka się uhonorowania i szacunku otoczenia...

Piąty... A piąty okazał się znacznie ciekawszy. „Smith&Wesson”, ale znacznie mniejszych rozmiarów niż standardowe rewolwery wojskowe z 15-centymetrową lufą. Na płycie nad lufą widnieje napis rosyjskimi literami: Людвигъ Леве и Ко. Берлинъ Германия<sup>13</sup> i pięciocyfrowy numer.

Oksydowanie wytarło się, drewniane okładziny rękojeści odrapane, bęben się nie obraca, kurka nie można napiąć ani spuścić, ale to się da naprawić. Najważniejsze, że zabaweczka rzadka: pomniejszony „Smith&Wesson”, produkowany dla Rosji w Niemczech, broń do skrytego noszenia dla agentów policji śledczej, lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XIX wieku - jeszcze przed pojawieniem się etatowych nagantów i wszelkich możliwych browningów...

Krótko mówiąc, pieniądze, jak zwykle, nie poszły na byle co: na żadnej z tych rzeczy nie można się bardzo wzbogacić, ale każdą z nich można bardzo szybko sprzedać z zyskiem... a czego jeszcze potrzebuje od życia skromny negocjator? Każdy pielęgnuje i pieści marzenie o tym, że mu się kiedyś trafi unikat (niektórym czasem się zdarza), ale środki do życia, choćbyś pękł, przynosi właśnie systematyczny handel średnio atrakcyjnym towarem...

Wciąż tak siedział leniwie przepatrując nowości, gdy wpadł Szwarz i, rzecz jasna, z marszu zabrał się do wyciągania z pochwy „samuraja”, żeby pomachać nim jak zwariowany. Zdążywszy groźnym cmoknięciem przerwać te dziecinne zabawy, Smolin spytał:

- No, wyjaśniłeś cokolwiek? Szablę połóż, mówię do ciebie, bo znowu w żyrandol walniesz!

Szwarc, który składał się do wykonania czegoś w stylu „niech zadrży ramię, niechaj machnie ręka!”, z zalem odłożył klingę na miejsce, usiadł i zameldował, jak się należy:

---

<sup>13</sup> Ludwig Löwe & Co. Berlin. Niemcy. 58

- Przerobienie numerów było proste, jak dwa palce... Niejaki Fietisow Nikołaj Weniaminowicz, z sześćdziesiątego pierwszego roku.

- Nikołaj, powiadasz - odezwał się Smolin w zamyśleniu. - A nasz klient Misza... W ogóle to mógł mi się przedstawić wymyślonym imieniem, ale w żaden sposób nie może być z sześćdziesiątego pierwszego, smarkaty... A gość urodzony w sześćdziesiątym pierwszym jak raz pasuje na jego tatulka...

- Może to nie tatulek? Ale gość, od którego kupił furę? I jeździ jako na użyczonej?

- Kto go tam wie... Adresu nie przebił?

- Szef mnie obraża... Migiem: biuro meldunkowe na Marksa, sześćdziesiąt dwa rubelki... Kutiewanowa czterdzieści jeden, mieszkania siedem. Przejechałem się tam, pochodziłem wokoło...

- Coś mi to mówi...

- To ośmiopiętrowe bloki z wielkiej płyty koło mostu Jegoszyńskiego. Kiedyś budował je Szantarmasz dla siebie. A teraz nie wiadomo... Do chaty się nie pchałem, jasny gwint, i rozpytywać nie próbowałem, po co od razu z takim impetem? Nie było polecenia...

- I zapewne słusznie... - w zamyśleniu przeciągnął Smolin.

Ostatecznie osoba tego botanika nie była aż tak ważna - może poczekać. Szwarz ma rację, adres teraz o niczym nie świadczy: w naszych wesołych czasach w niepozornym mieszkanku na czwartym piętrze ubogiej chruszczowki<sup>14</sup> w na wskroś proletariackiej dzielnicy może przebywać kto tylko chce, wcale niekoniecznie proletariusz - czasem ludzie, mogący sobie pozwolić na dwa bentleye, poruszają się wyłącznie w obtłuczonym żiguli, a zamiast dwupiętrowej willi urządzają sobie biedne na oko mieszkanie na przedmieściu. Różnie bywa, patrząc tylko z zewnątrz za nic nie rozgryziesz, kogo masz przed sobą...

- I zapewne słusznie... - powtórzył Smolin. - Tak więc, co my tu mamy... mamy mianowicie niezdrowe zainteresowanie inteligentną wdową, która, jak pies ogrodnika, siedzi na solidnej sumie... Coś mi się nie wydaje, żebyśmy mogli do tej sumy się dobrać, ale ja mam inne plany: jeśli nie my, to nikt. Muzeum to muzeum. Czy to logiczne?

- Pewnie - powiedział Szwarz, bawiąc się „Smithem&Wessonem”. - Żeby żadna padlina nie myślała, że jest tu najsprytniejsza i okrezną drogą nie chapnęła malarstwa. Może z Kościejem otwarcie pogadać?

- Po pierwsze, może się okazać, że on jednak nie ma z tym nic wspólnego - powiedział

---

<sup>14</sup> Chruszczowki (ros.) - domy i mieszkania budowane w latach rządów N. Chruszczowa, o zmniejszonym metrażu, bez wind i zsypów, z połączoną łazienką i WC, pospiesznie budowane w programie „mieszkanie dla każdej rodziny, maleńkie, ale własne” - przyp. tłum.

Smolin po namyśle. - Zbieg okoliczności to jeszcze nie wszystko... No, powiedzmy, któryś z pedagogów instytutu sztuki, jako stary znajomy wielkiego malarza, posyła do wdowy Daszeńkę z konfiturami. Całkiem możliwe, że on sam też tam nauczał, starsze pokolenie to jak jeden sami jego przyjaciele-koledzy... A po drugie, jutro z rana spróbuję dodzwonić się do Kościeja. Jeszcze i dlatego, że u niego kilka moich orderów zawisło. Tylko że domowy milczy, a komórka stale poza zasięgiem. I nikt nie ma pojęcia, gdzie się podział patriarcha.

- W Mańsku się podział, paskuda - powiedział Szwarc z pewnymi przebłyskami napięcia umysłowego na twarzy. - Mocno się tam do kogoś przyssał, porządne deski wozi, a ja do tej pory nie ustaliłem od kogo...

- Zobaczymy - powiedział Smolin. - Jeśli w Mańsku, to znaczy, że musiał pojechać tam z Wanią Żylinem, tamten ma w Mańsku swoje sprawy, to znaczy...

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich puciołowata fizjonomia, opalona niemal na czarno, z krótkimi puszystymi wąsami i wygiętą fajeczką w zębach. W pokoju momentalnie rozszedł się zapach dobrego tytoniu i alkoholu.

- Jak się macie, szachraje - odezwał się gość z miłym pijackim uśmieszkiem. - O sekretach mówicie, czy jak?

- Jakie tam sekrety... - westchnął Smolin. Wejdz, Kamrat, tobie zawsze jesteśmy radzi...

Drzwi otworzyły się na całą szerokość, w ślad za fizjonią pojawił się jej posiadacz, niewysoki siłacz w wypłowiałym ubraniu ochronnym przeciwko kleszczom i wyglansowanych oficerkach. Smolin mimochodem zauważył, że Sława już zdążył wpaść do domu, bo w pole w butach chromowych nie chadza, wystarczają mu kirzacze<sup>15</sup>.

Pies z nim, butami i dedukcją w stylu Holmesa. Bardziej interesujące było to, że gość niósł dość pokaźną torbę i trzymał ją jakoś tak bardzo ostrożnie, jakby było w niej coś kruchego...

Kandydat nauk historycznych Sława Gonzic (pseudonim partyjny - Kamrat) nie był inteligentem, ale gościem rzeczowym i nadmierną skrupulatnością się nie dręczył. Dlatego też, za każdym razem, gdy wracał z terenu po letnich wykopach archeologicznych, przynosił ludziom pewnym (to znaczy Smolinowi) część ukrytych przed Wielką Nauką znalezisk - drobiazgi, których, jak mówił cynicznie, wymieniona nauka i tak ma do diabła. Nauka, uważał, swoje i tak będzie miała: co za różnica, będzie miała do dyspozycji osiemdziesiąt sześć tatarskich kindżałów czy zaledwie siedemdziesiąt jeden? Przecież ci, którzy zdążyli i

---

<sup>15</sup> Kirzacze (ros.) - (wym. kir-zacze), buty z tworzywa skóropodobnego - przyp. tłum.

tak się obronili, opisali, wprowadzili do obrotu naukowego; przy pomocy dawno znanych przedmiotów rewolucji naukowej i tak się nie przeprowadzi, a to znaczy, że skromny archeolog może urwać z życia pewną częśćkę dóbr materialnych...

- Alkohol macie? - spytał Gonzic, sadowiąc się wygodnie w wolnym fotelu, ale torby na razie nie otwierał.

Smolin kiwnął głową Szwarcowi. Ten momentalnie wyjął z biurka ledwie napoczętą butelkę koniaczku, a Smolin wystawił zabytkowy kieliszek kiduszowy oraz położył parę czekoladek, rozłożył ręce:

- Czym chata... Bo my za kierownicami...

Napełniwszy starannie kielich po brzegi, archeolog opróżnił go jednym haustem, pokręcił w palcach:

- Znowu ograbiłeś starego jевreja?

- Po-oproszę w mojej obecności bez antysemityzmu - powiedział Smolin, uśmiechając się. - Będąc, jak pamiętasz, Żydem...

- A, no tak, zapomniałem... - Gonzic nalał sobie jeszcze, tym razem połóweczkę. - Co, jeszcze jeden kieliszek przyptynął?

- Nie, to ze starych zapasów - odparł Smolin.

Z tymi srebrnymi kieliszkami wyszła istna komedia. Jak nieraz podkreślaliśmy, nie ma możliwości, żeby wiedzieć wszystko. Dobre dwadzieścia lat w antykwarycznym świecie krążyły te srebrne kieliszki z czernionymi sylwetkami jakichś dziwnych budowli - i prostodusznie uważano, że to zwyczajne kieliszki, nawet niezbyt wykwintnej roboty (znaki trzeciorzędnych majstrów, wiele z nich katalogi nawet nie wymieniają albo zaznaczają jako „nieznane”). A później w jednym z nowych czasopism antykwarycznych zamieszczono artykuł z kolorowymi fotografiami i skoczył lud antykwaryczny, jakby go potraktowano szydłem poniżej pleców. Okazało się, że te synagogałne naczynia zwa się „kielichami kiduszowymi” i za granicami cenione są nadzwyczajnie. Każdy sobie wtedy przypomniał, ile tychże „stopek” sprzedał w ostatnich latach nieomal poniżej kosztów własnych. W komorach coś tam się jeszcze znalazło - u jednego parka, u innego pół tuzina. Ale wszystko jedno, jeśli wspomnieć, ile ich poszło, przynosząc jakieś pięćdziesiąt procent zysku, podczas gdy, jak się okazało, można było wziąć aż pięćset albo sześćset.

- Czego szczerzysz zęby? - zainteresował się Smolin. - Czyżbyś chciał nas czymś zadziwić, podziemny mądry krecie?

- A czemuż bym nie miał zadziwić... Miejsce przygotuj. Nie, szerzej dawaj... Nerwy masz mocne? - Gonzic, uporawszy się z tym, co miał nalane, podniósł obydwie palce



wskazujące. - Oto Stephen King na szantarską modłę...

Włożył dłonie do torby, z nadzwyczajną ostrożnością podniósł zawinięty w białą szmatkę okrągły przedmiot, postawił go na stole i rozmyślnie powoli odwinął płótno.

Szwarc zaklął z emocji. Smolin przysunął się do biurka, przyjrzał się. Na kawałku płótna spoczywał biało-żółty ludzki czerep bez dolnej szczęki i dobrej połowy górnych zębów. W potylicy, z lewej strony widniało z siedem kwadratowych otworów, w prawej skroni było wgniecenie, zdecydowanie dawnego pochodzenia. Gonzic, delikatnie poklepując czaszeczkę po ciemieniu spoglądał na obecnych z nieskrywaną dumą.

- Dobra - odezwał się Smolin. - Z góry zakładam, że jest to coś ekstra - inaczej nie taszczyłbyś tego umrzyka pół tysiąca wiorst... Oświeć ciemnych, nauko...

- Referuję - zaczął Gonzic. - Klasyka scytyjska. Zmarły towarzysz, bez wątplenia, był jeśli nie wodzem, a ja jednak sądzę, że był wodzem i gotów jestem niezwłocznie to uzasadnić, to co najmniej nielichym junakiem, na kształt scytyjskiego Iliuchy Muromca...

- Z czego to wynika? - spytał Smolin, przyglądając się dziurom w czaszce. Było w nich coś znajomego...

- Z tego, jak został zabity - powiedział Gonzic pouczającym tonem profesjonalisty. - Najpierw walnęli go w skroń czymś w rodzaju pałki, stąd to wgniecenie i zwałił się z konia...

- A czemu zwyczajnie nie upadł, będąc pieszym?

- Spójrz tutaj - rzekł Gonzic, dotykając palcem wskazującym obszernego płatu kości nad lewym oczodołem. - Jakby pilnikiem zdarte, co? Ugodzony śmiertelnie pieszy, padając, w takim stopniu nie uszkodziłby czaszki, musiał upaść z wysokości, to znaczy, na sto procent, z konia... szkielet, nawiasem mówiąc, również był charakterystycznie połamany. Spadł z konia, z konia, bez najmniejszej wątpliwości... Tak. A później mu, już martwemu, z półtuzina ludzi starannie dołożyło Czekanami. Taki był rytuał. Mocarza, albo wodza, właśnie tak należało po śmierci „uczcić” - żeby każdy cios starannie się zaznaczył...

Wysunąwszy szufladę, Smolin wyjął niewielki scytyjski czekan pokryty patyną. Trzymając go dwoma palcami, przymierzył ostrze w kształcie rombu do jednego z otworów - no tak, bardzo podobne. Czekany *tamtych* były znacznie większe, ale nie zdarzają się dwa jednakowe...

- Tylko że następnie współplemieńcy wodza z całą pewnością go odbili, odwieźli do domu i pogrzebali jak się godzi - kontynuował Gonzic. - Znaleźko rozkopałem w całości: czaszka od szkieletu nieoddzielona, przedmiotów przy nim było aż nadto. Gdyby wodza chapnęli jako Zdobycz wrogowie, którzy go przyżenili, to w ziemi spoczywałaby *tylko* czaszka. Już ci opowiadałem, jak dawno temu...

- Pamiętam, przecież - kiwnął Smolin. - Scytowie takie zasłużone czaszki stawiali jako amulety ochronne, nie?

- Właśnie tak. Żeby strzegła miru domowego i przynosiła szczęście, powodzenie i tak dalej...

Szwarc parsknął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - niezadowolony Gonzic spojrział nań zezem. - Nauka, dziecinko, dowiodła z całą wiarygodnością...

- Ależ ja nie wątpię - powiedział Szwarc, ciągle jeszcze roześmiany. - Wyobraziłem sobie to w przekładzie na dzień dzisiejszy: stoi u Jakowlewicza na honorowym miejscu czaszeczka Kościeja z należyтым wgnieceniem... Starannie strzeże biznesu i mieszkania...

- No właśnie - powiedział Smolin. - A gdzie tam znowu czaszeczka Bierzewskiego z czekanikiem w potylicy, milczy sobie, tylko patrzy zagadkowo... Tak w ogóle...

Przerwał na dźwięk znajomej melodii świadczącej, że na „tajną” komórkę przyszedł SMS. Poklikał klawiaturą, przeczytał. Ze zdziwieniem uniósł brwi, czas jakiś się zastanawiał, po czym, wciąż zachmurzony, odłożył telefon.

Gonzic tymczasem wyjmował na blat, układając w malowniczej ikebanie wokół czaszki, masę ciekawych przedmiotów: szeroką niezamkniętą obręcz, masywny czekan z płaską gałką, sprzączki w formie zwierząt, wisiorki-stożki (całą garść), tarczki nieznanego zastosowania, jeszcze jakieś podłużne kawałki - wszystko pociemniałe, niemal czarne. Z plamami zielonej patyny, tu i ówdzie narosłej grubą warstwą. Przewiercone kły, czy to niedźwiedzia, czy piżmowca, zmatowiałe zawieszki, wyraźnie złote, różnokolorowe płaskie krążki, muszelki kauri z otworkami - należy przypuszczać, że kiedyś był to naszyjnik, ścięgna, używane wówczas do łączenia ozdób dawno zgniły, a wszystko inne zachowało się...

- Proszę bardzo - odezwał się Gonzic, wyjmując ostatni przedmiot - nadgryziony przez rdzę metalowy kindżał. - Wszystko, co było przy zmarłym. Tylko, Wasia, od razu uprzedzam, cena będzie spora. Tu, jakby nie było, *cały* pochówek. Świat nauki podobnymi czaszkami dysponuje od dawna, natomiast w antykwaryce jakoś do tej pory się nie pojawiały...

- Nie przeczę - powiedział Smolin, nieco obojętnie. - Któż by przeczył, argumenty i fakty są oczywiste...

- Więc tak, parę tysięcy dolców, jak z krzaczka...

- Będziesz miał parę tysięcy dolców, będziesz - powiedział Smolin wciąż tak samo zamyślony. - Całkiem po bożemu, cóż tam... Sława, a jak u ciebie z czasem?

- Doskonale. Oficjalnie zjadę z pola dopiero jutro, więc dzisiaj nie mam nic do roboty, chyba że tylko, jeśli pozwolisz, twój koniaczek cedzić i Mariszkę pobajerować. Platonicznie.

Nie myśl sobie...

- Dla mnie to możesz nawet antyplatonicznie - ciągnął Smolin. - Dla dobrego człowieka nie szkoda, myślałby kto, skarb koronny... i rzeczywiście, ponudź się tu godzinkę z butelką, co? Muszę pilnie wyskoczyć, w godzinkę na pewno obrócę...

- Nie ma sprawy!

- To pięknie - powiedział Smolin wstając niecierpliwie. - Tylko uważaj, żeby dziecinka - kiwnął w stronę Szwarca - nie spożyła ani kapki, ma jeszcze dzisiaj jeździć a jeździć... No więc, wracam za godzinkę.

Wyszedł tylnym wyjściem, w biegu nacisnął guzik na breloczku, wsiadł do swojego czarnego „pajerka” - ośmioletniego, ale całkiem porządnego, niezwracającego uwagi. Wyjął telefon i jeszcze raz odczytał wiadomość.

„Tysiak sala 305 jesteś moim bratankiem i jedynym krewnym”.

Epistoła ta, nosząca niejakię znamiona zagadki, była wysłana z komórki Kościeja, oto co ciekawe... No, zapewne godzina wystarczy w każdym wypadku... a wodza z całym bałaganem trzeba brać, nie żyłować, nabywca przybiegnie najpóźniej jutro...

Smolin westchnął w zamyśleniu i przekreślił kluczyk w stacyjce.

## Rozdział 4.

### WSZYSTKICH TO CZEKA...

Do znamienitego szantarskiego szpitala, nazywanego popularnie tysiactłózkowym, a krócej tysiakiem, Smolin wszedł bez szczególnych trudności, tyle tylko, że na półbuty musiał nałożyć niebieskie ochraniacze z folii, poza tym ani pieniędzy, ani przekonywania nie było potrzeba.

Sala okazała się dwuosobowa, na pierwsze wrażenie - całkiem zwyczajna, tyle tylko, że drugie łóżko stało wolne (ale, przyjrząwszy mu się, Smolin nabrał przekonania, że opustoszało dopiero co, taki miało wygląd, bielizny nie zmieniono i w szafce widać było jakieś kolorowe pudełeczka...).

W pierwszej chwili nie poznał Czepurnowa - aczkolwiek przed czterema dniami był to starzec liczący sobie osiemdziesiąt cztery latka, ale przecież niewychudzony, stosunkowo żwawy, nawet z oznakami rumieńca. Teraz na poduszce spoczywała obciągnięta skórą czaszka - skóra nawet nie blada, ale uderzająca sinizną, przezroczysta, porowata, jak skóra pomarańczy. Rzadkie mokre włosy przyklepione do czoła, usta wpadnięte. Mocno nim łomotnęło...

Bezgłośnie przystawiwszy do wezglowia biały krzywy taboret, Smolin usiadł. Cicho wyszeptał:

- Stiepanyczu, ej Stiepanyczu...

Leżący ani drgnął, tylko powieki podniosły się i Smolina przeszedł dreszcz nie tyle z żalu, co wstrętu do *tego*, co teraz leżało przed nim. „Nie-e - pomyślał w popłochu - jednak nie warto dożywać takich lat, w ogóle lepiej by się zastrzelić w porę, tak będzie przyjemniej i dla siebie, i dla ludzi...”

- Waśka...

Głos miał słaby, zgaszony, jakiś szeleszczący, ale przecież nie czuło się w nim rozpadu, marazmu, zgonu. Całkowicie świadomie gapi się dziad i głos jego brzmi zrozumiale...

- Kaput ze mną - wyraźnie wypowiedział Kościej. - Kaput kranken...

Smolin nie odzywał się: jakoś głupio było wyrażać współczucie, konstatacji zaś tak upartego faktu nijak nie można było zaprzeczyć, sądząc z wyglądu, w samej rzeczy kaput się podkradł...

- Waśka - odezwał się stary, patrząc na niego bez mrugania powiekami, jak puchacz. - Tyś, oczywiście, suka, niemało od ciebie wycierpiałem...

„Ja od ciebie też, Nikiforze, mać twoja” - mógłby odpowiedzieć Smolin i byłaby to czysta prawda. Wszyscy w tym wesołym biznesie ucierpieli od wszystkich. Przyjaźni w ich rzemiośle po prostu nie ma, jak na Antarktydzie nie ma osłów. *Prawdziwej* wrogości, owszem, też nie spotkasz. Tu jest co innego: wieczna, pierwotna rywalizacja - przechwycić rzecz, obrzydzić to, co ma inny, przejąć nabywcę, a już szczególnie dostawcę, podejrzeć cudze „miejsca grzybne i rybne” i pokłusować tam, jeśli się uda... i cóż z tego? Najważniejsze, żeby nie wpadać z tego powodu w niepotrzebną histerię, a już tym bardziej nie urządzać vendetty - wszystko należy traktować lekko, jak nieuniknione koszty produkcji, ponieważ wszyscy powiązani są jedną linką, czasem *trzeba* się przyjaźnić, a przynajmniej jednoczyć przeciw całej reszcie świata...

- Pasożyt jesteś, Waśka - ciągnął Kościej cichutko. - Lepiej, żeby moje oczy cię nie widziały i żebyś wiedział, jak mi ciężko na duchu na ostatku patrzeć właśnie na twoją gębę... Ale taka już karta na stole... Daj mi pić.

Na szafce stała prawie nietknięta szklanka z czymś czerwonym - na dnie leżały pogniecione czarne jagody. Wziąwszy napój, Smolin z największą ostrożnością nachylił szklankę, pozwalając, żeby Kościej pił jak wróbelek, malutkimi łyčzkami i nie rozlał przy tym na podbródek. Wyczuwszy moment, gdy blade wargi się zamknęły, odjął szklankę od zapadniętych ust i postawił na miejsce. W płynie kołysały się poruszone jagódki.

- Gnida ty jesteś, miserable i szubrawiec... - odezwał się znowu Nikifor, oblizawszy powoli sinym językiem naznaczone sinizną wargi. - Próby nie ma na czym postawić, zeku paskudny...

Smolin pomyślał filozoficznie, że jeśli ocenić uważnie, to na koncie starego zapisało się różnych nagannych zabaw nie mniej, niż tych, za które Smolin odgarował swoje wyroki od dzwonka do dzwonka. Nawet, można sądzić, więcej, jeśli wziąć pod uwagę, że w antykwaryce stary obracał się ze trzydzieści lat dłużej. Każdego w naszym ciekawym rzemiośle można brać za kark i bez ceregieli wsadzać na kilka lat i, co najciekawsze, nie będzie jęczał: „Za co?”, ale zacznie myśleć: „Na czym wpadłem?” Taki zawód...

- Wszystko to liryka - powiedział stary. - Nie ma sensu ci ubliżać... Bądźmy praktyczni, Waśka... To jest kaput. Spadkobierców nie mam...

Smolina to wyznanie w najmniejszym stopniu nie zdziwiło: milionowy Szantarsk pod pewnymi względami to wielka wieś. W ścisłym kręgu wszyscy doskonale wiedzieli, że Kościej już dawno, jeszcze za materializmu historycznego, na amen pokłócił się z synem, czy

z córką. Wśród fanatyków-kolekcjonerów takie rzeczy z krewnymi zdarzają się często. Rzadko spotkasz krewnych i bliskich, którzy byliby *przejęci* tym płomieniem, który spala ciebie samego. Przeciwnie, nawet wręcz przeciwnie. Krewni i bliscy jęczą latami, otwarcie wyrażając niezrozumienie i niezadowolenie: w ich praktycznym pojęciu należałoby te przyzwoite pieniądze nie wkładać w chłam, a tracić, jak to czynią ludzie rozumni: samochód, daczka, futra, kryształ, szczodra pomoc dzieciom i inne przyziemne, czysto życiowe potrzeby. Z czasem nierzadko kończy się to zerwaniem stosunków i wiecznymi wzajemnymi przekleństwami, co w naszym przypadku miało właśnie miejsce. Stary czasami podrzucał Daszce jakiś drobiazg, ale złotem w żaden sposób nie obsypywał - a dorosłe dzieci już ze ćwierć wieku dobrym słowem tatusia nie wspominały i kontaktów nie utrzymywały, nawet dyplomatycznych...

- Będiesz spadkobiercą, zarazo - powiedział Czepurnow, otwarcie się krzywiąc, jakby nadgryził cytrynę. - Gnida jesteś, nie ma co, ale przynajmniej rozumiesz. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Tamten koziołek z koźlicą roztrwonił wszystko w mig, bez sensu, za pół ceny... a ty przynajmniej *ulokujesz*... Cieszysz się pewnie? Co?

- Licho wie, mówiąc szczerze - odparł Smolin. - Tu babka na dwoje wróżyła...

- Łajdak - powiedział Nikifor z bladą namiastką uśmiechu.

- Mądry, co tam... Mądry. No dobrze. Będiesz spadkobiercą... dziękuję przynajmniej powiedz, pokrako!

- Dziękuję - poważnie powiedział Smolin. - No, naprawdę. Dziękuję.

Szczególnej radości nie było, jeszcze nie zdążyła się *ukształtować*. Zresztą, na razie nie widział legendarnych *komór*. Było coś w rodzaju ulgi, nic więcej, oraz lekkiego zdziwienia, że wszystko przybrało taki obrót.

- A komuż jeszcze? - jakby zgadując jego myśli, zaszeleścił stary. - Do muzeum... żeby rozdrapali połowę, zanim doniosą, a resztę w najbliższym czasie... Niedoczekanie. Daszce... przegwizda z bysiami... Korzystaj... pamiętaj moją dobroć... w szafce... futerał skórzany...

Bez nadmiernego pośpiechu Smolin wy dostał z szufladki skórzany futerał, wielkości połowy paczki papierosów, zamykany na zamek błyskawiczny. Sądząc po tym, co wyczuwały palce, były w nim klucze, różnego kształtu.

- Jak tylko zdechnę, pójdziesz do komór - wyraźnie wymówił Nikifor. - Nie wcześniej, zarazo, nie wcześniej... Posłuchaj warunków, będą też warunki... przecież nie jestem twoim dobroczyńcą z indyjskiego filmu.

- Tak - beznamiętnie odezwał się Smolin.

- Pomnik dla mnie... i Lizy. Projekty w zielonej teczce. Dokładnie według projektów, pojmujesz? I żebyś nie próbował skąpić, bo przyjdę i złapię za gardło, wierzysz czy nie...

- Dobra - powiedział Smolin, schylając się nad posłaniem. - Może mnie pan uważać za kogo chce, ale przecież pamięta pan, mam nadzieję, że zawsze dotrzymuję słowa...

- Pamiętam, pamiętam... Pomniki obojgu, dokładnie według rysunku... Daszce... Daszce... no, dasz jej później pieniędzy na mieszkanie, na samochód, na ciuchy czy inne cacka... Nie skąp, ale i nie przesadzaj. Dwupokojowe, niekoniecznie w samym centrum... auto japońskie, ale takie sobie... i dolców... z dziesięć... właśnie, dziesięć... Nie duś, sam nie dołożysz... Rozumiesz?

- No tak - powiedział Smolin. - Jeszcze coś?

- Japończyka z pudełeczkiem mnie do trumny... Koniecznie... Później zrozumiesz... Japończyka mnie do trumny... To wszystko. Pozostali obejdą się, idą bokiem przez wąwozy...

- powoli, powoli wyprostował spod prześcieradła rękę (w co też palce i dłoń zmieniły się przez te kilka dni - strach patrzeć), złączył palce na nadgarstku Smolina.

Były lodowate, lepkie, ale Smolin to znosił, dopiero teraz zaczynając sobie uświadamiać, zmuszony do nachylenia się do samych warg, starając się oddychać tylko ustami, żeby nozdrzami nie wciągać kwaśno-stęchłego zapachu, słuchał najważniejszego - gdzie, jak trafić...

Koniec. Lekko poruszył przegubem, dając do zrozumienia, że chce uwolnić rękę. Stary nie zareagował, przeciwnie, ścisnął jego dłoń całkiem już *kleszczowo* i wpatrując się nieruchomym wzrokiem puchacza, podnosząc głos niemal do krzyku, całkiem wyraźnie wypowiedział:

- Waśka, szukaj pancerki! Mnie się nie udało... Szukaj pancerki, zarazo, pokrako! Takie coś zdarza się raz w życiu, nie wolno oddać przypadkowym, na bok... Nie zdążyłem... Waśka, szukaj samochodu pancernego! Pancerny...

- Jaki samochód pancerny? - prawie dotykając uchem żabich bezzębnych ust, natarczywie spytał Smolin.

- Szukaj pancerki...

Coś zatrzeszczało nad samym uchem i Smolin, instynktownie odchylił się, wyrwał dłoń ze śliskich palców. Nad jego głową coś wstrętne, przenikliwe zaniósł się elektronicznym piskiem. Dopiero teraz zorientował się, że na półce stoi biała skrzyneczka, migoce światłkami i okienko świeci zielonym zygzakiem, pisk wydobywał się z niej coraz słabszy...

Nawet nie zauważył, jak to się stało, że ujęły go pod łokcie, podniosły z taborecika, a

zaraz potem migiem wyniosły na korytarz zielone fartuchy w liczbie trzech. Następnie rzuciły się w stronę łóżka, nad którym wciąż piszczało niezrozumiałe urządzenie - tylko że w ich pośpieszności Smolin nie dostrzegł ani *żywości*, ani *prawdziwej troski*....

Osilek z szeroką zmęczoną twarzą, w takim samym zielonkawym fartuchu, narzuconym na goły tors, zajął do sali, wzruszył krągłym silnym ramieniem i wróciwszy na korytarz obrzucił Smolina dość obojętnym spojrzeniem:

- Syn?

- Siostrzeniec - odparł Smolin.

Na twarzy lekarza pojawiła się wyraźna ulga - tak dla niego było łatwiej, bo raczej trudno przypuszczać, żeby siostrzeniec w wieku Smolina zabrał się do załamywania rąk i napelniania odrapanego korytarza szlochami, dowiedziawszy się, że dla ponadsiemdziesięcioletniego wujka nastał koniec... Zresztą, tak samo wątpliwe jest, że i najbliżsi w takim wieku będą zanosić się płaczem - jesteśmy przecież realistami, takie już *c'est la vie*, zwłaszcza w danym konkretnym przypadku. A propos, jakoś nie widać nieutulonych dzieciątek... Może nie wiedzą?

- Co tam? - spytał Smolin dla przyzwoitości.

- No, co tam... - lekarz mówił cicho, ze zmęczeniem, w jego głosie wyczuwało się tylko odrobinę zawodowego współczucia (to jasne, jeśli będzie każdemu poważnie współczuł, to sfiksuje).

- Trzeci zawał i wszelkie związane z tym komplikacje, przede wszystkim lata... W innym wieku można by mówić o bajpasach i jeszcze dwóch czy trzech dość skomplikowanych procedurach... Ale osiemdziesiąt cztery, rozumie pan... Narkoza kategorycznie przeciwwskazana, pański wujaszek nie przeżyłby najprostszej operacji, jak rozcięcie czyraka na palcu. Tak więc...

- *Koniec?* - spytał Smolin.

Lekarz odwrócił wzrok:

- No, co tu można powiedzieć...

- Wiaczesławie Pałyczu! - z sali doleciał kobiecy głos.

Lekarz zatrzymał się na progu i niemal od razu, obejrzawszy się na Smolina, wzruszył ramionami ruchem wyrażającym jednocześnie niezadowolenie, nawyk i zdecydowanie, że wszystko stało się jasne bez dodatkowych pytań. Smolin nawet nie próbował zajrzeć do sali, gdzie wszyscy obecni już się nie krzatali, ale stali nieruchomo - odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

Aha! Zaszczycili wreszcie... Cała rodzina, nawet nieszczęśliwie się spiesząc, szła mu



na spotkanie: postawny Wikientij Nikiforycz z małżonką, ale bez dzieci, Berger z żoną Galiną Nikiforową i córka Daszeńka...

Smolin ani pomyślał, żeby się zatrzymać - a co oni mają do niego? Co to, nie ma legalnego prawa chodzić po tych korytarzach? Do tego żadne z nich, z wyjątkiem Daszeńki, go nie znało.

Minęli się więc zupełnie obojętnie, jak okręty na morzu - tylko Daszeńka, bynajmniej nie wyglądająca na przybitą rozpaczą, mimochodem rzuciła nań bardzo chwytliwe, bardzo ostre spojrzenie... a może mu się wydawało?

Smolin usiadł za kierownicą i już wyciągnął rękę do stacyjki, gdy przeszło go na wylot nowe, niezrozumiałe wrażenie. Zmieszały się w nim chłód i smutek, bezradność i strach, potem pokryły twarz w mimowolnym ataku przerażenia: to tak właśnie bywa? Hop i nie ma? Niczego ze sobą tam nie zabierzesz, niczegusieńko! Był i nie ma... A ty masz już nie dwadzieścia, a nawet nie pięćdziesiąt...

Nawet wyrwał mu się przez zęby krótki jęk-wycie - taki ostry, palący, nieprzyjemny atak smutku. Jednak bardzo szybko wziął się w garść, posiedział chwilę z zamkniętymi oczami, głęboko oddychając przez zęby. Koniec końców stuknęło mu zaledwie pięćdziesiąt cztery, był mocny, bez chronicznych chorób, a to, co mu dokuczało, nie stanowiło poważniejszego zagrożenia... Wziął się w garść: to wszystko nerwy, to nerwy...

Rękawem koszuli otarł z czoła nieprzyjemnie chłodzący pot i zanim przekręcił kluczyk w stacyjce, cichutko wymamrotał, patrząc na siebie w lusterku wstecznym:

- A co tu ma do rzeczy pancerka? Jaka, do cholery, pancerka?

Umysł na nowo zaczął działać precyzyjnie, w takt właśnie uruchomionego silnika. Jak gdyby nie było wśród spraw powszednich niczego, co należałoby łączyć z pojęciem „samochodu pancernego”. Zdecydowanie, nie ma i nie było. Ale coś krążyło w głowie, chwiejne, wyslizgujące się skojarzenie... nie, żadnego związku z bieżącymi sprawami, wyczucie milczy, dokładnie...

\*

Kot Uczony powiedział ze szczerą gotowością:

- Ja też pójdę, nigdy nic...

- O, nie - Smolin zdecydowanie się sprzeciwił. - Wszyscy spokojnie siedzą w samochodzie i czekają na mnie. Tak będzie pewniej. Trzeba, moje sokoły, wyeliminować jakąkolwiek aluzję do akcji grupowej - w razie czego ja sam, jak palec, co z punktu widzenia kodeksu karnego stanowi okoliczność łagodzącą... Szwarz, jeśli coś, puść pusty esemesik...

- Jawohl.

Smolin cichutko zamknął za sobą drzwi toyoty, przełożył do lewej ręki plastikową reklamówkę, w której spoczywały dwie ciasno zwinięte duże torby, z jakimi chodzą najrozmaitsi handlarze - pojemne, co by nie mówić, dotknął paralizatora elektrycznego w prawej kieszeni lekkiej kurtki i ściskając w dłoni pęk kluczy pewnym krokiem ruszył w stronę klatki. Zbliżała się północ, już ściemniło się, dookoła było pusto i cicho.

Z punktu widzenia antykwarystyki miał wszelkie prawa - nieboszczyk sam przekazał mu swoje zasoby, będąc, bezwarunkowo, w pełni władz umysłowych. Jednak z punktu widzenia prawa stanowionego, wszystko było akurat na odwrót: wszystko, co należy do zmarłego obywatela N. S. Czepurnow ci, wobec braku spisane testamentu (a takowego nie ma) należy w równych częściach do dorosłych dzieci rzonego obywatela. Tak więc, w myśl kodeksu karnego, mister Smolin zamierzał dokonać czynu, określanego jako kradzież. Paragraf sto pięćdziesiąty ósmy, punkt drugi - z bezprawnym wtargnięciem do lokalu lub innego magazynu. Do piątki włącznie. Plus niewątpliwy paragraf sto sześćdziesiąty czwarty, punkt pierwszy - zagarnięcie przedmiotów lub dokumentów stanowiących szczególną wartość historyczną, naukową, artystyczną lub kulturalną. Można iść o zakład, że pod to określenie podpada praktycznie wszystko, co może się znaleźć w zasobach Kościeja. A to już do dziesiątki, plus kara pieniężna - pół milionika. Kot by zrozumiał, że z takimi dwoma wiszącymi na ogonie paragrafami należy, jak ognia, unikać jakichkolwiek aluzji do „grupy osób”, „zorganizowanej grupy”, „uprzedniego porozumienia się” - w przeciwnym razie z automatu dołożą coś znacznie cięższego. Tak więc obywatel Smolin wybrał się sam, samiuteńki... co prawda i w tym przypadku zawisnie na nim „znaczny rozmiar”, ale na to już nic się nie poradzi...

Schludna klatka. Cicho. Pusto. Wszedł na piętro bez hałasu, cicho, żeby żadna ciekawska gęba nie podeszła do wizjera...

Przemyślawszy wszystko na sto sposobów, Smolin doszedł do wniosku, że należało jednak liczyć się także z podstępem zaplanowanym przez samego umrzyka, do niedawna człowieka mądrego, wynalazczego, niedobrego i całkowicie bezwstydneho. Być może Kościej rzeczywiście doszedł do wniosku, że innego wyjścia nie ma i zbiory należy oddać swojemu, jakby o nim nie myśleć. A może stary diabeł postanowił urządzić zza grobu wielką podłość. W dobrym stylu „czarnego humoru”. Ponieważ nie występujemy w amerykańskim kryminale, w pustym mieszkaniu oczywiście nie ma trupa z nożem w plecach, obok którego Smolina mają skuć zawczasu powiadomieni detektywi - jak co i raz zdarza się u Chandlera i innych klasyków gatunku...

Trupa, oczywiście, nie ma. Natomiast mieszkanko całkiem zwyczajnie może mieć

alarm i Smolina tam prędiutko związa, jak pęczek rzodkiewek - i wykręcić się będzie bardzo ciężko. Prycza pewnie nie grozi - jest dobry adwokat, jest z pół tuzina świadków, którzy potwierdzą, że jakieś rzeczy w chacie nieboszczyka akurat należą do Smolina - i to będzie czysta prawda, bez kitu... Ale wyjaśnień i pisaniny będzie tyle, że na długo będziesz oderwany od normalnego biznesu i pozostanie plama na reputacji oraz niemałą kabonę trzeba będzie wpakować... W ogóle to nie dosolił staremu aż tak bardzo - ale tamtemu w ostatnich dniach mógł się kaszkiet deczeńko przekrzywić i świństwo jakieś może być...

Dobra, nie ma co się podniecać: wszystko jedno, do mieszkania trzeba wejść, co ma być, to będzie, jeśli się nie zdecydujesz, to będziesz się gryzł przez całe pozostałe życie - to przecież Kościejowe zasoby, a nie czyjekolwiek...

Smolin wyjął komórkę, jeszcze raz sprawdził, ustawił odbiór bez dźwięku, umieścił aparat w kieszeni na piersi, żeby od razu dostrzec migotanie ekranu. Pierwsze piętro... Drugie... Z trzeciego, jeśli coś, nie przysniesz... Piersiówka z koniakiem w prawej kieszeni dzinsów, trzeba zdążyć w razie czego i łyknąć, i oblać się, żeby na kilometr było czuć - po pijaku, obywatelu śledczy, przyszło mi do głowy, żeby zabrać swoje, własne, nieboszczyk nie miałby pretensji...

Podest na trzecim piętrze. Cisza. Klucze już miał w ręce. Wystarczyło nie więcej, niż pięć sekund, żeby określić, który z dwóch kluczy pasuje do którego z dwóch otworów, włożył płaski... obrócił... do licha, nie porusza się... aha!, w przeciwną stronę... jeszcze parę sekund... najważniejsze, żeby nie zerkać na wizjery z obu stron... jakby cicho, ale kto ich wie... tak, jeden otworzony, teraz drugi... o, ten od razu przekręcił we właściwą stronę... drzwi ustąpiły... wewnątrz ciemno i cisza... ani na futrynie, ani obok niej nie widać niczego, co byłoby podobne do czujki sygnalizacji, ale bywają teraz takie różnorodne, ukryte tak, że guzik zauważysz... no, jedziemy!

Wyciągnął z kieszeni paralizator, nacisnął przycisk na obudowie - włączył, teraz, jeśli co, guziczek z boku... Nie będzie przecież szedł z pistoletem, nie jesteśmy bohaterami powieści deł w glansowanych okładkach, jesteśmy zwykłymi antykwariuszami, w naszym biznesie gnatem posługują się tylko skończeni idioci...

Namacał kontakt, rozjaśnił się niewielki przedpokój. Pałac za sobą wszystkie mosty, Smolin cichutko zatrzasnął drzwi, pobieżnie obejrzał zamki: na jednym jest dźwignienka blokady, ale przesuwając jej nie będziemy, nie warto...

Zapalił światło w jednym pokoju, w drugim - zasłony, dzięki Bogu, zaciągnięte do końca. Nieskazitelną czystość, schludność i porządek, jak zwykle. Ostatni raz był tutaj zaledwie tydzień temu, dlatego z łatwością się orientował: kasetka z orderami, które zostawił

staremu, oczywiście w sekretarzyku... a oto i ona, kochana... z siedmiu orderów zostało sześć, znaczy „Sawuszkę” Nikifor jednak sprzedał... pieniędzy od niego, co prawda już się nie doczeka, ale plunąć na to, jeśli zyskuje się znacznie więcej, dobra, niech kasetka na razie leży na swoim miejscu, nie do niej teraz...

Maciupenka sypialnia (w której nie ma nic ciekawego z punktu widzenia antykwarystyki, oprócz lampy stołowej z końca lat czterdziestych: okrągły abażur z tkaniny, brązowe sierpy i młoty z dębowymi liśćmi, niegdyś takie stały w gabinetach naczelstwa). Obszerny pokój gościnny. Tu już widać pewne ilości przedmiotów antykwarycznych, ale głównie całkowitą mizериę, ów osławiony średniaczek. Na dywanie nad kanapą wisi kindżał kaukaski (przedrewolucyjna robota, w srebrze, ale, w istocie, nic szczególnego) i dragońska szabelka oficerska wzór osiemset osiemdziesiąty pierwszy na dziewięćset dziewięć: nie złota broń, nie nagrodowa, klinga bez trawienia, słowem standardowy „śledzik”, właśnie taki w swoim czasie generał Korżakow podarował Michaelowi Jacksonowi, z powodu czego tępi dziennikarze podnieśli wrzawę na cały kraj, jakoby chodziło o jakiś niebywały unikat. Aczkolwiek cena tego towaru powszechnego użytku to maksimum trzy paczki docłów w dzień targowy i zdobyć ich można w razie potrzeby naręcze, niezbyt się przy tym wysilając. Znaleźli unikat, pokraki...

Porządna nieoszlona etażereczka, na której w nieskazitelnym porządku ustawiono ze trzydzieści porcelanowych figurek - znowu nic unikalnego, głównie elefzetki<sup>16</sup>, najstarsze - rówieśniczki Smolina, aczkolwiek na niezorientowanym, oczywiście, wywierają wrażenie...

Czarna ramka, gdzie na metrze kwadratowym ciemnowiśniowego aksamitu zawieszono ze czterdzieści sztuk medali. Takie tam, chociaż, jeśli uczciwie, to znajdzie się wśród nich i początek dwudziestego, i koniec dziewiętnastego, a nawet połowa danego wieku, ale znowu bodaj cienia unikatu, wszystkie te regalia w swoim czasie przypinano nieomal co drugiemu, były bite w olbrzymich ilościach, cena najdroższego ze dwieście docłów, ale prezentują się...

Smolin chrząknął: jakże podobnym zygzakiem wędrowały myśli jego i Kościeja względem „króliczego ogródka” - zresztą, nie ma się co dziwić, niemal każdy fundował sobie jakieś „odwracacze uwagi”...

Na konsolce w rogu - masywny konik z brązu, pociemniałego z upływem czasu. Idyllicznie stoi sobie przy płocie, spokojnie gapi się w dal, postawiwszy uszy. Dobry konik,

---

<sup>16</sup> Elefzetki - od skrótu LFZ (ros. Leningradskij farforowij zawod) - Leningradzka Fabryka Porcelany - przyp. tłum.

ma ze sto lat, nie mniej - ale przecież nie Lanceray, och, nie Lanceray.

Spojrzał na zegarek. Był tu już cztery minuty, a do drzwi nikt nie łomotał, nie tupał na schodach kamaszami, nie wymyślał - może się jakoś uda, co? Zabrać, rzecz jasna, mogą również przy wyjściu, tak pewniej, żeby właśnie na gorącym uczynku, ale przecież komórka milczy. Co prawda, mogli już dawno chłopców skuć... stop, stop! To już delikatny oddech paranoi - kiego diabła ktoś ma skuć ludzi tylko za to, że siedzą w samochodzie przed wejściem do klatki, żadnego wykroczenia, ani oni nie są poszukiwani, ani samochód...

Ofuknąwszy się w myśli, Smolin odwrócił się do regału z książkami. Było ich cztery, ale interesował go tylko jeden. Ostrożnie wyjął cztery ciemnozielone tomy Dickensa - od dziewiątego do dwunastego. Odstłoniły się prostokątne drzwiczki, jasnobrązowe z czarną obwódką, na oko podobne do maleńkiego sejfu, nawet z dziurką na, klucz, do której idealnie pasuje trzeci, najmniejszy kluczyk z kompletu.

Drzwiczki sprawnie się otworzyły - ale nie było tam półeczek, a, jak było obiecane, dziesięć czarnych guzików. Nacisnął, jak go pouczono - siedem, trzy, siedem, zero...

Dał się słyszeć dźwięczny metaliczny trzask, niby nic się nie zmieniło, ale leciutko pociągnąwszy do siebie półkę (z obu jej stron były wwiercone dwa małe haczyki, jakby do zawieszenia malutkich obrazków, a w istocie - rączki) Smolin poczuł, że mebel się poddaje i przesuwa do przodu.

Pociągnął mocniej. Niebawem cały regał, o szerokości około metra i tak samo wysoki jak pozostałe nieruchome, wysunął się przed sąsiednie na metr i zatrzymał. Okrążywszy go, Smolin zajrzał do tyłu. Aha, to tak - na dole i na górze po dwa grube metalowe pręty, sądząc po wyglądzie stalowe, wychodzą z wpustów wysuwając półkę w głąb pokoju... Porządna robota. No cóż, większą część życia Kościej był specem technicznym i to niezłym, przed emeryturą dość wysoko zaszedł w „Szantarmaszu”. To mieszkanie kupił gdzieś w osiemdziesiątym ósmym roku i od razu, zdaje się, zmienił jego rozkład. Całkiem możliwe, że sam, własnymi rękami, jak pamiętam, wówczas był nawet bardzo mocny. I nikt przez prawie dwadzieścia lat nie domyślił się, że mieszkanie jest trzypokojowe...

Smolin wszedł za wysunięty regał, namacał wyłącznik właśnie tam, gdzie się go spodziewał. No tak, zwykły pokój, zasłony zaciągnięte, pośrodku wygodny fotel, a poza tym żadnego umeblowania, jedynie wysoka szafka w przeciwległym kącie. Natomiast na ścianach, na ścianach...

Oczy mu się rozbiegały, nie mogąc zatrzymać się na czymś konkretnym. Szczęka, z pewnością opadła i cofnąć ją na miejsce nie było najmniejszej możliwości. Białej broni niezbyt wiele, z dziesięć sztuk, przede wszystkim plansze z odznaczeniami, w całości

przykrywające ściany...

Od dołu w wyteżone oczy uderzyło rytmiczne migotanie. Wyrwał dwoma palcami komórkę, ale to nie był SMS - wyświetlił się numer Szwarca.

- Daszka z trzema sznurówkami, tamtą „ósemką” - usłyszał stłumione trajkotanie. - Przybujali się pod klatkę!

- Rozumiem - odpowiedział Smolin i rozłączył się.

Trzeba było się decydować błyskawicznie. Wie, czy nie wie? No, nawet gdyby wiedziała, to wyjść stąd zdecydowanie nie jest w stanie. Z Daszką jest trzech, ale i z nim nie mniej. Już to, że przytupała o północy bez rodziców, samo przez się świadczy: niewiele jest legalności w takiej wizycie. No nie, żaden antykwariusz na świecie bez draki stąd by nie odszedł...

Działął błyskawicznie, niczym osławiony ninja - wrócił do mieszkania, pogasił wszędzie światła, pociągnął do siebie półkę (zwłaszcza że od wewnątrz zrobić to było jeszcze łatwiej, na tylnej stronie stelaża przytwierdzono wysokie niklowane poręcze...), aha, oto ona, z prawej dźwignia otwierająca tajne drzwi od wewnątrz - no przecież, od wewnątrz gospodarzowi nie jest potrzebny szyfr...

Znowu brzęknął zatrask, drzwi wpasowały się ściśle w gniazdo - dobrym inżynierem był umarlaczek... Zgasił światło. Przypomniawszy sobie, czy zdążył zatrzasnąć drzwiczki i porządnie zasłonić je czterema tomami Dickensa.

Stojąc blisko cienkiej przegrody, wykonanej z arkusza nierdzewnej blachy, słyszał jak otworzyły się drzwi. Zapewne zapalili światło, ale tu żaden promyczek nie przenikał, sumiennie pracował Nikifor, niech mu ziemia lekką będzie...

Dłoń ściskająca guzełkowany pokrowiec paralizatora z czarnej dermy trochę się spociła. Serce waliło. Rzecz jasna bał się nie o siebie - nie takie rzeczy widywaliśmy, proszę ja was. Nieznośna była myśl, że o tę jaskinię Ali Baby może wyniknąć bójka z rozgłosem: bohater dawnego radzieckiego filmu przygodowego, szkoda że potępiony przez historię białogwardzista, wypowiedział w podobnej sytuacji złote słowa: „To dla jednego, nie dla wszystkich...”

Sądząc po odgłosach, przybyli przechadzali się po dużym pokoju, co i raz stając wprost naprzeciw niego - wątpliwe, czy interesowała ich sypialnia, tam, na pierwszy rzut oka widać, że absolutnie nie ma się czym pożywić...

- No, gdzie te skarby? - rozległ się młody nieznany głos. - Spodziewałem się czegoś takiego...

- Zamknij się! - nerwowo odcięła się Daszeńka. - Nie powiedziałam, że tu skarby są

zwalone na kupy, chciałam się po prostu rozejrzeć...

- No, to się rozejrzałaś?

- Poczekajcie. Musi przecież być jakiś schowek...

- Pomyślmy logicznie. (Aha, to mówi na pewno długowłosa Misza). Wartościowych przedmiotów dziadek powinien mieć dużo. Tak? Jeśli schowek jest tutaj i dość obszerny, to urządzone jest na pewno tak, żeby znaleźć go nie było łatwo. I można wątpić, że tak z marszu się na niego natkniemy... Jasne?

- Jasne. Za to cię kocham; Michael, właśnie za jasny mózg, aczkolwiek Daszka ma pewnie inne motywy...

- Idź ty! - parsknęła dziewczyna.

- Lady i gentlemani, bądźmy poważni. W porządku, to był zwiad... Wnoszę propozycję: zwalimy się tu jutro z rąca, weźmiemy muzyczkę, damy czadu, żeby głużyła nieodpowiednie dźwięki i zaczniemy szukać wnikliwie. Jeśli zaczniemy łomotać o pierwszej w nocy, aborygeni nie omieszkają brzdęknąć do psiarni, potrzebne to nam? Moim zdaniem, rozumna myśl. Daszka, przecież twoje rodaki nie złączą już jutro się tu objąć, meble dzielić, z powodu krzesła się chapać... Kilka dni mamy. Co? Michael?

- Moim zdaniem, masz rację - odezwał się Misza. - Jutro rano spokojnie przystąpimy do działania. Dasza...

- No, w zasadzie... Tylko co, tak po prostu odejdziemy? O, to można od razu zabrać, do torby spokojnie się zmieści,.. Dan, zajmiesz się? Misza, a ty popatrz po szufladach...

- I skąd te wszystkie dowcipy o blondynkach, nasza Daszeńka to czysty Einstein.

- Dostyc trucia, bierzcie się do roboty!

Doleciały odgłosy dzwonienia - jasne, patroszą planszę z medalami, teenagery zasrane, domyślił się Smolin. Z medalami najprościej, można je ładować luzem...

- A statuetki? - doleciało z tamtej strony.

- Gdzie z nimi się teraz utykać, trzeba je zapakować jak należy... Co będą warte poobijane... Sss...

- Co tam?

- Palec, kur... Wprost w czubek wsadziłem... Pieprzona szpilka...

- Wyciśnij krew, bo może zardzewiała...

- Ni cholery, błyszczą jak...

- Wszystko jedno, wyciśnij, kto wie...

- Jestem poruszony pani troską, Daszo...

- Poruszony to ty zawsze byłeś... No, czego się grzebiesz? Misza, co tam znalazłeś?

Aha-a... To już ciekawsze... Nic więcej? Chłopaki, idziemy...

„Drzy ścierwecze głosik - nie bez satysfakcji stwierdził Smolin. - Łazić o północy po cudzych chatach to sprawa delikatna, tu potrzebna jest wprawa i nawyki. Powinna doskonale wiedzieć, smarkata, że nie ma najmniejszego prawa chapać stąd rzeczy, nawet jeśli jest córcią jednego z bezpośrednich spadkobierców...

Ale jakie chłopaczki, co? Przyjemne młode pokolenie, Daszeńka, ścierwo nieletnie, oczywiście, usłyszawszy kątem różowego uszka o dziadkowych komorach, postanowiła urwać dla siebie, ile się da. Też rozumie, że wszystko na tym świecie ma swoją cenę, antyki zwłaszcza..."

Odczekawszy jeszcze kilka minut, wsłuchując się w ciszę, Smolin połączył się ze Szwarcem i z marszu rzucił:

- Szczeniaki spłynęły?

- Aha, cała czwórka. Wsiedli do bryczki i zwiali.

- Chodźcie tu śmiało - polecił Smolin. - Najwyższy czas.

Gdy się zjawili, półka znowu była wysunięta, Smolin stał oparty o nią łokciem z taką dumną miną, jakby właśnie on to wszystko urządził.

- Wejdźcie, orły, wejdźcie - powiedział uśmiechając się od ucha do ucha. - Gwarantuję niezapomniane wrażenia i burzę emocji. Tylko sza, nie wrzeszczeć z zachwytu, bo sąsiedzi nam tu psiarnię wygwizdzą...

Wrzasków zachwytu nie było, naród był dorosły i kuty - ale długo jeszcze było słyhać pełne uniesienia przekleństwa wypowiedane szeptem, jeszcze długo błądziły po ścianach oszalałe spojrzenia.

Smolin pierwszy przestał się miotać, usiadł w fotelu, obróciwszy go do ściany, zapalił i jak zaczarowany wpatrywał się w jedną z plansz, poświęconą Japonii i satelitom. Była tam parka Złotych Jastrzębi, sądząc po rozmiarach, trzeciego stopnia, na dodatek wszystkie „dolne”, do siódmego włącznie (przy czym siódmy - w trzech rodzajach). Obok Święte Skarby od trzeciego stopnia do ósmego. Wschodzące Słońce - prawie wszystkie. Sześć stopni z ośmiu Drogocennej Korony. Wszystkie bez wyjątku japońskie medale wymieniane w dobrych katalogach - oraz trzy niewielkie srebrniaczki, nie odnotowane w żadnym katalogu, nad którymi jeszcze należało długo i z uwagą się zastanowić, podobnie jak nad dwiema nieznanymi emaliowanymi odznakami. Ordery Mandzuku, odznaczenie Mongolii Wewnętrznej, medal Mongolii Przygranicznej (dwóch ostatnich orderów zwykły człowiek nigdy nie trzymał w dłoni).

Plansza z odznaczeniami Monarchii Austro-Węgierskiej - znowu dech zapiera.



Plansza Hiszpanii... aż cztery poświęcone Trzeciej Rzeszy... aż cztery ordery Królestwa Hawajów...

Odlot, jak od dobrego bucha. To znaczy rozumem ogarniasz, że istnieją gdzieś nawet bogatsze kolekcje, ale sam z czymś podobnym stykasz się po raz pierwszy w życiu. A przy próbie określenia, choćby w przybliżeniu, jaką te wspaniałości mogą mieć wartość - w ogóle wpadasz w przepaść. Co tam dwa nagrobki dla Kościeja i małżonki, co tam mieszkanie dla Daszki i autko dla niej... Na wykonanie woli zmarłego pójdzie marny procent...

Zmrużył oczy, pokręcił głową. Wstał energicznie. Kot Uczony jak zaczarowany przylgął do jednej z plansz, którą gęsto zappełniały niewielkie składaczki - brązowe i z kolorowymi emaliami. Feldmarszałek oglądał klingi, mrużąc coś o cesarskiej gwardii Karola X, hiszpańskich mistrzach płatnerskich szesnastego stulecia (odlot!) i dworskich szpadach. Nawet Szwarz, zdjawszy ciemne okulary, gapił się na rząddek miniatur w pociemniałych ramkach i poruszał wargami z tak uduchowioną gębą, że najwyraźniej liczył w myśli poważne sumy...

Smolin zapalił nowego papierosa od niedopałka poprzedniego. Tak to się nazywa - stara gwardia. Kościej, który pochodził z dość inteligentnej rodziny i w sztuce orientował się od młodości, na Ojczyźnianą poszedł w czterdziestym pierwszym jako osiemnastolatek, a do Niemiec dotarł w czterdziestym piątym już jako starszy lejtnant - i na blisko trzy lata uwiązał tam w administracji wojskowej. Stąd właśnie poszło...

Lwia część przywiezionych rosyjskich antyków pochodzi właśnie z Niemiec, które zwycięzcy (wszystkie cztery sławetne mocarstwa) wymietli do czysta. Teutoni też nie pominęli żadnej okazji i ściągnęli do Reichu wszystko, co nagraibili w okupowanej Europie, nie mając pojęcia w swoim aryjskim zadufaniu, że orzą nie dla siebie, ale dla Towarzysza, Milorda, Mistera i Monsieura...

Diabli wiedzą, jak tam sobie poczynali nasi dzielni sojusznicy (chyba nieźle, sądząc z wrywkowej informacji zdobyte wywozili pociągami), ale doskonale wiadomo, że demobilizowany żołnierz radziecki, co tu kryć, w „sidorach”<sup>17</sup>, a czasem wprost na grzbiecie, potrafił przydźwigać z pokonanych Niemiec najbardziej nieoczekiwane rzeczy. Dlatego do tej pory w odległych miejscach pojawiają się ocalałe trofea - włącznie z etiudami Rubensa, srebrnymi widelcami z Kancelarii Rzeszy, emaliowanymi papierośnicami najbardziej rodowitych węgierskich hrabiów i podpisanymi osobiście przez führera jubileuszowymi gratulacjami dla swoich generałów. Nie należy zapominać, że nasza bohaterska armia

---

<sup>17</sup> Sidor (ros.) - worek żołnierski albo więzienny - przyp. tłum.

przewaliła się również przez Mandżurię, gdzie także nie brakowało wszelkich możliwych pamiątek. Jednym słowem, niczego tak nie żałuje prawdziwy zbieracz, kolekcjoner, antykwariusz, jak tego, że Armia Czerwona nie przeszła zwycięskim marszem, niestety, przez Francję i Hiszpanię, nie zajrzała na Wyspy Brytyjskie. Aż smutek przejmuje na myśl, jakie kolekcje mogliby mieć potomkowie...

„Starym było dobrze - myślał Smolin - starzy mieli odlotowo. W latach sześćdziesiątych, gdy on w chuście pionierskiej biegał w poszukiwaniu złomu, antyki, szczególnie na głuchej prowincji, kosztowały kopiejki, a zresztą i w stolicy, żeby zwolnić miejsce modernistycznym kompletem z rurek metalowych i plastiku, pod śmietnik wynoszono bezcenne meble z czasów nie tylko Aleksandra I, ale także Katarzyny II i zagraniczni dyplomaci, plując na przyzwoitość, przy tych śmietnikach formalnie czatowali i smoląc wypielegnowane ręce osobiście ładowali drogocenną zdobycz. W tamtych legendarnych czasach swobodnie mogły sobie dokazywać wilczyśka w rodzaju Nikifora, którzy za tygodniową inżynierską pensję skupowali takie rzeczy, przy których dzisiaj nawet „Sotheby's" może zdrętwieć...”

- Ot, co, chłopcy - powiedział twardo. - Kto jak chce, ale ja osobiście niczego tutaj nie zostawię. Nawet, jeśli do rana przyjdzie tu harować. Popatrzcie w kuchni, w łazience, tu pełno ręczników, prześcieradeł, w ostateczności T-shirta z siebie nie pożaluję... Bierzmy się do pakowania, cichutko i w tempie... Co?

Szwarc, krzywiąc usta, otworzył przed nim duży czarny klaser - w przezroczystych koszulkach żółto połyskiwały suwereny i czerwonce, imperiale, dwudziestomarkówki, floreny i korony, liry, franki, napoleondory, profile brodate i ogolone, profile męskie i kobiece, herby.

- Właśnie mówię - odezwał się Smolin, czując przesyt. - *Pracujemy* do oporu...

## Rozdział 5.

### NIEBIAŃSKA ISTOTA

Smolin myślał. W napięciu i długo. Nie było najmniejszej wątpliwości, że Czepurnow do ostatniego momentu zachował absolutnie jasny umysł - a skoro tak, to należało poważnie potraktować jego ostatnie słowa. Smolin co i raz powtarzał sobie na wszelkie sposoby: „szukaj pancerki, szukaj pancerki”. Mać twoją za nogę i o węgieł, klasyczna scena ze starej powieści przygodowej, z tajemniczym nakazem wydanym na łożu śmierci, zakopany w głuszy skarbem i innym bzdurstwem...

Tylko że Kościej przez całe życie był pragmatykiem do szpiku kości i jak jastrząb spadał wyłącznie na to, co mogło przynieść niebagatelny zysk. Nie czytał powieści, a tylko wojenne wspomnienia, książki historyczne, naukowo-popularne oraz inne dokumenty (Smolin doskonale pamiętał zarówno jego gusta literackie, jak i zawartość półek z książkami). Stąd wynikało automatycznie: jeśli Nikifor w ostatniej swojej minucie myślał o poszukiwaniach jakiegoś samochodu pancernego, to nie było w tym ani kropli romantyki, natomiast krył się tylko i wyłącznie zysk. Mówiąc nawiasem, nie wszystkie wspomniane fatalne tajemnice z wyblakłych stron są wymysłem autorów: często się zdarza, że ludzie tylko w obecności babuni z kosą wyjawiają te najskrytsze...

To prawda, w żaden sposób nie można było negować oczywistego faktu, że Smolin znalazł się w ślepym zaułku. Jakby nie było, przeżył w tym mieście całe świadome życie (odliczając wojsko i odsiadki), historię miasta znał doskonale, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnej historii związanej z konkretną korzyścią materialną, która kojarzyłaby się z określeniem „pancerka”. Chyba tylko opancerzony samochód Kutiewanowa, ale to całkiem co innego...

W radzieckich czasach tylko nieliczni, szczególnie zaufani i umiejący trzymać język za zębami, historycy znali prawdziwe okoliczności przedwczesnej tragicznej śmierci czerwonego albatrosa, sławnego bałtyckiego marynarza, towarzysza Kutiewanowa, którego imię do tej pory nosi jedna z szantarskich ulic. Prawda, niestety, zdecydowanie przeczyła ckliwej wersji oficjalnej...

Towarzyszowi Kutiewanowowi, uczestnikowi szturm na Pałac Zimowy, niezłomnemu bojownikowi z korniłowszczyzną, denikińszczyzną i kołczakowszczyzną, dowódcy Żelaznego Proletariackiego Pułku imienia Towarzysza Robespierre'a, w

dwudziestym roku, pod wpływem alkoholu, przyszła chęć, żeby sobie pojeździć jedynym w Szantarsku czerwonym samochodem opancerzonym angielskiej burżuazyjnej marki Austin i nic by się nie stało, gdyby go diabeł nie podkusił, by z rewolucyjną pieśnią na ustach pędzić nad brzegiem potężnej Szantary - do której pancierka właśnie zwała się z urwiska, a było tam tuż przy brzegu co najmniej dziesięć metrów głębokości...

Sam towarzysz Kutiewanow pozostał na dnie, razem z jednym ze swoich dowódców, który, jak można przypuszczać, również nadużył mocnego szantarskiego „pierwacza”<sup>18</sup>. Żywy wypłynął jedynie trzeci z obsady, komisarz strzelców łotewskich towarzysz Janis Walde, który bez powodzenia usiłował wcześniej przerwać karygodną zabawę. Dokładnych danych brak, ale najprawdopodobniej świadomy Czuchoniec był trzeźwiuteńki, jak niemowlę, dlatego też się uratował...

Czasy były niespokojne, wojna domowa jeszcze szalała z całą mocą, nie było więc czasu ani sił, ani szczególnego pragnienia, żeby feralną pancerkę wyciągać z dziesięciometrowej głębokości. Szantarskie kierownictwo partyjne, po uszy ubabrane w niemałych kłopotach, nakazało uznać zdarzenie za tragiczny wypadek (mianowicie, bohaterski marynarz floty bałtyckiej dla potrzeb walki ze światową kontrą chciał opanować również prowadzenie maszyny bojowej, ale w wyniku wrogiej dywersji pożegnał się z życiem). Pod tym pretekstem szybko rozstrzelali dziesiątkę przypadkowych „burżujów” i „kontrików”, nad urwiskiem zorganizowali patetyczny wiec z orkiestrą, płomiennymi mowami i przysięgą, że na pamiątkę sławnego towarzysza niezawodnie w bieżącym dwudziestym roku zostanie wypleniona cała światowa kontrrewolucja. Postrzelali w powietrze z mauzerów i karabinów, puścili na wodę wieniec ze szkarłatnych goździków i rozeszli się do umacniania rewolucji.

Towarzyszowi Waldemu (który dosłużył się czterech rombów na naszywkach po linii politycznej) historia ta, trzeba powiedzieć, odbiła się w trzydziestym siódmym roku, gdy Stalin czyścił kraj ze „starych bolszewików” niczym bluzę ze wszy. Mającego nieostrożność znać się z Trockim towarzysza Waldego zmiotli jednego dnia z Tuchaczewskim. Prorocy nie za wiele łamiąc sobie głowy, wyciągnęli na boży świat starą historię z pancerką, oskarżając właśnie towarzysza Waldego o nikczemną dywersję i zamordowanie dwóch czerwonych orłów, zleconą czy to przez Trockiego, czy hydrę światowego imperializmu. Broniący się początkowo towarzysz Walde po tygodniu serdecznych rozmów rozbroił się wobec partii, podpisał przyznanie się zarówno do znajomości Trockiego, jak również do pozostałych

---

<sup>18</sup> Pierwacz (ros.) - samogon z pierwszej destylacji - przyp. tłum.

oskarżeń. Najciekawsze, że nie stuknęli go razem z pozostałym starobolszewickim draństwem, ale wpakowali do odległych łagrów, gdzie niez mordowany Łotysz jakoś znalazł sposób, żeby pomyślnie dożyć do pięćdziesiątego trzeciego, kiedy został uroczyście zwolniony jako niewinna ofiara kultu i nadużyć. Osiedlił się podobno w Szantarsku, ale jego późniejsze losy nigdy Smolina nie interesowały, więc żadnych szczegółów nie znał.

To była jedyna historia mająca związek z pojęciem „pancerka”. Nic poza tym nie było. Jednak jakoś nie chciało się wierzyć, żeby właśnie o nim mówił Nikifor. Już na pierwszy rzut oka było jasne, że żadnej korzyści z tego nie ma się co spodziewać. Załóżmy, że uda się ustalić dokładne miejsce zatonięcia pancerki (co nietrudno zrobić, przekopując maksimum przez tydzień otwarte archiwa). Wydobyć ją na powierzchnię przy użyciu nowoczesnego sprzętu wcale nie jest trudno, zresztą nie będzie to też kosztowne... ale co dalej? Pancerka, tu nie ma co zgadywać, podpada pod kategorię zabytków historii i kultury, a przez to należy nie do znalazcy, ale do państwa. Podobnej operacji nie da się utrzymać w tajemnicy - będzie bardzo widoczna. Nawet gdyby sprzedać samochód opancerzony jakiemś nadzianemu gościowi do przyozdobienia trawnika przed domem, to po pierwsze szybko będzie o tym wiadomo, a po drugie... ileż można za niego wziąć? Śmiech, na dobrą sprawę. Nie opłaci się skórka za wyprawkę. O tym samym dawno musiał pomyśleć i Kościej... więc co? Jakaś *przenośnia*? Ale co się za tym kryje?

W porządku, trzeba będzie przejrzeć papiery zmarłego - właśnie Smolin ostatnio tylko tym się zajmował...

W zamyśleniu postukał palcami po zwyczajnej kartonowej teczce, na której czerwonym ołówkiem ręką Czepurnowa było wykaligrafowane „Ważne”, następnie zdecydowanie wstał, wyszedł z pokoju i zajrzał do jednego ze składzików, tego bliższego.

Żadnych kosztowności tam nie było, składzik czasem służył jako pokój gościnny dla przyjeżdżających partnerów biznesowych (tak było prościej i pewniej), dlatego też miał wygląd dość przyzwoicie umeblowanego pokoiku. Teraz tam na obszernej, nieszczególnie nawet starej kanapie w pozie wprawionego w błogi nastrój Turka spoczywał Gonzic i w zamyśleniu palił fajeczkę, filozoficznie spoglądając na pustą do połowy butelkę koniaku. Znalazłszy się w komforcie i zaciszu, Podziemny Kret zdecydował się odłożyć powrót z pola jeszcze na jakiś dzionek-dwa, przeciw czemu Smolin nie miał nic - człowiek był swój, pożyteczny, po pijaku pomieszczenia nie podpalił i żadnych świństw się nie dopuścił, niemiecka krew daje znać o sobie, proszę was...

Gonzic dymił w zamyśleniu, zamyślony Smolin patrzył przed siebie. Włączywszy mechanizm nieskomplikowanej dedukcji, zauważył drugą szklaneczkę, garść papierków po

cukierkach (przy czym Kret, podobnie jak Rasputin, nie znośli słodczy), a najważniejsze - w powietrzu unosił się aromat niezbyt glamurowych perfum.

- Zamawiałaś sobie kurwy, Kamracie? - ze zrozumieniem sytuacji spytał Smolin.

- Jedną - spokojnie odpowiedział Gonzic. - Nie bierz sobie do serca, wszystko kulturalnie, Walka dał mi telefonik. Mamy tu całkiem przyzwoity zakład, ze studenteczkami prestiżowych uczelni, które cichusieńko i ze znajomością rzeczy przed dyplomem gromadzą sobie kapitał startowy.

- Czyżby Inessa? - Smolin wzruszył ramionami. - Też mi fatalna tajemnica... Ty się kiedyś, main Lieber, spotkasz ze swoją studentką...

- A było razik - z całym spokojem powiedział archeolog. - No i co? Sprawa jak najbardziej życiowa...

- No, dobrze, ja jestem wilk-samotnik, mnie tak los wyznaczył - rzekł Smolin z uśmiechem. - Ale ty masz Inkę, to królowa piękności, złota baba...

Gonzic pouczająco podniósł palec:

- Za to triumfalnie wrócę z pola do ukochanej kobiety, troszeczkę zawstydzony balangą z dziwkami, a to znaczy, że będę żywił do małżonki szczególną czułość, obsypywał ją prezentami, obdarowywał pieszczotami...

- Szczególną czułość... - warknął Smolin. - Słuchaj, czy nie słyszałaś niczego na temat panczerki Kutiewanowa?

- Masz na myśli ostatnie wiadomości?

- No, nie wiem... A jakie?

- Wczoraj rozmawiałem z Lizeczką Nowicką, z komitetu kultury... Rozumiesz, Wasia, nie ma tam, na dnie, żadnego samochodu opancerzonego. Władze chciały na trzysta osiemdziesięciolecie miasta go wyciągnąć, podczyścić i wetknąć gdzieś na cokolik, no, jakby nie było historyczne auto... Zarazem i Kutiewanowa z partnerem pogrzebać można by jak się należy...

- Poczekaj - wtrącił Smolin. - Kości przecież dawno rozpuściły się w wodzie.

- W morskiej rozpuściłyby się na pewno, ale w rzecznej przeciwnie. Wszystko zależy od kwasowości, a ona w Szantarze nie jest szczególnie niszcząca. Poza tym szkielety przecież nie leżą na dnie, a w samochodzie. Znaczy, że „ścieranie rzeczne" ich nie dotknęło ani trochę, piasek, prąd wody i to wszystko... I rybki, bardzo być może, się nie dobrały. Krótko mówiąc, w każdym razie powinny pozostać duże kości piszczelowe oraz bezwzględnie czaszki... Tylko że nic im z tego nie wyszło. Nie ma tam panczerki. Ni cholery. Nasz mer to chłop gospodarny. Naściągali pletwonurków, puszczali kutry z magnetometrami, nic z tego. Obmacali

kilometrowy odcinek w obie strony od historycznego urwiska, ale pancerki, na sto procent, na dnie nie ma... Chociaż miejsce dokładnie to samo, nie ma wątpliwości: na urwisku do tej pory leży olbrzymi głaz, na którym komuniaki wtedy, w dwudziestym, wydłubały gwiazdę i hasło...

- Wiem, któż tego kamieniska nie pamięta?

- No właśnie... A mimo to, pancerki na dnie nie ma. Przyznaj się, czy nie ty go cichcem wyciągnąłeś i opchnąłeś komuś?

- Zawahasz się, żeby wyciągać... - mruknął Smolin. - Słuchaj, ciekawa rzecz wychodzi... Jakże tak? Była pancerka, każdy historyk ci to potwierdzi, że do Szantary się wpakowała razem z Kutiewanowem... Co za lichy?

- A cholera ją wie. Ja podejrzewam, że komisarz w nerwach pomylił miejsca. Urwisk w tych miejscach jest do diabła, wiele do siebie podobnych... Wyplął komisarz w szoku i pomylił. Tam przecież wtedy jeszcze nie budowali i nikt nie mieszkał, do miasta było z dziesięć kilometrów, zupełnie głuche miejsce... Toteż Czuchoniec, całkiem możliwe, że trochę kontuzjowany, zanim do Szantarska dotarł na własnych nogach, dokładne miejsce zapomniał. Kto by wtedy sprawdzał? Więc rdzewieje sobie pancerka gdzieś kilka kilometrów na prawo, albo na lewo od historycznego głazu... słuchaj, a może czerwoniaki wszystko dokładnie wiedziały? Ale miejsce wybrali właśnie z powodu malowniczego głazu? Dlatego że na prawdziwym miejscu niczego takiego nie było? Jaka dla Kutiewanowa była różnica? Za to, powiadam, bardzo malownicze miejsce historyczne wyszło: głaziszcze na wiorstę widać tak samo z rzeki, jak i z drogi. Idą pionierzy - salutują Malczyszowi<sup>19</sup>, płyną parostatki - salutują Malczyszowi...

- I co teraz?

- A nic. Dali spokój. Środków budżetowych im szkoda, żeby przeszukiwać rzekę na znacznej długości z udziałem sprzętu i płetwonurków, przecież nikt bezpłatnie nie będzie się starał. - A cóż to ciebie tak to zainteresowało?

- A tak się zgadało... - odparł Smolin beztrósco.

I najspokojniej wyszedł. Z drugiego składziku dolatywały rozentuzjasmowane głosy, brzękanie żelaza, postukiwanie - tam Kot Uczony i Feldmarszałek rozkładali wczorajszą zdobycz, która obecnie jak najbardziej prawnie należała do Smolina: spróbujcie udowodnić, że jest inaczej, jeśli Kościej nie prowadził katalogów swojej kolekcji i jej nie pokazywał. Po

---

<sup>19</sup> Malczysz (ros.) - postać z bajki A. Gajdara. Znacząca postać radzieckiej propagandy dla dzieci - przyp. tłum.

dziadku skarb w całości dostał się W. J. Smolinowi i to żaden kit... Wróciwszy do siebie, otworzył teczkę „Ważne”. Na wierzchu leżała prostokątna kartka szarawego papieru, zapisana wyraźnym pismem (atrament, oczywiście, mocno wyblakł, ale czyta się dobrze). W górnym prawym rogu nadrukowana wielgachna, niemal jak dno kufla do piwa, czarna pieczęć z carskim orłem i napisem: „Papier aktowy. Pięćdziesiąt rubli”. Poniżej nadruk: „Dla aktów za pobraniem wyższej opłaty, o wartości nie przewyższającej 10 000 rubli i dla aktów za pobraniem niższej opłaty, o wartości nie przewyższającej 100 000 rubli”. Ach, to jest umowa sprzedaży... W idealnym stanie, na ostatniej, czwartej stroniczce cztery zielone pięciorublowe znaczki skarbowe. Stan doskonały, ciekawa rzecz... tylko że jej cena, z grubsza biorąc - no, maksimum jakieś trzysta dolców, najwyżej czterysta. Nie taka znowu rzadkość, podobnych jest dosyć. Czemuż więc Kościej ją wyłożył...

Do antykwarycznego dokumentu była przytwierdzona zszywką karteczka, całkowicie współczesna z wyglądu, na której tym samym wyraźnym inżynierskim pismem Czepurnowa było oznaczone „Czechowa, 28-157”. I numer telefonu, najwyraźniej nie komórkowy, a domowy. Miasto, co ciekawe, nie podane, a ulic Czechowa, gdzie nie ma... numer telefonu wyraźnie szantarski...

„Wypis z aktu sprzedaży, z Szantarskiego Archiwum Notarialnego, księga miasta Szantarska, z 1910 roku.

Str. 60-61, Nr 65.

Roku tysiąc dziewięćset dziesiątego, dnia dwunastego maja, przed Nikołajem Aleksandrowiczem Stawrowskim, notariuszem szantarskim, w jego biurze, znajdującym się przy ulicy Woskriesieńskiej, we własnym domu, stawili się znani mu osobiście i posiadający zdolność prawną do zawierania aktów szantarski mieszczanin Taich Eljewicz Eisenberg i asesor kolegialny Josif Aleksiejewicz Biessmiertnych, zamieszkujący w domu pierwszego, na linii Nowokuzniecznej, wraz z osobiście znanymi mu świadkami szantarskim kupcem Iwanem Trofimowiczem Sawieljewem, szantarskim mieszczaninem Iwanem Pietrowiczem Nawalichinem i mieszczaninem narymskim Aleksandrem Aleksandrowiczem Kołmakowem, zamieszkującymi w mieście Szantarsku na placu Nowobazarnym w domu drugiego z wyjaśnieniem, iż oni, Eisenberg i Biessmiertnych, pragną zawrzeć akt kupna/sprzedaży na następujących warunkach..."

Dalej na trzech stronach z godną szacunku prawniczą skrupulatnością wyłuszczone była sprawa: mieszczanin Eisenberg sprzedawał asesorowi Bessmiertnychowi „mienie nieruchome”, to znaczy działkę gruntu, której współrzędne również zostały oznaczone z największą dokładnością. Mieszczanin Eisenberg niegdyś solidnie usadowił się w Szantarsku:



na działce (o powierzchni mniej więcej pięćdziesięciu trzech dzisiejszych arów) stały „piętrowy dom murowany, murowana kuźnia, dwa murowane warsztaty, parterowa oficyna murowana, w połowie murowana oficyna, spichrz podpiwniczony i inne zabudowania gospodarcze”.

Mieszczanin Eisenberg postanowił zarobić? Nie, chodziło o coś innego - wymienione „mienie” było obciążone hipoteką w Jarosławsko-Kostromskim Banku Ziemskim aż od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku, z powodu czego na mieszczaninie Eisenbergu ciążył „dług kapitałowy dwóch tysięcy osmiuset sześćdziesięciu sześciu rubli pięćdziesięciu czterech kopiejek oraz karencyjne płatności w wysokości siedemdziesięciu rubli dziewięćdziesięciu jednej kopiejki”. No tak, a ile on miał dostać za to „mienie”? Aha, piętnaście tysięcy rubli. Więc transakcja dla mieszczanina Eisenberga okazała się wcale nie taka niekorzystna - zresztą również nie ze stratą dla asesora kolegiального. „Mienie” dość solidne, gruntu niezgorzej, linia Nowokuznieczna, linia Nowokuznieczna... teraz nie przypomnę sobie dokładnie, co tam jest obecnie na tym miejscu, ale chyba to nie przedmieście, to jest gdzieś w śródmieściu... Ciekawe, ale żadnych specjalnych kapitałów z historycznego papieru się nie uzyska. Ale papierek po coś przypięto...

Nie namyślając się wiele, Smolin pogrzebał w szufladzie, wyjął zapasową komórkę na specjalne okazje, szybko ją włączył. Mobiłka służyła do rozmów, w których nie chciał się ujawniać: brzęknął, pomówił - i znowu wyłączył na tydzień, a nawet dwa, spróbuj znaleźć...

Starannie wybrał numer. Jeden długi, dwa, trzy, cztery...

- Słucham, Biessmiertnych - rozległ się wreszcie ospały, jakiś anemiczny męski głos.

Smolin bez większego namysłu, powiedział natarczywie:

- Z gazety „Kurier Szantarski” dzwonię, szukujemy tu materialik... Pan nie jest przypadkiem krewnym asesora kolegiального Josifa Aleksiejewicza Biessmiertnych, który zamieszkiwał w Szantarsku przed rewolucją?

Głos nieznanego stał się nie tylko anemiczny, ale wręcz nieskrywanie kapryśny:

- Młody człowieku, pan inne gazety miejskie choć czasem czytuje?

- Zdarza się - ostrożnie odparł Smolin.

- To czytałby pan nie od przypadku do przypadku, ale stale. Bo rzeczywiście, ileż można setny raz... Proszę czytać konkurentów, oni was dawniusieńko, mój drogi, wyprzedzili... Wszystkiego dobrego.

I słuchawkę zdecydowanie odłożył. Ładnie dziewczki tańczą, pomyślał Smolin, wyłączając tajną komę. Wygląda na to, że wyszedł na dumnia, rzekomy „dziennikarz” zderzył się z czymś, co miał obowiązek wiedzieć wcześniej - właśnie to wynika z kontekstu...

Dokładnie, ten typ z ospałym głosem nie nosi takiego samego nazwiska, ale zdecydowanie „ma związek” - cóż, w Szantarsku jest niemało potomków byłych szczęśliwych obywateli, pomimo wszystkich wojen, rewolucji i innych karuzeli życia. Co z tego wynika, jeśli pomyśleć logicznie? A to, że Kościej zamierzał ożenić temu ospałemu historyczny dokument, związany z osobą jego przodka. Innych wyjaśnień nie ma. Jeśli potomek - łoś uszaty, a kasy ma jak lodu i w realnych cenach staroci zero rozeznania, to w rzeczy samej można zgarnąć niezły betel... Weźmiemy pod uwagę...

Wierny swojemu przyzwyczajeniu, żeby wszystko robić do końca, sięgnął do szafy i wyciągnął z niej spory arkusz papieru - mapę Szantarska z dziewięćset dwunastego roku - żaden unikat, współczesna kopia starej mapy, którą, oprawiwszy w ramkę, zwykle opylali turystom wszyscy jak jeden szantarscy antykwariusze po całkiem śmiesznej cenie. Linia Nowokuznieczna... aha, gdzie to jest, jeśli porównać z obecnym planem miasta... no, tak, nie samo centrum, ale jakby nie było historyczna część miasta... w rejonie rzeczki Kaczy... ale dokładnie, gdzie?

Zdecydowanie wszedł do składziku i od pierwszego spojrzenia upewnił się, że Gonzic jest jeszcze w stanie umożliwiającym wykorzystanie go w sprawie. Położył mapę na szafce i zapytał:

- Czy możesz mi dokładnie określić, gdzie teraz jest takie miejsce: pierwsza część, linia Nowokuznieczna, numer sześćdziesiąt sześć?

- Tak już, od ręki?

- No nie, za minutę, ale możliwie jak najprędzej...

- Nie ma sprawy - powiedział Gonzic, znacząco spoglądając na opróżnioną butelkę. - Jeśli nie pali się, muszę jeszcze po flaszeczkę, to zajmie godzinę, ale jeśli byłyby należyte warunki pracy, to w kwadrans zdążę... I dzisiejszą mapę potrzebowalibyśmy...

Smolin przyniósł mu gruby atlas samochodowy Szantarska, postawił na szafce ćwierćlitrową buteleczkę koniaku i poprosił:

- Tylko ty, Kamrat, nie narąb się...

- Damy radę - zapewnił Gonzic, puszczając kłęby dymu nad mapą. - Mówię ci, maksimum kwadrans...

Smolin chciał dla pewności i kontroli zostać z nim, ale zobaczył przez otwarte drzwi, jak w jego pokoju miga lampka sygnalizacyjna. Burknąwszy coś, wyszedł do sklepu.

Gosza od razu pokazał mu spojrzeniem...

Prześlizgnęła się, trzeba powiedzieć, stworzenie rodzaju żeńskiego, które z oślepiającym uśmiechem odwróciło się do Smolina: białe spodnie, czerwony topik, goły brzusek, jak jest

przyjęte, naturalna blondynka, włosy wspaniałe, niemal do pasa... Latek dwadzieścia i trochę, a to znaczy, że pod niemiły paragraf k.k. już nie podpada...

Istota była czarująca, aż ciągnęło, żeby położyć jej rękę na płaskim opalonym brzuszku, a później tak samo byłoby przyjemnie przesuwając dłonią to w górę, to w dół...

- Prasa, Wasiliju Jakowlewiczu - z obojętną miną oznajmił Gosza, spoglądając na blondynkę bynajmniej nie pożądliwie (aczkolwiek był normalnej, heteroseksualnej orientacji i szczególnymi zasadami moralnymi pod tym względem nie był obarczony).

Dokładnie tak samo Smolin wyzbył się poprzednich emocji, momentalnie odczuwszy nie żeby rozczarowanie czy znudzenie, ale otwartą nieprzyjaźń. Niezbyt lubili tu przedstawicieli prasy, ale co tam, nie tylko w danym konkretnym sklepie, ale, jak to się mówi, w globalnym, strategicznym wymiarze...

Przecież nie złapiesz jej za kark i nie wyrzucisz, pouśmiewać się trzeba, nie ma rady... Wychodząc zza oszklonego kontuaru, Smolin przyoblekł twarz w najbardziej uprzejmy prostoduszny uśmiech i jeszcze raz obejrzawszy od stóp do głów piękną istotę (ale już bynajmniej nie z poprzednią przyjemnością), pytająco uniósł brwi.

Panienska zrozumiała i zaczęła pospiesznie:

- Inga Izwolska, „Szantarskie Wiadomości Gubernialne"... Proszę bardzo...

Podawała mu wtopiony w folię kartonik z fotografią. Sądząc po gorączkowości i pewnej nieśmiałości, owa apetyczna persona w dziennikarstwie stawiała pierwsze kroczki: tup tup, drepce maleństwo... Ale jakież seksy maleństwo, oczkami strzela w pełni zawodowo, a i jej poza nie pozbawiona gracji... Zrzucić wędkę, czy co?

Solidnie, demonstracyjnie podrapawszy się za uchem, uśmiechnął się jeszcze bardziej czarująco:

- Od dawna?

- Co, przepraszam?

- Czy od dawna jest pani uprzejma ozdabiać swoją osobą środki masowej informacji?

Coś sobie pani nie przypominam, a przecież zobaczywszy raz taką dziewczynę, niepodobna zapomnieć...

- Ja niedawno... Po uniwerku...

- Jasne. Tylko że tu napisane... Wcale nie Inga Izwolska, ale Sofia Lesnikowa...

- Rozumie pan, pseudonim... Tak lepiej brzmi, prawa gatunku...

- Szkoda, naprawdę. Osobiście Ing spotykałem wiele, natomiast z pięknością o imieniu Sofia nigdy w życiu nie zapoznałem się, poważnie...

- Oj, takie staromodne i nijakie imię...

- No, to już sprawa gustu - powiedział Smolin, zwracając Indze-Sonieczce jej ausweis.  
- Ja według dowodu też, wie pani, diabli wiedzą co...

- Jak to? - zainteresowała się dosyć obrotnie (no, wcale nie taka naiwna).

- A, takie tam głupstwa... - wzruszył ramionami Smolin. - No więc, cóż panią sprowadza do naszej nudnej firmy?

- Chciałabym zrobić reportaż... Rozumie pan, Wasiliju Jakowlewiczu (bystreńka, od pierwszego razu zapamiętała, jak Gosza się zwrócił do niego... a może sprawdziła wcześniej?), antykwariat to strasznie interesujący temat...

- Proszę, nawet nie wiedziałem...

- Żartuje pan?

- Bynajmniej. Jesteśmy ludźmi nieprawdopodobnie nudnymi, szarymi, handlujemy sobie pomaleńku...

- Ale macie tyle ciekawych rzeczy... - rozglądała się z niekłamaną ciekawością świeżego człowieka, który z antykami się nie stykał. - Tylko że jakieś takie proste... Słyszałam, że są kolekcje dawnej broni, wyrobów jubilerskich, różnych takich rzeczy... Czy nie dałby mi pan adresów i telefonów jakichś kolekcjonerów?

Smolin nie tyle westchnął ze smutkiem, ale formalnie zawył...

Głowę można dać, że ta żabka to nie jest niczyja podsadka, ani podłożenie nogi. Ona z natury jest taka głupiutka i tyle. Podobne jasnookie Maniunie pojawiają się w sklepach antykwarycznych dość regularnie - i nie mają innych zamiarów, jak tylko zrobić powalający reportaż, najlepiej z powalającymi fotografiami. I do głowy tym pracownikom pióra nie przychodzi, że *poważny* kolekcjoner konspirować się bardziej niż Stirlitz i do jawności dąży jeszcze mniej niż rezydent rosyjskiego wywiadu w jakiejś tam Kopenhadze - a już szczególnie zbieracze białej broni, jubilerki i w ogóle czegoś drogiego... Jedyny znany Smolinowi przykład - gdy „papcio” Alisy Sielezniowej, to znaczy fantasta Bułyczow, w swoich wspomnieniach ujawnił własną nielichą kolekcję odznaczeń i nakryć głowy zamieszczając otwarcie zdjęcia - ale, być może klasyk gatunku już był dotknięty lekkim marazmem, ludzie w stu procentach poczytalni tak nie postępują...

- Z całą pewnością wiem, że dobrych reportaży o antykach nie było od wielu lat - oznajmiła Inga. - Rozmawiałam z kolegami, pytałam ludzi z telewizji, nikt nawet nie pamięta...

„Nic dziwnego - pomyślał Smolin. - Przecież wszyscy mamy rozum i dobrą pamięć, nie jesteśmy Bułyczowami, chyba...”

- Aha - powiedział wesoło. - Rozumiem, że chce pani uwiecznić swoje imię głośnym

reportażem?

- No, nie uwiecznić, oczywiście... Ale temat przeciekawy.

- Ba... - mruknął Smolin. - A czy była pani...

- Ależ byłam już wszędzie! - z nieskrywanym smutkiem odparło czarujące zjawisko. -

W Dukacie w ogóle ze mną nie chcieli rozmawiać, siedział tam jakiś straszny dziadyga...

„No tak - domyślił się Smolin. - Na Fomicza się nadziała, on w takich sytuacjach postępuje zdecydowanie. A Loszy nie było, bo Losza bez wątpienia spróbowałby cię, smakowitą, wziąć na lep, mącąc ci w głowieńce pięknymi, ale banalnymi opowieściami...”

- Eldorado - powiedział rzeczowo.

- Oj, tam tylko żartowali i wykręcali się... We Fregacie ze mną rozmawiali jak z większą prostytutką, albo maleńkim dzieckiem, a w Rarytasie wylazł jakiś typ ziejący alkoholem i z marszu zaczął mnie zapraszać do sauny...

„Wrubel-Rubel w kolejnym transie - odnotował w myślach Smolin. - Weźmiemy pod uwagę, zapamiętamy...”

- I czemu pani nie poszła? - spytał, wyraźnie dając do zrozumienia, że dość niegustownie zażartował i nic poza tym.

- Z *takim*? - dziewczyną wstrząsnął naturalny dreszcz. - o nie, tylko nie to! Nawet próbował obmacywać...

- Mężczyźni mogą go zrozumieć...

Gniewnie błysnęła oczami:

- Również pan będzie zapraszał do sauny?

- Ależ co pani - powiedział Smolin. - My, starzy pedofile, jesteśmy znacznie skromniejsi w naszych potrzebach, maksimum do kawiarni... Do kawiarni może pani pójść? Bez ukrytych intencji?

Spojrzała kokieteryjnie:

- Być może... Jeśli również pan pójdzie mi na rękę. Ale widzę, że pan również zaczyna...

- Dobrze - powiedział Smolin, cofnął się o krok i podniósł lakierowaną deseczkę na zawiasie, przegradzającą wejście za kontuar. - Proszę wejść. Skoro już pani wszystkich obeszła i niczego nie osiągnęła...

Widział kątem oka, że Gosza spogląda na niego z przyganą, ale udawał, że tego nie zauważa. Również sam nie rozumiał do końca, czego w ostateczności pragnie: czy sprawdzić tę kotkę pod względem moralnej niezłomności i w razie czego, wybaczyć cynizm, przelecieć z największą gorliwością, czy też... Chwilami przychodziło mu do głowy, że nie

zaszkodziłoby mieć własny kanał w środkach masowej informacji: nie wiadomo, co się może zdarzyć, nie wiadomo jakie kolizje są możliwe, czasem potrzebna jest akurat nie konspiracja, a rozgłos - w naszych porąbanych czasach środki masowego przekazu, a bodajby je, często gęsto mogą być bronią i nawet nie za pieniądze można je kupić, ale po cichu wykorzystać... Dawno o tym mówi się wśród swoich, ale realnie nikt nawet palcem nie kiwnął... być może, przyszedł czas?

W jego pokoju nie może być niczego niedozwolonego, dlatego Smolin bez wahania poprowadził Inge właśnie tam, uprzejmie podsunął fotel i spytał:

- Napije się pani koniaczku?

- Co, pan również zaczyna? W Rarytasie proponowano mi wódkę z jakiejś okropnej butelki...

- No, ja mam butelki nie okropne, ale całkiem glamurowe...

- A później? Dokąd pan zaprosi?

Smolin ciężko westchnął - aż nadto teatralnie, przeciągle, starannie - podszedł do jej fotela i powiedział:

- Mój ty Boże, a czy pani nie przyszło do głowy, miła Ingo, że pani po prostu, po ludzku spodobała się głupiemu, romantycznemu starcowi?

Zamrugła powiekami, chociaż z pewnym zawstydzeniem, ale i wyraźną przyjemnością - jeszcze się nie urodziła ślicznotka, która się oburza, gdy ją rozbierają spojrzeniem.

- Żaden z pana starzec.

- Oczywiście. Znaczy, że mam szansę?

- Wasiliju Jakowlewiczu! - odezwała się niemal błagalnie. - Jeśli chce mnie pan zostawić z niczym, proszę powiedzieć od razu...

- No, co pani, Ingo - powiedział Smolin siadając. - Przecież mówię, że mi się pani podoba... w dobrym sensie. Ja rozumiem, że ma pani, że tak powiem, obowiązek służbowy. Tylko że, proszę wybaczyć, nie mogę pani dawać ani adresów, ani telefonów. To nie jest przyjęte, wie pani. W naszym świecie obowiązują własne prawa. Bardzo nawet surowe. Dzisiaj z głupia frant dam pani telefonik, a jutro potrąci mnie na ruchliwym skrzyżowaniu niezidentyfikowany samochód albo jakiś dekadent huknie w plecy z dwulufowego obrzyna...

- Żartuje pan?

- Ani trochę - powiedział z naciskiem, patrząc na nią poważnie, surowo, ze smutkiem.  
- Przysięgnę na co pani chce, że ani trochę... Nawet sobie pani nie wyobraża, co to za ludzie - poważni kolekcjonerzy. Jakie mają możliwości, co to za osobistości, co oni mogą... - ściszył

głos, nachylił się przez biurko i dodał: - Potrafi pani milczeć? Mówię pani z całą odpowiedzialnością: to jest najprawdziwsza mafia. Tylko, że ci, co dostali kulkę w plecy za długi język, do gazet nie trafiają, tu od wieków wszystko w porządeczku, nie my to wymyśliliśmy i nie na nas się skończy... Co więcej. Jeśli wpakuje się pani do poważnego kolekcjonera z głupimi pytaniami, może panią wziąć za bandytkę naprowadzającą... I zaczną panią pytać tak, że później za nic nie będzie można pani wypuścić na wolność w takim stanie, więc trzeba będzie... Czy pani chociaż rozumie, w co się pani pcha? Ja to całkowicie po przyjacielsku mówię, że mi się pani podoba, no tak, cynicznie, jak normalnemu chłopu, nie chcę myśleć, że z powodu naiwności może się pani przydarzyć coś takiego... Były smutne przykładziki...

Przerwał, zapalił i odchylił się na oparcie fotela, ukradkiem zerkając na rozmówczynię. Uśmiechnął się pod nosem: cały ten bezlitośnie wieszany na różowych uszkach makaron osiągnął cel, dziewczyna siedziała przygaszona, zmieszana, jakby ją ktoś uderzył zakurzonym workiem...

- Słowo honoru, ja nie żartuję - powiedział szorstko, chcąc przypieczętować pierwszy sukces - tak to jest. Gdyby pani wiedziała, czasem w ogóle ludzi nie znajdują. Poważne antyki to ogromne pieniądze, a gdzie ogromne pieniądze... Rozumie pani?

- A pan, rzeczywiście, zdaje się, nie żartuje, minę ma pan... taką...

„A jakże, kochanie - uśmiechnął się wewnętrznie Smolin.

- W naszym wesołym rzemiośle talent aktora jest niezbędny, stoi na drugim miejscu po wycuciu... Nie takich braliśmy na bajer..."

- Więc to dlatego nie ma reportaży...

- A jak pani myślała, Ingo? - powiedział ze zmęczeniem, tonem troskliwego wujka. - Dlatego właśnie nie ma... Pamięta pani. Kilka lat temu w Moskwie wysadzili w powietrze obrotnego chłopaczka o nazwisku Chołodow? Ja pani, oczywiście, niczego nie mówiłem, a pani nic nie słyszała, ale my wiemy, co tam było w rzeczywistości i jaka to ściema ta oficjalna wersja. Chłoptaş z głupoty wsunął nos do tajemnic stołecznego handlu antykami i nie znalazł się obok nikt, żeby go ostrzec, jak ja panią teraz...

- To prawda? - spytała z nieszczęsną miną, już, bez wątpienia, wierząc.

- Mógłbym pani tyle opowiedzieć... Tylko że chciałbym żyć spokojnie, a i pani, z pewnością, również? No jak, Ingo, przekonałem panią?

- Tak, oczywiście - odparła, opuszczając głowę. - Dziękuję... Cóż więc, wychodzi, że zupełnie o tym nie można pisać? Nic?

- Ależ, co pani! - pogodnie zaprzeczył Smolin, uśmiechając się jowialnie i szczerze.

Najważniejsze, żeby pani całkiem zapomniała o broni, drogocennych metalach i w ogóle o wszystkim, co jest *drogie*. Antyki, wie pani, bywają również całkiem *zwyczajne*. Proszę, niech pani spojrzy na lewo... To, musi pani wiedzieć, bynajmniej nie jest krowa...

Obróciwszy się do ściany - wciąż jeszcze ze zmieszaną, przygnębiającą, *przygaszoną* miną - cudo zaczęło się przyglądać wiszącej pod sufitem czaszce z potężnymi rogami. Gdy troszkę doszła do siebie, spytała:

- A co to?

- A to pradawny bizon - odpowiedział Smolin z ochotą. - Który dziesięć tysięcy lat temu spacerował mniej więcej na tym miejscu, gdzie oboje sobie siedzimy. Teraz pokażę pani jeszcze prawdziwy topór człowieka pierwotnego i coś niecoś jeszcze... Ingo, chce pani współpracować? Dużo mogę pani opowiedzieć i pokazać, mogę nawet zabrać na jakąś transakcję z tych bezpiecznych i reportaży napisze pani niejeden... Tylko w zamian obieca mi pani na mur, że bez mojego uprzedniego wglądu ani linijki nie puści pani pod strzechy... Pasuje pani coś takiego?

- Jeszcze jak! - wykrzyknęła, odzyskując spokój. - Biorąc pod uwagę, że nie było ani jednej publikacji już tyle lat... Zgadzam się, oczywiście...

- Pracujemy, zdarza się również w nocy o północy. Założmy, że późnym wieczorem będę chciał gdzieś panią zabrać... Mąż nie będzie protestował?

- Nie jestem zamężna.

- Bywają również... warianty.

- Nie mam teraz... wariantów - spojrzała z odrobiną czujności. - A pan, rzeczywiście, poważnie? O współpracy?

- Nie całkiem - Smolin uśmiechnął się. - Przecież jestem ukrytym pedofilem, blondynki regularnie zamuruję w fundamentach...

„A jednak przyjmie się, chyba - pomyślał rozkładając na biurku wszelkie taniutki, ale bardzo efektowne drobiazgi w rodzaju podstawki do szklanki z przedrewolucyjnymi tłoczeniami, starych kluczy i grotów strzał. - Jeśli nie spieszyc się, nie spłoszyc i nie ciągnąc od razu do łóżka - to może się przyjąć...”

- Na początek proszę to przeczytać - powiedział podając dziewczynie umowę kupna-sprzedaży. - To jest naprawdę ciekawe. Jeśli coś będzie niejasne, proszę pytać, wyjaśnię...

\*

Zamknął „pajerka” kluczem (nie znosił sygnalizacji z ich wiecznym miauczeniem-



miganiem, stosował „sekretki”<sup>20</sup>). Wysiadł z samochodu, niespiesznie się rozejrzał. Dwie chruszczowki w klasycznej postaci, po lewej i po prawej, dwa długie szeregi garaży, zbudowanych ze trzydzieści lat temu, a między garażami zstępują z urwiska ku nieszerokiej brudnej Kaczy betonowe schody z pokrzywionymi spawanymi poręczami, ułożone z dwóch betonowych biegów od tych właśnie chruszczówek. Znajoma dzielnica, jak gdyby niekryjąca żadnych niespodzianek, ale czekajcie no...

Zbliżywszy się do górnego stopnia schodów, Smolin stanął nieco z boku, żeby nie przeszkadzać przechodniom, popatrzył w dół. Gdzieniedzie staraniem władz miejskich Kacza była uszlachetniona dosyć ładnymi nabrzeżami, latarniami i ławeczkami - jednak tutaj pozostawała w pierwotnym kształcie: wstęga powolnej szarej wody o szerokości jakichś piętnastu metrów z brzegami zawalonymi wszelkim możliwym śmieciem.

Spojrzał na mapę, na której ręką Gonzica był starannie nakreślony odrobinę nieforemny kwadrat, wcale nie z powodu drżenia niepewnej ręki, ale dlatego, że działka niegdyś taki miała kształt. Nietrudno było zorientować się w sytuacji, błędy przy pierwszych oględzinach są możliwe, ale drobne, zasadniczo na nic nie rzutujące...

Przyległy do rzeczki teren porośla twarda niewysoka trawa. Smolin wpatrywał się, ale nie dojrzał śladów oficyn, piętrowego dostatniego domu i wymienionych w umowie warsztatów z cegły. Tylko z prawej strony przez jakieś pięć metrów ciągnął się niewysoki wzgórek, raczej można się *domyślić* - no, tak, nędzne pozostałości jednego, jedyne fundamentu, licho wie, warsztatu czy budynku mieszkalnego...

Doskonale wiadomo, czemu właśnie tu nie pozostał kamień na kamieniu - jedyny teren w Szantarsku, na którym w dziewiętnastym grzmiał prawdziwy bój, a nie zwyczajna zacięta uliczna strzelanina. To z tamtych trzech wzgórz rwał się na nizinę za Kaczą pułkownik Łopaszenko z niedobitkami swojego pułku i czterema trzycalówkami - to była dla niego najkrótsza i najwygodniejsza droga, żeby się wyrwać na Trakt Syberyjski i podążać w ślad za wycofującą się armią „wielkorządcy państwa”. Pułkownik, w pełni świadomy, że za godzinę lub dwie na jego tyły wyjdą nacierający kutiewanowcy, zagrał *va banque* - ale broniący tego brzegu gorący partyzancki dowódca Kabaraszwili ze swoimi czerwonymi orłami również nie miał zamiaru ani się wycofywać, ani ustępować.

Tak więc trafiła kosa na kamień... Plunąwszy na oszczędność amunicji, Łopaszenko wściekłym ogniem czterech polówek dosłownie rozniósł w strzępy zarówno obejście Biessmiertnych, jak i dwa sąsiednie domy, w których nie posiadający artylerii partyzanci

---

<sup>20</sup> Sekretki (ros.) - nakrętki i śruby zabezpieczające koła auta przed kradzieżą - przyp. tłum.

ustawili dwa karabiny maszynowe. Dopiero wtedy, po stracie co najmniej połowy stanu osobowego, ranny Kabaraszwili nakazał odwrót. Porzuciwszy wszystkie działka, pułkownik jednak przedarł się na drugi brzeg i dotarł do drogi - jego dalszych losów Smolin nie znał, zresztą nie zamierzał się tym interesować. Kiedy życie nieco się ustatkowało, w ruinach zasiedli złodzieje-rozbójnicy z solidnym przedrewolucyjnym stażem i blisko rok mieli się dobrze, jednak później ówczesny naczelnik dochodzeniówki, chcąc pozbawić ich schronienia, w porozumieniu z władzami partyjnymi zorganizował kolejny rewolucyjny sobotnik, podczas którego resztki kamienicy i przyległych budynków w dosłownym sensie zrównano z ziemią. Miało to miejsce w dwudziestym drugim albo w dwudziestym trzecim - i tak wyszło, że więcej na tym terenie już nic nie budowano; miasto rozrastało się jednocześnie w kilku kierunkach, ale na byłą Nowokuznieczną sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem i sześćdziesiąt osiem wszystkim kolejnym władzom brakowało czasu...

Jeszcze raz spojrzawszy na plan, Smolin ostatecznie upewnił się, że o żadnym błędzie czy niedokładności nie może być mowy: cała dawna działka Biessmiertnycha, przeszło pięćdziesiąt arów, była teraz gołą ziemią, zupełnie bezpańskim pustkowiem.

Dopiero teraz do niego *dotarło*. Dopiero teraz zrozumiał myśl nieboszczyka Nikifora - i na nowo, który to już raz, w myśli zdjął kapelusz przed starym wilczyskiem. Rzeczywiście, wśród wad Czepurnowa nie było jednej - małostkowości. Kościej nie zajmował się drobiazgami, co nie, to nie. Głowa...

## Rozdział 6.

### ANGIELSKA PCHŁA I SZANTARSCY CUDOTWÓRCY

Dwie bestie za parkanem zanosiły się wściekłym ujadaniem, szalały dobrą chwilę. Wreszcie trzasnęły drzwi, Maestro krzyknął na nie z ganku, sądząc po odgłosach złapał za obroże i zaciągnął do klatki. Wciąż jeszcze czekały, ale już z oddali, z jednego miejsca.

Szczęknęła zasuwka, furtka otworzyła się i Smolin wszedł na podwórko. Maestro uniósł dłonie, pokazując, że na uściski nie czas - ręce miał umazane olejem silnikowym i niebieską farbą.

- Cześć - odezwał się Smolin, zamykając za sobą furtkę. - Co wymyślasz?

- A tak sobie, perpetuum mobile... Chodźmy.

Z woliery wrogo wpatrywały się w gościa dwa owczarki kaukaskie - szary i czarny. Szybko pospieszył do domu, chociaż widział, że mocnego ogrodzenia za nic nie mogą obalić. Maestro kroczył przodem - niziutki, łysawy człowieczek o najbardziej prozaicznym wyglądzie, w podkoszulku i znoszonych spodniach od dresu, kilka lat starszy od Smolina. Wprost przed nosem gościa pospiesznie zamknął drzwi. Smolin w najmniejszym stopniu się nie obraził - był tylko jednym z wielkiej mnogości klientów, sam nie pchał się do cudzych spraw i również nie chciał, żeby ktoś pchał się w te, z którymi tutaj przychodził, więc wszystko było w porządku. Główna zasada etyki zawodowej, dotycząca rozgłosu, polegała na tym, że Maestro zawsze ostrzegał swoich, gdy zrobiona przez niego rzecz trafiała na szantarski rynek...

Smolin wszedł przez następne drzwi, na prawo, które gościnnie przed nim otworzono. W obszernym pokoju stały trzy stoły i czego tylko na nich nie było... Oczy się rozbiegały.

- Papierońiczki gotowe - powiedział Maestro całkowicie obojętnym tonem. - Jak?

Smolin obrócił w palcach obydwie, kiwnął głową:

- Złote masz ręce, co tu gadać...

Jedna papierońnica, płaska, o niestandardowych rozmiarach, była ozdobiona przylutowanym na pokrywcę dużym austriackim medalem „Za Odwagę” z profilem cesarza i króla Franciszka Józefa. Druga, również srebrna, o zwyczajnych proporcjach, niewiele odbiegających od współczesnych - przedwojennym łotewskim znakiem pułkowym z trzema białymi emaliowanymi gwiazdami, mieczem i monogramem...

Po tym, jak przeleżały w stosownych warunkach, miało się absolutne wrażenie, że i

medal, i pułkownik były na papierośnicach od początku, a nie zostały mistrzowsko przyłatanie złotymi rękami Maestra przed dwoma tygodniami...

To nie były podróbki, ale przedmioty o klasę wyżej - tak zwane montaże. I medal, i znak - autentyczne. Medal austriacki cieszy oko na autentycznej austriackiej papierośnicy, wykonanej przez wiedeńskich jubilerów jeszcze przed pierwszą wojną światową, łotewski znak - także na autentyku liepajskich mistrzów z lat dwudziestych (ozdobionym dodatkowo radzieckim stemplem „osiemsetsiedemdziesiątkąpiątką”).

Po co więc było tyle trudu? Wyłącznie po to, że podobne zabiegi zmieniały rzeczy nie w unikaty, ale w niewątpliwe rarytasy. Jeśli sprzedawać osobno, zwyczajną, ogólnie rzecz biorąc, papierośnicę i zwyczajny medal, uzyska się znacznie mniej niż można zarobić na komplecie. Można, oczywiście, stwierdzić, że medal i znak zostały dodane do papierośnic w znacznie późniejszym czasie, ale do tego będzie potrzebna na tyle skrupulatna i kosztowna ekspertyza, że wydatki na nią wyniosą ze dwadzieścia razy więcej niż cena rynkowa przedmiotów. Nikt więc na to nie pójdzie - ostatecznie chodzi co najwyżej o paczkę docłów, a nie o wiele tysięcy. W końcu to nie dzieło Celliniego - to sprawdzano by niejednym miesiącem, angażując znawców z całej Europy (no, tam i stawki w grze byłyby inne).

Zresztą, jeśliby postawić przed Maestrem zadanie zrobienia Celliniego, ze stosownym honorarium, to jeszcze nie wiadomo, czym by się to skończyło tam, w Europie. Jak w każdym antykwariatuszu, również w Smolinie od dawna drzemało marzenie, żeby kiwnąć osławioną Europę jak się należy, tylko że rutynowa biegania nie zostawiała czasu...

- A jak kałamarz?

- A proszę - Maestro kiwnął w bok.

Smolin wstał, zrobił kilka kroków, przyjrzał się. W wielkiej klatce, napełnionej grubą warstwą zbrązowiałych trocin, sumiennie przemacerowanych z odchodami i moczem, uwijało się z pół setki białych myszy, dorosłych i małych: jedne beztrąsko kimały, zwinięte w kłębuszek, inne biegały na wyścigi, w jednym kącie zapamiętały walczyły, w innym cynicznie spółkowały. Pośród tej ciszy można było rozróżnić znajome kształty...

- Co, gotowe?

- Decyduj sam, klient nasz pan...

Otworzywszy wierzch klatki i zanurzywszy w jej wnętrzu rękę po łokieć, Maestro wyjął z trocin masywny brązowy kałamarz wielkości dużej księgi, z dwoma okrągłymi gniazdami, w które były wstawiane właściwe kałamarze, z otwierającą się na zawiasach przykrywką w kształcie rozciętego na połowy żebrowanego cylindra. Wydostał go z klatki, ostrożnie strząsnąwszy do wnętrza parkę myszy.

Smolin bez najmniejszej odrazy wziął go z rąk mistrza, obrócił na wszystkie strony, chrząknął z uznaniem. Ważąca kilka kilogramów brązowa konstrukcja, dzięki mysim staraniom, pokryła się plamami i plamkami jadowicie zielonej patyny, brąz pociemniał, utracił wszelki blask. Wydawało się, że wygrawerowany na brzegu napis: „BIBLIOTEKA S.P.B. ODDZIAŁU OCHRANY”, został wykonany właśnie ponad sto lat temu, podobnie jak napisy na przeciwnej stronie: „1905 r.” i „BWP” oraz starty w połowie napis w owalu „Berg”.

Nie była potrzebna najmniejsza poprawka. Wyszła lipa pierwszej klasy, która mogła wprowadzić w błąd niejednego eksperta, a już o łosiach nie ma co mówić. Maestro mógł odrestaurować cokolwiek tak, że rzecz wyglądała na nietkniętą od nowości, a mógł również z nie mniejszym powodzeniem własnymi rękami *zmajstrować* masę ciekawych rzeczy, których nie będziesz sprzedawał za byle co, choćby z szacunku dla pracy syberyjskiego samorodka...

- No jak?

- Jesteś geniuszem, Maestro - szczerze zachwycił się Smolin. - Aleksaszka dojrzewa?

- Dojrzewa. Sam powiedziałeś, że jest czas.

- Ależ naturalnie, nie myślę cię poganiać. Nie pali się... Panteleicz, znowu pomyślałem... A nie zamachnąć by się nam kiedyś, przeżegnawszy się, jednak na Benvenutę naszego Celliniego?

Zręcznie wyjąwszy pęsetą papierosa z otwartego drewnianego pudełka, Maestro włożył go do ust, drasnął zapałką, z przyjemnością się zaciągnął, uśmiechnął się z miną człowieka doskonale świadomego swojej wartości:

- Waś, przecież wiesz: ja nawet z Benvenutą jestem gotów spróbować. Jeśli będzie odpowiednie finansowanie. Co, są wreszcie tatuażyki?

- Postukać w niemalowane - powiedział Smolin i szybko dotknął kostkami palców drewnianego blatu stołu. - Kot Uczony niedługo jedzie do Zurychu pogrzebać w starociach i zamajaczył tam jeden ciekawy koleś... Jeśli co, to cię momentalnie wywołam, nikt, oprócz ciebie, Europy wybykać nie jest w stanie... Masz coś ciekawego dla mnie?

- Pamiętasz papierośniczkę, którą Micha przywiózł z Barnaułu? Tę z Mcyrim, który dusi panterę?

- Co nie mam pamiętać. Sądząc po tłoczeniach to lata nepowskie, według carskich wzorów...

- Aha. Wrubel przyprowadził mi dwa tygodnie temu jakiegoś szczurka, według wszystkich oznak nie naszego. Wyglądał mi na moskiewskiego łosia. Zamówił dla niego faberowskie tłoczonki.

- Zrobiłeś?

- Co bym nie miał zrobić... Dziesięć dni, jak oddałem. Miej na uwadze...

- Będę miał. Dziękuję... Nic więcej?

- Jakby nie. Zajrzyj do Wrubla, znowu wrzątkiem sika.

- Z powodu?

- Ktoś mu w Mańsku opylił za kupę kasy wielką emalkę. Dobra emalka, nie ma co, ale przecież podróba. Zwróć uwagę, w Mańsku zainstalował się majster, który trzaska całkiem przyzwoite emalki, mnie czy ciebie nie nabierze, ale dla *przechodnia* całkiem może być.

- Trzeba to będzie zobaczyć - Smolin zmrużył oczy. - Każdego dnia niespodzianki, co... Rosną kwalifikacje prowincji...

Jakiś czas w milczeniu wydmuchiwał dym, z zadowoleniem spoglądając na „rarytas” w postaci kałamarza. Cóż, takie jest życie. Antyki zaczęto podrabiać od czasu, kiedy pojawił się na nie popyt - a cóż wy chcecie, moi drodzy? Gdzie popyt, tam i podaż... Tu cała rzecz w etyce, a tę każdy ma własną. Zdarzają się rzodkiewki, które potrafią opchnąć lipę nawet swoim - źli ludzie, niedobrzy, nieprawidłowi... Sam Smolin wyznawał jakościowo inne zasady: swoim stałym klientom, znawcom i koneserom w życiu nie podsunąłby lipy (nie tylko z racji szlachetności duszy, ale również dlatego, że korzyść jest chwilowa, natomiast plama na reputacji - na długo). Tymczasem sam Bóg przykazał (Panie, zmiłuj się!) ogolić przyjezdnego łosia, któremu kieszenie pękają od kapusty, a morda od zarozumiałstwa. W szczególności dotyczy to dzianych mieszkańców stolicy naszej ojczyzny - których z wielkim zadowoleniem robią w konia na całej Wielkiej Rusi, uważając taki czyn nie tylko za przywrócenie sprawiedliwości społecznej (oni tam, wiadomo, mają kupę kasy), ale również za sport narodowy. Nie wiedzieć kiedy powstał cały rozdział miejskiego folkloru: „Jak kiwnęli przyjezdnego moskwianina” - przy czym, co ciekawe, zmyślnego tam jest bardzo mało, wszystko, jak czasem leci w napisach, oparte jest na realnych wydarzeniach...

- Dzięki, Panteleicz - powiedział Smolin, wstał i starannie zawinął kałamarz w plastikową reklamówkę, papierośnice zaś ostrożnie umieścił w kieszeniach. - Pójdę wieść grzeszny żywot...

\*

Nie pierwszej młodości pajero Smolina dość pewnie kołysało się na wybojach nieszerokiej uliczki - natomiast jadący śladem za nim, co i raz pozostający w tyle, czarny najnowszy lexus często hamował, poruszał się zygzakiem, omijając szczególnie nieponętne dziury. Czasem Smolinowi, który z uśmiechem zerkał w lusterko wsteczne, zdawało się, że elegancka bryczka zrobiła udręczoną minę i gdyby mogła mówić, na pewno bluznęłaby

przekleństwami: w co mnie wpakowaliście, dręczyciele?

- A ja myślałam, że tu są tylko sami narkomani... - powiedziała siedząca obok Inga.

Zezując mimochodem na opalone nóżki, ledwie osłonięte w górnej części czerwoną spódniczką, Smolin parsknął:

- Są tu również ludzie normalni, to znaczy pijacy...

Do tej chwili gryzły go wątpliwości: czy dobrze zrobił zabierając ze sobą na poważną akcję tę płótkę pióra. Opalonych zgrabnych nówek jest na świecie bezmierne mnóstwo - podobnie jak i ładnych buziaczków. Gorzkie zaś doświadczenie życiowe uczy, że naiwność, bezpośredniość i pewna solidność w takich oto oczętach migiem mogą zmienić się w niemałe tarapaty, w kły wampira, wysuwające się spod różowych usteczek... Nikomu nie wolno ufać, szczególnie młodemu pokoleniu, któremu do głowy nie wtlaczali bodaj minimum ideowej karmy, którą pokolenie Smolina w całości puściło między uszami...

I uspokajał się: to rozsądne ryzyko zawodowe, wszystko zostało podjęte po to, aby spróbować pozyskać własnego zaufanego człowieka w popularnej gazecie... a także, jeśli karta pójdzie pomyślnie, zobaczyć też, jak ta bluzeczka się rozpina. Niemniej, w głębi duszy czuł coś niezgodnego z filozofią „jednego na krze”, dlatego też nieco się złościł na siebie: tego brakowało, żeby człowiek w jego wieku, z jego przyzwyczajeniami i doświadczeniem życiowym zwracał uwagę na rzeczy nieistotne, czy to mało było smutnych przykładów?

Zwolnił do szybkości pieszego, wysunął głowę z okna, dokładnie przyglądał się numerom domów. Zatrzymał samochód, zamknął okna, wyłączył silnik. Wskoczył pierwszy, podał rękę Indze, żeby nie połamala wysokich obcasów przy wysiadaniu na nierówny grunt.

Dookoła, jak zwykle w południe, panowała względna cisza, aczkolwiek w domu naprzeciwko łomotała muzyka, a jakieś sto metrów od nich po szerokiej sinusoidzie brnął obszarpany aborygen, głośno wyjąc jakiś nieokreślony szlagier.

Podjechał lexus, zatrzymał się na styk. Kierowca - jeśli to określenie jest właściwe dla eleganckiego młodego mena w krawacie w paski - żywo wybiegł, otworzył tylne drzwi patronowi, a tamten niespiesznie wysiadł z auta. Z dziesięć lat młodszy od Smolina, ale można mu dać jeszcze mniej: syta, wypielegnowana, szczęśliwa fizjonomia, szlachetna opalenizna uzyskana nie w wulgarnym solarium, ale gdzieś na egzotycznych kontynentach. Osobisty masażysta, oczywiście zdrowy tryb życia i tak dalej. Król życia, ogonem go po łbie. Nafciarze...

Pan Diegtiarienko z pewnym niezadowoleniem pociągnął nosem - zewsząd dolatywały zapachy bynajmniej nieglamurowe. Od razu okazało się, że ktoś w pobliżu hoduje świnię, a jego sąsiedzi korzystają ze zwyczajnej sławojki z dykty. I tak dalej, włącznie z

wychudłym kundlem o wyglądzie włóczęgi, który właśnie gorliwie załatwiał się niemal pod kołem pajero.

- Dokąd pan każe? - z nieskrywaną ironią spytał Diegtiarienko.

Smolin kiwnął w stronę niewysokiej koślawej bramy. Na podwórzu stała uboga chatka, zgoła być może pamiętająca czasy, gdy carski policjant Migula z jedynym w całej guberni rottweilerem ganiał tu element przestępczy. Poszarzałe bale, dach przegniły, w mikroskopijnym ogródku nie kwiatki rosną idyllicznie, ale porozrzucane jakieś zardzewiałe żelastwo i nie wiadomo skąd poniewiera się także blaszana tablica z napisem „Łażnia Nr 43”.

Po drugiej stronie bramy krztusiła się piskliwym szczekaniem psina, sądząc po mizernym głosiku, niewielka. Smolin bez ceremonii podszedł do furtki i załomotał w nią pięścią. Po dłuższej chwili skrzypnęły drzwi i czyjś przepity głos ochryple ryknął:

- Kiego... waszą... rypiecie się... w...?

- Siergieicz, otwórz! - krzyknął Smolin. - To ja, z klientem!

- Z fujentem... - doleciało gderliwe zza bramy.

Jednak, sądząc po odgłosach i wściekłych przekleństwach, gospodarz zagonił pieska do szopy, zamknął go i bez pośpiechu otworzył furtkę. Przyjrzał się gościom i cofnął dwa kroki:

- Wejdźcie, skoroście przyleźli...

Był to osobnik około siedemdziesiątki, wychudły i nieskładny, z trzydniową szczecina na zapadniętych policzkach. Aczkolwiek bosy, to paradował w wyświechtanym garniturze w prążki (marynarczyna na podkoszulku z dziurą na chudym brzuchu, na klapie dwa medale z zabrudzonymi, doszczętnie wypłowiałymi wstążkami: „Za zagospodarowanie ugorów” i „Za zasługi w pracy”. Rozprzestrzeniała się od niego fala zastarzałego przepicia i inne, nie mniej naganne aromaty.

Pokiwawszy się i pomrugawszy, nieoczekiwanie odwrócił się i nie zwracając na nikogo uwagi poczłapał bosymi nogami do domu. Smolin dał zachęcający znak przybyłym i pierwszy ruszył śladem gospodarza.

Po przejściu przez ciemną sień znaleźli się w jedynym pokoju, który nadmiarem umeblowania nie grzeszył: ogromna pomarszczona szyfoniera z prasowanej sklejki, szafka na podobieństwo kuchennej, łóżko, stół, para krzeseł. Na prawo, za pozbawioną drzwi futryną, była malutka kuchnia z dużym rosyjskim piecem i miriadami much.

Gospodarz pospiesznie klapnął za stołem, na którym stała do połowy opróżniona półlitrowka, na kawałku gazety leżały kwaszone ogórki i bochenek chleba oraz stała puszka po konserwach, przepełniona niedopałkami. Nalał sobie do plastikowego kubeczka, wypił,



skrzywił się i oznajmił:

- Krzesło wolne, jeśli kto chciałby... A może, komuś wódki?

Nowo przybyli, rzuciwszy okiem na to, co im zaproponowano, zgodnie pokręcili głowami, Inga nawet odsunęła się od krzesła, jakby w obawie, że ją siłą usadzą w czystej spódniczce na tym okropieństwie.

- No co, wódki znaczy nikt nie będzie... - swobodnie kontynuował gospodarz. - Pies z wami, zostanie więcej dla mnie... Który to kupiec, Waśka? - przyjrzał się. - Nie-a, nie młody i już na pewno nie dziewczucha... O ten - uniósł rękę i pokazał palcem na Diegtiarienkę. - Ma portret, jakie dawniej nosili na manifestacjach... - pracowicie nadał policzki i zadarł głowę. - Kupiec, aha, dokładnie...

Diegtiarienko odezwał się z godną szacunku obojętnością:

- Kupiec jest, gdy jest towar...

- Złote słowa mówicie, panie towarzyszu! - gospodarz podniósł dłonie i bezgłośnie zaklaskał.

Wszystkie palce prawej ręki i dwa lewej miał jakieś pokrzywione, zdaje się kiedyś połamane i nieprawidłowo zrosnięte. Inga starannie patrzyła w bok, udając, że ogląda pokój, jakby tu było cokolwiek godnego uwagi.

- No dobrze - gospodarz hałaśliwie odsunął krzesło i wyprostował się. - Głodny brzuch nie ma uszu... Znaczy, ma pan chęć nabyć ostatnie rodzinne relikwie, zachowane przez życiowe burze? Och, grzeszna to rzecz handlowanie pamięcią rodzicielską...

- No, przecież nie rodzicielską, Siergieicz - Smolin wtrącił z uśmiechem. - Dziadów, tak będzie dokładniej...

- Jedna cholera. Wszystko rodzinne - powiedział Siergieicz, demonstrując na twarzy bezmierny smutek. - I przełamać ten grzech, który biorę na sumienie, można tylko przyzwoitym pieniądzem...

- Pieniądze się znajdują - tak samo beznamiętnie odezwał się królik naftowy. - Proszę pokazać, jeśli ma pan zamiar zająć się sprawą...

- Cóż robić...

Siergieicz otworzył drzwiczki szyfoniery, które z żalosnym skrzypieniem zawisły tylko na dolnej zawiasie, kucnął i długo grzebał, brzęcząc czymś i szurając. Wreszcie wyciągnął pogniecione pudełko z kartonu, podtrzymując je od spodu zniekształconą dłonią, żeby się nie rozleciało, przeniósł do stołu, z hałasem rzucił na blat i coś mamrocząc zaczął wyjmować zawartość: kilka fotografii naklejonych na twarde passe-partout, dwa pociemniałe medale, jakieś papierki... Wreszcie pojawił się masywny kałamarz z brązu, sądząc z napisu

należący niegdyś do Biblioteki Sankt Petersburgskiego Oddziału Ochrony. Siergieicz ze dwa razy klapnął wieczkiem, podnosząc je i zamykając, po czym rozłożył ręce:

- Czym chata... Dziaduś, świeć Panie nad jego duszą, był to chłopiec przemyślny i z wielkimi fantazjami. Gdy w siedemnastym w Pitrze bronili starego reżimu, to on, proszę was, wziął sobie to głupstwo na pamiętkę bohaterskiego udziału w Wielkiej Październikowej... Ja osobiście, powiem wam uczciwie, niezawodnie postarałbym się napakować kieszenie czymś droższym, w siedemnastym, na pewno, wszelkiego niczyjego złotka i kamyków było jak błota... Ech...

Samemu Smolinowi zachciało się westchnąć ze smutkiem. Nie trzeba żadnego innego marzenia: żeby tak maszynę czasu i do Pitra, w grudniu siedemnastego, gdy w obu stolicach nie to, że mieszkania - pałace, jak choćby Jusupowa, stały bez nadzoru pośród powszechnego chaosu i całkowitej niewiedzy. Dwa tygodnie tam i umierać później nie żal...

- Była jeszcze szabla i para mauzerów - ciągnął Siergieicz, drapiąc się. - Tylko że jak w trzydziestym siódmym po dziadka przyleźli, to je stosownie capnęli w pierwszej kolejności. A to wszystko - wskazał palcem przedmioty leżące na stole - babka jeszcze w trzydziestym szóstym, na wszelki wypadek, do saganka wepchnęła i w chlewku zakopała głęboko, a dziadkowi skłamała, że wrzuciła do studni. I dobrze zrobiła: za taki kałamarz dziadkowi jeszcze dołożyliby i służbę w ochronie w stopniu pułkownika... Jakby przewidziała: w studni długo grzebali, a w chlewku było nawozu po kolana, szkoda im było buty brudzić... Możecie sobie obejrzeć, szanowny panie, jeśli was to interesuje, możecie wziąć do rąk i przyjrzeć się. Tylko uprzedzam zawczasu: ja nie wdałem się w dziadka, rewolucyjnej romantyki się pan nie doczekasz, więc pieniążki mam zamiar z pana zedrzeć niemałe. Pojmij to dobrze, żeby nie było później nieporozumień. Towar i tak zejdzie, jak mi powiedzieli...

Diegtiarienko podszedł do stołu, przymrużył oczy, wyciągnął rękę. Fotografie i stare kartki papieru ze spłowiałym tekstem maszynowym przeglądał pobieżnie. Znacznie więcej czasu poświęcił medalom za nienaganną służbę w policji z profilami Aleksandra III i Mikołaja II, otoczonymi wieńcami. Wreszcie zabrał się do kałamarza, uniósł go jedną ręką, lekko jak piórko - zdrów i silny był, byczek - bez cienia pogardy, przeciwnie z błyskiem w oczach (aczkolwiek próbował gładką fizjonomię uczynić nieprzeniknioną) oglądał tak i siak, obracał, niemal wodził po nim nosem, drapał paznokciem, tarł poślinionym palcem... Inga obserwowała go z niewysłowioną ciekawością, natomiast Smolin - zupełnie beznamiętnie. Młodego mężczyznę w krawacie, od razu było widać, że to, co się tu dzieje, otwarcie go nudzi. Nie rozumiał pańskich kaprysów, od razu można było wyczuć, że smrodliwie mu tu i ubogo, fagasowi zasranemu...

- Jak pan myśli? - spytał Diegtiarienko bez szczególnego zainteresowania.

Smolin wzruszył ramionami:

- Cóż, nie jestem ekspertem, tylko handlowcem. Osobiście nie miałem okazji takich rzeczy trzymać w ręku, więc się wstrzymam...

- Niepotrzebnie - w głosie Diegtiarienki dźwięczał niekłamany triumf, świadczący, że klient *połknął* haczyk. - Oczywiście tu, w waszej głuszy, sensownych ekspertów się nie znajdzie... Zresztą nie są potrzebni. Takiej patyny nie da się podrobić...

Smolin pomyślał, że osobiście za nic nie nazywałby górnolotnie patyną śladów miesięcznego mysiego sikania - ale, rozumie się, swoje myśli mocno trzymał dla siebie. Odczuł nawet pewne znudzenie - tak gładko wszystko szło. Ten prosiak, nabity dolcami, jak śledź ikrą, nie miał nawet pojęcia, że Syberia pod pewnymi względami to jedna mała wieś. Po raz pierwszy Diegtiarienkę odnotowali w Tiumeniu, ale tylko przelotnie, bez konkretnych (kontakty z Tiumeniem były słabe i nieregularne). Natomiast później, kiedy pojawił się w Nowonikołajewsku, „po linii” momentalnie rozeszły się już konkrety: że niejaki Człowiek z Obwodu Moskiewskiego, taki wiceoligarcha z ropy, na urlopie zamiast jak inne porządne grube ryby błyszczeć z panienkami po Europie czy biegać z bazuką za afrykańskim nosorożcem, kręci się po Syberii w poszukiwaniu przedmiotów związanych z policją i specsłużbami Imperium Rosyjskiego. Przy tym nie jest drobiazgowy, a jeszcze, co ma niebagatelne znaczenie, w stosownych antykach orientuje się piąte przez dziesiąte, chociaż ma się za wielkiego znawcę.

Nowonikołajewskie chłopaki rzecz jasna niczego nie pożałowali dobremu człowiekowi, opchnęli mu coś oryginalnego i dosyć rzadkiego po zawyżonej cenie, a na dokładkę tandetę oraz najwięcej dobrze wyglądających podróbek, również po paskarskich kosztach. Maestro nie był przecież jedyny taki utalentowany w całej Syberii, zresztą również import przychodzi z pomocą...Gdy Herr Diegtiarienko pojawił się w Tomsku, na jego wizytę już byli przygotowani i znowu nieźle zagrali. I, jako ludzie rzetelni, przekazali wieści sztafetą do Szantarska, dając Smolinowi czas na przygotowanie się...

Im bardziej przyglądał się z beznamiętną twarzą, tym bardziej się upewniał, że klient jest gotowy. Rzecz nawet nie w jego pewności siebie - kupiwszy wczoraj od Smolina stuprocentowo oryginalnego „Smitha&Wessona”, tego właśnie „króciaka” i jeszcze coś, również prawdziwe, rozluźnił się i podświadomie oczekuje od Szantarska wyłącznie oryginałów...

Gospodarz chałupy nacedził sobie wódeczki i czknawszy przelał ją do gardła pozostając z taką miną, jakby przebywał tu w dumnej samotności. Po czym burknął:

- Dziurki nie przetrzyj...

Kałamarz głucho stuknął o blat stołu. Wycierając palce piękną chusteczką w kratkę, kupioną nie bliżej niż kilka tysięcy wiorst od granicy Ojczyzny, Diegtiariehko spytał od niechcienia:

- No i cóż pan chce?

- Głupstwo - uśmiechnął się gospodarz. - Dziesięć tysięcy dolców za wszystko, jako że przedmiociki są do sprzedaży nie w pojedynkę, ale wyłącznie w pełnym komplecie.

- Ceny tu macie... - naftowy pan pokręcił głową z miną człowieka nawykłego do targowania się i umiającego to robić.

- No dob-bra! - zająknął się gospodarz. - Żeby było jasne, kumoterku... Jeśli pomyślałeś, patrząc na to wszystko... - zatoczył ręką dookoła w sposób nieokreślony - że przylazłeś do skończonego alkoholika, toś się mocno pomylił. Ja, bratku, nie jestem alkoholikiem, ale pijakiem. Łapiesz różnicę? Alkoholik mózg przepił, pijak zaś nie całkiem i nie zawsze... Ja swoją normę znam, połykam i przestaję, a moja chata jest tak zapuszczona nie dlatego, że wszystko tu przepiłem, a wyłącznie dlatego, że przebywam tu tylko latem, żeby wódeczki popić z dala od konkubiny, by mniej mamrotała. Mieszkanko mamy na drugim końcu miasta, co ma się tu pchać... I jeszcze. Ja, kochany, nie zawsze byłem takim menelem, ja, żebyś wiedział, mam skończone technikum rolnicze, od niechcienia pstryknął palcem, komsorgiem<sup>21</sup> osiedla byłem. Gdyby nie wódeczka i zamiłowanie do wolnego życia, to może bym się na sekretarza rajkomu wybił, ale nie wyszło. Krótko mówiąc, książeczki też czytujemy, hartowanie partyjno-polityczne przeszliśmy dawno, jeszcze w czasie woluntaryzmu. Krótko mówiąc, słuchaj. Przecież ja doskonale wiem, że takich kałamarzy na bożym świecie zostało tyle co nic. Masz, nawet Jakowlewicz nie miał takiego w rękę, a on staroci widywał więcej niż ginekolog... tych tam. O, tam się poniewierają - kiwnął ręką w stronę parapetu, gdzie leżał stosik obszarpanych książek. - Tam wszystko jest rozpisane. W Pitrze tej ochrany było półtora człowieka, to nie gebe<sup>22</sup> z jego drapaczami chmur... A ile tam mieli urzędowych kałamarzy z pełnym pisemnym oznakowaniem? No kilka sztuk na całe nieliczne bractwo. A już bolszewicy później do żywego czyścili wszystko mające cokolwiek wspólnego z przeklętym starym reżimem, szczególnie takie te... To mówi teoria. A praktyka jest taka, że mnie, kochany, trafia się domek pod Szantarskiem. Nie pałac, ale na moje i

---

<sup>21</sup> Komsorg (ros.) - komsomolski organizator, wybieralny szef podstawowej organizacji komsomolskiej - przyp. tłum.

<sup>22</sup> Gebe (ros.) - gosudarstwiennaja bezopasnost' (bezpieczeństwo państwowe) - siedziba KGB - przyp. tłum.

Pietrowny skromne potrzeby... Żużlobetonik, jest niewielki garaż, na podwórzu można postawić klatki z królami, chlewik... Mam bzika, żeby dożywać w kułackim gospodarstwie. Więc jeśli mieszkanie opchnę, tę chatkę opchnę i dorzucę dziesiąteczkę zielonych, akurat wystarczy - wyszczerzył się. - No co, wyglądam na alkoholika, który mózg przepił? Co?

- Nie całkiem - beznamiętnie przytaknął Diegtiarienko.

- Ano właśnie. Dlatego ze swojej ceny nie zleżę. Chcesz - bierz, nie chcesz - jeszcze poczekam... Mam lata, ale jestem wytrzymałym dzieciakiem... Wcześniej czy później opyle za dychę. Ceny znam, nie bój się...

Diegtiarienko uśmiechnął się:

- A jeśli domek tymczasem pójdzie?

- Drugi się trafi. Nie można powiedzieć, że takich domków jest jak lodu, ale przecież to towar na targu nierzadki... w przeciwieństwie do tego - pogłaskał czule kałamarz. Ty sobie pomyśl: może właśnie w nim pióro maczali, jak na Wowkę Ulianowa pisali protokół za wszystkie jego wyczyny...

- Tutaj jest zaznaczone, że został wykonany w dziewięćset piątym - powiedział nafcziarz rzeczowo. - A Lenina w Rosji wtedy już dawno nie było...

- Co za różnica? - Obojętnie wzruszył ramionami gospodarz. - Czy nie jedna cholera? Lenina nie było, za to było dosyć współtowarzyszy i współbojowników, ich przecież do licha ciężkiego było, nie? Jak byś nie kręcił, to i tak wychodzi, że któregoś z przyszłych wodzów atramentem z tego agregatu opisywali. Przecież wszyscy, jak jeden, wyroki dostawali i byli w areszcie śledczym, zwłaszcza w Pitrze, kolebce, rozumiesz, rewolucji... Tak więc nie zleżę ze swojej ceny i namawiać mnie nie ma sensu. Ja, sokole, mam konkretne marzenie, a marzenia kosztują pieniądze. I jeśli nawet jeszcze litra wesse, to z rozumowania i tak nie wypadnę, więc nie licz... Co powiesz?

Niewinnie się przy tym uśmiechał, demonstrując brak połowy zębów, opłakany stan pozostałych i dwie wstawki z białego metalu, spojrzenie zaś miał aczkolwiek pijane, to jednak chytre i kłujące, pełne odwiecznego chłopskiego sprytu...

Zdaje się, że Diegtiarienko doskonale pojął sytuację - zarozumiałość bynajmniej nie zawsze idzie ręką w rękę z głupotą. Głupcy zresztą do rury za nic się nie przyssą.

Koniec końców stołeczny gość wyjął oszałamiający portfel z wytłaczanej skóry, nie patrząc, wprawnie palcami wskazującym i środkowym wyciągnął z niego paczkę szarozielonych papierków w bankowej banderolce - a ile tam jeszcze zostało, zazdrość bierze... Trzymał dolary w powietrzu, wyraźnie nie mając zamiaru z wrodzonego do nich szacunku kłaść ich na brudnym stole.

Siergieicz bez zbytniego pośpiechu podniósł się, wziął od niego paczkę, paznokciem zdarł papierową opaskę i uśmiechnął się, z sympatią oglądając prezydenta Franklina:

- Isz, gapi się, baniak, a jeszcze kudły zapuścił... Za Nikity ja takich kudłatych w komsomolskiej dyżurce strzygłem na Kotowskiego...

Jego palce, chociaż krzywe, migały z niewypowiedzianą szybkością, zielone papierki fruwały, przemieszczając się z paczki na kolana, gdzie jak zaczarowane układały się w taki sam porządkowy stosik, którego nie wstydziłaby się maszyna pakująca Rezerwy Federalnej USA. Młody człowiek w krawacie nie potrafił zachować opanowania i na jego twarzy pojawiło się niekłamane cierpienie: osobiście bezwarunkowo uważał podobne wydatki za kaprys. Zauważywszy to, Diegtiarienko skarcił towarzysza chłodnym spojrzeniem, więc tamten, wyprostowawszy się momentalnie zmienił się w manekin.

- Wszystko gra, jak w aptece - uśmiechnął się gospodarz, zręcznie wpychając paczkę do wewnętrznej kieszeni. - Władaj, kochany! Szkoda, że nie mam czym jeszcze ucieszyć, dobremu człowiekowi wszystko bym oddał... Ty mi może telefonik zostawisz? Poszperam po sąsiadach, może coś wyciągnę. Ta dzielnica jeszcze przed rewolucją była schronieniem elementów kryminalnych, więc tu, możliwe, że coś wypłynie, gdy będą rozbierać domy...

- A to jest niezła myśl - miłościwie kiwnął Diegtiarienko. - Proszę się kontaktować przez Wasilija Jakowlewicza...

Szczęśliwy pochwyił kałamarz z miną, jakby trzymał niemowlę i władczy gestem nakazał swemu towarzyszowi zabrać pozostałe drobiazgi. Następnie przyjezdni, nie dbając o długie i czułe pożegnania, wylegli na podwórze. Pozostał tylko Smolin. Podszedł do stołu, wyciągnął rękę. Gospodarz wzdychając wyciągnął paczkę dolarów i podał mu. Odliczywszy pięć papierków, Smolin już miał oddać należny procent, ale w ostatniej chwili wstrzymał rękę, natomiast drugą bezceremonialnie wsadził do wewnętrznej kieszeni starej marynarczyny i wyjął z niej dwa banknoty. Gospodarz ze skruszonooszukańczą miną rozłożył ręce. Smolin potrząsnął mu pięścią pod nosem, ale dał pięćset dolarów i z naganą pokręciwszy głowę, wyszedł.

Na podwórzu Inga kończyła fotografowanie szczęśliwego posiadacza unikatowego przedmiotu i wypytywała o szczegóły. Diegtiarienko z miną ważną i autorytatywną chętnie i obszernie głosił, jak wielkie znaczenie w polowaniu na unikaty ma wyczucie, wieloletnie doświadczenie, szósty zmysł, węch prawdziwego myśliwego... Były to złote słowa, pod nimi wielu się mogło podpisać, tylko nie przeszkodziłoby do nich dodać, w tym konkretnym przypadku, także prawdziwego doświadczenia, a nie głupiego zarozumiałstwa...

Kątem ucha Smolin słyszał, jak Diegtiarienko tym samym pańsko-niedbałym tonem

zaprasza Inge, żeby dokądś z nim pojechała, obiecując opowiedzieć masę ciekawych rzeczy o tajemniczym i fascynującym świecie kolekcjonerstwa. Kichać mu na to z wysokiej wieży, dziewczyna nie była jego, ale postronna - tym niemniej rozmowa ich była mu nie w smak. Wyszedł z podwórza na nikogo nie czekając, transakcja została skończona i nie było potrzeby dłużej tu pozostawać. Po drodze do auta przeprowadził w myśli nieskomplikowane obliczenia. Zrobienie kałamarza kosztowało jakieś dwieście dolarów. Honorarium Maestra za wysokiej jakości postarzenie - trzysta. Staremu pokrace dał pięćset. Oba policyjne medale kosztowały go zaledwie sto dolców, ponieważ były podróbką czystej próby, chociaż umiejętnie postarzoną. Fotografie i dokumenty nic nie kosztowały, były wzięte ze stosu, który dostał mu się przy wymianie na coś równie taniego. Łączne wydatki to tysiąc sto. Zysk - osiem tysięcy dziewięćset dolarów. Nieźle. Szkoda tylko, że tak zyskowe transakcje odbywają się nie codziennie, a nawet nie co miesiąc...

Obok niego dostojnie przepłynął czarny lexus.

- Wasiliju Jakowlewiczu!

Inga pospiesznie szła do jego samochodu.

- A ja myślałem, że pani z nim pojechała - powiedział Smolin, czując coś w rodzaju radości, że stało się odwrotnie. - Słuchać o tajemniczym świecie...

- Do licha z nim. W oczach mu się wyświetliło, że na mnie też go stać i maksimum za pół godzinki sięgnie mi pod spódnicę... Nie jestem dla niego unikatowym kałamarzem, więc poradzi sobie...

Skręciwszy w lewo, Smolin ruszył po wybojach, wyjechał na asfaltową ulicę i dodał gazu.

- Ingo, proszę pamiętać, twardo mi pani obiecała - odezwał się z niepokojem. - O czym pani pisze, o czym nie pisze...

- Obiecałam, to znaczy tak zrobię... A właśnie, podrzuci mnie pan do redakcji?

- Nie ma sprawy.

Precyzyjnie skręciwszy w lewo wjechał w cichą uliczkę, noszącą imię jeszcze jednej płomiennej rewolucjonistki Agłai Lebiedowej, jeszcze przed zdobyciem Szantarska przez Kutiewanowa zamęczonej przez kołczakowską ekspedycję karną. Podobnie jak w przypadku Kutiewanowa, tutaj również nie roiło się od romantycznych szczegółów. Wspomniana Agłaja przed rewolucją spacerowała nie z nielegalną literaturą, ale z „żółtym biletem”, polityką nie interesowała się w ogóle. Wielkim jej amatorem i stałym klientem był dobrze prosperujący prowizor i tajny bolszewik Wajnsztok, który po zwycięstwie Wielkiego Października, gdy został głównym miejskim komisarzem, wziął ukochaną do siebie jako pewnego i

sprawdzonego towarzysza. We dwójkę postawili pod ścianą niemało „elementów kontrewolucyjnych" (w pierwszej kolejności Agłaja załatwiła posterunkowego Fortunatowa, który nieraz jej wlepił mandaty za uporczywe wykroczenia przeciwko przepisom policyjnym, a także wszystkich byłych klientów, którzy ją urazili albo nie dopłacili). Całkiem możliwe, że towarzyszka Agłaja, która bardzo szybko zdobyła opinię niezłomnego bojownika o sprawę światowej rewolucji, zrobiłaby niemałą karierę w szeregach WKP(b), ale wiosną dziewiętnastego, gdy w Szantarsku odbył się biały przewrót, ona, a także jej serdeczny przyjaciel Wajnsztok nie zdążyli uciec parostatkiem razem z rewkodem. Poprzedniego dnia nadużyli skonfiskowanego burżuazji staroreżimowego szustowskiego koniaczku, położyli się spać w bocznym pokoiku, gdzie pozostawili ich towarzysze walki (bunt natrafił na szczególny opór, czerwona władza pędziła na przystań w największym pośpiechu, kto miał sprawdzać listy i liczyć osoby...). Tak więc Kozacy esauła Kałnyszewa nakryli oboje ciepłutkich i niczego nie pojmujących. Wajnsztoka porabali szablami (tylko że wbrew drukowanej legendzie *Międzynarodówki* przy tym nie śpiewał i mów na cześć Lenina nie wygłaszał, ponieważ jest wątpliwe, czy rozumiał, co się dzieje), natomiast prawdziwe okoliczności zgonu towarzyski Agłai nic wspólnego z tą legendą nie miały - nie rozstrzelano jej, nie powieszono ani szablami nie rozplątano - Kozacy razem z rozłuszczonymi mieszczanami zabrali się do wykorzystania jej zgodnie z właściwym przeznaczeniem, jak w staroreżimowym czasie, a zebrało się ich tylu, że nawet Agłaja z jej bogatą przedrewolucyjną praktyką takiej procedury nie przeżyła...

- Mam nadzieję, że nie znalazłem się w kadrze? - przezornie zainteresował się Smolin, wracając do bieżącej rzeczywistości.

- Przecież obiecałam...

- No, niech będzie...

- Wasiliju Jakowlewiczu, a co pan taki strachliwy? Cały czas tylko o tym nie mów, tego nie fotografuj...

- Nie jestem strachliwy. Po prostu jestem przezorny. Taki mam biznes.

- Ale teraz wszystko było uczciwe? Człowiek sprzedał rzeczy i dostał pieniądze...

- No, rozumie się. Tylko że jeśli pani sądzi, że dziadek będzie tę sumę wnosił do deklaracji podatkowej, to się głęboko pani myli...

- Ach tak, o to chodzi...

- No tak. Oto ma pani kryminał. Niezgłoszone dochody, niezapłacone podatki na wielką sumę...

- Zaczynam rozumieć...



- À propos, na Zachodzie jest tak samo. Dokładnie. Tam też nie lubią ujawniać kolekcji ani powiadamiać fiskusa o wszelkich ciekawych transakcjach. Dokładnie pani mówię, pływaliśmy, wiemy... - rozejrzał się, podjechał do chodnika i wyłączył silnik. - Ingo, proszę posiedzieć kilka minut, ja szybciotko...

Andżelika szybko go zauważyła, zatrzymała się, gdy jeszcze nie podszedł dość blisko, popatrzyła, trzeba przyznać bez żadnego rodzinnego ciepła, z uprzejmą obojętnością - i tak dobrze, że bez szczególnych negatywnych emocji. Dwuletnie dziecię w lekkim kolorowym kombinezoniku na Smolina w ogóle nie zwróciło uwagi: stało sobie, trzymając się maminej torebki na długim rzemyku, zapamiętałe ssało czekoladowy batonik i obojętnie spozierało dookoła, nie wyodrębniając Smolina spośród otaczającego świata.

Osobiście nigdy nie podobało mu się to imię - Andżelika, to była wyłączna inicjatywa Lideczki, ale przekonała go koniec końców zgodnie z modą tamtej jesieni: wtedy w Szantarsku masa nowo narodzonych dziewczynek dostała takie imię (na ekranach właśnie pojawiła się złotowłosa markiza, którą los to zanurzał czarującym buziakiem w pomyje, to wynosił do pałaców).

- Witaj - powiedział Smolin.

- Witaj... - odparła Andżelika.

(Miał ogromne wrażenie, że w porę zamilkła, nieomal nie dodała „...eie”. No, nic dziwnego, właściwie...)

- Jak leci?

- Normalnie.

- Z mężem wszystko w porządku?

- Aha.

- Co u matki?

- W porządku. Ciśnienie jej czasem skacze...

- A wnuk, widzę, podrósł...

- Wnuczka - powiedziała Andżelika bez żadnych emocji. - Nawet zapomniałeś...

- Ach, do licha... - z pewnym zawstyżeniem powiedział Smolin. - Załatałem się...

- Sprawy? Wciąż te same?

- A jakież mogę mieć inne?

- Jasne... - spojrzała zezem na dżipa, Inge oczywiście także dostrzegła, ale w żaden sposób nie skomentowała, najpewniej dlatego, że rzeczywiście było jej wszystko jedno.

Nastąpiło milczenie. Czuło się wprost przygniatającą niezręczność. Smolin, jakby się nie starał, nie mógł odnaleźć w sobie żadnych *szczególnych* uczuć, jakie powinny ciepło i

lirycznie poruszyć się w duszy, gdy stoi przed nim rodzona córka i rodzona wnuczka. Czuł, że stała przed nim zupełnie nieznaną, sympatyczną młodą kobietą, w której nie dostrzegał najmniejszego podobieństwa do siebie (do Lideczki - o, tak), którą przez ostatnie ćwierć wieku widział z bliska może dziesięć razy i to mimochodem. A już dziecię (na śmierć zapomniał jej imię) w ogóle było obce - szkrab jak szkrab i nic więcej.

Nawet finalna replika, pozwalająca odejść *elegancko*, jakoś nie przychodziła mu do głowy. Myśli, pokłębwszy się, skrzyły w nawykłą kolej codziennych spraw, wyjął portfel, nie patrząc wyszarpnął wszystko z tej przegródki, w której leżały złożone na pół tysiącrublówki, zdecydowanie podał córce:

- Nigdy nie wiadomo... Malutkiej będzie potrzeba...

- Ale po co... - powiedziała Andżelika bez radości i bez szczególnego protestu.

- Przyda się, przyda - powiedział i włożył pieniądze do rozchylonej torebki, a za nimi także wizytówkę. - Dzwon, jeśli co.

- W porządku.

- No, na razie...

- Na razie...

Z największą ulgą odwrócił się na pięcie, usiadł za kierownicą, nie spieszył się z uruchomieniem silnika. Andżelika przeszła obok, jednak rzuciła na Ingę szybkie, ciekawe spojrzenie jak każda kobieta na jej miejscu. Niebawem znikła także z lusterka wstecznego.

Inga odezwała się ostrożnym tonem:

- Proszę nie pomyśleć, ja nie pcham się do pańskiego życia... Czy to pana *była*?

- To moja córka i moja wnuczka - odparł bez szczególnych emocji. Taki jestem stary...

- Czy pan się z nią pokłócił?

- Czemu pani tak pomyślała?

- Jakoś tak rozmawialiście... pospiesznie i chłodno.

- Jak obcy ludzie - powiedział, uśmiechając się na ile mógł beztrąsko. - Da-awno rozeszliśmy się... do licha, w tym roku będzie trzydzieści lat, jubileusz. Proszę, jak ten czas leci...

W spojrzeniu Ingi błyszczało coś w rodzaju zawodowej ciekawości:

- Powiedział pan, że antykwarystyką zajmuje się niemal od dwudziestego roku życia, pamiętam... A ona co, nie dzieliła pana zainteresowań?

- Można i tak powiedzieć - powoli powiedział Smolin bez cienia goryczy, nawet wesoło. - Ona była bardzo ideowa i taka jak należy, w przeciwieństwie do mnie. Gdy mi wlepili pierwszy warunkowy, był straszny skandal z ideologicznym podtekstem, a jeśli wziąć

pod uwagę, że rok nie upłynął, jak wpadłem po raz drugi, załapałem dwa latka już nie warunkowe...

- Pan co, siedział?

Szczególnego przerażenia w jej głosie nie było - tylko szczenięca ciekawość. W Rosji-Mateczce można zadziwić niejednego łagrową przeszłością. Szczególnie dzisiejszą bystrą młodzieżą, która napatrzyła się seriali typu *Lady w zonie*...

- No tak. I te dwa lata, a później jeszcze cztery. Niech się pani nie boi, nie za pedofilię...

- A za co?

- A tak. I warunkowy, i drugi wyrok za spekulacje.

- Za co?

- Za spekulacje.

- Jak to?

Smolin odwrócił się do niej i wpatrzył bardzo uważnie - nie, ona ani trochę nie żartowała, w rzeczy samej spoglądała nie rozumiejąc, jakby ktoś odezwał się do niej po marsjańsku...

- Spekulacja to, kiedy sprzedaje się drożej to, co w sklepie kosztowało taniej. Cena sklepowa tych książek była rubel czterdzieści, a ja je sprzedawałem po piątku...

- No i co?

Smolin odpowiedział z największą cierpliwością:

- Teraz to się nazywa „no i co”, a w tamtych czasach nazywało się przestępstwem kryminalnym i było stosownie karane. Przecież ja nie tylko książkami handlowałem, ale i ówczesnymi antykami. Z ręki. Domokrażcą byłem, że tak powiem...

- Znaczy, że pan już wtedy z antykami...

- No tak.

- A czemu od razu nie otworzył pan swojego sklepu? Nie miał pan kapitału startowego?

Smolin ponownie spojrzął na nią i znowu musiał stwierdzić, że mówiła całkowicie poważnie.

Rzetelnie próbował sobie wyobrazić, jak w roku siedemdziesiątym siódmym (czy to określającym, czy decydującym, czy jeszcze jakimś epokowym roku kolejnej pięciolatki) przychodzi do Szantarskiej Miejskiej Rady i kładzie na stół podanie z uniżoną prośbą o zgodę na otwarcie sklepu antykarskiego... albo jakiegokolwiek innego. No nie, czekistów by nie zawołali - ale upewniwszy się, że chłopak jest trzeźwiutki do psychiatryka zadzwoniłoby

natychmiast. A gdzieżby indziej oddać radzieckiego komsomolca, który powziął zamiar otwarcia własnego sklepu?

Może to i pięknie, że pojawiło się takie pokolenie, dla którego niektóre detale radzieckiego czasu to jak głupia bajka, w którą nie można uwierzyć. Tylko że Smolin odczuwał teraz nie radość z powodu nowego pokolenia, a niebagatelną gorycz z tego wszystkiego, co przeżywał wtedy, gdy były zabronione i ścigane najbardziej naturalne dla człowieka rzeczy. Nie na tym polega nieszczęście, że zabraniali czytać, jak jęczą zżarci przez mole demokraci - a na tym, że zabraniali normalnie handlować, pozbawiali rzemiosła, które człowiek opanował jeszcze w epoce kamienia.

- Czemu się pan uśmiecha?

- A co miała pani z historii na uniwerku?

- No w ogóle, to...

- Rozumiem. Kochana Ingo, a w tamtych legendarnych czasach, człowieka, który pomyślał o otwarciu własnego sklepu, momentalnie spławiliby do psychiatryka. Nie słyszała pani o tym?

- No, wyobrażam sobie... W ogólnym zarysie...

- Rozumiem - powtórzył. - Za trzecim razem pociągnięto mnie za przechowywanie broni białej. Bronią białą były dwa tasaki z tysiąc osiemset dwudziestego ósmego roku i szabelka z osiemset pięćdziesiątego piątego...

- Pan to znowu, poważnie?

- Niech sobie pani wyobrazi. Tylko nie trzeba tu wszystkiego zwać na czerwonych. „Przechowywanie broni białej” znikło z kodeksu karnego dosłownie rok czy dwa lata temu... Ale, to jest osobny materiał na wykład na temat „jaskrawego przykładu idiotyzmu radzieckiego ustawodawstwa”. Teraz nie miejsce i nie czas... Jedziemy? Mam sprawy, a i pani nie należy do leniwych.

Chwilami z ukosa popatrywał na pasażerkę. Inga z nieco oszołomioną miną mruzczała coś pod nosem, wyraźnie przetrawiała szokujące informacje. W końcu z męczącym rozmyślaniami na twarzy chciała o coś spytać, ale w tym momencie zaćwierkała komórka. Zbyszy kogoś kilkoma zdaniem, Smolin wyłączył się i popędził samochód szybciej.

- Coś się stało?

- Nie, klient zgłosił się wcześniej, niż obiecał, trzeba więc w biegu się dostosować...

Dowiózł dziewczynę do redakcji, pożegnał ją i wykręciwszy w dobrym hollywoodzkim stylu, z piskiem opon pognął do swojego sklepu.

Tam, dziękować Bogu, nic się nie stało - natomiast nieszczęście dotknęło Lechę

Majewskiego w Dukacie, o czym dosłownie pół godziny później było szeroko wiadome w wąskich kręgach. Zjawili się dwaj nienagannie wyglądający klienci, zainteresowali się białą bronią i Lecha, jak każdy na jego miejscu, opchnął im kozacką szabelkę i kordzik Sił Powietrznych Armii Radzieckiej, a co gorsza, bagnet nożowy do automatu Kałasznikowa. Kupujący znikli z troskliwie zapakowanymi nabytkami, a po kilku minutach do sklepiku wpadła horda ze stosownymi legitymacjami. Wydział do walki z bezprawnym obrotem bronią. Rewizja w sklepie, rewizja w domu Lechy, konfiskata, protokoły, zobowiązanie się do nieoddalania i inne cuda. Biorąc pod uwagę, że licencji na handel bronią białą Lecha nie miał nigdy (jak prawie wszyscy szantarscy antykwariusze), sprawa zalatywała naftą na wiorstę.

Zresztą, jeśli nie była to zaplanowana akcja, ogłoszona z samej góry, wszystko skończy się, można zawczasu przewidzieć, szarpaniem nerwów przez kilka miesięcy i nic więcej, ponieważ automatycznie pojawia się masa ciekawych możliwości, między innymi również wyratowanie podpadniętych. Śledczy, którzy z największym zadowoleniem postawili sobie kolejnego ptaszka - to jedno. Zupełnie co innego sąd, który nie zawsze ma chęć mozolić się z taką nudną bzdurą, mającą tendencję do rozsypania się. No i inne niuanse...

Znacznie gorzej, że takie niespodzianki zawsze uderzają rykoszetem w całą szlachetną społeczność. Antyki nie leżą na jednym miejscu, niczym niemożliwy do podniesienia żelazny dwupudowy ciężar. Często przedmioty podróżują ze sklepu do sklepu - czasem prosisz brata w biznesie o wystawienie na sprzedaż tego, co u ciebie leży, a nuż u niego szybciej zejdzie. Zazwyczaj się zgadza, ponieważ słusznie liczy na podobną uprzejmość z twojej strony...

Jak często się zdarza, wśród zabranej u Lechy broni białej (około dwudziestu egzemplarzy) była też wzięta na sprzedaż od zamiejscowych dostawców oraz to, co przywieźli szantarscy koledzy. Również Smolin zlecił mu sprzedanie dwu średniej wartości szpad i tureckiego jataganu z brakami. Tak więc w tym, czy innym stopniu ucierpieli wszyscy, a to nie poprawia nastroju...

## Rozdział 7.

### LUDZIE I RZECZY

Ach, jak dzwoniła miedź w klasztorze daleko...

Dzwoniła, ściśle biorąc, stal, szpady błyskały i wirowały z charakterystycznym brzęczącym świstem przecinając powietrze, czasem, zderzając się, wydawały nawet nie dzwonienie, a szczęk. Smolin zdążył z żalem pomyśleć, z wysiłkiem chwytając ustami powietrze, że niemal za każdym razem właśnie on był winny tego, że klingi zetknęły się - a to oznacza chybienie i przeoczenie, tylko w kinie miecze i szpady co i raz uderzają o siebie, dlatego że tego wymaga widowiskowość, natomiast prawdziwa walka i prawdziwa umiejętność polega właśnie na tym, żeby prowadzić starcie bez dotykania, a jeszcze lepiej - zakończyć je bardzo szybko kilkoma wypadami. Zresztą, dotyczyło to prawdziwych pojedynków, ale wszystko jedno, to brudna robota, w której dawne umiejętności...

Od dawna już podejrzewał, że Chevalier walczy nie z całą siłą, naciera połową impetu, zresztą i bolesnych ułkuć bardzo mało trafiło w korpus - jeśli brać pod uwagę z kim się starł...

Chevalier go oszczędzał, ale co tam - on też bił się bez zapału, bez upojenia, nawet nieco ociężale. Obaj walczyli jak najbardziej prawdziwymi francuskimi szpadami pojedynkowymi, pamiętającymi pechowego cesarza Napoleona III (ubiegłoroczny prezent Smolina na siedemdziesięciolecie), tyle tylko, że czubki miały całkowicie stępione. Tym niemniej ułkucia były odczuwalne.

Chevalier nagle zręcznie odskoczył na dwa kroki, opuścił szpadę ostrzem (tępy) w dół. Smolin stanął wyczekująco, trzymając klingę równolegle do desek podłogi z prawdziwego teku.

- Wystarczy - powiedział Chevalier, podrzucając szpadę i chwytając ją za klingę pod koszem. - Bazylu, w tobie dzisiaj absolutnie nie czuje się kurażu, nawet jakoś niezręcznie zadawać cios...

- Ma pan rację, Chevalier - odparł Smolin, wykonując ze swoją szpadą tę samą manipulację. - Nie mam nastroju. Nawiasem mówiąc, ja już dawno złożyłem broń, jaki ze mnie szermierz...

- Nie udawaj. Zadatki miałeś kiedyś znakomite, zresztą do dzisiaj została zręczność...

- Talentu, oczywiście, nie można przepić, ale fisharmonię bardzo łatwo... - mruknął

Smolin odwracając się do lustrzanej ściany.

Jak można się było spodziewać, jego śnieżnobiały sweter (kolejny francuski wymysł z kevlarową podszewką, pozwalającą uniknąć tragicznych przypadków nawet z bojową klingą) był nie mniej niż w dziesięciu miejscach pokryty szkarłatnymi plamami: po każdym ciosie włączała się jakaś przemyślna elektronika i około dziesięciu minut na tkaninie utrzymywały się plamy. Postęp niesamowity: jakieś czujniki i cienkowarstwowe układy scalone, w detalu nawet niezbyt drogo, nie drożej niż zwyczajne ciuchy, więc Kot Uczony w Paryżu nie nadwyreżył zbytnio kieszeni...

Tymczasem na Chevalierze widniały zaledwie dwie czerwone plamki, a nawet gdyby była to realna walka, byłyby niegroźnymi zadrapaniami, na jakie prawdziwy pojedynekowicz nie zwraca uwagi, Smolin natomiast co najmniej sześć razy był zabity...

Ustawwszy starannie szpady na stojaku z ciemnego polerowanego drewna, przeszli do bocznego pokoiku, maleńkiego i przytulnego. Na stole już cieszył oko czajnik i wszystko, co potrzeba - uczniowie postarali się...

- Ja, jak zwykle, w absolutnej abstynencji - odezwał się Chevalier, ściągnając przez głowę biały sweter. - Tobie, jeśli chcesz, mogę zaproponować...

- Nie, dziękuję. Prowadzę.

Spoglądał na gołego do pasa Chevaliera z nieskrywaną zawiścią: oczywiście, gdyby zasłonić twarz maską, w żaden sposób nie można go wziąć za młodego pakera, ale i siedemdziesięciu z okładem lat nikt mu nie da na pierwszy rzut oka: suchy, żyłasty tors z dobrze rozwiniętą muskulaturą, bez jakiegokolwiek brzuszka. U samego Smolina pod tym względem sprawa nie wyglądała przygnębiająco, ale miał powody do pewnego smutku: coś tam obwisło, a i na bokach, jeśli się postarać, bez zbyteńnego wysiłku można by fałdkę złapać dwoma palcami... Który to już raz próbował wyobrazić sobie siebie siedemdziesięcioletniego - i jak zwykle wołał nie rozwijać tego tematu. A przecież według wiarygodnych pogłosek Chevalier romansuje z dziewczynką z elfów w grach rekonstrukcyjnych.

Gospodarz nalał herbaty, Smolin z ukłonem wziął pękata filiżankę i błogo odchylił się na oparcie fotela. Tutaj nigdy go nie trapiły ani sprawy, ani komplikacje, ani troski - mało jest w tym mieście miejsc, gdzie będąc przyjętym po przyjacielsku można odpocząć duszą i ciałem, przy czym całkowicie bezpłatnie...

Chevalier pojawił się w Szantarsku przed trzydziestu laty, gdy Smolin właśnie leciał pod wszystkimi żaglami ku swojemu pierwszemu, warunkowemu wyrokowi. Właściwie stąd pochodził - ale prawie dwadzieścia lat niczym zjawa krążył nie wiadomo gdzie, w takich miejscach, gdzie oficer walecznej Armii Radzieckiej oficjalnie pokazywać się kategorycznie

nie powinien - sama myśl o tym wydawała się kompletnym idiotyzmem. Smolin nawet teraz o detalach wiedział nie więcej, niż trzydzieści lat temu - ale dziś było jasne, że w czasie kolejnego wesołego wojażu stuknęło Chevaliera na tyle poważnie, że po podleczeniu został z honorami odprawiony z niewyciężonej i legendarnej na rentę inwalidzką. Wnioskując z pewnych urywkowych aluzji, eskulapowie w pagonach, aczkolwiek samemu dymisjonowanemu o tym nie mówiono, poważnie sądzili, że były major został odesłany do kraju, żeby po paru latach, niestety, wyruszyć wprost na Aleję Chwały - była taka na głównym szantarskim miejscu wiecznego spoczynku - topornie zaaranżowana, ale honorowa...

Chevalier - wtedy jeszcze ten pseudonim do niego nie przylgnął - smutne prognozy eskulapów obalił, co więcej, niektórych, jak lubił niekiedy podkreślać, przeżył. Gdy trochę doszedł do siebie, nieoczekiwanie znalazł sobie ulubione zajęcie - całkowicie bezpłatnie zaczął uczyć szermierki chłopców w jednym z klubów wojskowo-sportowych przy Komitecie Miejskim Komsomołu.

Od tamtej pory poszło jak z płatka. Życie majora w spoczynku z biegiem lat coraz bardziej przypominało powieść przygodową: założył już pięć własnych klubów na wzór krapiwinowskiej Karaweli - tylko, w przeciwieństwie do Krapiwina, jako klasyczny szczur lądowy, żaglami i wodnymi zabawami nie pasjonował się zupełnie, interesowały go: szermierka, walka wręcz, wymarsze do tajgi według metodyki specnazowskiego survivalu... Entuzjastę raz chwalili z wysokich trybun i w prasie partyjnej, to znowu, częściej, wieszali na nim psy, a nawet grozili, że zostanie starty na łagrowy pył - ponieważ Chevalier, chociaż nigdy nie był klasycznym dysydem, partyjne kierownictwo wychowania młodzieży i pozostałe ideologiczne plewy po prostu odrzucał i żył tak, jakby nie istniały w otaczającej go rzeczywistości. Bardzo wielu to strasznie denerwowało. Szczególnie tych, którzy rwali się do kierowania z partyjnych pozycji i sterowania ideologicznego. Tak więc kluby Chevaliera co i raz zamykano, a później znowu otwierano, gdy w stołecznej prasie i na szczycie czasem trafiali się mądrzy ludzie. Przy okazji niezliczoną ilość razy był obiektem kontroli ze strony najróżniejszych wysokich komisji, a na dodatek nie mniej niż dziesięć razy wytaczano mu sprawy karne. Pomawiano go też o pedofilię (całkowicie bezpodstawnie) i nie całkiem właściwe z punktu widzenia radzieckiej moralności kontakty ze starszymi uczniami (a tu już, jeśli sięgnąć głębiej, kryła się siemiężna prawda, aczkolwiek przesadzona przez autorów anonimów) i utworzenie kontrrewolucyjnej organizacji młodzieżowej, kierowanie bandą i przechowywanie broni. Sprawę komplikowało to, że Chevalier czasem rzeczywiście chodził po ostrzu noża, biorąc jego zamiłowanie do białej broni w latach, kiedy podobna miłość



kategorycznie była zabroniona przez kodeks karny oraz zajmowanie się jakimiś rodzajami wschodnich walk (w czasach prześladowania karate). Jednym słowem, szycie mu butów szło z rozmachem i systematycznie, niczym w porządnej pracowni. Tylko że za każdym razem sprawa kończyła się niczym: w pedofilię nikt normalny nie wierzył, zakochane uczennice starszych klas odmawiały dawania kompromitujących materiałów, kontrrewolucji nie stwierdzono, korzyści materialnej - także...

Kiedy ruszyła pierestrojka ze wszystkimi jej konsekwencjami, Chevalier ze swoimi wiele umięczeniami chłopaczkami okazał się kimś w rodzaju brygadzysty - bynajmniej nie w tym sensie, jaki te słowa mają na budowie. Co prawda, należy mu oddać sprawiedliwość, w przeciwieństwie do tępych mięśniaków chłopcy Chevaliera rzeczywiście, jeśli już podejmowali się obrony, bronili jakościowo i uczciwie. Ponieważ zaś na tanie kompromisy nie szli, niczego się nie bali i z dawnych czasów zachowali pewien hart, to bardzo szybko zyskali reputację istnych świrów, których nie da się nagiąć, nawet nie ma co próbować. I zapewnili sobie wystarczająco honorowe miejsce wśród złożonej rzeczywistości, nosząc nadane im przez jakiegoś nieżyczliwego człowieka przezwisko „muszkieterskiej brygady” - ale im się akurat to spodobало.

O tym wszystkim można było napisać grubą powieść, jednak teraz były to sprawy dni minionych i Chevalier już od wielu lat prowadził w pełni legalną działalność: oficjalny klub Rapier (szermierka, gry rekonstrukcyjne, udział w turniejach rycerskich, w tym również za granicą, walki wręcz, kursy samoobrony). Czasem to nawet przynosiło pewien dochód, pozwalający utrzymać piętrowy dom prawie w centrum miasta, w swoim czasie prawnie przekazany klubowi przez generała gubernatora L., któremu wszystko, czym tam się zajmowano, bardzo się podobało. A co najważniejsze, byłych wychowanków Chevaliera można było spotkać w najbardziej nieoczekiwanych miejscach - i nie tylko w Szantarsku - hart, jaki zdobyły „pisklęta Chevaliera” pozwolił niektórym wdrapać się tak wysoko, że swoje życie uważali za spełnione...

- Troski? - Chevalier spytał tonem, pozwalającym mu momentalnie zmienić temat, gdyby Smolin nie zechciał go podjąć.

- Raczej nie - szczerze odparł Smolin. - Ogólnie życie płynie w średniej normie... Wszystkiego po trochu.

- Pamiętaj, jeśli co... Zawsze chętnie.

- Głupstwo. Nawet jeśli co - opędzimy się...

- Jeden na krze, jak za dawnych czasów?

- Właśnie - poważnie powiedział Smolin. - Jeden na krze. Coś w tym jest, słowo daję.

- Wasia, ty oczywiście jesteś dorosłym człowiekiem i niepowtarzalną osobowością. Jednak człowiek, jak dawno zauważyli klasycy, sam nie może ni cholery...

- Kiedy to ja byłem sam?

- Przestań. Doskonale rozumiesz, o czym mówię. Znamy się prawie trzydzieści lat. Ja ci zawsze pomogę i doskonale wiesz, że nie będziesz się czuł zobowiązany. Cóż za trywialność? Czemu jeden szlachetny don nie może bezinteresownie pomóc drugiemu szlachetnemu donowi?

- Skąd pomysł, że potrzebna jest mi pomoc?

- Mówią...

- Kto i co?

- Kiedy ja na takie pytania odpowiadałem, Wasia? W powietrzu fruwały sroki, rozmaite bzdury na ogonie noszą.

- Chevalier - Smolin popatrzył rozmówcy w oczy. - Dawaj bez zagadek. Ja rzeczywiście nic a nic nie wiem, że jest mi potrzebna pomoc. Nie mam *żadnych* problemów. Wszystko jest jak zawsze. Więc jeśli są konkrety...

- Mojemu słowu wierzysz?

- Zawsze.

- No więc uwierz, że konkretów żadnych nie mam. Możesz uważać, że wyprzedzam wydarzenia. Coś takiego, Wasieńku, unosi się w powietrzu. Nikt niczego konkretnie nie wie, ale, jakby dokładniej się przyjrzeć... To tak, jak zza jednej ze stron horyzontu wypęła chmurka i ty jej nie widzisz, a inni już dostrzegli bioenergetyczną, powiedzmy, metodą... W ogóle, jeśli potrzebna będzie pomoc, zawsze jestem gotów.

Smolin patrzył na niego w zamyśleniu i badawczo - nienagannie proste plecy, figura i postawa angielskiego lorda, jastrzębia twarz, prawie nietknięta zmarszczkami, włosy całkowicie siwe, ale brwi czarne: rzeczywiście chevalier, właściciel zamku, zdolny mimo swoich lat wziąć do każdej ręki po szpadzie i wyjść przeciw tuzinowi rozbójników... Gdyby coś wiedział, na pewno powiedziałby. Pozostaje wierzyć, że w powietrzu rzeczywiście „coś takiego się unosi” - ale osobiście nie ma pojęcia, gdzie pies pogrzebany, a przecież on sam nieraz szóstym zmysłem widział chmurkę, zanim czarną ciężką plamą zaznaczyła się na horyzoncie... *Nic*, jak na razie, się nie stało, co mieściłoby się w pojęciu „poważne zagrożenie”!

- Cóż ja poradzę - odezwał się Smolin w zadumie. - Jeśli przywykłem bronić się w pojedynkę i do tej pory, nawiasem mówiąc, to się sprawdzało... Dajmy spokój. Jest inny temat. Przez specyfikę zajęć masz również kontakty z teatrami... Nie pamiętasz czasem

nazwiska Biessmiertnych? Z jakiegoś powodu kojarzy mi się akurat z teatrem. Nie bywam, ale analogie są właśnie z teatrem...

- Biessmiertnych... Manolis Andriejewicz?

- Pojęcia nie mam. Mieszka na Czechowa, dwadzieścia osiem, to wiem na pewno...

- To na pewno Manolis. Z Teatru Operetki. Po co ci on?

- Mam do niego sprawę - odparł Smolin ostrożnie. Lekki grymas na twarzy Chevaliera nie wzbudził w nim zapału. - To z tej kategorii, gdy obok danego konkretnego człowieczka w żaden sposób nie można przejść obojętnie. Jeśli wszystko pójdzie gładko, zysk będzie niemały i dla mnie, i dla niego, więc chciałbym przedtem czegoś się o nim dowiedzieć...

Chevalier uniósł arystokratyczne brwi:

- Czyżby Manolis miał okazać się partnerem w biznesie? Dla człowieka takiego jak ty? Ja, oczywiście, nie mam wątpliwości co do twojej reputacji, przeciwnie, wyrażam lekkie zdziwienie, ty jesteś człowiekiem na wskroś rzeczowym, natomiast jego tak bym nie nazwał... Jego ojca, Andrieja Biessmiertnych, dobrze znałem. A latorośl... nie ma żadnego porównania. Przepusty człowieczek.

- Skąd takie dziwne imię?

- A ty co, wszystko zapomniałeś?

- A co powinienem pamiętać? - Smolin szczerze się zdziwił.

- Był kiedyś Manolis Glezos. Grecki komunista.

- A... - Smolin się skrzywił. - Z tych... zagranicznych przyjaciół?

- Ironia i szyderstwo są tu zupełnie nie na miejscu - sucho skwitował Chevalier. - Glezos, nawiasem mówiąc, w czterdziestym pierwszym roku, mając dziewiętnaście lat, nocą zdał z Akropolu nazistowską flagę. Wart szacunku?

- Zapewne.

- W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych byli prawdziwi rewolucjoniści - powiedział Chevalier. - W moim głębokim przekonaniu, budzili szczerą sympatię i możesz się ze mną nie zgadzać, ale byli ludźmi niepozbawionymi pewnej szlachetności: Glezos, Lumumba, Kubańczycy... To później, w latach siedemdziesiątych, tłumnie napłynęli porąbani terroryści... Krótko mówiąc, Manolis, nasz szantarski, urodził się w sześćdziesiątym drugim, w którym to roku akurat Glezosa wypuścili z więzienia. Andriusza Biessmiertnych był człowiekiem ideowym... Więc znaczy Manolis Andriejewicz... Teatr Operetki, jak właśnie powiedziałem. W ogóle to on mieści się w określeniu „czołowy aktor”, ale, w moim osobistym przekonaniu, tylko dlatego, że ta świątynka kultury szczególnymi talentami nie błyszczy. Średni poziom i nic ponadto... I jeszcze pikantny szczegół: w swoim czasie zyskał

przezwisek Szczęściarz, ponieważ dostał się do pionierskiego kółka teatralnego... pod nazwą Budka.

- Tak-tak-tak - Smolin wyszczerzył się - czy to nie w tamtym czasie...

- No tak.

- Gdzież tu więc szczęście? - chrząknął Smolin.

Pyszna to była historia w roku siedemdziesiątym drugim - która, rzecz jasna, nie została upubliczniona, ale była doskonale znana całemu miastu. Rok później, gdy Smolin wrócił z wojska, jeszcze o niej mówiono. Żył sobie trzech łajdaków - szef obwodowego wydziału kultury, korespondent „Pionierskiej Prawdy” i reżyser jednego z szantarskich teatrów, który jak najbardziej bezinteresownie, społecznie prowadził owe kółko teatralne przy Domu Pionierów. Budka to rzeczywiście była co się zowie, ponieważ ta trójca, jak się okazało, uczyła pionierów bynajmniej nie podstaw sztuki scenicznej. Kilka lat wszystko było po kryjomu, ale wreszcie któryś z napalonych towarzyszy nadziei się na syna komendanta wojskowego - chłopczyka jak na swoje dziesięć lat silnego, wytrenowanego przez tatę w sambo, a co najważniejsze, ideowego. Chłopak zorientowawszy się o co chodzi, rąbnął roznamiętnionego pedofila w miejsce, które tamten mu demonstrował, następnie opowiedział wszystko ojcu, ten zaś, bluzgając wyszukanyimi koszarowymi przekleństwami, udał się do komitetu obwodowego...

Niemiłą historię, oczywiście, trzymano w najściślejszej tajemnicy. Kierownik wydziału dzięki wsparciu towarzyszy partyjnych wykreślił się chwilą strachu i mikrozawałem, przebiegły reżyser przy pomocy znajomych przeczekał w psychiatryku dopóki nie ucichły namiętności, beknąć musiał tylko dziennikarz, wyprawiony do zony, także bez najmniejszego hałasu...

Niewzruszony Chevalier rozwinął myśl:

- Szczęście wynika stąd, że Manolis do kółka teatralnego przyszedł właśnie kilka dni przed skandalem i dlatego uniknął przygód ze swoim tyłkiem.

- Może rzeczywiście ma szczęście... - zgodził się Smolin. - Znaczy, że aktor...

- Kiepski. Ale zarozumiałości i tupetu ma za dwóch. Żonaty po raz czwarty, według wypracowanej metodyki: oczarowuje kolejną śliczną młodą głupiutką z teatralnego narybku, a po kilku latach się od niej uwalnia. Kilkakrotnie próbował się zaczepić w stolicy, ale nikogo nie zainteresował, mówię ci, że to średniak... W życiu bym nie pomyślał, że możesz mieć z nim jakieś sprawy.

- Różnie to bywa. Opowiem kiedyś, historia niezbyt tajna, ale na razie z przesądu nie będziemy się zagłębiać w szczegóły... - wstał. - Czas na mnie, zresztą pewnie i ty masz kupę

spraw...

- Jeśli będzie potrzebna pomoc...

- Jak dotąd w życiu nie była mi potrzebna - Smolin powiedział to bez żadnej brawury, po prostu stwierdzając fakt. - Znasz moje zasady w tym względzie. *Pomoc* to jest to, po co sięgasz, gdy nie możesz poradzić sobie sam. Jak na razie, tfu-tfu, takich sytuacji nie było...

- A gdyby *wsparcie*?

- A to inna sprawa. Wsparcie nigdy nie zaszkodzi... aczkolwiek i po nie wolę sięgać tylko w ostateczności...

- Egzystencjalisto ty nasz...

- Co robić - Smolin uśmiechnął się. - Mój Boże, byłem kiedyś rozczarowany... Z powodu młodych lat myślałem, że sam wynalazłem tę filozofię życiową: zaciśnij zęby i trzymaj się, dopóki cały świat idzie na wojnę z tobą... A później okazało się, że to wszystko dawno jest znane pod piękną nazwą „egzystencjalizmu” i nowości nie ma tu ani kropelki... Wszystkiego dobrego ci życzę. Przyjdę na pewno, jeśli coś, ostatecznie nie jestem wstydlivy...

Skłonił się, wyszedł i powoli ruszył długim korytarzem mijając z pół tuzina drzwi z prawej i lewej strony - spoza jednych dolatywał zacięty szczeł stali, spoza drugich dolatywały wojownicze okrzyki, za trzecimi (były uchylone) stał tabunek dziewcząt - elfów w zielonych wymyślnych strojach - znaczy, że zbierają się do odegrania czegoś fantastycznego w przyległej tajdze...

Mglista przestroga Chevaliera niezbyt go zaniepokoiła: właśnie z racji mglistości. Nie dopuszczał nawet myśli, że Chevalier ukrywał przed nim jakieś szczegóły - nie ten człowiek, przecież znają się trzydzieści lat, beczki soli nie zjedli, ale mają relacje bliskie przyjacielskim, a to w naszych czasach coś znaczy...

Tu musi być coś innego. Smolin sam doskonale wiedział, jak to czasem bywa: ktoś ze starych znajomych z nalotem tajemniczości oświadcza: „Stary, bądź ostrożny, nie wkładaj ogona do maszynki do mięsa, na litość, przez ulicę przechodź tylko na zielonym świetle i w ogóle”. Szczegółów nie podaje, ponieważ sam ich nie zna. Po prostu coś unosi się w powietrzu, majaczy na horyzoncie...

Co ciekawe, podobne mgliste przestrogi czasem okazują się jak najbardziej na miejscu, najczęściej jednak nie znaczą nic. Wszyscy mamy porąbane życie, rzemiosło nerwowe, więc zdarza się czasem... sygnalizacja się włącza.

Wyszedł na ulicę, skierował się do samochodu, ale po kilku krokach nagle zawrócił i poszedł do kiosku z gazetami - zobaczył świeży numer „Wiadomości Gubernialnych” w ich

charakterystycznej zielono-białej szacie. Stojąc przed szklaną witrynką od razu dojrzał czerwony nagłówek na pierwszej kolumnie: ŻANDARMERYJNY ŚLAD W SZANTARSKU!

Kupił natychmiast gazetę i już w aucie uważnie przeczytał artykuł na trzeciej kolumnie, ozdobiony trzema fotografiami. Na jednej była przekrzywiona izdebka (jak zastrzegął, tabliczki z nazwą ulicy i numerem domu w kadrze nie było). Na drugiej cieszył oko pan Diegtiarienko, zadowolony z siebie, trzymający przed sobą masywny brązowy unikat, na trzeciej - sam unikat w takim zbliżeniu, że historyczny napis był dobrze czytelny.

Artykuł ogólnie był całkiem po jego myśli. Napisany był w modnym teraz bulwarowym stylu, oczywiście Inga popełniła z pół tuzina gaf (żandarmeria i wydział ochrony to całkiem różne firmy i tak dalej, i tak dalej). Jednak ucieszyło go coś innego: panienska dotrzymała umowy, wszystkie jego wymagania i niuanse uwzględniła, a to znaczy, że pierwszą próbę przeszła, można z nią współpracować. Bynajmniej nie oznacza to pełnego zaufania - za wcześniej...

Rzucił gazetę na fotel pasażera, wyjął komórkę.

- Słucham?

- Ingo, jest pani cudowna - powiedział. - Właśnie czytam gazetę. Wspaniale. Po prostu wspaniale. I sensacja jest, i żaden antykwariusz nie doznał krzywdy...

- Przecież obiecałam. Tak, a mój artykuł, zdaje się, chcą przedrukować w Moskwie...

- Gratuluję.

- Znaczy, że można się ze mną przyjaźnić?

- Ach, jakbym chciał złapać panią za słowo...

- To proszę złapać. Przecież obiecał mi pan jeszcze dużo pokazać i opowiedzieć...

- W najbliższym czasie... A do licha... Przepraszam, znowu mnie szarpia... Na pewno do pani zadzwonię w najbliższym czasie, jeszcze raz dzięki, pani swoją czarującą osobą wprost rehabilituje masę dziennikarzy.

Rozłączył się i chwycił z siedzenia drugą komórkę - tam rzeczywiście wyświetlił się Szwarz, sprawa więc była poważna.

- I co? - spytał Smolin.

- Zjawili się. Obaj, z bagażem.

- Rozumiem, pędzę...

Wyjechawszy na ulicę, jeszcze raz przelotnie spojrzął na gazetę z fotografiami i uśmiechnął się. Wszystko było jak należy, absolutnie. Chatka na kurzej łapce była wynajęta od właściciela (rzeczywiście pijaczyny) zaledwie na tydzień - rozumie się bez umów na

piśmie, bez jakichkolwiek papierów. Stary „celinnik”<sup>23</sup> przestał istnieć jako osoba, gdy tylko odjechali - oba medale zaś wróciły do sklepu. Smolin osobiście stołecznemu gościowi nic nie proponował i za oryginalność unikatów słowem nie ręczył - tylko uczciwie naprowadził amatora żandarmeryjnych relikwii na właściwy adres i nie jego wina, jeśli coś okazało się nie tak. Moskwianin wyraźnie już wyszedł z wieku dziecięcego, sam podejmuje decyzje, skoro uważa się za wielkiego znawcę... W sumie, można śmiało powiedzieć, że wszystko poszło gładko. W razie czego, nie powie nic, obawiając się utraty twarzy. Z powodu takich przedmiotów i takich kwot nikt nigdy nie wysyła gromady poważnych chłopców z bezgłośnymi pistoletami, zresztą i grandy z kastetami nie posyła się śladem. Poklnie, a w przyszłości będzie omijał Szantarsk szerokim łukiem i tyle... Bywały przypadki...

\*

Gosza prezentował parze małżonków w średnim wieku patefon w lakierowanej skrzynce, niczego nie twierdząc konkretnie, ale budząc u nich (z wyglądu przyjezdni, turyści, sto procent) przekonanie, że mogą za śmieszne pieniądze kupić niezmierną rzadkość. Małżonkowie niebawem powinni rozstać się z pewną liczbą tysiączków...

W drugim kącie długiej oszklonej lady Mariszce szeptał miłe słówka Kostia Bażanow z Maska - malarz z prowincji, kolejny nieuznany geniusz (zresztą jego dosyć dziwne prace chętnie kupowano, więc Smolin utrzymywał z nim kontakt na wszelki wypadek, kto wie, czasem artyści wchodzi w modę nagle i ten będzie miał fart, kto wyczuje moment).

Smolin podkradł się na palcach. Piosenka była stara - Kostia po raz kolejny namawiał Mariszkę do pozwania w imię wielkiej sztuki, ta zaś piszczała i stroiła minki, akcentując głównie nie wrodzoną panięńską wstydlivość, ale to, że później na płótnie za nic się nie rozpozna i nikt jej nie pozna (w czym, prawdę mówiąc, miała całkowitą rację, realność geniusz z prowincji przełamywał nader osobliwie).

- Cześć - odezwał się Smolin.

- Wasilij Jakowlewicz... - od trzydziestoletniego geniusza były dwa na wskroś zawodowe aromaty, to znaczy farb i wódki. - Od pana procencik, ja tu sprzedawcę przytargałem, ciekawe przedmiociki...

- Zobaczmy - Smolin przyjemnie się uśmiechnął. - Ty tutaj na razie dziewczynę pobajeruj, a ja zobaczę...

Przecisnął się boczkiem przez wąskie przejście za ladę, wszedł do pomieszczeń

---

<sup>23</sup> Celinnik (ros.) - popularne określenie człowieka uczestniczącego w zagospodarowaniu obszarów ugorowych (od słowa *celina* - ugor) - przyp. tłum.

służbowych i zaczął nasłuchiwać. Poznawszy głosy skierował się do swojego pokoju.

Byli tam Szwarz i Kot Uczony, trzeźwi i umyści, trzeci zaś, akurat *zakręcający* im coś z zapalem, na widok Smolina zerwał się i z wielkim entuzjazmem wyciągnął rękę:

- Bardzo przyjemnie, Wasiliju Jakowlewiczu, wiele słyszałem... Maksim. Przyjemnie poznać...

- Analogicznie - Smolin uścisnął podaną dosyć bezwładną dłoń i usiadł na swoim miejscu. - Kostia powiedział, że chce nas pan niebwywałymi rzadkościami zadziwić...

Przed nim stał typowy moskiewski cwaniak: nieustępliwość połączona z rozlazłością i w słowach, i w całym wyglądzie, brat łąta, swoje przeżył, ale wobec ciemnych mieszkańców tajgi jest na tyle łaskawy, że czasem bywa gotów uznać ich niemal za równych sobie, zarozumiałości w nim za czterech, a oczy, co ciekawe, uczciwe, przeuczciwe i fizjonomia raczej głupawa, niby to my prochu nie wymyślimy, myśmy z prostych...

Stołeczny gość, dowcipkując, zabrał się do rozwiązywania długiego pakunku, porządnie zawiniętego w płótno i oklejonego skoczem - po wyglądzie za nic się nie domyślisz, co jest w środku... Na biurku przed Smolinem leżała kozacka szabla w pochwie („z carskich czasów” z naciskiem skomentował Maksim), japoński shin gunto w idealnym stanie i inna japońska klinga, ale znacznie starsza i ciekawsza - kyu gunto, to znaczy miecz wojskowy wzoru tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku - przy czym, sądząc po nakładce rękojeści, w całości pokrytej wzorami liści i japońskiej wiśni, należał nie do smarkatego lejtnancika, ale oficera w stopniu co najmniej majora.

Wyciągnawszy obie klingi z pochew, obejrzawszy je tak i siak, Smolin rozłożył je równo na blacie, rękojeściami do siebie, ostrogami pochew w stronę gościa i spokojnie się odezwał:

- Ciekawe. Ale Kostia powiedział, że ma pan coś bardziej rzadkiego...

Już bez żarcików, ale ze znaczącym uśmiechem, stołeczny gość wyjął z kieszeni coś zawinięte w chusteczkę do nosa, rozwinął ukazując futerał ze sztucznej skóry, a z niego wydobyl srebrną papierošnicę i położył przed Smolinem z dumną, triumfującą, chełpliwą miną gracza, który rozbił nielichy bank - taki lejbgwardzista, który na karcieąta skręcił do wiejskiej karczmy, gdzie wyżej srebrnego rubelka w życiu nie stawiano i z wielką pompą wyłożył na brudny stół, nieznaną obrusa, garść złotych imperiałów...

- Ciekawe - powtórzył Smolin, obracając w palcach papierošnicę, ale póki co jej nie otwierając. - Cóż my tu mamy... Mamy tutaj niezbyt wymyślny *motyw* - człowiek walczy z...



raczej to nie jest tygrys, a jakaś pantera, nie? Czy to czasem nie Mcyri<sup>24</sup>? No, co ja panu powiem, Maksimie... Takie papierośnice u mnie w sklepie leżą najwyżej po jakieś pięćset dolców... A i to dla stałych i dobrych klientów obowiązuje zniżka.

- *Takie?* - Maksim patrzył na niego tak, jak w danej sytuacji należało oczekiwać: niewysłowiona wyższość białego sahiba nad dzikusami. - Wątpię... Proszę spojrzeć na znak...

Otworzywszy papierośnicę, Smolin od niechcienia rzucił okiem... i starannie odegrał, iż oniemiał z niebywałego zdziwienia. Odczekawszy chwilę - udając, że mu zaparło oddech - nieomal wybełkotał:

- Chce pan powiedzieć... Fabergé?

- Chcę powiedzieć - triumfalnie obwieścił Maksim. - Carl Fabergé, Dostawca Dworu Jego Cesarskiej Wysokości... Przedmiocik dla „Sotheby's”.

- Ni cholery nie rozumiem - ciągnął Smolin z miną skończonego wiejskiego tłumoka. - Dlaczego pan takiej kosztowności do Moskwy nie zawiózł na sprzedaż?

- Och, Wasiliju Jakowlewiczu, jak pan naiwnie patrzy na życie. No, oczywiście, u *was* takich subtelności nie znają... Ja, musi pan wiedzieć, pewnych *dojść* do biznesu antykwarycznego nie mam. A bez nich w stolicy sprzedawanie takiej rzeczy jest bardzo ryzykowne. Dobrze, jeśli zapłacą tyle co nic, a mogą i po karku w zaułku przyłożyć...

- Naprawdę? - obłudnie zdziwił się Smolin.

- Może pan być pewny...

- Do licha. U nas tu jednak znacznie spokojniej...

- Właśnie, właśnie - powiedział moskwianin wciąż z tą samą protekcyjną *niefrasobliwością*. - Dlatego jest mi znacznie prościej i spokojniej sprzedać przedmiocik tutaj za umiarkowaną cenę, niż ryzykować w stolicy. Przecież nie jestem handlowcem, przypadkiem wpadło mi w ręce...

- Jak to? - z całkowicie prostoduszną miną spytał Smolin.

I wysłuchał zajmującą historię o wuju we Władywostoku, o rodzinnych pamiątkach, należących do gałęzi rodu Maksima, która jeszcze za cara w osobie kapitana drugiej rangi z pewnego pancernika osiedliła się na Dalekim Wschodzie, o niechęci wuja do zajmowania się nikczemnym handlem (inteligent, doktor nauk, biolog morski).

Historia, ogólnie w pełni przekonująca, była przesycona szczegółami pozwalającymi od razu określić, że ten młody człowiek i jakieś książki czytuje, i w historii carskiej Rosji się orientuje. Najśmieszniejsze było to, że niektóre podobne historie rzeczywiście okazywały się

---

<sup>24</sup> Mcyri - bohater poematu M. Lermontowa - przyp. tłum.

czystą prawdą: przykładem jest etiuda Rubensa znaleziona w zapadłym mieście rejonowym, autentyczna podstawka do szklanki Fabergé, przyniesiona do Eldorado przez nieznaną jej ceny babcię emerytkę... i cóż z tego... Masa ciekawych, stuprocentowo autentycznych przedmiotów do tej pory poniewiera się tu i ówdzie na bezkresnych przestrzeniach Rosji-Mateczki. Tak więc opowiedziana przez Maksima historia mogłaby przejść... gdyby nie pewne zdecydowanie trywializujące ją szczegóły.

- Zaczynam rozumieć. Japońskie miecze dziadek pańskiego wuja zdobył w czterdziestym piątym w Mandżurii...

- Nie dziadek, ojciec.

- No, to szczegóły. Najważniejsze, że dobrze trafiłem.

- No tak. Natomiast skąd pochodzi szabla, dokładnie nie powiem, wałała się w ich domu od wieków...

- Do licha... - Smolin jak urzeczony wpatrywał się w znak wewnątrz papierošnicy. - Proszę, taka rzecz...

- Zdarza się - spokojnie odezwał się Maksim, promieniując samozadowoleniem i pewnością siebie. - Ja tu przejrzałem miejscową gazetkę... u was w jakiejś ruinie znaleźli kałamarz Sankt Petersburgskiego oddziału ochrony...

- Nie może być! - zdziwił się Smolin.

- Dokładnie!

- A my tu siedzimy, jak w barłogu, i nie wiemy, co się pod samym nosem wyrabia... - Smolin starannie unikał ironii w głosie, dla której jeszcze nie nadszedł czas. - No dobrze, to liryka, przejdźmy do zwyczajnej prozy... Ile pan chce, Maksimie, za te unikaty?

- Papierošnica dziesięć paczek euro. W porządku, jak mi się wydaje. Pan przecież jest antykwariuszem, będzie mógł z czasem sprzedać ją nawet drożej.

- Zapewne... A dolców, znaczy się, pan nie bierze?

- No, chyba że według kursu... Teraz baksy niepewne.

- To jakaś zasadzka... - z troską odezwał się Smolin. - A klingi?

- No, jeśli wszystkie trzy... Za piątkę.

- Euro, oczywiście?

- No, to jasne...

- Kuszące, do licha... A czasu, żeby pomyśleć, w żaden sposób?

- To przecież biznes, Wasiliju Jakowlewiczu - Maksim uśmiechnął się otwarcie i szczerze. - Pan w tym mieście nie jest jedynym antykwariuszem, przyznam się otwarcie, że mam jeszcze dwie propozycje... Proszę się zdecydować. Więc jak?

- Kuszące - powtórzył Smolin. - Pieniądze się znajdują... A co się tyczy autentyczności?

- Wasiliju Jakowlewiczu! - Maksim zawołał z nieskrywaną przyganą. - Przecież to od razu widać! Przecież to na wierzchu! Taka transakcja bywa raz w życiu...

Ach, jak uczciwie patrzyło mu z oczu! Jaki był czysty, naiwny, otwarty i śnieżnobiałopuszysty! Nawet niezręcznie było obrażać cieniem podejrzeń takiego uczciwego i czarującego młodego człowieka...

- A! - z zuchowatą miną Smolin machnął ręką. - Rzeczywiście coś takiego bywa raz w życiu... Ale ja mogę tylko dolarami...

- Nie ma problemu! - uradowany Maksim zręcznie wyjął płąsciusieńki kalkulator, momentalnie wykonał nietrudne obliczenia i pokazał Smolinowi wążutki ekranik i rządkiem czarnych cyferek. - Według kursu, ani grosza więcej nie chcę...

- Mój gołąbku - Smolin zwrócił się do Szwarca. - My tu będziemy liczyć pieniądze, a ty na razie zajmij się Aszotikiem, na pewno się niecierpliwi...

- Jasne - z obojętną miną kiwnął głową Szwarz i momentalnie znikł za drzwiami.

Wzdychając, kaszląc i kręcąc głową Smolin otworzył sejf, wyjął paczkę portretów zmarłych prezydentów i zaczął w skupieniu liczyć. Skończywszy, podsunął Maksimowi stosik papierków:

- Przeliczy pan?

- Co tam, patrzyłem, jak pan liczył...

- Ale dla pewności...

- Nie, w porządku...

Teraz zaczął się w nim objawiać pewien pośpiech - nie starczyło mu nerwów, żeby do końca odegrać otwartość, obojętność, naiwną uczciwość i podobne głupstwa. Nie ma jeszcze smarkacz właściwych nawyków - och, na pewno nie gra w pokera...

Skrupulatnie ułożywszy pieniądze w swojej saszetce, Maksim wciąż z tą świeżo uzewnętrznioną gorączkowością szybko powiedział:

- Miło było się spotkać. Jeśli co, ja teraz zawsze do pana...

I skierował się do drzwi. Spojrzawszy przez ramię na Kota Uczzonego, Smolin opuścił powieki i ledwo zauważalnie skinął głową. Chiźniak, wyraźnie już zmęczony brakiem zajęcia, jakby niechcący znalazł się na drodze podążającego ze zdobyczą w dal haniebnego wilczka i niby od niechcienia wykonał wyćwiczony płynny ruch...

Diabli wiedzą, jak to się stało, ale moskwianin tyłem poleciał na biurko, gdzie troskliwie przyjął go Smolin, posadził na krześle, przycisnął gardło zgiętą ręką i odezwał się zupełnie innym tonem niż wcześniej:

- Dokąd to galopowałeś, koziołku? Rozmowa dopiero się zaczyna, więc się nie wierć...

Gwoli ojcowskiego napomnienia, wolną lewą ręką boleśnie przyłożył młodzianowi po nerkach klasycznym „hakiem”, odwrócił fizjonomią do biurka razem ze starym krzesłem, które żałośnie zatrzeszczało. Odjąwszy rękę od gardła, powiedział mu na ucho cicho, ale z naciskiem: - Będziesz się ciskał, wszarzu, bez jaj zostaniesz... Zrozumiałeś?

Stuknęły drzwi - za plecami siedzącego pojawił się Szwarc w całej swojej nieliczej postaci i oznajmił z paskudnym uśmiechem:

- Aszotik w pełnej gotowości bojowej...

- Wasiliju Jakowlewiczu! - zawołał Maksim, beznadziejnie próbując odzyskać była pewność i nienaganny wygląd najuczciwszego człowieka na świecie. - Co to za idiotyczne żarty!

Smolin mrugnął do Szwarca i ten nagrodził siedzącego soczystym ciosem w kark, od czego tamten momentalnie się zamknął i skurczył. Zrozumiał, że wszystko potoczyło się źle i sprawa przybiera jak najgorszy obrót...

Postukując o stół papierośnicą, Smolin powiedział pouczającym tonem, akcentując wybrane słowa:

- Wiesz, koziołku, nas już dawno nie złością osobnicy w rodzaju ciebie, od dawna nas śmieszą i nic więcej. Ma-askowski pusty ba-ambus... - przeciągnął nosowo. - Właśnie śmieszą. Mózgów, chłopcy, nie macie ni cholery. Wciąż zdaje się wam, że za Uralem mieszkają tuziemcy, którzy złażą z drzewa, gdy tylko się ich zwabi błyszczącymi paciorkami i oddają za paciorki złote samorodki i nieoszlifowane diamenty... Milcz, gnojku! - ostrzegł, zobaczywszy na twarzy chłopaka grę mimiki. - Będziesz mówił, kiedy pozwolę. A jeśli chrząkniesz bez pozwolenia, ten sympatyczny chłopczyk za twoimi plecami znowu ci tak da w baniak, że nieliczne twoje zwoje się wyprostują... - uśmiechnął się bez złośliwości, wesoło, szeroko.

- Chłopcy pora już zmadrzeć... Osobiście nie znam takiego miejsca na rosyjskich przestrzeniach, gdzie zamienialiby złoto na paciorki... A wszystko już widziałem... No, bąknij kilka słów, pozwalam...

- No co pan, w rzeczy samej... To nieuczciwe...

- Suko skubana - wpadł mu w słowo Smolin z ironicznym uśmiechem. - Pedziu paskudny... A podtykać mi podróbę za to wielkie pieniądze to uczciwe?

- Jaką podróbę?

- Sam wiesz - powiedział Smolin. Miał dużo czasu i mógł sobie pozwolić na

przedłużoną rozmowę. - Co się tyczy szabelki - przelotnie musnął ręką - niczego złego nie mogę powiedzieć. Szabla, jak zechciał się pan wyrazić, z carskich czasów, tu nie ma co dyskutować i wybrzydzać. Dwóch euro, oczywiście, nie jest warta, obszarpana... ale za jakieś pięćdziesiąt rubli sprzedałbym ją choćby jutro, a za czterdzieści wręcz za kilka godzin. Ale co się tyczy całej reszty, to absolutna lipa. Obydwa „japończyki” to współczesne kopie. Japończycy zaczęli je sprzedawać już dwadzieścia lat temu, właśnie jako kopie, nie oryginały, broń Boże... Tyś głupku nawet nie próbował ich postarzyć, pozłacany mosiądz, klasyczne kopie, błyszczą jak kotu jaja. W swoim życiu widziałem tyle prawdziwych, że o pomyłce nie może być mowy. O, tam na półce - od niechcienia wskazał kciukiem przez ramię - akurat stoi japoński katalog, znakomity, ceny z ubiegłego roku wyraźnie są podane... Nie chce mi się po niego sięgać, ale możesz mi wierzyć na słowo, szczyłu skubany... - Smolin zaśmiał się. - Czemu się martwisz? Smutno ci, pokrako? Poczekaj, jeszcze się bardziej zasmuczysz... Teraz o Fabergé, innymi słowy panu Fabergé, dostawcy dworu i tak dalej... Ta papierośnica, wyklepana w latach dwudziestych dwudziestego wieku, w poprzednim życiu właśnie miała stosowny znak. Kupiłeś ją, dekadencie, za dziewięć tysięcy rubli w sklepie Unikat, u pana Tarabrina, zwanego Wrubel, swoi ludzie to przezwisko wymawiają rozłącznie: nie jak nazwisko malarza, ale „W rubel”. Co, powiem ci w tajemnicy, oznacza wcale nie największą wagę wymienionego pana w szantarskiej antykwarystyce. A Wrublowi opchnął ją za sześć tysięcy Misza z Barnaulu... Miałem tę papierośnicę w ręku, gdy miała stary znak, jak najbardziej odpowiadający jej prawdziwemu wiekowi... Tak to jest. A później Wrubel zaprowadził cię do Wiktora Panteleicza zwanego Maestro, który z właściwym mu talentem na miejscu starego znaku umieścił nowy, faberowski... Coś nieprawidłowo relacjonuję? Powiedz, jeśli się w czymś pomyliłem... Milczysz? Milczysz, padlino, co możesz powiedzieć w tej głupiej sytuacji...

- Nie, jeśli tak, proszę wziąć...

Podjęta przez chłopaka próba wyjęcia niesłusznie wziętych pieniędzy z wewnętrznej kieszeni lekkiej kurtki była momentalnie powstrzymana przez Szwarca uderzeniem kantem dłoni w czułe miejsce między szyją i ramieniem. Kot Uczony, najwyraźniej znudzony całkowitym brakiem udziału swojej osoby w zdarzeniach, zaproponował miękkiem inteligentnym tonem:

- No co, kończymy z humanizmem i zaczynamy kopać na poważnie?

- Mój przyjacielu, sprawia mi pan udrękę - odezwał się Smolin. - Po cóż kopać żywego człowieka, co za sadyzm... Skąd wzięłeś swoją podróbkę już wyjaśniliśmy. Teraz przebiegniemy galopem przez twoje wędrówki w poszukiwaniu lewych pieniędzy... Tę

papierośniczkę próbowałaś zbyć w Nowonikołajewsku Witaliczowi w Złotej Jaskini i Koli Kabanowowi, wolnemu strzelcowi, ale oni, jako ludzie z pewnym doświadczeniem życiowym, spławili cię. Wtedy skoczyłaś do Tomska, obszedłaś wszystkie trzy tamtejsze punkty, ale znowu nie natrafiłaś na chętnego, który odda prawdziwe pieniądze za lipę. Więc oto zjawiłaś się gościnnie u nas, artysto pieprzony... Dobrze - powiedział z miną największego znudzenia. - To już robi się nudne i nieciekawe... Dawajcie Aszotika, czy co...

Szczerząc się cynicznie i chichocąc, Szwarz otworzył drzwi na oścież i ryknął:

- Aszot Hamletowicz, jest pan proszony!

W drzwiach pojawił się... Raczej wznosił się... Krótko mówiąc, dosyć trudno było znaleźć odpowiednie słowo. Aszotik swoją wielką figurą wypełniał cały otwór drzwiowy, wcale nie wąski i nie niski, sięgał czubkiem głowy nadproża, a ościeżnicy - ramionami. Budową ciała bardziej przypominał postawiony na sztorc mikrobus. Ubrany był w wytarte spodnie od dresu i rozpięty biały fartuch, odsłaniający ogromny brzuch, a także potężną pierś, zarośniętą czarnymi włosami. Jego cechą szczególną był złoty łańcuch na byczym karku, o wadze mniej więcej kilograma, oraz para złotych pierścieni, również wykonanych bez zbędnej drobiazgowości. Jego widok sprawiał wrażenie.

- Bare dzews - zadudnił olbrzym.

- Bare dzews, Aszotik! - powiedział Smolin uprzejmie. - Wejdz, nie wstydz się...

- Kogo wyjibat?

- A tu masz miłą dziewczynkę - powiedział Smolin, wskazując na oniemiałego moskwanina. - Ta oto niedobra istota próbowała nas, ubogich, kiwnąć na niezłe pieniądze, ale została zdemaskowana... Cóż jeszcze można z nią zrobić?

- Jibat, otszywyste! - basował Aszotik, przysuwając się. - Ach, jaki śliczny dziewczynka, ja ne moge. Sama spodenki zdejmisz, kochana, tszy tobe pomóc?

Sądząc po reakcji, przyjezdny cwaniak nie miał najmniejszej chęci na takie rozrywki: odskoczył pod ścianę, przylgnął do niej tak, jakby miał nadzieję, że się przez nią przecisnie i wrzasnął:

- Czyście oszaleli?

- Nie, nie - powiedział Smolin, uśmiechając się. - Nie jesteśmy zwierzętami i żyjemy w państwie prawa... Później pokażemy ci dróżkę do ROWD<sup>25</sup> i będziesz mógł bez przeszkód złożyć skargę na to, że dokonano z tobą aktu współżycia homoseksualnego w jak najbardziej gwałtowny sposób. Aszotik ma żelazne papiery „czubka”, tydzień tam się poobija, a później

---

<sup>25</sup> ROWD (skrót ros.) - dzielnicowy wydział spraw wewnętrznych - przyp. tłum.

go wykupimy, zresztą nie pierwszy raz. A ty będziesz musiał śledzić po dziesięć razy powtarzać, jak dokładnie cię ustawiał i co konkretnie z tobą robił... No dobrze, głodny brzuch uszu nie ma. Bierz się Aszotik, pobaw się z dziewczynką, a my popatrzymy...

- Wa! - z wielkim ożywieniem wykrzyknął Aszotik, głośno poklepując się po brzuchu.

- Chodź tutaj, moja słodutka, Aszot Hamletowicz wcale nie bolesne cebe zaprzychoduje...

Ucałował moskwianina z nieoczekiwaną po tak potężnej figurze zręcznością i w mig leciutko przydusił, jak tylko ten chciał wrzasnąć. Przypieczętował fizjonomię do biurka, poklepał poniżej pasa, czule powtarzając:

- Tobe spodoba se słoneczko...

Jego ofiara, wciąż jeszcze bezskutecznie próbując się wyrwać, wydawała dźwięki, najbardziej zbliżone do szczenięcego skowytu. Gdy sytuacja dla niektórych uczestników - konkretnie jednego - stała się ostatecznie dramatyczna, Smolin leciutko klasnął w dłonie:

- Stop, ujęcie skończone, wszystkim dziękuję...

Puściwszy nieszczęsnego aferzystę, Aszotik jeszcze raz czule poklepał go po pupci, zaśmiał się i wyszedł w towarzystwie Szwarca. Przemiły to był człowiek (bez najmniejszego pociągu do pederastii), pracował jako szef kuchni w ormiańskim barze naprzeciwko i dobrym sąsiadom z ochotą świadczył podobne usługi za śmieszne pieniądze - ponieważ, jak się już dawno okazało, całe życie marzył o występach na scenie, ale jakoś nie wyszło...

Smolin usiadł za biurkiem i pogardliwie powiedział:

- No dobrze, nie chlip dziecinko. Pożartować nie można?

Moskwianin, wciąż jeszcze lekko drżąc z niemałego przestachu, gapił się na niego ze straszną, bezsilną złością, ale bąknąć bodaj słowo, rzecz jasna, bał się.

- Można to wszystko zrobić inaczej - spokojnie ciągnął Smolin. - Czy nie przyszło ci do głupiego łba, że numery banknotów mogą być zanotowane? Wtedy procedura w ogóle staje się jak najbardziej kulturalna i cywilizowana. Smażymy zawiadomienie do ROWD, donosimy na ciebie, kozła, ekspertyza raz dwa stwierdza, że „Faber” i obydwie „japończyki” są lipne i masz wesoły artykuł dotyczący handlu z góry wiadomymi fałszywkami. A biorąc pod uwagę, że kozacka szabelka jest prawdziwa, dochodzi jeszcze handel białą bronią. *Czyściutka* sprawa wychodzi, przyznasz. Wątpię, czy znajdziesz kabonę na angażowanie stołecznych gwiazd w rodzaju Rezaka i Padły, więc kukać będziesz, głupku, na syberyjskiej ziemi od dzwonka do dzwonka... Nie jesteśmy złymi ludźmi, obowiązkowo wysłamy ci paczkę z piernikami i wazeliną, w naszych zonach lubią z moskiewskich robić Mańki...

Zapalił, spokojnie wypuszczał kółka pod sufit. Popatrzył na doszczętnie rozdeptanego oponenta i odezwał się prawie obojętnie:

- Dobra, na wszystko jest swój czas... Wykładaj kasę, szczyłu i spadaj. Masz szczęście, że nie mam czasu policzyć się z tobą jak należy, zresztą nie chce mi się mazać rąk... I zapamiętaj sobie na zawsze, głupku, że dzikusów na Syberii nie ma. Tu ciebie samego wydymają, że nawet nie pikniesz...

Jeszcze nie wierząc, że tak lekko się wykręcił, niefortunny posiadacz błyszczących paciorków zaczął kłaść pieniądze na biurku - kiedy zaś skończył, nieufny Kot Uczony podszedł i wyrócił mu kieszenie na nice.

- Wynoś się - powiedział Smolin.

- A...

- Przedmiociki chcesz? - Smolin uśmiechnął się mile. - Ach ty, suko bezczelna... Spadaj stąd, pedziu nieprzetkany, póki nie zezłościłem się na dobre! No?

- Bądź zdrow - z pełnym gracji ukłonem powiedział Kot Uczony, otwierając na oścież drzwi wejściowe.

Kiedy zaś chłopak rzucił się obok niego na wolność, dał mu na drogę porządnego kopniaka. Moskwanin z trudem utrzymał równowagę i w podskokach pobiegł za róg.

- Do diabła - odezwał się Smolin z udręką w głosie. - Kto nas zastąpi? Młodzież zupełnie straciła fantazję i artyzm, próbuje rąbnąć betel na wydrę... Dokąd pędzi świat?

- Inteligentnie się wyrażając, dupa blada - filozoficznie przytaknął Kot Uczony. - Wyradza się młode pokolenie...

Smolin obejrzał trofea. Musiał przyznać z zadowoleniem, że wyszli zwycięsko: oprócz satysfakcji moralnej, mieli też zysk materialny. Szablę można sprzedać choćby jutro... a pozostałe przedmiociki również z czasem zbyć, tylko znacznie bardziej elegancko, niż próbował to zrobić dopiero co wyrzucony głupek.

- No dobrze - powiedział wstając. - Zostajecie na gospodarstwie, a ja pojedę prowadzić negocjacje dyplomatyczne... Aha. Papiery Kościeja przeglądasz?

- Zmogłem połowę. Na razie pancerka w żadnym kontekście się nie pojawiła.

- Trzeba szukać. Kościej drobiazgami się zajmował i na fałszywą przynętę się nie łapał. Coś to musi oznaczać...

- Ale przecież nie wiemy, że to pancerka Kutiewanowa?

- Oczywiście, że nie wiemy. Może to jakaś przenośnia, analogia, szyfr? Cóż nam z pancerki Kutiewanowa, nawet jeśli znajdziemy miejsce, w którym leży. Zysk wątpliwy, a wysiłków będzie co niemiara. Trzeba szukać, szukać, nieboszczyk był żelaznym pragmatykiem, więc czuję przez skórę przyjemny aromat dźwięcznego metalu...

Wziął z biurka kluczyki do samochodu, przezroczystą koszulkę z odpisem umowy



wewnątrz i wyszedł energicznym krokiem.

Część druga  
CIENIE ZA PLECAMI

# Rozdział 1.

## POD BOKIEM MELPOMENY

Kiedy gospodarz otworzył drzwi, Smolinowi natychmiast przemknęła myśl, że Chevalier, jak zawsze, miał całkowitą rację - sama powłoka. Przyszło mu w życiu oglądać niemało przedrewolucyjnych reklam, pudełek po papierosach i innych *rupieci* - zwykle na nich byli pokazywani tacy słodziutcy pięknie: wąsiki jak strzałeczki, staranny przedziałek, napuszono-głupia fizjonomia. Jakieś sto lat temu ten osobnik nieźle by się urządził w niemym kinematografie w emploi tragicznych wielkoświatowych przystojniaków (albo złych uwodzicieli) - jednak dzisiaj, jeśli niczego w tobie nie ma, oprócz figurki...

A w nim zdaje się niczego nie było, jak uprzedzał Chevalier. Smolin przekonał się o tym już po kilku minutach i połowie tuzina zdań. Manolis (trzeba przyznać, nieźle wyglądający jak na swoje czterdzieści pięć lat) robił wrażenie czegoś nieprawdziwego, lalkowego, manekinowego. W ruchach, w gestach, w głosie - we wszystkim była *kiepska* teatralność, nienaturalność i pozerstwo. W operetce, zapewne, wyglądało to całkiem na miejscu. Z pewnością nieźle wyglądałby w huzarskim mundurze, w smokingu czy stroju muszkietera - natomiast w prozaicznej rzeczywistości... śmieszy i drażni. Tak samo jak olbrzymie kolorowe fotografie na jego ścianach: ten sam zestaw dżentelmeński - dzielny huzar, muszkieter z lokami, wyfraczony elegant w kalmano-offenbachowskim stylu. Smolin szybko zorientował się, na czym polega specyfika: na wszystkich zdjęciach (a jest ich co najmniej tuzin) gospodarz mieszkania prezentuje się w dumnej samotności - występujący partner bądź partnerka zostali tak przedstawieni, by nie zacierali swoimi marnymi osobami jedynej gwiazdy...

Wskazawszy Smolinowi fotel ospale-majestatycznym gestem dłoni, Manolis zasiadł w drugim, przybrał malowniczo nadętą pozę i zapytał:

- Kawa? Koniak? Whisky?

- Dziękuję - odpowiedział Smolin stosownie do sytuacji. - Kawy nie odmówię, co do reszty zaś, uprzejmie proszę się nie trudzić, prowadzę...

- Riteczko! - Manolis zawołał dobrze postawionym głosem, nieco odwracając głowę w tak samo ceremonialnym geście.

Postyszawszy lekkie kroki, Smolin odwrócił się - oczywiście nie z taką samą gracją, gdzieżby tam! - wstał i ukłonił się. Parafrazując klasyka, przed nim stała skończona piękność,

czarujące stworzenie na oko mające nie więcej niż trzydzieści lat: nienaganna figurka w letniej sukieneczce, złociste włosy z pewnością naturalne, oczyska niebieskie... I co ciekawe, Smolin nie zauważył w niej tej fałszywej lalkowatości, która aż biła od małżonka. Po prostu diabelnie urodziwa młoda kobieta, zdaje się, odrobinę smutna - co takim ślicznotkom jak gdyby nie przystoi, one idą przez życie triumfalnie (aczkolwiek i im, oczywiście, zdarza się masa powodów do złego nastroju - rękawiczki w kawiarni podwędzili, na przykład).

- Riteczko - aksamitnym, *sztucznym* głosem odezwał się Manolis. - Bądź tak dobra, zrób kawkę...

Spojrzawszy na Smolina z autentycznym zainteresowaniem (który, jak się zdaje, nie przystawał do klasycznego wizerunku standardowego tutaj gościa), złotowłosa piękność oddaliła się do kuchni. Nawet nie spojrzał za nią - jakby w najmniejszym stopniu nie wątpił, że jego polecenie (ton zdecydowanie nie odpowiadał prośbie) będzie wykonane. Gospodarz eleganckim ruchem wyjął papierosa ze srebrnego pudełka. Smolin machinalnie odnotował: nie srebrzenie, ale naturalne srebro, czernienie odrobinę starte, ale dobrej jakości, robota wyraźnie przedrewolucyjna - aha, rodzinna pamiątka, zdaje się. Tam nie *strzygła* burżujów władza radziecka, to jakieś drobiazgi przetrwały, szczególnie za Uralem...

- Tak więc... Wasiliju Jakowlewiczu, czy tak? - powiedział Manolis dobrze postawionym głosem, pięknie wydmuchując dym. - W żaden sposób nie wyobrażam sobie, jaką może pan mieć do mnie sprawę... Pan, przepraszam, kim pan jest? Przez telefon dosyć wymijająco się pan wysławiał...

- Handluję antykami - krótko wyjaśnił Smolin, wypuszczając dym znacznie mniej elegancko.

- A, no tak... Do mnie w swoim czasie przychodziła parka pańskich, zapewne tak można się wyrazić, kolegów... Tylko że sprzedawać niczego nie mam zamiaru, od razu uprzedzam, więc proszę nie tracić czasu. Nie będę kłamał, że żyję bogato, ale rodzinnymi kosztownościami, proszę wybaczyć, nawet w chwili najpospolitszej nędzy za nic bym nie handlował...

Smolin, który miał w tym duże doświadczenie, dawno już zlustrował pokój gościnny profesjonalnym spojrzeniem, czyniąc to bardzo delikatnie, bez kręcenia głową, jak robią to wsiowi w Ermitażu. Szczególnych antyków nie było tu widać, ale na stole, obok srebrnej papierośnicy, cieszyła oko brązowa popielniczka w formie liścia dębu, wyraźnie wykonana przed materializmem historycznym. I na półeczce pod jedną z fotografii stały cztery porcelanowe figurki, niechby nawet nie gardnerowskie, ale dobrej przedrewolucyjnej roboty.

Także portret dorodnego jegomościa w średnim wieku, z Anną<sup>26</sup> na piersi, zdecydowanie był malowany przed rewolucją, natomiast niewielki szkic w wąziutkiej brązowej rameczce, na pierwsze wrażenie Smolina, mógł być pędzla Surikowa - wiadomo, że kupiec Foma Biessmiertnych był jednym z dobrodziejów Surikowa i niemało pieniędzy odpalił na jego naukę w stolicach...

- Obawiam się, że niewłaściwie mnie pan zrozumiał - powiedział Smolin. - Niczego *kupować* od pana nie mam zamiaru. Przeciwnie, mogę zaproponować transakcję, która pozwoli panu bez żadnego wysiłku dosyć szybko uzyskać przyzwoitą sumę. Niezgodnie, powiedziałbym w dawnym stylu, pieniądze...

Weszła piękna Rita, postawiła na stoliku między nimi tacę z filiżankami do kawy i talerzykiem różnych cukierków (nieszczególnie drogich). Przysiadła z boczku, założyła nogę na nogę (Smolin w myśli przełknął ślinę, co tam) i milczała z odrobiną napiętą miną, jakby obawiała się, że mężulek ją wyprosi. Sądząc po spojrzeniu rzuconym przez Manolisa z ukosa na połowicę, nie był zadowolony z obecności małżonki. Zwrócił się do Smolina:

- Wasiliju... ach tak, Jakowlewiczu... Ludzie sztuki oczywiście mają obowiązek być niepraktycznymi i ufnymi, jednakże, zgodzi się pan, po tak burzliwym dwudziestolecu w naszej historii u wszystkich pozostało mało zaufania... A kiedy słyszę, że bez żadnego wysiłku można uzyskać niezgodną sumę, to, tysiącokrotnie proszę wybaczyć, budzi moje podejrzenie...

Zamilkł, eleganckim ruchem podniósł filiżankę i upił nieco kawy.

- Ma pan absolutną rację - powiedział Smolin. - *Takie* propozycje zazwyczaj wyglądają podejrzanie i z pewnością nierzadko kryją jakieś oszustwo... Jednak bywają wyjątki. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa. Jest ona panu znana?

- Co nieco. W wielkiej sztuce cała ta matematyka zupełnie nie ma zastosowania, dlatego też jest bezużyteczna...

- Dobrze - powiedział Smolin. - Obejdziemy się bez matematyki, zresztą sam miałem z niej wiecznie dwójki... Jeśli pan pozwoli, wyłożę wszystko szczegółowo - widząc aprobujące kiwnięcie, kontynuował spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu. - Pan jest przecież, o ile mi wiadomo, w prostej linii potomkiem rodziny Biessmiertnych, która w Szantarsku zamieszkiwała dawno temu i cieszyła się pewną popularnością... A czy ma pan jakieś dokumenty, które mogą to potwierdzić niepodważalnie?

- Przypuśćmy - Manolis kiwnął od niechcienia. - Zdaje się, że rozumiem. O czymś

---

<sup>26</sup> Anna - Order św. Anny - przyp. tłum.

takim już słyszałem... Pradziadek miał rachunek w banku szwajcarskim czy londyńskim, który pozostał nienaruszony z racji znanych wydarzeń... I pan zamierza pomóc mi podjąć stamtąd pieniądze... pod warunkiem dobrej zaliczki?

Patrzył na Smolina, jak mu się wydawało, przenikliwie i z góry. Smolin nawet nie pomyślał, żeby się obrazić.

- Najśmieszniejsze, Manolisie Andriejewiczu, jest to, że ma pan rację - powiedział cierpliwie. - Częściowo. W pewnym sensie spadek rzeczywiście istnieje i mam zamiar pomóc panu w jego otrzymaniu, nie zapominając przy tym i o sobie. Ale żadnych zaliczek żądać od pana nie mam zamiaru, przeciwnie, wszystkie wydatki *techniczne* biorę na siebie - nie z filantropii, oczywiście, później się policzymy i pan mi połowę zrekompensuje... Życzy pan sobie więcej szczegółów?

Ujrawszy majestatyczne skinięcie, wyjął z plastikowej okładki poszarzałą kartkę papieru z wielką urzędową pieczęcią, położył ją na stoliku przed gospodarzem. Tamten ze zdziwieniem uniósłszy brwi, zaczął czytać po cichu - z trudnością literując stare pismo. Małżonka po cichutku wstała, zajrzała mu przez ramię. Manolis cicho chrząknął z niezadowoleniem, ale na tym poprzestał. Smolin cierpliwie czekał, oglądając szkic na ścianie, aczkolwiek, jak każdy normalny chłop, wołałby skierować wzrok w innym kierunku - według azymutu, gdzie głębokie wycięcie białej letniej sukieneczki z haftem, z powodu przybranej przez panią domu pozy, otwierało widok niezwykle powabny.

Manolis doczytał dokument do końca. Położył papier aktowy na stoliku i uniósł brwi (rozumie się, w sposób jak najbardziej teatralny):

- Ciekawe... I cóż?

- Asesor kolegialny Biessmiertnych, to nie pański przodek?

- Bezwarunkowo - z godnością odparł Manolis. - Rodzony brat pradziadka.

- Kupiec?

- Wasiliju Jakowlewiczu... - skrzywił się Manolis. - Skoro jest pan antykwariuszem, to należy znać historię swojego miasta... *Kupcem* był pradziadek. Wspomniany tu jego brat zaś był znanym gleboznawcą, który później, już za władzy radzieckiej, został profesorem, wydawał swoje prace drukiem. Na Woskriesieńskiej, gdzie mieszkał, jest nawet tablica pamiątkowa...

- Pięknie. I ma pan dokumenty, które pozwalają potwierdzić pokrewieństwo z nim?

- Mam...

- A inni krewni... inni potomkowie są w Szantarsku? - spytał Smolin, odczuwając niemały dreszcz hazardu.

- Niestety, nie ma...

- Znaczy, że pan jest jedyny... - powiedział Smolin niemal triumfująco. - Wspaniale, Manolisie Andriejewiczu, wspaniale...

- Co pana tak cieszy?

- To, że z nikim, proszę wybaczyć cynizm, nie trzeba będzie się dzielić - powiedział otwarcie Smolin. - Tylko pan i ja, po połowie...

- Co, wybaczy pan, dzielić? I czemu po połowie?

- Oczywiście, pieniądze. I niemałe. A po połowie, bo moim zdaniem, tak będzie sprawiedliwie. Przecież beze mnie pan nawet o niczym by nie wiedział... zresztą i w pojedynkę, proszę łaskawie wybaczyć, trudno będzie panu uzyskać uznanie swoich praw...

- To znaczy?

- Ja na własne oczy obejrzałem działkę, o której tutaj jest mowa. Do tej pory jest niezabudowana i stanowi pustkowie, niemal w samym śródmieściu... Rozumie pan, Manolisie Andriejewiczu, jeszcze za *Boryski* była przyjęta interesująca nas ustawa o zwrocie ziemi spadkobiercom przedrewolucyjnych właścicieli, tym, którzy mogą to udowodnić w sposób udokumentowany. Przede wszystkim dotyczy to gruntów rolnych, ale niektóre jej postanowienia dotyczą działek w obrębie miasta. Oczywiście, jest tam masa zastrzeżeń: działka, o którą występuje następca prawny, musi być całkowicie *pusta*, nie mogą na niej stać żadne domy mieszkalne ani inne zabudowania, nie mogą przez nią przechodzić ciągi komunikacyjne i tak dalej... I na tym polega cały urok, że „obejście asesora kolegialnego” z punktu widzenia danej ustawy w stu procentach jej odpowiada! Działka jest absolutnie czysta! Cztery godziny przesiedziałem ze swoim adwokatem, mam doskonałego prawnika, fantastyczny szubrawiec, jak wszyscy oni, ale dlatego cenny... Proszę uwierzyć mojemu doświadczeniu: jeśli on w pańskim imieniu rozpocznie *starania*, to bardzo szybko absolutnie legalnie obejmie pan w posiadanie wymienioną działkę, wyłączoną z miejskiego rejestru. Pół hektara prawie w centrum miasta... Rzecz pewna.

Manolis pokręcił głową:

- Mam wrażenie, że to kawałek z jakiejś starej sztuki: spadek, adwokaci, intrygi...

- Ale sztuka całkowicie odpowiada rzeczywistości - powiedział Smolin z przekonaniem. - Powiadam panu, adwokat przysięga, że załatwimy do dość szybko...

- No dobrze, przypuścimy... Tylko po co mi pół hektara pustkowie, niechby nawet w centrum miasta?

Smolin popatrzył na niego badawczo, ostro: nie, sługa Melpomeny nie żartował, on rzeczywiście nie rozumiał. Pozostawał obojętny i oklapnięty. Natomiast w oczach jego

czarującej żoneczki błysnęło określone zainteresowanie...

- To znaczy, jak to, po co? - zapytał Smolin. - Żeby natychmiast sprzedać. Znającym się na tym ludziom. Na pięciu tysiącach można zbudować parkę apartamentowców, supermarket albo zespół rozrywkowy... wszystko można! Ja nawet wiem, komu tę działkę możemy sprzedać - tych ludzi jestem pewny. Weźmiemy od nich, oczywiście, znacznie mniej od ceny rynkowej, ale będzie to z korzyścią dla wszystkich. Oni nie będą tracić energii na wręczanie łapówek, intrygi, kopanie się z rywalami... A my bez szczególnego wysiłku dostaniemy niechby nawet niepełną cenę, ale całkowicie wystarczającą dla nas, skromnych. Kupujący, à propos, pomogą nam wszystko przeprowadzić szybko i jak najbardziej legalnie. Już przeprowadziłem wstępne rozmowy, zainteresowanie naszą ofertą jest olbrzymie. Tu idzie o dziesiątki tysięcy dolarów - naszych wspólnych... Powtarzam, wszystkie wydatki biorę na siebie, później odda pan połowę. Wszystko czysto, uczciwie i zgodnie z prawem. Dziesiątki tysięcy dolarów... Oczywiście podpiszemy umowę, jak się należy, starannie rozpiszemy wszystkie warunki i zobowiązania, wyraźnie zaznaczymy, że zysk dzielimy po połowie - ja nie jestem jakiś łobuz ani pokątny handlarz, Manolisie Andriejewiczu, ja jestem poważnym przedsiębiorcą. W tym przypadku mam zamiar przeprowadzić transakcję jak najbardziej legalnie, zapłacić wszelkie podatki, żeby spać spokojnie... Projekt umowy jest już przygotowany. Proszę się z nim zapoznać, jeśli będzie to konieczne, proszę coś zmienić zgodnie z pańskim życzeniem i jak tylko ją podpiszemy i zalegalizujemy notarialnie, maszyna pójdzie w ruch. Sądząc po rozmowach wstępnych, które prowadziłem, już za półtora, dwa miesiące wszystko będzie załatwione, a może nawet wcześniej. Potencjalni nabywcy gotowi są nam pójść na rękę, to ludzie niebiedni i ustosunkowani... A więc?

Smolin zamilkł, wpatrzył się w rozmówcę z niedwuznacznym oczekiwaniem na twarzy. Trochę go niepokoiło, że spojrzenie aktora pozostaje obojętne i przygaszone: ani krzty zainteresowania, dosłownie ani krzty, niech go... A przecież nie można powiedzieć, że ten osobnik, noszący imię zapomnianego greckiego bohatera, kąpie się w pieniądzach - pensyjka w operetce niebogata. Manolis, jak Smolin wywiedział się przy okazji, czasem występuje w reklamach, ale rzadko i nie w stolicach, ale w Szantarsku, a to zupełnie inny format. W mieszkaniu nie było widać biedy - ale również i szczególny dostatek też nie rzucał się w oczy... Do cholery, taką propozycję inni łapią zębami i pazurami, nóżki całują, nazywają dobroczyńcą ze łzami w oczach...

Serce mu zamierało - charakterystyczna fizjonomia aktorzyny pozostawała obojętna, znudzona, *błędna*. Nawet odrobinę zabarwiona wstrętem, jak gdyby Smolin proponował mu coś nieprzystojnego, w rodzaju urządzenia burdelu z nieletnimi, czy, Panie zmiłuj się,



wstąpienia do „Jabłoka”...

- Wasiliju Jakowlewiczu, to, naturalnie, jest interesujące... - przeciągnął Manolis wciąż z tym źle maskowanym wstrętem. - To, jak już powiedziałem, przypomina starą sztukę...

Tylko mnie, proszę wybaczyć, pańska propozycja zupełnie nie interesuje. Jakie to, mówiąc otwarcie, niesmaczne... Handlować pamięcią pradziadów...

- Ziemią pradziadów - ostrożnie poprawił Smolin. - A to już co innego. Nie rodzinnymi mogiłami, przecież...

- Wszystko jedno. Panu trudno zrozumieć psychologię ludzi *naszego* kręgu... jak mnie, bezwarunkowo, trudno wniknąć w psychologię *pańskiego*. Drogi Wasiliju Jakowlewiczu, proszę wybaczyć wielkie słowa, ale ja jestem człowiekiem sztuki - przelotnie spojrział na ścianę obwieszoną fotografiami z taką zarozumiałą i nawet triumfalną miną, że Smolin wzdrygnął się w sobie. - I nie mam zamiaru zanurzać się w tym pańskim handlowym błocie: działki, restytucje, dolary...

- Dziesiątki tysięcy dolarów - cicho poprawił Smolin.

- Tym bardziej. Tak, wśród moich przodków byli... komercjaliści. Jednak było też niemało prawdziwych inteligentów, którzy stawiali duchowość wyżej wszystkiego... Panu trudno zrozumieć, oczywiście, ale niech się pan postara: są ludzie, którzy żyją bynajmniej nie według tych wartości, które pan pielęgnuje. Gdybym zgodził się na pańską propozycję, nieodmiennie zdradziłbym coś wielkiego, szlachetnego, niezmiernie przewyższającego wartością pańskie pospolite dolary...

Mówił nie patrząc na Smolina, z przymkniętymi oczami, jakby upajał się swoimi słowami. Najgorsze było to, że Smolin już rozumiał: jego rozmówca mówi *szczerze*. „Jemu w rzeczy samej wszystko to nie jest potrzebne - myślał, odczuwając nie tyle zmieszanie, co nawet pewną panikę. - On, proszę was, jest ponad tę pospolitość...”

Głupiec - to najstraszniejsze, co może stanąć na drodze człowieka interesu. Szczególnie, jeśli to jest inteligentny, twórczy głupiec, od którego, jak w tym przypadku, zależy olbrzymi zysk, którego w inny sposób nie da się zdobyć...

Smolin zetknął się już z podobną sprawą - w dziewięćdziesiątym drugim w Swierdłowsku. Był tam *spadkobierca*. Jego nieboszczyk ojciec jeszcze w trzydziestym ósmym zajął niemałe stanowisko w przemyśle czołgowym - na emeryturę odszedł już za Breżniewa. Tak więc spadkobierca miał ogromne archiwum, w którym najważniejsze były nawet nie orderzy i wszelkie możliwe odznaki honorowe, same w sobie nietanie, ale dobry kilometr *papierów* i to jakich! Dziesiątki dokumentów z własnoręcznymi podpisami

Wielkiego Wodza oraz członków Politbiura, narkomów, marszałków i generałów, odręczne listy Berii, Kurczatowa, Woroszyłowa i Żukowa. Unikalne fotografie, książki z autografami, za które z bibliofilów można było wypić całą krew... I wiele jeszcze ciekawych rzeczy, odnoszących się już do chruszczowowskich czasów.

Tylko że spadkobierca, inteligentnie bydlę z doktorskim dyplomem jakichś nauk, okazał się klinicznym entuzjastą „przebudowy”, podobnie jak olbrzymia rzesza podobnych mu miernot. Niczego, bodaj cokolwiek związanego z „przeklętymi komuniakami” nie znosił organicznie - dlatego nappełnił raz pewnego trzy niemałe worki po kartoflach „stalinowskim gównem”, jak sam to wszystko określił z pewnym błyskiem w oczach i śliną na rzadkiej bródce, po czym wywlókł do śmietnika. Zdarzyło się to jakieś dwa miesiące przed tym, jak Smolin ze swierdłowskimi kolegami znalazł do niego kontakt - więc nie było sensu rzucać się do pojemników ze śmieciami. Tyle lat upłynęło, ale ani jeden przedmiocik z tego źródła na rynku się nie pojawił, a to znaczy, że skarby przepadły bezpowrotnie. W Jekaterynburgu tę historię do dziś opowiadają nowicjuszom - ci zaś, chłopczkowie na wskroś współcześni, czasem nie wierzą...

- Tak więc, proszę wybaczyć, w niczym panu pomóc nie mogę - usłyszał dostojny do obrzydliwości, patetyczny głos. - W to błoto zdecydowanie nie mam zamiaru włązić. Mam nadzieję, że nie poniósł pan żadnej straty?

- Ach, jakie tam straty... - wymamrotał Smolin ponuro.

Patrzył na piękną Ritę - w jej oczach można było dostrzec coś zdecydowanie podobne do żywego zainteresowania. Kobiety to stworzenia praktyczne, zwłaszcza piękności, doskonale rozumieją, ile ciekawych rzeczy można kupić w dzisiejszych sklepach...

Smolin czuł się tak bezradny, że rzucił pięknej kobiecie otwarcie błagalne spojrzenie.

I co najciekawsze, zrozumiała!

- Manolis - odezwała się ostrożnie. - Może warto się jeszcze zastanowić? Jeśli wszystko uczciwe i legalne...

Odwróciwszy się do niej już niespecjalnie dostojnie, małżonek dosłownie sparzył najdroższą połowicę niepowtarzalnym spojrzeniem, w którym mieszała się i wściekłość, i wyższość, i jeszcze coś scenicznie tragicznego:

- Riteczko!

Tak to było wypowiedziane - przez zęby, twardo, dobitnie - że piękność momentalnie zwiędła. Smolin, który przyglądał się tej scenie z bezsilną złością, ostatecznie upewnił się, że matriarchatem w tym mieszkaniu nawet nie pachnie - natomiast czuć na wiorstę drobnego domowego tyрана i ślicznotka, jak się wydaje, po prostu nie ma dokąd uciec od tego skarbu.

Często coś takiego zdarza się w życiu, piękno samo z siebie jeszcze nie daje gwarancji szczęścia...

Manolis patrzył na niego wyczekująco:

- Jak sądzę, omówiliśmy wszystko...

To znaczy, że Smolin powinien się momentalnie wynieść. Doskonale to rozumiał, jednak nie chciał się poddawać, jak każdy na jego miejscu.

- Manolisie Andriejewiczu, proszę jednak pomyśleć...

- Ma pan, z pewnością, wiele spraw - tak samo przez zęby wypowiedział aktor, patrząc na Smolina całkiem już lekceważąco.

Oto niepowodzenie, oto pech - *głupiec*. Nie chciwy skąpiec, starający się chapnąć dla siebie lwią część, nie zręczny intrygant, który udając uczciwego i wiernego pragnie wypchnąć cię z *interesu*, nie aferzysta. Po prostu głupiec z inteligenckimi ambicjami. To jest najgorsza przeszkoda, przeciwko której jeszcze nie wynaleziono broni. Cóż można z tym zrobić? Pieniądze - to dla niego błoto, przy próbie nacisku, na sto procent, będzie smarował doniesienia...

Popychany chłodnym spojrzeniem, Smolin wstał, skrupulatnie włożył drogocenny - i bezużyteczny! - papier do plastikowej koszulki i w myśli, ciężko westchnął. Nie chcąc się poddać, odezwał się neutralnym tonem:

- Oto moja wizytówka, na wypadek, gdyby pan zmienił zdanie... - i pośpiesznie położył prostokątny kartonik na stoliku. - Jest tu adres sklepu, telefon, obie komórki...

Manolis skrzywił się:

- Proszę to zabrać. Wszystko już omówiliśmy...

- Mimo wszystko proszę pomyśleć - powiedział Smolin oddalając się od stołu.

Manolis, z niemożliwym do opisania grymasem, spojrzawszy na wizytówkę, bezwzględnie, z jego punktu widzenia, profanującą opromieniony aurą twórczości przybytek Melpomeny, nawet nie próbował oddać jej Smolinowi, widocznie brzydził się dotknąć tego śmiecia z innego świata, tak wulgarnego i brudnego...

Smolin uklonił się bez żadnej elegancji i skierował do wyjścia. Wyraźnie usłyszał wypowiedziane za sobą słowa:

- Riteczko, wyrzuć to świństwo do wiadra...

Nikt go nie odprowadził, więc Smolin mógł sobie pozwolić na zbytek niekontrolowania mimiki - gdy schodził po schodach burcząc pod nosem wyzwiska, idąca naprzeciw staruszka aż odskoczyła na bok, zezując bojaźliwie. Widocznie nieprzychylną miał gębę, absolutnie pozbawioną braterskiej miłości bliźniego i tym podobnych cielecych

czułości...

A dosłownie w kwadrans później nastrój popsuł mu się jeszcze bardziej, chociaż wydawało się, że gorzej już być nie może...

Tym razem dzielni chłopcy z wydziału do walki z nielegalnym handlem bronią nawiedzili sklep Eldorado, należący do Wilena Fokina o przezwisku Docent (ponieważ poświęcając niemałe wysiłki handlowi antykami, był również czynnym wykładowcą w katedrze biologii szantarskiego uniwersytetu). Wszystko odbyło się według tego samego schematu: najpierw niebudzący podejrzeń osobnik kupił sobie pruską szpadę urzędniczą z czasów cesarstwa, a gdy tylko wyszedł ze sklepu - wpadli... W ogóle to w konkretnym przypadku należało kaszać, wzywać adwokatów i protestować, nie wykraczając poza ramy prawa. W przeciwieństwie do innych, Fokin akurat miał załatwioną jak należy licencję na obrót białą bronią i wyrobami z drogocennych metali. Jednak wbrew pisemnym regulaminom nie wpisał danych osobowych nabywcy do stosownej księgi głównej, a ponadto, będąc w pewnym sensie klasycznym inteligentem, spietrał się, to i nie kaszał...

W efekcie nastąpiła konfiskata całej znajdującej się w magazynie białej broni, wśród której była również para przedmiotów należących do Smolina. Jednak najsmutniejsze nie to było. Sytuacja całkowicie i w pełni układała się w powiedzonko ze starego dowcipu: „Tendencja, jednakże”. Rzeczywiście, bardzo to wyglądało na *kampanię*. Podobne kampanie bardzo źle wpływają na rynek antyków, a przeciwstawić się im w żaden sposób nie można. Pozostaje żyć maksymalnie ostrożnie, obliczać każdy krok, każdemu klientowi przyglądać się rentgenologicznie i modlić się do Boga, żeby ta klęska żywiołowa jak najszybciej się skończyła...

## Rozdział 2.

### ANTYKWARIUSZ W SWOIM DOMU

Wprowadziwszy samochód na podwórko i zostawiwszy go, jak zwykle latem, przy bramie, Smolin z wyrobioną przez pół roku wprawą zatrzasnął wymalowane na wojskowy zielony kolor wrota, przy zawziętym ujadaniu skaczącej w swoim boksie Kat'ki. Wnioskując z tego, że pozostawała za kratkami, sprawy Bryły przedstawiały się romantycznie...

By potwierdzić swe domysły, Smolin zrobił kilka kroków w stronę łaźni, posłuchał - rzeczywiście, dochodziły stamtąd charakterystyczne dźwięki, tylko jakieś mocno dramatyczne, bardzo ojkała i ochała istota rodzaju żeńskiego. Postął, krzywiąc wargi, ale uznał, że nie ma sensu się niepokoić: jego doświadczony przez życie lokator przeszedł zbyt poważną szkołę, żeby w kwestii płci nadziać się na niedobry paragraf, niczym jakiś parszywy smarkacz...

Ostro odwrócił się na pięcie, podszedł do boksu, skąd z ubóstwieniem wpatrywała się w niego Kat'ka - ośmiomiesięczne stworzenie, owczarek kaukaski z pochodzenia, taki słomkowy „kędziorek” o wadze zaledwie czterdziestu kilogramów. Na pozór najniewinniejsze stworzenie - tylko nie dalej jak wczoraj na wylot przedziurawiła dłoń monterowi: co prawda, sam sobie winien, jak człowiekowi mówiono mu, żeby w żadnym wypadku nie wkładał ręki do boksu, ale ten łajdak, aczkolwiek trzeźwy, w swojej głupocie uznał, że skoro pies szczyrzy do niego zęby i ogonem merda, to można go pogłaskać. Toteż Kat'ka trochę go popieściła...

Smolin wyciągnął rękę, pogłaskał psa po łbie. Kat'ka, ze swojej strony oparta przednimi łapami o siatkę, równała się z jego wzrostem. Wsunął jej bagietkę i skierował się w stronę domu, rozglądając się nie bez satysfakcji: jakby nie było, dom miał pierwszy raz w życiu.

W żadnym razie nie można powiedzieć, że został właścicielem willi: domek z cegły nie olśniewał szczególnym przepychem. Kuchnia i dwa pokoje, plus obszerne użytkowe poddasze. Zresztą i dzielnica nie należała do najbardziej prestiżowych - ale też i nie do szemranych, co nie było bez znaczenia. Za to był podłączony do miejskiej sieci ciepłowniczej i wodociągowej, a co ważniejsze był usytuowany w bardzo malowniczym miejscu - na prawym brzegu Szantary, na samym środku wysokiego poлогіego zbocza, gdzie całkiem blisko zaczynał się rezerwat z jego gęstwinami i dziwacznymi skałami. A widok stąd

rozpościerał się niemal na cały Szantarsk. Na dobrą sprawę, należało się tu przenieść dawno, ale Smolin w żaden sposób nie mógł przemóc do końca półwiekowego instynktu człowieka komunalnego, który przeszło pół setki lat (wyjąwszy dwa na koszary i sześć na barak) mieszkał wyłącznie w mieszkaniach: najpierw w piętrowym drewnianym domu, następnie w czteropiętrowym bloku, potem w ośmiopiętrowym i ostatnio w czteropiętrowym... Trudno mu było zerwać z *mrówkowcami*...

A tu pełno kwiatów, rabatek... Poprzedni właściciele ogrodem nie bardzo się pasjonowali - ot dwie, trzy grządki - cały wysiłek skupiali na kwiatkach, nie na sprzedaż, ale dla własnej przyjemności. W tym, jak się wydaje, był sens - nawet Smolin, dość obojętny wobec całego tego różnokolorowego, pachnącego i wielogatunkowego rozpasania, czasem odczuwał pewną namiastkę rozrzewnienia: jakże pięknie...

Otworzył niezamknięte drzwi, przeszedł wprost do największego pokoju, który zazwyczaj stał pusty (sam zajmował poddasze, to mu wystarczało). Światła nie zapalił, jeszcze było dość widno. Jedynie drzwi dokładnie zamknął za sobą na haczyk (Bryle skłamał, że haczyk został po poprzednich właścicielach i jakoś nie ma kiedy go oderwać - bo jeszcze, nie daj Boże, swoim nie najgorszym rozumowaniem szybko domyśli się o prawdziwej przyczynie i zacznie szperać, nie dobieże się, oczywiście, ale, wszystko jedno, będzie nieprzyjemnie).

Proszę, jakim równoległym zygzakiem trybiły ich czaszki - jego i Kościeja, może tylko w detalach były jakieś różnice...

W rogu pokoju wznosił się koreański sejf metrowej wysokości, jasnobrązowy, z dwiema dziurkami do kluczy i dwiema cyfrowymi tarczkami. Leżały tam w sumie jakieś drobiazgi, ale był to przedmiot odwracający uwagę, coś w rodzaju makiet samolotów z dykty na fałszywych lotniskach, które przeciwnik zazwyczaj bombarduje do utraty tchu, prawdziwe zaś są opodal, doskonale zamaskowane...

Podszedł do abstrakcyjnej rzeźby, przytwierdzonej na amen do obitej szalówką ściany - chromowana płyta ze stali w kształcie partytury, na której luźno rozrzucono najprawdziwsze, pracowicie przytwierdzone, różnego kalibru osłonki na dziurki od kluczy w ilości co najmniej tuzina, od płaskich współczesnych do dawnych kupieckich zamków do magazynu, klucze maszynowe, ostrza noży i inny złom. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, najmniejszy włożył do jednej z dziurek i przekręcił trzy razy w przeciwną stronę do ruchu wskazówek zegara.

Nie stało się dokładnie nic - pozornie. Po chwili Smolin, ujawszy w dłoń przyspawaną na prawym brzegu kompozycji żebrowaną główkę od starego bezmianu, z niemałym

natężeniem sił pociągnął ją do siebie. Coś zgrzytnęło, coś dźwięknęło...

Z prawej strony, przy podłodze, pionowo odchylił się na zewnątrz równy kwadrat szalówki, była to płyta złożona z pięciu wypukłych deseczek, osłaniająca drzwiczki wbudowanego w ścianę sejfu ze specjalnej stali. Za śmieszne pieniądze wykonali je Smolinowi w jednym z szantarskich instytutów naukowo-badawczych, którego pracownicy z powodu niskich zarobków chałturzyli, jak popadnie. Przed dwudziestu pięciu laty za wyniesienie z warsztatu bodaj cała kwadratowego tej stali na długo poszliby siedzieć zarówno wynoszący, jak i Smolin, ale od tamtej pory upłynęło wiele wody i wiele się zmieniło...

Była to *prawdziwa* skrytka - pudło na pół metra głębokie, z czterema półkami, na których równiutkimi stosikami leżały czarne klasery i rozmaite pudełeczka.

Przykucnąwszy, Smolin wyciągnął jeszcze nie do końca wypełniony klaser, wyjął z kieszeni plastikową kopertkę, z niej dziesiątkę matowych złotych monetek i wprawnie rozłożył je do przezroczystych kieszonek. Zważył zbiór na dłoni, chrząknął z zadowoleniem. To były już nie handlowe magazyny, a jego osobisty fundusz emerytalny: złoto jak było, tak wciąż jest najlepszym sposobem lokaty kapitału, nawet jeśli zdarzy się jakiś kataklizm, za złotko będzie można nabyć i konserwę mięsną, i naboje...

Zamknął pudło, dokładnie ustawił na miejscu kwadrat z desek, wcisnął do oporu główkę bezmianu, trzykrotnie obrócił kluczyk w otworu zgodnie ze wskazówką zegara. Sprawdził. Zamknięte jak należy. Wykrywacz metalu skrytki nie znajdzie - dookoła jest zbyt wiele metalu, w tym właśnie celu przymocowanego tu i tam. Oczywiście, jeśli będzie poważny kipisz, kiedy odrywają deski podłogi i zdzierają wszystko ze ścian... Jednak dla czegoś takiego trzeba poważnych powodów, których, miejmy nadzieję nie dawał i długo jeszcze nie da...

Wyszedł, udał się na poddasze wielkości dobrej połowy parteru. Wszystko tu wyglądało malowniczo i sprawiało wrażenie: na ścianach - koła sterowe różnych rozmiarów, lunety, zegary okrętowe; na półkach - kompasy z szalup, sekstansy; w rogu - mała, sięgająca człowiekowi do kolan kotwica; w drugim - prawdziwy harpun, imponująca półtorametrowa strzała. Drewniane bóstwa, malajskie krisy, pęczek strzał, maski afrykańskie...

Wszystko to przejął razem z domem za umiarkowaną dopłatą, ponieważ u wdowy po właścicielu, która przenosiła się do syna na Rianzańszczyznę, budziło smutne wspomnienia. Poprzednim właścicielem był emerytowany kapitan żeglugi wielkiej, który urządził sobie na poddaszu gabinet - wcale niestary był chłop, skończył zaledwie sześćdziesiąt dwa lata, miał nadzieję żyć tutaj długo i szczęśliwie, ale masz ci los, po półtora roku życia lądowego stuknął go udar, na śmierć.

Smolinowi czasem przychodziło na myśl, że stało się to od przejścia w stan spoczynku - takie coś często się zdarza - był człowiek siłaczem, występował jak orzeł, patrzył jak sokół, a tu masz, wystarczyło, że trafił do emerytów, a zaraz spłonął... Jemu, wydaje się, podobne zacięcie za nic nie groziło: handlowiec antykami w pewnym sensie pokrewny jest ludziom twórczych profesji, ponieważ tak jak oni swojemu rzemiosłu oddaje się bez reszty, póki nie zjawi się kobieta z kosą (ale nie Julia Tymoszenko). Chevalier, na przykład zaczął ósmy krzyżyk, ale ani myśli zniedołężnić, ani umierać, ponieważ wciąż ma zajęcie. Albo weźmy Kościeja. Zresztą nieważne...

Wyjął z szafeczki butelkę i srebrny puchar (oczywiście nie Faber, ale przecież dobra piterska robota z czasów cara Aleksandra II), nalał do połowy Hennessy (nie najwyższej klasy, ale przecież nie palinka) chuchnął i wypił jednym haustem.

Posiedział chwilę z zamkniętymi oczami, przeczekał przyjemne gorąco w żołądku i falę, która od dołu rozlała się w gardle. Przeżuł cukierka, zapalił. Wsłuchał się we własne myśli. Nie, żeby do końca poczuł ulgę, ale dusza wyraźnie odtajała, powoli napływało leciutkie wyciszenie, rozluźnienie i niefrasobliwość...

Za oknem - wysokim, półokrągłym, podzielonym na trzy części pionowymi czarnymi listwami - rozpościerała się niezwykle malownicza panorama: połogie zbocze, zabudowane zadbanymi domkami z rzadkimi enklawami *prawdziwych* willi, dalej wolno płynąca, szeroka prawie na trzy kilometry, szara gładź Szantary, za rzeką urbanistyczny lewy brzeg, a już całkiem daleko - kapliczka, za którą rozpościerała się już tylko szaroniebieska o zachodzie słońca półmgła. „Raj - pomyślał leniwie. - Jak gdyby nie ma ani komplikacji, ani głupich praw, ani smerfów, ani żarłocznych konkurentów... Może by zostać eremita, izdebkę w pobliżu zbudować i żyć jak pustelnik... A już! W życiu się tobie, przyjacielu, taki koszmar nie przydarzy, z tęsknoty zdechniesz, jako były właściciel mansardy...”

Nalał sobie jeszcze pół puchar, ale z piciem się nie spieszył. Popatrzył na prawo - tam, na niewysokiej szafeczce z jakiegoś egzotycznego drzewa, zrobionej wyraźnie po drugiej stronie równika, stała czaszka scytyjskiego wodza.

Uniósłszy czarę, powiedział półgłosem i poważnie:

- No, chłopie, za nas obu...

I strzelił, do dna. Ciekawa rzecz się z nim stała: nagle zrozumiał, że absolutnie nie jest w stanie rozstać się z *wodzem*. Nie potrafi go opylić za jakiś banalny tysiączek dolców. Czymś ta *sztuka* (przecież nie można nazwać jej „rzeczą” czy „przedmiotem”) różniła się od zwyczajnego antyku.

Ostry był facecik w tamtym, niewyobrażalnie dawnym życiu, dlatego takim sposobem



go uśmiercili. Należy przypuszczać, że szedł przez życie, jakby gwoździe wbijał, nie łamał się, nie bał się, nie spuszczał z ceny... podobnie jak sam Smolin, który za supermana w żadnym razie się nie uważał, ale życie przeżył, jak się wydaje, *prawidłowo*. Nie darmo, jak zapewniał Gonzić, *prawidłowi* scytyjscy chłopcy czaszki takich właśnie szanowanych współobywateli trzymali w domu na honorowym miejscu, żeby strzegły gospodarstwa, dzieci i domowników oraz samego gospodarza. Może w tym właśnie jest owa siermiężna prawda? Tak więc postanowił, że Wódz pozostanie tutaj...

- Zgodzimy się? - spytał cicho Smolin.

Wódz, jak należało się spodziewać, zagadkowo gapił się na niego pustymi oczodołami i gorliwie milczał. „Zgodzimy się - pomyślał Smolin. - Skoro u was tak było przyjęte, ty i na mnie się nie obrazisz, przecież ja do ciebie z całym szacunkiem, dlatego jak...”

Komórka ożyła melodyjnym *Priekrasnoje dalioko*<sup>27</sup> - melodią dla połączeń niezapisanych w „Kontaktach”. Prędko chwyciwszy ją ze stołu, zobaczył nieznany numer, ale komórkowy. Nie zastanawiając się nacisnął klawisz z zieloną słuchawką telefoniczną, już nieco wytarty.

- Wasilij Jakowlewicz?

Głosu kobiecego nie mógł od razu rozpoznać. Odpowiedział:

- Jest taki...

- Margarita Biessmiertnych z tej strony... Pamięta pan?

- Któż mógłby zapomnieć taką kobietę... - powiedział cicho.

- Czy możemy spotkać się dzisiaj? Jest pan wolny?

- Jakby to powiedzieć... - próbował grać na czas.

Myśl, chociaż odrobinę ogłuszona alkoholem, znowu odzyskała jasność i zwykły spryt. Wydaje się, że nie pomylił się co do ślicznotki: była mądrzejsza i bardziej praktyczna od swojego śmierdzącego aktorzyńy-śpiewaka, oczywiście wizytóweczki nie wyrzuciła do śmieci, ale schowała, wyczekała na odpowiedni moment, chce przedstawić jakieś światłe myśli... ale *jakie* ona może mieć myśli? Przysięgnie, że z całą pewnością postara się przycisnąć mężusia... cóż jeszcze może powiedzieć? Tylko że takie wynurzenia nie są warte tego, żeby zrywać się z miejsca, gnać za dziewiątą górę, za dziewiątą rzekę, tym bardziej gdy siedzi w nim dobra szklanka koniaku. Poczeka do jutra, nie pali się. Albo...

Jego myśli poszybowały jednocześnie w kilku kierunkach.

- Tak naprawdę, to już jestem w domu - powiedział Smolin. - Na prawym brzegu,

---

<sup>27</sup> Popularna piosenka Jewgienija Kryłatowa do słów Jurija Entina (1985) - przyp. tłum.

niemal przy rezerwacie... I, otwarcie mówiąc, chlapanłem szklaneczkę, nie chciałbym siadać za kierownicą, głowa pracuje normalnie, ale przecież smerfy mogą wywąchać, a ja nie mam ochoty subsydiować ich bez skrajnej konieczności...

- Ja mogę przyjechać do pana, wezmę taksówkę. Czy to możliwe? - jej głos nie był natarczywy, raczej prosiła, ale można było wyczuć, że nastawiona jest zdecydowanie...

- No, jeśli to nie sprawi pani kłopotu... Pora jeszcze dziecinna, a spraw nie mam żadnych...

- Dokąd mam jechać? - spytała z jeszcze większym zdecydowaniem.

„Mocno ci w głowie utkwily, czarująca, dziesiątki tysięcy dolarów - pomyślał Smolin.

- Złoto wabi nas, złoto wciąż i wciąż wabi nas..."<sup>28</sup>

- Na prawy brzeg - powiedział spokojnie. - Ulica Pokrowskiego. Taksówkarze zazwyczaj wiedzą, ale jako punkt orientacyjny, gdyby coś, proszę wskazać cerkiew Dosifei Męczennicy, za zakrętem na stok narciarski. To już każdy zrozumie... zresztą przecież ma pani komórkę, dzwoniemy się, jeśli będą kłopoty. Pokrowskiego sto dwanaście.

- A mieszkanie?

- A mieszkań tu nie ma, to prywatny domek.

- Jasne.

- Wszystko pani zapamiętała?

- Oczywiście. Pokrowskiego sto dwanaście, za zakrętem na stok narciarski, cerkiew Dosifei Męczennicy... Już jadę.

- Czekam - powiedział Smolin uśmiechając się.

Odłożył telefon i po chwili namysłu nalał sobie - tym razem zaledwie na dwa palce, wyjątkowo w nagrodę za zdolność telepatycznego przewidywania rozwoju wydarzeń. Tylko co do jednego się machnął - sądził, że będzie dzwoniła jutro rano. Jednak to nie jest takie istotne, najważniejsze, że sam plan okazał się trafny: wbrew głupim dowcipom, blondynki często są mądrzejsze od niektórych facetów, ta Barbie też pokazała, że jest znacznie bystrzejsza i praktyczniejsza od swojego głupawego małżonka.

Jednak, czy będzie z niej pożytek? Niewiarygodne, że jest w stanie przełamać mężusia. Smolin widział akurat coś zupełnie przeciwnego... Ale, stop, stop! Przecież często się zdarza, że sprawa ma się wprost *przeciwnie*: to z małżonków, które przy ludziach swobodnie odgrywa głowę rodziny, w realnym układzie zajmuje miejsce pod dolną pryczą... Ciekawa wersja... A dlaczego nie? Mało to przykładów? Przy Smolinie on śliczną Riteczkę

---

<sup>28</sup> Piosenka z filmu *Złoto MacKenny* - przyp. tłum.

kiełznał pobieżnym spojrzeniem - ale zostawszy z nią sam na sam, być może, przesuwając się po chacie tylko wzdłuż listwy przypodłogowej, a i to na jej polecenie... Ach, jakby było dobrze, gdyby się tak okazało!

Pomyślmy... Przy najbardziej optymistycznym układzie złapie taryfę lub zamówi zaraz po rozmowie, jeśli na drodze nie będzie korków - dotrze tutaj nie wcześniej, niż za pół godziny. Jest czas, żeby nalać jeszcze na dwa palce, zresztą i Kat'kę pora nakarmić, od dawna już piszczy...

Odczedziwszy sobie wspomnianą dawkę, ale na razie zostawiwszy ją na stole, Smolin zszedł na dół. Jeszcze na schodach usłyszał ciche postukiwanie naczyń.

Bryła pracował w kuchni, przez lejek wlewał do pustej butelki po Hennessy to wódki, to martini, to czerwonego wytrawnego - odławszy nieco z kolejnej butelki, wstrząsał naczyniem z produktem finalnym, patrzył pod światło, chrząkał i znowu brał się do alchemicznych czynności.

- Siemanko, Czerwoniec - powiedział, nie odrywając się od swojego zajęcia. Ja tutaj tego... Zachciało się dziuni czegoś ekstra, to przygotujemy w najlepszym wydaniu...

- Kogo poderwałeś?

- Cziksę z zawodówki, przecież nie będę rwał baletniczek - z ochotą oznajmił Bryła, po kropelce dolewając wódkę. - Na początku mówiła: akademia klimatologii, zrazu więc dałem całą wstecz, myślę, wpadłem na wykształconą... Ale słowo po słowie i nagle zaczynam kminić, że ta akademia to czterdziesta piąta zawodówka, gdzie uczą napraw lodówek, która od czterdziestu lat sterczy na Kanatnej. Ja tam gdzieś w siedemdziesiątym pierwszym od jednej mendowszki złapałem i gdyby choć od uczennicy, ale nie, od nauczycielki fizyki, co najważniejsze, kurwa, uczyła...

- Zdarza się - powiedział Smolin leniwie. - Kat'ki nie karmieś?

- Kogo? Mamy wzajemną antypatię. Wybacz, Czerwoniec, ale do piesków mam zadawnioną niechęć, sam rozumiesz, że nie wyjdzie nam przyjaźń...

- Dobra - odparł Smolin.

Wyjąwszy z lodówki wysoki garnek, nalał do emaliowanej miski Kat'ki kleistej owsianki z kawałkami wątroby - posługując się masywną aluminiową chochłą z wehrmachtowskim orłem i datą „1939”. Chochła była prawdziwa, to znaczy *oryginał*. Smolin w ogóle lubił posługiwać się wehrmachtowskimi akcesoriami kuchennymi: Niemcy w swoim czasie robili je z duszą i pojęciem, łyżka mieściła dwa razy tyle, co teraźniejsze (żeby żołnierz szybciej radził sobie z posiłkiem), widelce były wygodniejsze od obecnych, a chochła też nabierała więcej, niż dzisiejsze.

Bryła dalej komponował swój napój, widocznie starając się maksymalnie zbliżyć do doskonałości. Szczupły, chudy, od podstawy szyi do nadgarstków pokryty wieloletnimi *dziarami* i teraz, rzecz jasna, bez cudzych medali za ugory i sukcesy w pracy. W ogóle nic na nim nie było, oprócz wytartych niebieskich spodni od dresu. Wyglądał, oczywiście, na niedożywionego, aczkolwiek całkiem krzepkiego, siedemdziesiątki za nic mu nie dasz.

- Czego się tak darła? - leniwie spytał Smolin, splukując chochlę ciepłą wodą.

- Ba! Miała czego - zachichotał Bryła nie odwracając się.

- Czerwoniec, ja jej wcisnąłem, że jesteś emerytowanym konstruktorem raket, a ja do tej pory jestem twoim ochroniarzem, majorem GB rezerwy, tak że ty, bądź przyjacielem, jeśli się z nią spotkasz, nadymaj policzki po generalsku...

- Ty co, masz zamiar ją tu ulokować?

- Da sobie radę, po prostu chcę ją zapisać do łaźiebnych na przychodne... Nie jesteś przeciw?

- Dobra. Tylko łaźni nie spalcie... A ty, jak z takimi malunkami odstawiasz majora GB?

- A zwyczajnie - parsknął Bryła. - Że, niby dla konspiracji. Obaj za Stalina jeździliśmy po poligonach zamaskowani, ty jako brygadzysta kolchozowy w bryczesach, a ja jako zek...

- Czarujące - powiedział Smolin. - Ja za Stalina przeżyłem zaledwie trzy miesiące, a ty nawet nie osiągnąłeś pełnoletności...

- Ale akurat poszedłem na pierwszą odsiadkę - z godnością powiedział Bryła. - Najśmieszniejsze jest to, Czerwoniec, że dziunia to łyka... Oni teraz historię znają piąte przez dziesiąte, łykną co tylko chcesz. Wierzy, cizia... Dla niej Stalin czy Piotr Pierwszy - jeden pies, dawne dzieje...

- Bryła... Po co dwieście dolców skitrałeś? - zainteresował się Smolin bez szczególnej przygany. - Nie do pojęcia...

- Do pojęcia, Czerwoniec - odparł Bryła bez najmniejszej skruchy. - Po pierwsze, ty w żaden sposób nie jesteś błatny i nie facet nawet, tyś przecież - jeden na krze... A po drugie, rzecz się miała na pasie neutralnym. W chacie nawet bym nie pomyślał, chata - rzecz święta... Mieszkam u ciebie trzy miesiące, czy bodaj szpilka zginęła? Ano właśnie. A na neutralce samo przez się, wyjdzie, to wyjdzie, a jak nie, to nie... A co, masz żal?

- Coś ty - odparł Smolin, uśmiechając się. - Głupstwo...

- Czerwoniec, a nic takiego więcej nie przewidujesz? Spodobało mi się to zajęcie: wkręcasz frajera bez szczególnego napinania się i dostajesz uczciwy procencik... Słuchaj, a kałamarz, był prawdziwy?

- Czekaj...

- Tatka latka... Więc jak, Czerwoniec?

- Są projekciki - odpowiedział Smolin. - Za jakieś dwa tygodnie, jeśli karta podejdzie i gwiazdy ułożą się pomyślnie, zjawi się łoś... Bryła, czy mógłbyś być emerytowanym kapitanem pierwszej rangi? Cała pierś w orderach, szlachetna siwizna... Mowa musi być prawidłowa i kulturalna...

- Kiepsko ty mnie znasz, Czerwoniec... - Bryła odwrócił się w jego stronę, odkaszlnął, przybrał dziarską postawę i odpowiednim głosem, zupełnie niepodobnym do swojego zwykłego, odezwał się: - Bezwarunkowo, Arnoldzie Piotrowiczu, pierwiastek marginalny w twórczości Villona jest pokazany wyraziście, ale byłoby błędem dopatrywać się w nim dominanty... No?

- Wspaniale - powiedział Smolin ze szczerym zdziwieniem.

- A coś myślał! Rozumiesz, Czerwoniec, doliniarze w rodzaju Cegły, tego z filmu, którzy skubią proletariatowi portfele w tramwaju, to drobni frajerzy... *Prawdziwe* kabzy z grubymi pieniędzmi zawsze leżały w ancugach ludzi *szlachetnych* i żeby się do nich dostać nie budząc podejrzeń, trzeba odpowiadać... W pięćdziesiątym ósmym *przejechałem się* krokodylem Moskwa - Soczi, będąc akurat leningradzkim doktorem z tego Villona... I dajesz wiarę, udało się, do samego Soczi żaden frajer mnie nie zaczął podejrzewać, a i w Soczi jeszcze tydzień tę sprawę ciągnąłem z powodzeniem... Tak że o kulturalną mowę się nie martw... Słuchaj, a czego by tu jeszcze dodać, żeby smak był jeszcze bardziej oryginalny?

- Kwasku cytrynowego pół łyżeczki i papryki - po namyśle powiedział Smolin. - W lewej szafce.

- Aha, pamiętam...

„Doktorat weźmiemy pod uwagę - pomyślał Smolin - resztę trzeba lepiej przemyśleć...”

Z Bryłą spędził w jednym baraku całe cztery lata pierwszego wyroku i miał czas mu się przyjrzeć. Był to urkes starej szkoły, który pierwszy wyrok rzeczywiście zarobił za Stalina, doliniarz z Bożej łaski, jeśli tylko możliwe jest takie określenie. I nie przypadkiem jeszcze w pierwszych latach Chruszczowa dostał ksywkę Van Cliburn, na cześć popularnego wtedy na całym świecie pianisty<sup>29</sup>. Tylko że później pianista nieco poszedł w zapomnienie, w związku z czym nowe pokolenia junaków, którzy nigdy o nim nie słyszeli, ksywę z biegiem

---

<sup>29</sup> Van Cliburn (właśc. Harvey Lavan Cliburn Jr. - amerykański pianista, pierwszy laureat Międzynarodowego Konkursu im. Czajkowskiego (1958) - przyp. tłum.

lat przeinaczyli, najpierw Van Cliburn został po prostu Klibą, a potem jakoś niezauważalnie Bryłą... A jakieś pięć lat temu byłemu wirtuozowi przytrafiło się nieszczęście nie na żarty: podczas kolejnej odsiadki posprzeczał się ze smarkaczami, którzy starych tradycji nie uznawali i jakoś tak wyszło, że w warsztacie na ręce spadł mu kawał żelaza ważący dobre półtora puda. Tylko trzy palce lewej dłoni pozostały całe i zdrowe, a pozostałe, chociaż uniknęły amputacji, zrosły się tak, że *tyrać* nimi już nie było można. Wtedy właśnie zaczęło się pasmo nieszczęść Bryły i przed trzema miesiącami Smolin spotkał go na dworcu (z całego majątku i dokumentów miał tylko kwitek o zwolnieniu) i po krótkim wahaniu wziął go do swojego domu. Tak naprawdę, nie najgorszym człowiekiem na ziemi był dawny doliniarz...

- Słysz, Czerwoniec... Ty lukaj - cicho i poważnie odezwał się stary urkes. - Ja mam oko na te sprawy, nie jestem palcem robiony... Wygląda na to, że śledzą naszą chatkę. Bardzo wygląda...

- A dokładniej? - Smolin się zaniepokoił.

- Wczoraj przez cały wieczór koło stacji benzynowej sterczało białe żiguli. Akurat tak, żeby dwaj goście w nim mogli filować na okna z tyłu naszej chaty. Kręciłem się po podwórku, przez okienka wyglądałem z całą ostrożnością i powiem ci dokładnie: do nikogo z naszych sąsiadów nie przyjechali, sterczeli tam cały wieczór, pewni siebie, podziwiali przyrodę... No, a dzisiaj, gdzieś tak przed obiadem sterczało tam inne żiguli, ciemne, wszystkie szyby przyciemnione, na tym samym miejscu i znowu do sąsiadów nikt nie wstępował, po ulicy się nie wahał... Posłuchaj, ja ich, kozłów, dawno nauczyłem się wyczuwać wątroba...

- Z tym może być różnie... - odezwał się Smolin. - Może w naszym zakątku prochami zaczęli dealerować z fury?

- To czemu przez cały czas nikt do nich nie podszedł? Przecież wiem, jak się nielegalnie handluje. A tu nic takiego. To tajniacy, Czerwoniec, przykleili się do naszej chaty. U mnie tym razem wszystko czyste, więc ty lukaj...

- Numerów nie zapamiętałeś?

- A jaki sens? Operatorzy mają tych numerów pełny bagażnik...

- Wezmę pod uwagę - powiedział Smolin i wstał trzymając miskę w rękach.

Idąc w stronę klatki psa, myślał: Bryła jest porządny w każdym calu i bez obawy można mu zaufać w poważnych sprawach... tylko że z powodu swojej specyficznej biografii, ale również i specyficznych doświadczeń życiowych na zawsze utknął we *wcześniejszym* czasie. Dla niego pojęcie „śledzenie” jest nierozzerwalnie związane z pojęciem „operacyjni” - i tylko z nim. Tymczasem, jeśli przypuścić, że dom faktycznie ktoś śledzi, lista podejrzanych

nie ogranicza się do organów ścigania. Organy akurat to zło dobrze znane, niespecjalnie niebezpieczne, natomiast *postronni*... Może i głupstwo, oczywiście, ale trzeba sprawdzić...

Otworzył drzwiczki i Kat'ka wyrwała się z klatki z radosnym skowytom i z nadmiaru uczuć mało co nie zwałała go z nóg. Dobrze, że ujrawszy miskę, jak pocisk wpadła z powrotem do środka. Zamknawszy klatkę Smolin spojrział na zegarek, wyszedł na ulicę i kołyszając się z nogi na nogę, bez pośpiechu, poszedł w kierunku cerkwi.

Głowy, rozumie się, nie odwracał, ale kątem oka zlustrował beżową „szóstkę”, stojącą obok stacji benzynowej, dokładnie w miejscu, które opisywał Bryła. Szyby opuszczone do połowy, wewnątrz, absolutnie nie patrząc w stronę Smolina, rozwałało się dwóch chłoptasiów, jak najbardziej zwyczajnych. Z samochodu dolatywał z cicha jakiś nosowy przebój.

„Coś tu rzeczywiście jest nie tak - pomyślał Smolin, beztrasko maszerując wzdłuż nierównych płotów. - Jakiś podejrzany ten samochodzik... Dobra, numer zapamiętany, spróbujemy coś zrobić...”

Widząc jadącą bez pośpiechu taksówkę, szarą corollę z żółtym grzebykiem, przystanął na wszelki wypadek. Samochód zatrzymał się nie dojechawszy do niego pół metra, szcześnie drzewi i z wnętrza...

Z wnętrza wysiadła chyba zjawa. Prawdziwa zjawa z jego nieokiełznanej młodości, gdy biegał na tańce i szermierkę oraz czekał na wezwanie do przyszłości, dziękować Bogu, była mglista...

Śliczna Margarita, z rozpuszczonymi na ramiona wspaniałymi włosami, była w krótkiej białej spódnicy i luźnej bluzce w kolorze lila, niby nic szczególnego - tylko że ten prosty ubiór jak dwie krople wody odpowiadał tamtej modzie, która panowała w czasie jego osiemnastolecia. Stała przed nim wypisz, wymaluj dziewczyna z przeszłości. Smolin nawet nie potrafił znaleźć w sobie odpowiednich słów na opisanie emocji. Przez moment wydało mu się nawet, że śni.

Wszystko to w żaden sposób nie mogło być *przypadkiem* - obecne mody, oczywiście, czasem prawie powtarzają fasony sprzed trzydziestu czy czterdziestu lat, ale właśnie - *prawie*. Tymczasem przed nim stało nie „coś podobnego”, a klasyczny letni strój z roku siedemdziesiątego pierwszego.

To nie jest przypadek. Smolin, pod wpływem jakiegoś niepojętego olśnienia, momentalnie przypomniał sobie wydarzenia sprzed trzech lat, gdy długo i bez powodzenia targował się z wrednym starowiną o jeden przeciekawy unikat. W żaden sposób stary nie chciał „handlować pamięcią”. Sprawa już wydawała się przeziukana, gdy nagle Smolin, założwszy jedno pewne spostrzeżenie dotyczące podopiecznego, użył sztuczki niezupełnie

standardowej: poświęciwszy kolejne pół godziny na bezskuteczne przekonywanie, jak gdyby zupełnie przypadkiem *dojrzał* w swojej torbie zupełne głupstwo - półwełniane bryczesy z bluzą mundurową. Okazało się, że staremu tylko tego brakowało do pełnego szczęścia, żeby chodzić na spotkania weteranów - jego stare rzeczy zupełnie się znosiły, a nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie można dostać nowe. Słowo po słowie, rozmowa zaczęła nabierać innej tonacji i przeszła na inne tematy. Po chwili Smolin w oczach starego stał się zupełnie innym człowiekiem, któremu, właściwie, nie jest grzechem sprzedać wspomniany unikat, tym bardziej że mundur dostał w prezencie...

Czy nie można więc podejrzewać, że i teraz mamy do czynienia z czymś podobnym? Tylko że tym razem sami staliśmy się obiektem? Fala nostalgii po beztrudnej młodości, gdy z takim właśnie drzeniem umawialiśmy się na randki - chytruska dobiera sobie atuty... Przecież jest mądra, od razu to było widać...

- Dzień dobry. Dobrze się pan urządził, tak pięknie dookoła...

- Głuche przedmieście... - niedbale rzucił Smolin.

Teraz, gdy stali twarzą w twarz, ponownie się przekonał, iż się nie mylił: jej strój rzeczywiście był dokładną kopią fasonów z początku lat siedemdziesiątych. Przy czym wcale nie wyglądał na stary, wyciągnięty z maminej walizki. Być może ona również ma coś wspólnego z teatrem, jak jej głupkowaty małżonek? W „operetce” mają doskonałą kostiumiarnię. Przypomniał sobie, że ktoś ze znajomych na zeszły Nowy Rok zamówił dla żony suknię balową, dokładną kopię kreacji z czasów Puszkina, i mówił, że doskonale wykonali...

- Pójdziemy? - zaproponował. - Już dosyć późno, a czas panią, z pewnością, goni?

- Czasu mam tyle, że nie wiadomo, co z nim robić - odparła Rita, obdarowawszy go nie do końca zrozumiałym spojrzeniem. - Małżonek akurat wyjechał do Tomka na festiwal, więc przez najbliższe trzy dni jestem wolna Kozaczka...

Wydało mu się, czy też to spojrzenie rozszyfrował do końca? Ano, zobaczymy...

- Z góry proszę wybaczyć głupie i bezsensowne pytanie. Czy mi się zdaje, czy pani również ma związek z teatrem...

- Można i tak powiedzieć - z uśmiechem przeciągnęła Rita.

- A pan, wydaje się, nie należy do miłośników teatru?

- Właśnie. Do teatrów nie chodzę, w kinie byłem ostatni raz... ach nie, nawet sobie nie przypomnę, zdaje się, że to z pewnością było jeszcze za Breżniewa... Zresztą i telewizji nie oglądam. Zupełny dzikus-pracoholik. Sądząc po pani zagadkowym uśmiechu... Mój Boże! Czy jest pani aktorką?



- No tak.

- Również w operetce?

- Zgadł pan.

- Och, proszę wybaczyć... - powiedział z wyrazem całkowitej skruchy. - W samej rzeczy, życie kulturalne naszego sławnego miasta nie jest moją mocną stroną...

- I to przy pańskim zajęciu?

- Tak, jakoś na to wychodzi... Proszę wybaczyć...

- To nic, ja, w przeciwieństwie do niektórych, nie jestem czcicielką „wielkiej sztuki”, jak dzikus totemu. Ja, Wasiliju Jakowlewiczu, nie jestem gwiazdą i kapłanką Melpomeny, wyżej głowy nie mam zamiaru skakać, pracuję, chodzę w kieracie...

Jej głos był nieco smutny - ale, mając do czynienia z zawodową aktorką, nie warto brać takich rzeczy za dobrą monetę. Może całkiem po prostu odgrywać kolejną postać...

- A jednak nie wierzę, że pani tam, w operetce, jest piątą od lewej refrenistką w szóstym rzędzie...

- I słusznie. Gram i Siłę, i narzeczoną Figara... jeśli pan wie, kim one są.

- No, nie jestem aż taki ciemny... - odparł energicznie.

- Daleko jeszcze?

- Jesteśmy na miejscu...

Otwierając przed nią furtkę, Smolin rzucił szybkie spojrzenie przez ramię - samochód stał na miejscu, może tylko tamci w środku zmienili pozycje.

Weszli na poddasze, gdzie już odrobinę zgęstniał półmrok. Nawykłym ruchem wyciągnąwszy rękę, Smolin nacisnął kontakt, zapaliły się dwie słabe lampy na przeciwległych ścianach... - Oj...

Rita odskoczyła, wpadła na Smolina w nieudawanym przestachu, siłą rzeczy musiał ją pochwycić za ramiona, przytrzymując - no co tam, dla niego to dosyć przyjemna sytuacja. Potwierdzając swoje domysły, zatrzymał dłonie na jej ramionach, a ona nie obruszyła się, jak gdyby tego oczekiwała.

- Co to... - odezwała się szeptem.

- Ach o to chodzi... - domyślił się Smolin. Powoli zdjął Wodza z szafeczki i schował do środka, na górną półkę. - Wie pani, to również antyk, bywają różne...

- Poważnie?

- Absolutnie. Scyta. Proszę usiąść... Koniaczkę?

Margarita, wciąż jeszcze oglądając się do tyłu, na drzwiczki szafki, wzruszyła ramionami:

- Poproszę, w rzeczy samej... Do tej pory czuję strach. A pan lubi gotyk?

- Gotyk? - wzruszył ramionami. - A, to... Nie, żadnej nekrofilii. Po prostu nasi przodkowie, jak mi powiedziano, właśnie takie czaszki trzymali w domach w charakterze talizmanów.

- Niczego sobie talizman... Serce mi prawie wyskoczyło...

- Pamięta pani tę bajkę: Wokół izdebki Baby Jagi czaszki na palach... Jak uważają ludzie znający się na rzeczy, są to zaledwie reminiscencje starego życia, kiedy przy każdym szanującym się domu takie talizmany gromadzono na płocie...

- A pan się nie boi, że on w nocy... coś takiego urządzi?

- Ja się obawiam tylko żywych, Rito - szczerze powiedział Smolin. - Nieboszczycy nigdy mi niczego złego nie zrobili, więc i tym razem obejdzie się... Proszę.

Podał jej srebrny pękaty pucharek dość znacznych rozmiarów i wziął ze stołu swoją szklaneczkę.

- Bez toastów?

- Oczywiście - powiedział Smolin.

Przybyła wychyliła swoją porcję naturalnie, zdecydowanie, nawet zawiadacko. Nie skrzywiła się, nie zakaszłała, wzięła cukierka i wygodnie usadowiła się w fotelu zakładając nogę na nogę czysto automatycznym gestem.

- Przytulnie tu u pana - odezwała się, spoglądając dookoła.

- Trochę.

- W żadnych planach panu nie przeszkodziłam? Może przyszłam nie w porę?

- Ależ, czy taka kobieta może komuś przeszkodzić? - odparł Smolin zaledwie markując uśmiech. - Banał, oczywiście, ale ja tu zdziçałem...

Przyglądał się młodej kobiecie w zamyśleniu i otwarcie - ona zaś, udając, że niczego nie dostrzega, oglądała egzotykę, pracowicie zniesioną tu przez nieboszczyka kapitana. Na podwórzu leniwie zaszczekała Kat'ka.

- Wasiliju Jakowlewiczu - Rita podjęła temat z którym przyszła. - Ta ziemia rzeczywiście jest warta dobrych pieniędzy? Ściślej mówiąc... Rzeczywiście można je uzyskać?

- Oczywiście. Wszystko mówiłem na poważnie. Może mi pani uwierzyć, sto tysięcy dolarów za to pustkowie dostaniemy bez wysiłku. Lub, zgodnie z ostatnią modą, znaczy z jakoś niezauważalnie obumarłą tradycją przeliczania na dolary, jakieś dwa i pół milionika naszych własnych. Można, oczywiście, przytrzymać na przyszłość, żeby później wziąć nawet więcej... Ale ja, wie pani, jestem człowiekiem trzymającym się ziemi. Czasem lepiej wziąć

pewne pieniądze, niż snuć plany na przyszłość. Licho wie, jaka będzie sytuacja za rok, co tam może przeszkodzić... Rozumie pani?

- Rozumiem. I nie sprzeciwiam się. Bardzo przekonująco to wszystko pan zarysowuje... Znaczy, po połowie...

- A co, czy to wydaje się pani nieuczciwe? - uśmiechnął się Smolin. - Ja bez pani nic nie mogę, ale i pani beze mnie również. Ten papier jest moją prawną własnością i wcale nie mam obowiązku oddawać go pani mężowi...

- Ależ co pan, ja zupełnie nie o tym - pospiesznie powiedziała Rita. - Należy mi pan jeszcze?

- Uprzejmie proszę.

Z drugim kielichem postąpiła równie energicznie, dokończyła cukierka. Smolin wypił swoją porcję i cierpliwie czekał, aż gość się odezwie.

- Rozmawialiśmy... po pana odejściu - powiedziała Rita. - Raczej próbowaliśmy... ja próbowałam.

- Sądząc po pani minie, małżonek pozostaje przy swoim zdaniu?

- No, oczywiście. Słudze wysokiej czystej sztuki nie przystoi grzebać w takim błocie... Znakomity trafił mi się skarb, co?

- Rito - powiedział cierpliwie. - Mnie absolutnie nie interesują cudze kolizje rodzinne...

- W porządku... Ja po prostu dzisiaj mam zły wieczór...

- Rozumiem - powiedział Smolin.

I przechwyciwszy jej niedwuznaczne spojrzenie, nalał jej po raz trzeci. Na alkoholickę nie wyglądała, najprawdopodobniej piękność po prostu potrzebowała leciutkiego odprężenia, więc niech trąbi, szkoda, czy co? Wcale nie wygląda, żeby ją rozbierało...

- Znaczy, że nic państwu nie wyszło - powiedział, rozmyślając na głos.

- To zależy - Rita zagadkowo błysnęła oczami. - Wasiliju Jakowlewiczu, skoro już mamy nawiązać biznesowe partnerstwo... możemy rozmawiać otwarcie?

- Ależ naturalnie.

- O ile rozumiem, dla pana ma znaczenie wyłącznie transakcja, a nie osobowość mojego mężulka, niepowtarzalna i oryginalna?

- Dla mnie ważne jest jedno. Przeprowadzić tę transakcję i otrzymać swoje pięćdziesiąt procent. Nie zamierzam nikogo oszukiwać, proszę mi wierzyć. Nie ze szlachetności duszy, a wyłącznie dlatego, że tak jest lepiej i prościej żyć, zawierając uczciwe kontrakty. Ale, ma pani rację, nie jestem żadnym filantropem ani chodzącą cnotą. Zupełnie

nie interesują mnie niczyje niepowtarzalne osobowości. No bo z jakiej racji miałyby mnie interesować taka liryka? Gdyby była taka możliwość, to z wielką chęcią przeprowadziłbym transakcję nie z pani mężem, a z panią, mnie jest wszystko jedno, komu oddać jego część...

- Wspaniale - powiedziała, odchylając głowę na oparcie fotela i lekko się uśmiechnęła, mrużąc oczy. - Więc zacznijmy działać razem.

- To znaczy?

Wzięła swoją czarną workowatą torebkę, która stała przy wygiętej nóżce fotela, wyjęła złożoną na cztery kartkę papieru, podała, nie zmieniając pozy. Smolin, wyczuwając jakiś nadzwyczaj interesujący przełom w beznadziejnej sytuacji, jednak nie zerwał się z miejsca, ale wstał całkiem spokojnie. Rozłożył papier, wczytał się w drukowany tekst, spojrzał na pieczęć notariusza...

- Rito, to wspaniale! - powiedział ze szczerą radością. - To po prostu doskonale! Zupełnie inna sprawa... Pełnomocnictwo ważne jeszcze prawie rok... prawo podpisu, w tym również w sprawach finansowych... praktycznie wszystko, co potrzebne, jest tu uwzględnione i pani może w jego imieniu podpisywać wszelkie... Jeśli to nie tajemnica, z jakiego powodu mąż wydał pani upoważnienie?

- Mieliśmy zamiar sprzedać daczę. No i wiadomo, *nam* - ironicznie podkreśliła ostatnie słowo - to kaszana, jak teraz się wyraża młodzież, zajmować się taką pospolitą i niską prozą życia... Riteczka wszystko wytrzyma... - uśmiechnęła się oślepiająco, leciutko podchmielona i być może, nie bez pewnej drapieżności. - Riteczka na pewno wytrzyma. Więc jak, mam prawo podpisać z panem umowę i w swoim imieniu wszystko załatwić?

- Absolutne. Z takim pełnomocnictwem...

- Tak, żeby nawet nie wiedział?

- No, oczywiście - odparł Smolin. - Ma pani w ręku nienaganne pełnomocnictwo, które daje pani wszelkie plenipotencje. Po co ma wiedzieć? Prawo nie wymaga, żeby pani informowała męża o każdym swoim kroku. Tylko jeden maleńki niuans: jak pani, z pewnością, się domyśla, jest pani zobowiązana uczciwie podzielić się z mężem zarobionymi pieniżkami, jest to wszakże „majątek wspólny"... Co, duszno?

Właśnie rozpięła dwa górne guziczki bluzki - całkowicie naturalnym, swobodnym ruchem, który nie zawierał żadnego podtekstu. Smolin dawno nabrał przekonania, że *prawdziwą* aktorką jest właśnie Rita, a nie jej patetyczny mężulek. Mądrze gra dziewczynka, wszystko wychodzi jej naturalnie, na rozum odczytujesz jej grę, ale fałszu nie widzisz... Aktorka... Bluzeczka teraz otworzyła się tak, że każdy normalny facet zrobi stójkę. A przecież rozumiałe, zdaje się, tego jej potrzeba...

Smolin odrobinę uchylił prawe skrzydło okna, spojrzeniem zadał pytanie i otrzymawszy niemą odpowiedź, nalał koniaczku czarującej aktorce. Rita piła już wolniej, patrząc na niego znad srebrnego pucharka całkiem wyraziście...

- Wasiliju Jakowlewiczu - powiedziała z uśmiechem. - Pan jest wielkim kombinatorem...

- Och, proszę mi nie schlebiać. Zwykłym handlarzem.

- Niech pan nie udaje... W panu wyczuwa się... *zręczność*. Właśnie mówiliśmy, że mój najdroższy małżonek jest panu głęboko obojętny... zresztą, należy przypuszczać, podobnie jak ja...

- Kolejna banalność, ale cóż robić... Taka kobieta, jak pani, obojętną być nie może. Oto ma pani surową prawdę życia. Co tu się bawić w dyplomację, doskonale pani wie, *jaka* pani jest, jakie wrażenie wywiera na każdym normalnym facecie...

- Przyjemnie to słyszeć... - powiedziała Rita bez najmniejszej pretensjonalności. - A szczerść w ustach piękności jest mile widziana?

- No, oczywiście - odparł Smolin przyglądając się jej już całkiem otwarcie. - Zwłaszcza w takich sprawach...

- W umowie koniecznie musi być oznaczona cała suma? Czy może tam być inna, powiedzmy...

- Znacznie mniejsza? - podchwycił Smolin z ujmującym uśmiechem. - Nie ma sprawy! Powtarzam, że przywykłem grać uczciwie. Ja oddałbym pani należną połowę nawet bez umowy na piśmie.

- Wychodzi na to, że będę musiała panu zaufać...

- Więc proszę zaufać. Już jestem za stary, żeby oszukiwać takie piękności, Riteczko... Ale do rzeczy. Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli. W umowie napiszemy jakieś pięćset tysięcy, o których pani mąż z czasem, oczywiście, się dowie... ale będą jeszcze dwa miliony, o których nie dowie się nigdy... Dobrze panią zrozumiałem?

Spuściła wzrok i jakiś czas w zamyśleniu przypatrywała się swoim zgrabnym nóżkom. Smolin siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy: niech sama dojrzeje, z pewnością po raz pierwszy przychodzi jej coś takiego robić, gdzieżby wcześniej nadarzyła się taka okazja?

- Uważa mnie pan za kanalię? - wreszcie uniosła wzrok.

- Ja uważam panią za czarującą i mądrą kobietę, której, zdaje się, diabelnie nie powiodło się z mężem...

- Mnie niebawem wyrzucą - powiedziała, uśmiechając się nie bez smutku. - Won. Wie pan, która jestem u niego?

- Czwarta, nie?

- Właśnie. Przyzwyczajenia mamy stałe: bierze się młodziutką aktoreczkę, oczarowuje i uroczyście wprowadza do domu w charakterze pełnoprawnej gospodyni i prawnej małżonki. A po kilku latach na horyzoncie pojawia się kolejne Wielkie Uczucie i... fiut! - zrobiła wymowny gest i smutnie uśmiechnęła się. - Przy czym każda głupiutka jest przekonana, że właśnie na niej ta tradycja się przerwie... guzik! Tak więc mój mechanizm odliczania czasu już tyka. Zamajaczyło kolejne Wielkie Uczucie, młodsze ode mnie o dziesięć lat... Cynicznie licząc, mam jeszcze jakieś dwa, trzy miesiące w zapasie, ale nie więcej... Kobieta praktyczna w takiej sytuacji będzie się troszczyć o przyszłość, więc i ja próbuję... Wierzy pan, że tak właśnie jest, jak mówię?

- Wierzę - Smolin był poważny. - Właśnie dlatego, że oglądałem pani mężulka na własne oczy... no i słyszałem o nim to i tamto. Tak więc, wcale nie jest pani kanałą, kochana Margarito. Po prostu chce pani choć cokolwiek wyrwać z tego paskudnego życia... to całkowicie wytłumaczalne i usprawiedliwione pragnienie.

- Dziękuję...

- Koniaczkę?

- Z przyjemnością.

- Tylko jest jeden kłopot... - powiedział Smolin ze skruchą. - Pani mnie jednak popycha do dołka, nad którym jest napisane „Filantrop”. A ja nim nie jestem. Cóż robić, tak mnie życie ociosało, złe towarzystwo, wpływ ulicy, nie czytałem w dzieciństwie romantycznych książek i nie oglądałem romantycznych filmów...

- Innymi słowy, jestem panu jednak obojętna?

- Ogólnie rzecz biorąc, na razie tak...

Nie spuszczać z niego wzroku, Rita gibko wstała, podeszła blisko, położyła dłonie na jego ramionach, przylgnęła. I cóż w tak romantycznej sytuacji pozostawało robić? Jedyne miękko odsunąć ją w kierunku szerokiego tapczanu, ułożyć na nim i spocząć obok...

- Nie rzucisz mnie? - spytała na ucho tonem jednak zaniepokojonym i lęklwym.

- Nawet nie pomyślę, bądź spokojna - powiedział Smolin starannie rozpinając jej bluzkę. - Jestem człowiekiem staromodnym...

Przez chwilę była trochę spięta, ale i to przeszło, gdy tylko zdjął z niej wszystko.

## Rozdział 3.

### RUCHY I NOWINY

Na cmentarzu biegać w podskokach jakoś nie wypada, toteż Smolin kroczył do wyjścia statecznie - chociaż korciło go, żeby jak najszybciej się stąd oddalić.

Od pewnego czasu otwarcie nie lubił cmentarzy, czy to z powodu wieku, czy też świadomości ilu jego znajomych już odeszło. Niewesoła arytmetyka, jeśli pomyśleć...

Do końca ceremonii nie dotrwał. Swoją obietnicę spełnił - umiejętnie zasłoniwszy się bukietem, niezauważalnie włożył do trumny Czepurnowa etui z orderem, jak tamten prosił. Wyszło naturalnie, nikt nie zauważył.

Order był niezwykle rzadki - pierwszy order Japonii, a ściślej mówiąc, nawet nie order, a odznaczenie, wymienione w stosownej literaturze, jako „Order państwa Sakumoriukiu”. W osiemset sześćdziesiątym siódmym jeden z największych samurajskich klanów wysłał na Wystawę Światową w Paryżu swojego delegata, a on wręczył order Napoleonowi III, a także tuzinowi innych wyróżnionych. Pomyślane to było po to, żeby pokazać Europie: nasz klan, szanowni panowie, silniejszy jest i od cesarza, i od króla, co chcemy, to robimy, możemy nawet wręczać orderzy zagranicznym monarchom, jeśli przyjdzie nam ochota...

W zasadzie nic szczególnego: czerwono emaliowana gwiazda z herbem klanu (krzyż w okręgu) i pięć niebiesko emaliowanych hieroglifów między promieniami gwiazdy. Okrągła zawieszka-kwiatek, czerwona wstążka z białymi paskami. Tylko że do dziś pozostał jeden jedyny znany światkowi antykwariuszy egzemplarz - w Japonii, w muzeum. U Kościeja zaś, wychodzi na to, że nie wiadomo ile lat leżał drugi, podczas gdy w samej Francji nie zachował się ani jeden...

Skąd go wytrzasnął, już nie powie. Jednak najbardziej prawdopodobną wersję, jeśli poruszać głową, można znaleźć. Jedyny w swoim rodzaju order mogli zabrać z Francji Niemcy - a później w Niemczech gdzieś wpadł w oko młodemu wesołemu zwycięzcy, który jeszcze nie nosił przezwiska Kościeja. Nikifor jakoś tak niedawno sam mówił: w Niemczech, w willi, porzuconej przez gospodarzy, znalazł garść egzotycznych orderów, to właśnie naprowadziło go na myśl o późniejszym działaniu. Rzecz oczywista, mogą być też inne wersje, ale do prawdy już nie dojdiesz, zresztą, jaki w tym sens, komu jest ona potrzebna? Skoro już pan Czepurnow opuścił ten świat ostatecznie i bezpowrotnie, ciekawe jest jedno, nasz obrotny aksakał rzekomo był wierzący, a tu masz, poprosił, żeby mu do trumny włożyć

na wskroś bisurmańskie odznaczenie... zresztą to nie nasz interes, o co nas poproszono, to starannie wykonaliśmy, sumienie czyste, a więc...

- Wasiliju Jakowlewiczu...

Odrobinę się wzdrygnął, trzeba przyznać, i obejrzał dość gwałtownie. Daszeńka Berger, czarująca, inteligentna i subtelna istota, nadzieja rodziców (którzy sami w świecie wysokiej sztuki osiągnęli niezbyt wiele, dlatego też wszelkie nadzieje pokładali w tym, że własna dziecina zostanie wybitnym historykiem sztuki).

Niedbałym ruchem zdjęła z głowy czarną chustkę - a raczej leciusieńką apaszkę, którą nałożyła, zapewne, wyłącznie z woli rodziców. Sądząc po tym ruchu i absolutnie spokojnej twarzy, żadnego szczególnego smutku nie odczuwała po stracie kochanego dziadka. Nic dziwnego: Smolin mniej więcej wyobrażał sobie, że od maleńkości słyszała w domu o miłym dziadku: „pies ogrodnika” i „stary dureń z chłamem” - to te najdelikatniejsze...

- Wasiliju Jakowlewiczu...

- Tak?

- Mam do pana poważną sprawę... A raczej prośbę...

- Chwileczkę, można? - poprosił, wyjmując z kieszeni wibrującą komórkę.

Wysłuchał. Odezwał się paroma krótkimi zdaniem i wyłączył telefon, czując, jak na jego twarzy mimo woli rozplywa się uśmiech. Do licha, świetnie, wreszcie nie tylko jasność, ale przestrzeń dla manewru...

- A więc?

- Wasiliju Jakowlewiczu, powstała taka sytuacja, że nie mam kogo się poradzić...

- W jakiej sprawie?

- No, to dotyczy antyków... Przecież wiem, że pan jest wielkim znawcą i profesjonalistą...

- Ach, jakim tam wielkim...

- Wszystko jedno. Najważniejsze, że znawca i człowiek kompetentny. Dziadek o panu zawsze tak mówił.

- I bynajmniej nie z zachwytem, co?

- No, w zasadzie... - Daszeńka zatrzepotała rękami z pewnym zawstydzeniem. - Ale to przecież nie najważniejsze, bo co by o panu nie mówił w kwestiach życiowych, to uważał pana za doskonałego profesjonalistę...

- Dasza, a można wiedzieć, o co chodzi? Właśnie miałem telefon, muszę jechać, ważna sprawa...

- Potrzebuję skonsultować z panem... chodzi o pewien przedmiocik. Został po



dziadku... - rozejrzała się dookoła z taką miną, jakby obawiała się, że jest śledzona. - To dłuższa rozmowa, tutaj, w pośpiechu, niczego się nie da wyjaśnić, trzeba omówić wszystko szczegółowo i wnikliwie... Mnie bardzo, bardzo jest potrzebna pańska rada...

- No, dobrze... - odpowiedział Smolin po namyśle. - Jeśli to nie sprawa kryminalna.

- Ależ nie, żadna kryminalna. Po prostu jestem osobą niedoświadczoną i mogę nieźle spartaczyć, a przedmiocik jest bardzo ciekawy i raz dwa mogą mnie wyślizgać...

- Dobrze. Będę wolny za godzinę. Gdzie moglibyśmy się spotkać...

Dasza wyjęła z torebki karteczkę:

- Czy pod tym adresem mógłby pan? Wynajęłam to mieszkanie na lato, tak wyszło...

Przeczytawszy naprędce adres, Smolin kiwnął:

- Jasne. Za godzinę przyjadę.

Skłonił się i ruszył w stronę parkingu. Ciekawe rzeczy. Można zaręczyć, że rodzice Daszki, inteligencja „ze sfery kultury” z pensyjką z kategorii „kocie łzy”, żeby nie wiedzieć jak rozpieszczali swoją córeczkę, to wątpliwe, czy mogliby jej dać kasę na wynajmowanie mieszkania w śródmieściu. Nietania przyjemność, nawet kawalerka w tej dzielnicy kosztuje nieźły grosz. Wygląda na to, że panna samodzielnie znajduje środki utrzymania - cóż, patrząc cynicznie, miłym dziewczynkom udaje się to znacznie szybciej i prościej, niż sfatygowanym facetom, takie czasy... Niczemu nie można się dziwić od czasu, jak jeden jego znajomy zabawiał się pewnego razu z przyjaciółmi w podmiejskim domu i zamówiwszy tam panienki z bardzo elitarniej agencji, oko w oko zderzył się z własną córeczką - mądra, intelektualistka, zapisana do prestiżowego college'u i rzecz jasna kieszonkowym nieskrzywdzona, a tu masz ci los pieniędzy jej było mało i na wulgarne przygody poniosło...

Co tam, wszystko to, nie jest ciekawe. Trzeba myśleć o czym innym: cóż to ma za *przedmiocik*? Co takiego mogło jej zostać po dziadku - jeśli wziąć pod uwagę osobowość dziadka? I tu już mamy przestrzeń do najśmielszych fantazji, Kościej mógł, kiedyś w przyływie dobroci serca, podarować wnuczce coś takiego, z czym sirom, parom i cholrom w Sotheby's nie wstyd się pokazać. Mógł też zostawić zaskórniaka - co, jeśli w pokoju-skrytce nie wszystko było przechowywane? I teraz dziecinka boi się to zbyt tanio sprzedać, doskonale sobie zdaje sprawę, że sama nie ma pojęcia o rynku i zrobią ją w konia momentalnie. Przedsiębiorcza panna wyrosła, trzeba mieć na nią bacność, jakże lekko i swobodnie zebrała przyjaciół i przetrząsnęła dziadkowe mieszkanie. Czuje się w niej dziedziczny spryt. Kościejowe geny dały o sobie znać w kolejnym pokoleniu. A może będzie z tego jakiś zysk?

Właściciel sklepu Eldorado, Nikołaj Erastowicz Demidow, zwany Erastycz, był sprytnym kombinatorem (o czym wiedział każdy kundel), ale, jak wielu, miał swój czuły *punkcik*. Dobrze, że praktycznie niewinny, w przeciwieństwie do pedofilii, narkomanii czy namiętności do ruletki. Miał hysia na punkcie genealogii. Więc już ze dwadzieścia lat, od czasu odurzenia pierestrojką, upewniał otoczenie w przekonaniu, że on, proszę ja kogo, nie zerwał się z choinki i nie od parcianych wieśniaków pochodzi, ale ma honor być potomkiem tych samych Demidowów, którzy stawiali fabryki na Uralu, bili fałszywe rublówki w podziemiach i przepuszczali miliony w złocie na grzeszne zachcianki.

Dowody były jak najbardziej fantastyczne - ściślej mówiąc opierały się wyłącznie na opowieściach samego Erastycza wymyślającego na komunistyczny rząd, w czasach którego wszystkie papiery zaginęły w wicherze wojen i przewrotów, wszystkie pamiątki rodzinne wraz z rodowymi kosztownościami rozkradli zjadli czekaści, a jeśli nawet jakieś archiwa uniknęły kataklizmów, to z ostrożności spalili je w piecyku sami przodkowie Demidowa, żeby nie trzymać w domu takich niebezpiecznych dowodów.

Smolin czasem podejrzewał, że Demidow po to właśnie przed ćwierćwieczem zajął się handlem antykami, żeby zebrać jak najwięcej rzeczy, które można bez wyrzutów sumienia podawać za rodzinne pamiątki. Jeśli fotografia postawnego pana z bokobrodami i Anną na szyi nie jest podpisana, to można ją bez najmniejszego ryzyka zdemaskowania przedstawić jako zdjęcie rodzzonego pradziadka, dokładnie tak samo bywa ze srebrnymi papierośnicami, orderami, urzędniczymi szpadami i innymi drobiazgami. Ostatnio w stolicach pojawili się obrotni spece, którzy konstruują klientowi pod klucz nieliczne „archiwa rodzinne”: są tu starannie dobrane fotografie, stare drobiazgi, rodzinne portrety, epolety i wiele, wiele innych rzeczy. Szczególnie cenione są ciekawe stare dokumenty ze zbieżnymi fotografiami - a przecież w stolicach działają miejscowi maestro, którzy, jeśli chcieć, za specjalną zapłatę papierośnicę zaopatrzą w stosowną dedykację („Mojemu pradziadkowi sam hrabia Witte podarował ją z czystego serca, jak napisane, z twardymi znakami i jerami!”).

Najśmieszniejsze jest to, że w tamtych odurzających czasach Demidow nawet załatwił sobie papier potwierdzający jego „prawa” - w którejś z mnóstwa „Międzygalaktycznych akademii heraldycznych”, które rozmnożyły się jak pchły na kundlu. Ile go to kosztowało, historia milczy, ale dokument i teraz radował oko na ścianie: kolorowy druk, cesarskie orły, kupa pięknych pieczęci, wymyślny podpis naczelnego herolda Łupkina, a może Lapkina...

Teraz Erastycz był rzutkim handlowcem - tyle że czasem go nachodziło i zaczynał opowiadać o swojej znanej rodzinie, powtarzając bajki jeszcze z przedrewolucyjnych czasów, zaczerpnięte z rzadkich książek antykwarycznych, albo z tajemniczą miną rozgłaszał, jak w

tygodniu nawiązał kontakt listowny z kolejną dziesiątą wodą po kisielu, potomkami Demidowa, zamieszkującymi czy to w Patagonii, czy na południowych odnogach Himalajów, jak został przez nich zaocznie uznany i także zaocznie ucałowany, dlatego też lada dzień zaczną się poszukiwania demidowskich skarbów, które to już dziesięciolecie ukrytych czy to w piwnicach półrozwalonych uralskich wież, czy może w szwajcarskich sejfach. Swoi te chwile bardzo lubili - dlatego, właśnie w takich momentach, Erastyczowi zazwyczaj nieufnemu i zjadliwemu znawcy, który nie da się nabrać na plewy, można było, korzystając z jego stanu odprężenia, opylić lichy wie co, rzekomo mające związek z uralskimi sobiepankami-milionerami. Smolin też zgrzeszył parę razy - dlatego że nie wykorzystał takiej okazji to po prostu grzech, koniec końców, nie chorego na głowę oszukujesz, a całkowicie zdrowego, tylko sfiksowanego na tle genealogii, a zresztą sprzedawał Erastyczowi nie fałszywki, niech Pan Bóg zachowa, a prawdziwe starocie (tyle że wątpliwe, czy mające choćby odległy związek z prawdziwymi Demidowami)...

Dzisiaj miał zupełnie inne zamiary - zresztą Erastycz także był na całkowicie rozsądnej fali. To zresztą absolutnie mu nie przeszkadzało z napuszoną miną wyjmować papierosy z masywnej srebrnej papierośnicy z herbem Demidowów; na dolnej połowie młot kowalski, w górnej jakieś trzy pierdołki w formie litery „J”. Papierośnica była autentyczna, sazikowska, podobnie zresztą i herb Demidowów, Smolin z ciekawości sprawdził, właśnie taki - ale o historii pojawienia się herbu na tej właśnie papierośnicy coś mu się obilo o uszy...

- Domyślam się, że coś się pojawiło? - spytał Smolin, czując niemały dreszcz hazardu.

- Od razu, jak zadzwoniłeś, zaczęliśmy uważać, nie pierwszy raz przecież...

Jaka by konkurencja i ukryte intrygi nie wstrząsały wąskim światkiem antykwarycznym, to poprzednie swary momentalnie szły w zapomnienie. Jeśli komuś coś szarpną - wtedy momentalnie zaczynają się dzwonki, wszyscy stają się dziesięciokrotnie bardziej uważni, dlatego że jutro sami mogą się znaleźć w takiej samej sytuacji. Tym bardziej że drobna łobuzeria, świsnąwszy coś w jednym sklepie, prostodusznie spieszy sprzedać to w innym, w swojej młodej tępotce nie znając specyfiki antykwarycznego biznesu, w którym wszyscy są powiązani jednym sznureczkiem i znają się nawzajem sto lat...

Erastycz sięgnął do szuflady i położył na blacie pasek z twardego kartonu, do którego było przychepione pięć odznaczeń. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby natychmiast poznać swoje, własne - właśnie te ordery, właśnie w tej kolejności sam przypinał na tym kartoniku. Jednak z właściwą sobie dokładnością wziął zestaw do rąk, przyjrzał się. „Sawuszka”, to znaczy serbski order Świętego Sawy, był w swoim czasie mistrzowsko odrestaurowany przez Maestro - ale, jeśli dobrze się przyjrzeć to widać, że niebieska emalia w górnej części krzyża

odrobinę się różni odcieniem od „oryginału”. Nawet doskonały Maestro nie zawsze jest w stanie powtórzyć z nienaganną dokładnością efekt pracy mistrzów sprzed stu lat, emalia to najszabsze miejsce współczesnych fałszerzy...

Medal Uszakowa miał ten sam numer, jego legitymacja (odznaczenie z dokumentami zawsze jest droższe) do dzisiaj leżała u Smolina w domu. Po pamiętnych szczegółach łatwo poznał również dwa bawarskie medale wojenne z połowy zaprzeszłego wieku. Duży srebrny medal za zasługi wojenne Najjaśniejszego Pana cesarza Franciszka Józefa łatwo było rozpoznać od jednego spojrzenia - dlatego że dawno temu, należy przypuszczać, że wtedy, podczas pierwszej wojny światowej, właściciel głęboko wydrapał na nim swoje inicjały (był taki zuchowaty zwyczaj wśród młodych cesarskich chorążych, mniej więcej jak gwiazdki namalowane atramentem na pagonach białogwardzistów).

- I to jeszcze...

Erastycz położył na biurku ciężką torebkę plastikową, w której w kompletnym bałaganie leżała kupa medali. Te jednak interesowały Smolina w mniejszym stopniu, ponieważ były jawną tandetą, ową czepurnowską „zastawką”, którą Daszka i jej wspólnicy zdjęli ze ściany. Pogrzebał tylko w siatce dwoma palcami, uważając, żeby się nie ukłuć zapięciami - tak, to też jest z mieszkania Kościeja...

- Jeden człowiek przytargał?

- Aha - odparł Demidow, wyjmując z teczki standardowy paragon. Niejaki Fietisow Michaił Nikołajewicz, Kutiewanowa czterdzieści jeden, mieszkania siedem. Chciał opchnąć od razu, ale pamiętałem „alarm ogólny”, powiedziałem, że nie chcę dawać kapitałów pod ryzyko, mogę wziąć tylko w komis...

- Łatwo się zgodził?

- Ogólnie, tak. Bez szczególnej zwłoki. No, oczywiście, rozczarowany był niewymownie, jak ci wszyscy łosie, którzy myślą, że im od razu naręcze kapusty wyłożymy...

- Denerwował się?

- Nie wyglądało... No, może odrobinę. Na narkomana nie wyglądał i na łobuza też nie. Zwyczajny smarkacz...

- Długie pejsy, plereza pod Johna Lennona, fizjonomia nacechowana pewnym intelektem, mowa prawidłowa... - dla pewności uściślił Smolin.

- Ten sam. Taki Harry Potter, tylko bez okularków. Taki kulturalny, widać, że nie ze ślusarzy-hydraulików. Ty go znasz?

- Widywaliśmy się... - powiedział Smolin przez zęby.

Wszystko się zgadzało. I adres, zdobyty przez Szwarca, i dane osobiste właściciela

auta, wyraźnie będącego tatusiem „Harry'ego Pottera”. Mieszka z rodzicami ten inteligentny młody człowiek, więc korzysta z samochodu taty...

Sytuacja, jakby na to nie patrzeć, była nieco drażliwa. Zwyczajnego złodziejzka, z tych co ukradkiem wsuwają za pazuchę coś ładnego i zmywają się, z reguły, pojmwawszy, bez humanizmu i wzywania rodzimej robotniczo-chłopskiej milicji kopią, dopóki nogi się nie zmęczą. Przeciwno czemu on sam nawet niezbyt protestuje, rozumiejąc, że dostaje co mu się należy...

Tutaj trzeba będzie działać delikatniej. Jeśli już włochaty otwarcie wstawił odznaczenia do sklepu na własny dowód, w najmniejszej mierze nie uważając się za naruszający prawo element kryminalny - znaczy, że trzeba będzie z nim postąpić nieco inaczej. Również dlatego, że Smolin, rzecz jasna, ani myślał lecieć na milicję z doniesieniem o kradzieży, a to dlatego, że z punktu widzenia prawa, poszkodowanym nie był. A najważniejsze, towarzystwu Daszeńki jeszcze długo należy się przyglądać, więc nie ma co działać na łapu capu, trzeba wymyślić coś delikatnego, żeby nie powiedzieć eleganckiego, rzecz nie w tym, żeby odzyskać ukradzione, tu wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane...

- Jakie będą życzenia? - spytał Erastycz.

Smolin długo się nie zastanawiał.

- To - niedbale dotknął palcem reklamówki z przesypanych medalami - możesz wystawić na sprzedaż choćby zaraz. To nie moje... ściślej mówiąc, to w ogóle niczyje, więc nikt się nie będzie upominał. To zaś - dotknął kartonika - na razie schowaj głębiej, okej? Zostawił telefon? Aha, doskonale. Jak cię poproszę, brzdęknie do niego, żeby przyszedł po pieniądze. Ale tak, rozumie się, żeby już tu siedział...

- Zrobi się... - Demidow schował kartonik na dnie szuflady, zostawiając woreczek na miejscu. Po chwili wziął jeszcze jednego papieroska z „rodzinnej” papierošnicy i w zamyśleniu spytał: - Wasia, jak myślisz, co się stało z zasobami Kościeja?

Smolin zachował beznamiętny wyraz twarzy. No, jasna sprawa, po śmierci Czepurnowa, w antykwarycznym świecie o niczym innym nie rozmawiali i długo jeszcze będą łamać sobie głowy. W ogóle, „spadek” trzeba sprzedawać tak, żeby niteczki nie wiodły do niego - broń Boże, nie w Szantarsku. Jeśli ktoś z kolegów po fachu się dowie... ogólnie nic strasznego się nie stanie, ale zawiść rozkwitnie jak pyszny kwiat, a to wcale nie jest mu potrzebne...

- Z najbliższymi miał stosunki popsute do niemożliwości - powiedział Demidow, z roztargnieniem gapiąc się w sufit. - To wie każdy pies. Więc w żaden sposób nie mógł im

zostawić. Najsmutniejsze byłoby to, gdyby cała ta rozkosz gdzieś leżała tak dobrze skitrana, że jeszcze dwadzieścia lat nie pojawi się na świecie...

- A to akurat do niego podobne - powiedział Smolin z zatroskaną miną, w zamyśleniu marszcząc czoło i zasępiając brwi. - Tu, Erastyczu, jest przestrzeń dla możliwości.

- Na przykład?

- No, na przykład, syn z córką mogli udawać... za poradą Kościeja. Wszyscy usilnie udawali, że są skłóceni. W istocie rzeczy Kościej po prostu nie chciał, żeby stało się wiadome, *jaki* skarb zostawia dzieciom. Całkowicie zrozumiałe pragnienie: w naszych smutnych czasach nawet za pięćdziesiątka w bramie uduszą... W Nowonikołajewsku w swoim czasie właśnie tak się zdarzyło, gdy zmarł Woroniecki, pamiętasz? Synek rzekomo przez ostatnie dziesięć lat był z Woronieckim na noże, gdy jeden drugiego zobaczył, przechodzili na drugą stronę... dopiero jakieś trzy miesiące po przedwczesnym zgonie tatusia Woroniecki junior, budżetowiec zasrany, kupił willę w dobrej dzielnicy i zaczął szpanować na cruiserze...

- Kto wie... - kiwnął Erastycz.

- Wariant numer dwa: Kościej nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że jego czas się kończy. I niedługo przed śmiercią opchnął zbiory hurtem w jedne ręce, komuś postronnemu, nie miejscowemu. Żeby *skarb* nie przypadł dzieciom, których nie mógł znieść. A pieniądze... No, z pieniędzmi mógł zrobić wszystko, mądry był i przebiegły staruch. Może przekazał je na budowę pomnika kanciastej szklaneczki w mieście Przepijsku albo naszemu zoo... Czy obaj nie znamy przykładów, gdy nieliczne kolekcje po cichutku przechodzą w jedne ręce? Wziąć choćby Kirę Bułyczowa, naszego bazarza i birmanoznawcę w cywilu. Przebogata miał kolekcję, każdemu by ślinka pociekła, a po śmierci pisarza rozwiła się w powietrzu bez hałasu i kryminału. Żaden przedmiocik na rynku nie wypłynął... Znaczy, że po cichutku, kulturalnie, w jedne ręce... Jednym słowem, nie warto nawet łamać sobie głowy. Jeśli nikt z nas w Szantarsku nic a nic nie wie, znaczy, że Kościejowe skarby były, ale się zmyły...

- Ja też mniej więcej tak myślę - powiedział Demidow ze smutkiem w oczach. - Po prostu szkoda: taka kolekcja wyparowała gdzieś na boku... Szkoda...

- A czego tu żałować? - Smolin wrzucił ramionami. - Przecież to nie twoje, Erastycz...

- Co za różnica? Wszystko jedno, smutno. Wyobrażasz sobie, ile tam musi być... wszystkiego?

„Wyobrażam sobie - pomyślał Smolin - doskonale sobie wyobrażam, ty nawet nie wiesz, jak...” Nie, nie można nawet słówkiem zająknąć się o nieoczekiwanym spadku.

Oczywiście, nikt z kolegów po fachu nie wetknie mu ostrego noża w plecy i nie zerwie kontaktów, a nawet w oczy nie naubliża - ale będą pałać straszną zawiścią, czarną, pewnie, jak i ty byś na ich miejscu... A to, kiedyś na pewno się ujawni, tak czy inaczej. Przecież mądry bohater jakiejś powieści o piratach mówił: najważniejsze nie jest odnalezienie skarbu, ale dobre go podzielenie i pozostanie żywym...

- Natomiast te ordery... - Smolin zaczął rzeczowym tonem, żeby szybciej zmienić temat.

I nagle zamilkł. Drzwi otworzyły się gwałtownie - ani pracownicy, ani klienci w taki sposób nie wchodzi - trzasnęły o ścianę i natychmiast, gdy się odbiły, przytrzymała je niewidzialna ręka. Do pokoju wpadli ludzie - to znaczy było ich może trzech, góra czterech, ale wtargnęli tak brutalnie, zdawało się, że jest ich tłum...

Głowa człowieka pracuje szybko, szczególnie głowa człowieka doświadczonego przez życie, więc Smolin, nie zdążywszy pomyśleć jak należy, już wyczuł co i jak. Trzej - jednak było ich trzech - rozstąpili się na obie strony wejścia z takimi minami, jakby obawiali się serii z karabinu maszynowego, wszyscy byli po cywilnemu, ale to nie miało znaczenia, fizjonomie i sposób bycia nie pozostawiały wątpliwości. „Arystokrata wpadł” - zdążył pomyśleć Smolin z lekkim uczuciem zadowolenia.

Jeden z nieproszonych gości znalazł się obok Demidowa i stanął nad nim z miną groźną i czujną, jakby się obawiał, że właściciel pokoju zacznie garściami wypychać do ust tajne kody i szyfry oraz żuć je na sucho. Drugi po prostu stał przy drzwiach bez szczególnych emocji na standardowym milicyjnym obliczu. Trzeci wciąż z tym samym impetem ruszył do biurka i machnął w powietrzu znaną książeczką:

- Major Letiagin, wydział do walki z nielegalnym handlem bronią...

Smolin przyglądał mu się spod oka: miał ponad czterdziestkę, silny, krótko ostrzyżony, typowa twarz operacyjniaka, na której diabelnie trudno zatrzymać wzrok nie tyle w poszukiwaniu cech szczególnych, co wyraźnej indywidualności. Jeśli taki cofnie się o krok, zmieszka w tłumie - nie poznasz go, kompletnie zapomnisz, jak wyglądał.

Więc poznali się. Jak wiadomo od pokrzywdzonych, właśnie ten major zarówno w historii z Dukatem, jak i Eldorado wiódł pierwsze skrzypce. I oto teraz po raz trzeci... Dostrzegalna jest tendencja, jak mówił Czuczka z dowcipu. Ścisłej kampania. Niedobrze. Ludziom profesji Smolina sprawia przykrość spotykanie się z organami ochrony prawa, ale trafić na kampanię - to jeszcze gorzej...

Dopiero teraz Demidow oprzytomniał, skupił się, próbował przybrać postać dostojną i okazałą:

- A o co, właściwie...

Troskliwie schowawszy legitymację, major zrobił jeden krok do przodu i odezwał się niemal przyjaźnie, zwyczajnie:

- Dopiero co w waszym sklepie, obywatelu Demidow... jesteście przecież Demidow?... więc właśnie, dopiero co w waszym sklepie sprzedano jednostkę białej broni. Jest to naruszenie artykułu kodeksu karnego i, że tak powiem, bezwzględnie podlega... Zakup kontrolowany. Będę musiał przeprowadzić czynności operacyjno-śledcze, takie jak: przeszukanie, przesłuchanie świadków i inne działania, jakie uznam za niezbędne... Wystarczy to wam, czy trzeba będzie przywołać stosowne kodeksy, artykuły i paragrafy?

Smolin wciąż siedział w swobodnej pozie, rozglądając się z miną człowieka, który po raz pierwszy stał się świadkiem takich właśnie gier kryminalnych i dlatego z zachwytem łowił wrażenia. Nie od razu, ale domyślił się, co mu kategorycznie nie podoba się w tym, co się tutaj dzieje. Otóż całkowity brak zainteresowania psów jego osobą! Spojrzeli raz pobieżnie i już nie zwracali na niego uwagi, jakby go tu wcale nie było. A to jest na wskroś niewłaściwe, chłopcy, och, jak niewłaściwe. Teraz powinno was interesować absolutnie wszystko w danym pokoju: każdy przedmiot i każdy obecny... no, założmy, że nie chatę handlarzy prochami nakryliście, ale wszystko jedno, macie obowiązek choćby spojrzeć z zainteresowaniem: a tyś kto taki, ptaszku Boży, na jaki motyw ćwierkasz i z jakiego powodu wycierasz tyłkiem to krzesło? A tu, masz ci, nieomal demonstracyjnie omijają go spojrzeniami... czyżby wiedzieli, z kim się spotkali? Nic dziwnego, przecież wszystkich nas od dawna mają na oku, pod kloszem Mullera, a mimo to...

Demidow poruszył się nerwowo. Z całą pewnością nie miał zamiaru padać na twarz, kuty na cztery nogi, jak oni wszyscy, grzeszni - po prostu. Smolin doskonale zdawał sobie sprawę, próbował w najkrótszym czasie wybrać najbardziej korzystną linię postępowania...

I wybrał. Odezwał się prawie naturalnie:

- Cóż, przystępujcie, skoro już przyszliście...

- Obecność adwokata jest wam potrzebna? - uprzejmie zainteresował się major.

- Nie widzę konieczności - sucho odparł Demidow.

Smolin w myśli mu zaklaskał. Co tam, Erastycz odebrał szkołę życia. Oczywiście, bywają przypadki, kiedy adwokata należy domagać się od pierwszej sekundy zjawienia się smerfów, nawet wykrzyknika bez niego nie wolno wymówić - ale teraz lepiej będzie postępować wprost przeciwnie. Żeby później ujawniły się rozmaite drobne milicyjne wykroczenia, uchybienia w czynnościach i inne kikszy, za które dobry adwokat będzie się chwycił, jak buldog... Niech się wciągną, bez wątpienia drobnych kiksów narobią, a wtedy



adwokatowi będzie łatwiej...

- No cóż, w takim razie zaczniemy pisać... - major swobodnie usiadł przy biurku i położył przed sobą teczkę. - Będą potrzebni świadkowie... - pierwszy raz otwarcie i z uwagą przyjrzał się Smolinowi: - Pracujecie tu, czy osoba postronna?

- Postronna. Zupełnie.

- Czy zgodzicie się być świadkiem?

- W żadnym razie - odparł Smolin neutralnym tonem. - Pilne zajęcia...

I wstał, doskonale wiedząc, że ten typek nie ma prawa nikogo zmusić do bycia świadkiem. A tonem światowca dodał:

- Panie Demidow, znaczy, że na pewno powiadomi mnie pan, jak tylko pojawi się odpowiedni gramofon... Koniecznie z niklowaną tubą...

Wymienił ukłony z nachmurzonym Erastyczem i bez przeszkód wyszedł. Nikt nie próbował go zatrzymać - niby dlaczego?

W sali sklepowej, jak należało się spodziewać, widok ranił serce każdego antykwariusza: sprzedawca Wienia siedział w kąciu z ponurą miną, wypytywało go o coś dwóch po cywilnemu, natomiast milicjant w mundurze (od razu widać, że nie bierze udziału w zaplanowanej grze) z nieukrywanym zainteresowaniem przyglądał się statuetkom-obrazkom i innym niewinnym dekoracjom. Minąwszy go, jak puste miejsce, Smolin wyszedł na ulicę. Posiedział chwilę w samochodzie, systematyzując obserwacje.

Oczywiście, kampania. Nie ma takich zbiegów okoliczności, choćbyś pękł. Kolejna kampania zwała się na szantarski rynek antyków, jak cyklon na palmy. Podobnie jak palmy, trzeba przetrwać, nie dać, żeby wyrwało je z korzeniami...

Major nadzwyczaj mu się nie podobał. Wolał łapsów, którzy zadają szyku i straszą, udają coś między Terminatorem i Panem Bogiem, że, niby, ja jestem ktoś, a wy, stosownie, hołota, tak więc stać i drzeć! Wyglądają groźnie i rzeczywistych świństw mogą narobić bez miary, wszelako doświadczenie życiowe podpowiada: im bardziej jest glina chamski i nadęty, tym mniej niebezpieczny. Dlatego że szczególnym rozumem nie błyszczą, wszystkie jego miny i podskakiwanie można łatwo przewidzieć.

Major - to inna sprawa. Nie stroi się na wielkiego detektywa ani zębatego potwora, przeciwnie, wygląda na odrobinę niezdarne, ale oczy ma mądre. Znaczy - niebezpieczny...

Smolin westchnął i uruchomił silnik.

Dwadzieścia minut później bez pośpiechu wchodził na drugie piętro dość porządnego domu praktycznie w samym centrum Szantarska: niedawno zbudowany, uliczka spokojna, fasada wychodzi na cichy park, pośrodku którego od dziesięcioleci raduje oko popiersie

bohaterskiego marynarza Kutiewanowa. Prestiżowa dzielnica, spokojna. Udało się dziewczynie z wynajmem mieszkania... szczęście jak na zamówienie, co?

Zadzwoił i drzwi natychmiast się otworzyły. Widok był... Nawet jeśli przez matuzalowy wiek napatrzyłeś się czegoś podobnego, to i tak nie pozostaniesz obojętny, jeśli u ciebie wszystko w porządku z wypełnianiem się krwią ciał jamistych.

Ach, co za cudo stało w progu z najniewinniejszą miną: kusy jedwabny szlafroczek na gołym ciele, włosy ślicznie rozpuszczone, drogie perfumy unoszące się w powietrzu, makijaż kosztował tyle, co babcina emerytura...

Na dodatek urodziwa buzia rozpromieniła się taką radością, jakby nasza Daszeńka doczekać się nie mogła, kiedy ją uszczęśliwi swoją wizytą sam Smolin Wasilij Jakowlewicz...

Jednym słowem, wszystko to razem wzięte momentalnie zmusiło Smolina, żeby się skupić i nabrać jak największej wilczej ostrożności. Na nadmierną skromność się nie uskarżał i nigdy nie patrzył na siebie jak na szarą myszkę, ale przecież nie był tym supermanem, dla którego czarująca panna przybiera tak wabiąco-seksualny wygląd i patrzy z taką namiętnością, jakby gotowa była oddać się natychmiast, już tu, w przedpokoju, nawet nie zdejmując domowych pantofelków.

Tak więc, co mamy? Mamy dosyć prymitywne aktorstwo i nic poza tym. Czegoś chce... ale co jej może być potrzebne? Odpowiedź, zdaje się, jest prosta...

Smolin wszedł za Daszą do jednopokojowego, ale przestronnego mieszkania, którego okno wychodziło akurat na alejkę prowadzącą do popiersia bohaterskiego marynarza Floty Bałtyckiej - ściślej biorąc do jego pleców, jako że twarzą był zwrócony do administracji obwodowej, która w nie tak odległych czasach była obkomem partii (na ten temat z dawien dawna krążyły dowcipy, standardowe dla każdego radzieckiego miasta: mówi się, że społeczeństwa pilnować nie ma potrzeby, ale z tych nie można spuścić oka).

Usiadł, przelotnie odnotowując wokół liczne oznaki, jeśli nie zbytku, to w każdym razie, dostatku: wykończenie, żyrandol, meble, parkiet... Wyciągnął wniosek, że *takie* gniazdka, jeśli już wynajmują, to ludziom nieprzypadkowym i za bardzo dużą kasę. Albo też niekoniecznie wynajmują. W takich gniazdkach majątni wujkowie umieszczają swoje laleczki...

- Napije się pan, Wasiliju Jakowlewiczu?

- Prowadzę - rozłożył ręce.

- Kawy?

- A, to z przyjemnością.

Daszeńka frunęła do kuchni poruszając się, jak zauważył Smolin, z pewnością

człowieka, który czuje się tu u siebie. Spokojnie wstał, podszedł do oszklonej witryny - czy jak tam takie coś się nazywa - przyjrzał się niewielkim porcelanowym figurkom na półeczkach.

Z szacunkiem pokiwał głową. Kim by nie był tutejszy gospodarz, bez wątplenia znał się na dobrych rzeczach: oczywiście, trudno wyciągać ostateczne wnioski oglądając figurki przez szybę, nie biorąc ich do rąk, jednak wygląda na to, że na półeczkach stoją nie późne repliki, ale właśnie oryginały. Rozpoznał kilka gardnerowskich figurek, przedwojenne prace Dańki i Kustodijewa, niepozorna jak gdyby parka sówek wysokości palca wskazującego (niewątpliwy Riznicz, za półtorej paczki docłów kupią z pocałowaniem ręki, tylko pokaż)... a to, bez wątplenia, niemiecki „biskopt”, przy czym z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia - takich replik nie ma...

- Podoba się?

Bez zbędnego pośpiechu się odwrócił - przecież zastała go nie przy jakimś wstydlwym zajęciu, dzięki Bogu.

- Podoba się - odpowiedział spokojnie. - Ma pani szczęście, Daszo, mieszkanie, jak widzę...

- Tak - powiedziała, nie mrugnawszy umiejętnie podkreślonym okiem. - Przyjaciółka wyjechała na lato... Proszę usiąść, oto kawa.

No, oczywiście, zacytował w myśli swojego ulubionego autora kryminałów - przyjaciółki po to są, żeby się na nie powoływać... Zagłębił się w niskim fotelu, wziął filiżankę - nie był to antyk, ale też nie pochodziła z taniej masówki. No, przecież taki gospodarz i kuchnię musi mieć odpowiednio wyposażoną.

Daszeńka usiadła w fotelu naprzeciwko, swobodnie założyła nogę na nogę, przez co widok stał się jeszcze bardziej przyjemny. Grała, oczywiście, landrynka, ale bez kiepskiej teatralności - jakby nie było ukończyła instytut sztuki, niechby nawet wydział nieaktorski... Myśląc rdzeniem kręgowym, dobrze byłoby spróbować zdjąć z niej tę szmatkę i położyć wprost na dywanie - ale teraz posługiwać się nim nie należy, dookoła rozkręcają się poważne sprawy, zrozumieć ich z pewnością na razie się nie uda, ale szykuje się coś niedobrego...

- A więc? - spytał Smolin z miną światowca, popijając kawę i uśmiechając się jak bywalec salonów. - Domyślam się, że coś się stało?

- No, nie całkiem...

- Powiedziała pani, że potrzebuje mojej rady...

- Można i tak powiedzieć - wręcz promieniując oczarowaniem odpowiedziała i umoczyła szkarłatne usteczka w kawie. Spoglądała na Smolina ponad filiżanką tak niewinnie,

uwodzicielsko i czarująco, że można było omdleć.

„Ktoś młodszy i głupszy, nie przeżuty przez życie sześćdziesięcioma czterema zębami... i ja, zdaje się mam na oku kilku kandydatów - pomyślał. - Nie trzeba ich długo szukać...”

Nie miał zamiaru siedzieć z kamiennym wyrazem twarzy. Żeby zagrać we właściwy sposób, wyraźnie rozluźnił się i zrobił klasyczną minę męskiego zainteresowania, otwarcie gapiąc się tam, gdzie ulotny szlafroczek pikantnie się rozchylił, i tam, gdzie go wcale nie było. Szybko przekonał się z niuansów panińskiej mimiki, że Daszeńka, bez wątpienia, zwycięsko pomyślała coś w rodzaju: „Gotowy, stary pryk, puścił ślinkę...” Malutka i głupiutka, cóż robić. Nie zdążyła jeszcze pojąć, że niegłupi facet równolegle z puszczeniem śliny jest zdolny do myślenia o czymś zupełnie innym. Chociaż... Niektóre całkiem dorosłe damy wciąż pozostają w niewoli tych samych błędów - iż głupi faceci nie są zdolni jednocześnie pożerać wzrokiem damskie powaby i cynicznie myśleć o czymś ubocznym...

- Więc? - powtórzył Smolin.

- Wasiliju Jakowlewiczu, ja pana bardzo szanuję i cenię jako wielkiego profesjonalistę...

Nastąpiła dokładnie wyliczona pauza. Dokładnie rozmarzony wzrok. Dokładnie obliczony ruch, który sprawił, że szlafroczek rozchylił się jeszcze bardziej ponętnie. „Czy ty jesteś taka durna? - pomyślał Smolin. - Już się robi nudno...”

- I tylko to? - spytał z udręką. - Byłoby lepiej, gdyby się okazało, że pani, Daszeńko, jest we mnie skrycie zakochana. Marzeniem starzejącego się macho jest, żeby znalazła się skrycie zakochana w nim czarująca dziewczyna, taka, jak pani...

- Kto wie, kto wie... - odezwała się nimfetka, spoglądając kusząco i przewrotnie.

Rozmowa wyraźnie skręciła w ślepią uliczkę. Smolin czuł się niezbyt zręcznie, siedział naprzeciwko półnagiej panny i plótl farmazoni - zresztą i jej, sądząc po spojrzeniu, odrobinę ciążyło puste gadanie.

- Więc, jaka to sprawa? - powiedział nie bez stanowczości.

- Sprawa... Sprawa rzeczywiście jest poważna. Wasiliju Jakowlewiczu, czy pan przypadkiem nie orientuje się, gdzie się podziały... gdzie się podziała dziadkowa kolekcja?

- A czemu właśnie ja miałbym się orientować? - natychmiast odparł głosem jak najbardziej zdziwionym, patrząc do obrzydzenia otwarcie i szczerze. - Daszeńko, pani dziadzio był starcem skrytym i podejrzliwym, o tym wiedzą wszyscy i pani na pewno również. O jego kolekcji chodziły zgoła fantastyczne słuchy, ale w rzeczywistości nikt ich nie widział. Ja także...

- Jest pan pewien?

- Oczywiście...

- A mnie się wydaje, że to właśnie pan ją zabrał...

- Trzeba się przeżegnać, jeśli się wydaje, tak starzy mówią...

- Ja poważnie, Wasiliju Jakowlewiczu. Są poważne podejrzenia, że właśnie pan ją zabrał. Pan był ostatni, który widział dziadka żywego...

- No i co? - Smolin uśmiechnął się beztrosko, jak tylko potrafił. - Czyżby miała pani w głowie stare klasyczne powieści? Fatalne tajemnice, ujawnione na łożu śmierci, urywany szept umierającego: „Dwa kroki na wschód od młyna, później jeszcze dziesięć - w kierunku rozłożystego dębu, tam trzeba kopać, gdy cień w południe dosięgnie wychodka...”

- Być może - powiedziała, patrząc poważnie i chwytnie. - A może i nie. Kolekcja jest u pana.

Smolinowi znudziła się zabawa w dyplomację.

- No, a gdyby nawet? - spytał bez uśmiechu. - Nie, ja niczego nie twierdzę, po prostu teoretyzuję abstrakcyjnie: być może, niewykluczone, prawdopodobnie... I co w takim razie? Co należy zrobić na danym etapie historycznym?

- Podzielić się - twardo odparła Dasza. - Ja jestem niegłupia dziewczynka i odrobinę znam życie, *wszystkiego* pan nie odda. Ale chociażby połowę.

- A na mniej, znaczy się, pani się nie zgadza?

- W żadnym razie. Połowę.

- A motywacje i podstawy?

- To mój dziadek. Rodzony.

- Tysiącrotnie przepraszam, moja śliczna, ale to żadna motywacja i żadna podstawa. No, no, rodzony, bardziej rodzonych nie ma... I co? Związki rodzinne, wie pani, jeszcze nie oznaczają automatycznie prawa dziedziczenia.

- Oznaczają.

- No, założmy... W pewnych, wyraźnie określonych prawem przypadkach. W pewnych. Dasza, szczerze mówiąc pani nawet zająknąć się nie może o tym, że pani coś się należy z dziadkowego majątku, jeśli nie ma bezpośredniego testamentu, dopóki żyją pani rodzice. Oni, przyznaję, mogliby na coś liczyć... oni, ale nie pani. A co, oni upoważnili panią do prowadzenia ze mną tej rozmowy?

- Oczywiście, że nie.

- Widzi pani. Dasza, ja mam głupi zwyczaj. Staram się jak najściślej przestrzegać prawa. Od i do. Jeśli nie ma wyraźnie omówionych warunków spadku, to jego mieszkanie

automatycznie przypada pani rodzicom. Ale my przecież nie o mieszkaniu, prawda? My o pewnych kolekcjach... których, właściwie mówiąc, nikt nigdy nie widział. A może pani widziała?

Nie odpowiedziała. Nie odrywała wzroku od Smolina już bez cienia kokieterii. Po chwili odezwała się:

- Wszystko jedno, jeśli sprawiedliwie, to należy się podzielić...

- A jeśli mnie wszystko pozostawiono? - spytał cicho. - Załóżmy, że sprawa właśnie tak się ma. Proszę uwierzyć w moje uczciwe słowo. Każdy może pozostawić to, co zgromadził, komukolwiek: diabłu w stepie, George'owi Buszowi, programowi „Comedy Club”, Towarzystwu Ochrony Zwierząt... jak również jakiegokolwiek osobie, niezależnie od obywatelstwa. I co?

- Pan i tak nie jest biedny. A u mnie bieda aż piszczy.

- Kochana, ale to tym bardziej nie jest motywacja - powiedział Smolin poważnie. - Pani nie ma nic, a ja mam do cholery, więc uprzejmie proszę się podzielić... Wątpliwa podstawa ideologiczna. Nawet w czasach radzieckich wyglądałaby niepoważnie, a już teraz, w epoce rynku i indywidualizmu... Pani, proszę wybaczyć, bynajmniej nie jest biednym dzieckiem, któremu potrzebne są pieniądze na operację w Genewie, bez której za miesiąc umrze... Zdrowa, piękna, studiuje pani na dobrej uczelni, ręce i nogi są w porządku, rozumu też nie brak... Proszę więc do swojego dochodzić sama. Nie jestem filantropem, szczerze...

Dasza gibko się wyprostowała i podszedłszy tanecznym krokiem, usiadła na szerokiej poręczy fotela, w którym siedział. Szlafroczek rozchylił się już całkiem otwarcie.

- Wasiliju Jakowlewiczu - powiedziała patrząc mu w oczy z lekkim cynicznym uśmiechem. - Cóż to, czy w żaden sposób nie zdołamy się porozumieć? Ja jestem dziewczynką bez kompleksów, a pan - normalnym facetem, już panu dawno stoi, co tam... Spróbujemy znaleźć consensus? Na długi czas... Jeśli pan chce...

- Daszeńko, jest pani cudowna - Smolin powiedział to szczerze. - I rzeczywiście stoi mi straszliwie, co tam... Ale te przekłete lata, wie pani... Na to, co mi pani proponuje, już się dosyć napatrzyłem... Jestem cynikiem, człowiekiem interesu... Proszę wybaczyć wspaniałomyślnie, ale nie uda się...

„A jeśli ona tę rozmowę *nagrywa*? - błysnęła mu myśl. - No i pies z nią, nie powiedziałem nic konkretnego, wszystko w ogólnych zdaniach, na okrągło, teoretycznie, abstrakcyjnie...”

- Ja należę do tych potworów - ciągnął dalej - dla których na pierwszym miejscu jest biznes, a dopiero później wszystko pozostałe. Ćwierć wieku wcześniej... tak, ćwierć wieku

wcześniej pani by mnie, zapewne, *złamała*... ale nie teraz.

Dziewczyna jakiś czas pytająco patrzyła mu w oczy - bez żadnych emocji na czarującej buzi. Później wstała, zawiązała szlafroczek, odeszła i zatrzymała się jakby w zamyśleniu. Usiadła i jednym haustem, jak pijacy wódkę, wlała do gardła zawartość filiżanki z kawą. Podniosła wzrok i powiedziała:

- Ale przecież może się różnie zdarzyć...

- To znaczy? - spytał Smolin z lekkim znudzeniem.

- Milicja może się zainteresować...

- Ktoś poleci ze skargą na mnie? Oskarży o kradzież?

- Może być.

- O kradzież, czego? - już otwarcie się uśmiechając, spytał Smolin. - No dobrze, wyobraźmy sobie, że jutro jakiś wrogi element złoży na mnie doniesienie, jakobym ukradł... Co? Dasza, moje serce czuje, że nie miała pani nigdy do czynienia ani z milicją, ani z sądami. Pierwsze, o co poproszą skarżącego, nawet jeśli jest dla nich rodzonym ojcem, to o dokładne wyłuszczenie, co konkretnie zostało podstępnie wykradzione. Przypuśćmy, że szpada Bonapartego ze złotą rękojeścią i nieprzyzwoitym słowem na klindze, wydrapanym przez rosyjskiego Kozaka po zdobyciu Paryża, dzbanek do kawy z chińskiej porcelany z obrazkiem kwitnącej wiśni nad pagodą oraz pół tuzina filiżanek w tym stylu, order „Za zdobycie dziewicy” pierwszej klasy z kokardką z boku, zabytkowe świeczniki, trzy i tak dalej. Bez detali, bez konkretów nikt nawet rozmawiać nie zechce. Rozumie pani te niuanse?

Sądząc po tym, z jaką złością zacisnęła usteczka, do słów Smolina odniosła się poważnie. Mądra...

- A nie przyszło panu do głowy, że może się zdarzyć coś zupełnie innego? - spytała nagle. - Że zostanie pan zmuszony, żeby się podzielić? Może przecież zdarzyć się sytuacja, że i pan na milicję nie pobiegnie...

Teraz niemal parsknął śmiechem.

- O Boże, Dasza... - powiedział nie kryjąc szerokiego uśmiechu. - Pani się, moja śliczna, naczytała powieści. W miękkich okładkach, z ostrymi tytułami: „Wściekła przeciwko Garbatemu”, „Fatalne brylanty i agent Fanierin”... Już dawno tak się spraw nie załatwia, bezprawnie...

- Jest pan pewien?

- O mój Boże! Nie, poważnie, pani próbuje mnie zastraszyć? Pani, mnie? Dasza, nie róbmy takiej clownady...

- A jeśli ja nie żartuję?

- Nawet jeśli pani nie żartuje... - przeciągle powiedział Smolin. - Nawet, jeśli pani nie żartuje, to wybrała pani nie tego człowieka. Poważnie. Bardzo mi przykro, ale w żaden sposób nie mogę pomóc...

- Ostatni raz proszę pana po dobroci...

Smolin leciutko się naprężył, gotowy na wszystko - ale w myśli roześmiał się z samego siebie: w żaden sposób nie wydawało się, że na scenie pojawiają się nowe osoby. Nie mają skąd się pojawić: szafa jest zbyt mała, żeby ktoś mógł się w niej ukrywać, tapczan zbyt niski, nie wydaje się, żeby gdzieś były ukryte drzwi, z których zaraz miałyby wyskoczyć posępne mięśniaki. Siedział twarzą w kierunku drzwi, więc...

- Niestety - rozłożył ręce.

- No cóż, będzie pan miał żal do samego siebie...

- To już prawdziwy melodramat - powiedział zniecierpliwiony. - Indyjski film... albo meksykański serial, co? Don Pablo, poprawiwszy sombrero, zapala ze wzruszenia cygaro i mówi zdławionym głosem: „Moja córka, teraz, w dwadzieścia lat po twoich narodzinach zmuszony jestem ujawnić straszną tajemnicę - nie jesteś moją córką, ale moim synem”. Wszyscy mdleją, włącznie z papugą na gałązce...

Żarty się skończyły. Daszeńka wyprostowała się w fotelu, mierząc go nienawistnym spojrzeniem: zabiłaby, gdyby mogła, bez najmniejszej wątpliwości... Widząc taki obrót sprawy i doskonale rozumiejąc, że spotkanie zakończyło się antykonsensusem, Smolin, nie tracąc czasu, wstał i zaczął iść w stronę drzwi - pilnie bacząc kątem oka, żeby nagle się nie rzuciła, nie przejechała mu paznokciami po gębie. Zacznie wrzeszczeć, że ją gwałcą, zbiegną się sąsiedzi, a później wybielaj się... Chwyty wytarty, ale diabelnie skuteczny...

Jeśli jej również do głowy przyszła ta sama myśl, to właśnie teraz - Dasza zerwała się, rzuciła się ku niemu z ba-ardzo zdecydowaną miną. Jednak Smolin był już w przedpokoju. Szybciusięńko obrócił pokrętko zamka, drzwi, dzięki Bogu, otworzyły się. Gwałtownym szarpnięciem zatrzasnął je za sobą (starając się, żeby nie narobić zbyt wielkiego hałasu) i szybko zszedł, prawie zbiegł na dół.

Na klatce nikt nie zastąpił mu drogi, nikt nie podszedł na podwórku. Co by nieśmiała w głowie, na tę chwilę niczego nie mogła zrobić, czego, być może, strasznie w tym momencie żałowała, szczeniara rąbana...

Do swojego auta doszedł spokojnie, przez nikogo niezaatakowany ani niepokojony. Jednak to jeszcze nie oznaczało, że rozmowę tę należy zapomnieć, a jeśli wspomnieć, to ze śmiechem, ironizując z pazernej panienki, która zapragnęła gwałtownie się wzbogacić...

Wprost przeciwnie - odniósł się do tego bardzo poważnie. Dlatego że wilczym



instynktem wyczuwał niedaleką obecność jeszcze kogoś. Powinien być jeszcze ktoś, musiał być: ten, który ją tu umieścił, ten, który ją, bez wątpienia, posuwa... ktoś niebiedny, całkiem możliwe, że zdecydowany... i również pragnący gwałtownie powiększyć swój dobrobyt. Dziewczynka sama nie robi dymu - stoi za nią ktoś poważny... ale jak go wycząić? Nie ma co pękać - ale i niefrasobliwości dopuścić nie wolno, bo można nie zdążyć się obejrzeć, a już będzie się w problemach po uszy.

Nie był na tyle pogrążony w swoich myślach, żeby nie zauważyć wiśniowej „ósemki” ze znanymi numerami, przytulonej przy wjeździe na podwórko. Wolniutko przejechał obok i zobaczył wewnątrz, jako że szyba była opuszczona całkowicie, plerezę Miszeńki. Student nie zwrócił na Smolina najmniejszej uwagi - siedział ze wzrokiem wlepionym w klatkę schodową Daszki, z wyraźnym smutkiem w oczach. „No, to weźmiemy pod uwagę - pomyślał Smolin, wyjeżdżając na ulicę - my, kędziorku, jeszcze porozmawiamy, znajdzie się odpowiednia chwila...”

Tak więc... ktoś za Daszką bezwzględnie stoi. Pytanie tylko, co temu typowi potrzeba od życia, jak daleko jest zdolny zajść, w ogóle, do czego jest zdolny. Tyle się w życiu zdarzało wszystkiego, że panikować nie ma co - bywało gorzej...

## Rozdział 4.

### PASKUDNE NIESPODZIANKI I CIEKAWY ODKRYCIA

W żadnym razie nie można powiedzieć, że Smolin się zdenerwował, stracił panowanie i upadł na duchu, że pędził na łeb na szyję, nie widząc nikogo wokoło. Normalnie jechał, zgodnie z płynnością ruchu - ręce na kierownicy mu nie drżały, a serce nie łomotało w panice. Ale, jakby nie było, wrażenia, które go czekały, do przyjemnych nie należały. Z telefonu od Mariszki wynikało: w sklepie są mendy. Mariszka, oczywiście, zbytkiem rozumu nie grzeszy, ale kobiecej chytrą ma aż nadto i z pewnością nie jest w stanie pomylić fundamentalnych zdań...

I proszę bardzo! Przed wejściem do sklepu radowały oko dwa „żygule” w ulubionym przez szantarskich wywiadowców dizajnie - z przyciemnionymi na antracyt szybami, a na dodatek jeszcze jedna fura w biało-niebieskim kolorze ze stosownymi napisami i kogutem na dachu. Nie, niczego dziewczka nie pomyliła...

Ledwie otworzył drzwi, naprzeciwko niego stanął umundurowany młody człowiek i chmurnie oznajmił:

- Zamknięte, obywatelu...

- Wpuść, wpuść - rozległ się znany głos, zabarwiony odcieniem ironii. - Proszę wejść, Wasiliju Jakowlewiczu, gość w dom...

Smolin rozejrzał się od progu. Letiagin spacerował przy kontuarze, rozglądając się z udawanym zdziwieniem prowincjusza, który pierwszy raz w życiu zobaczył naraz tyle rzadkich rzeczy. Gosza (zmieniony na twarzy) siedział w przeciwległym kącie, a przed nim na szklanej witrynie leżały papiery o oficjalnym wyglądzie, przed witryną zaś usadowili się dwaj osobnicy po cywilnemu (jednego z nich Smolin już widział u Erastycza). Drzwi do pomieszczeń służbowych były otwarte, słychać było jak tam głośno rozmawiają, pobrzękując i podzwaniając żelastwem.

Już na pierwszy rzut oka wszystko było jasne, do wróżki nie ma co chodzić. Spojrzawszy na zmarkotniałego Goszę, Smolin ledwie opanował, najgorszą jaką tylko może być, złość: przecież uprzedzał, po rosyjsku i wyraźnie, przecież wiedział, paskudny, że patroszą wszystkie sklepy po kolei...

- Czym mogę służyć? - spytał ponuro.

- Niedobrze, Wasiliju Jakowlewiczu - powiedział Letiagin, tym razem bez cienia

żartobliwości. - Dopiero co sprzedano w pańskim sklepie broń białą w ilości jednej sztuki, co zostało stwierdzone za pośrednictwem zakupu kontrolowanego...

Uściślenia nie były potrzebne: jeden z operacyjnych akurat zaczął starannie naprowadzać kamerę na wspomnianą broń - leżący przed Goszą marniutki kordzik marynarki wojennej, rzecz w handlu antykwarycznym jak najbardziej zwyczajna, z przyciskiem, to znaczy wyprodukowany po czterdziestym ósmym roku. Rzadkością bynajmniej nie jest. W swoim czasie, gdy likwidowano, z powodu dziwacznej gry przypadku, dyslokowaną pod Szantarskiem jednostkę marynarki, takich kordzików nieomal ciężarówkę sprzedali na lewo, wszystko, co było w magazynie...

Smolin dobrze wyliczonym gestem uniósł brwi:

- Białą broń? A pan to, przepraszam, wprost tutaj stwierdził? Być może i opinię rzeczoznawcy pan pokaże?

Letiagin absolutnie nie wyglądał na speszzonego:

- Ach, proszę wybaczyć z łaski swojej, przejęczyłem się... Powiedzmy, został sprzedany przedmiot, posiadający niewątpliwe podobieństwo do jednego z wzorów broni białej, pozostającego na uzbrojeniu... To was zadowoli?

- Niewątpliwie - tak samo uprzejmie odparł Smolin. - Jednak są również inne niezgodności... Będzie pan utrzymywał, że sklep sprzedaje właśnie „przedmioty posiadające podobieństwo”? Z tym właśnie pozwolę sobie się nie zgodzić.

- Macie prawo - Letiagin wzruszył ramionami. - Nie zaprzeczę, młody człowiek już wyjaśnił, że to jego osobisty przedmiot i sprzedał go wyłącznie z własnej inicjatywy, żeby pieniądze wziąć do kieszeni i wykorzystać na własne potrzeby. Ale przyznacie, jest to nie całkiem legalne. Taki handel, jeśli się orientujecie, kodeks karny kwalifikuje jako przestępstwo, akt kupna-sprzedaży został sporządzony w waszym sklepie... do tego w pomieszczeniach pomocniczych znaleźliśmy jeszcze kilka... przedmiotów posiadających niewątpliwe podobieństwo do białej broni. Tak więc, proszę wybaczyć, trzeba będzie przeprowadzić cały kompleks czynności... Oględziny, rekwizycję i tak dalej... Mamy do tego prawo. Czy mam przytoczyć artykuły w pełnym brzmieniu?

Smolin, patrząc mu w oczy, uśmiechnął się niemal beztrósco:

- Nie trzeba mi niczego przytaczać. Jestem człowiekiem szanującym prawo, więc jeśli przedstawiciel władzy ręczy, że ma prawo, to cóż tu... - zrobił szeroki gest. - Proszę się czuć, jak w domu...

- Słowo daję, jestem ujęty - Letiagin się skłonił. - Nieczęsto w naszych trudnych i niespokojnych czasach można spotkać człowieka z tak wyraźną świadomością prawną...

- Czym chata bogata - powiedział Smolin. - Pozwoli pan, że będę obecny?

- Ależ oczywiście, nawet proszę... Wasze prawo.

W głowie Smolina stukał precyzyjny kalkulator. Niczego *naprawdę* „ciężkiego” w sklepie nie znajdują, niech ryją bodaj do świtu. Nie ma! Karabinek Mosina w kącie jego pokoju przewiercony jak należy i pozbawiony iglicy. Paskudne jest co innego: z tuzina jednostek białej broni, co do ośmiu już zawarto porozumienie z nabywcami, trzech nawet zostawili zaliczki, a dwaj inni wręcz zapłacili całą należność... Nieładnie wyszło, jednym słowem... Niezręcznie wobec ludzi. Są to, co do jednego, nieprzypadkowe przybłędy - swoi, rozumiejący i temat, i formę, rozumieją właściwie i słowa nie powiedzą, ale i tak, jakoś nieskładnie wyszło... Wszystko odzyskamy, oczywiście, ale ile czasu minie i ile nerwów będzie to kosztować...

- Licencji na handel białą bronią nie posiadacie - cicho odezwał się stojący obok Letiagin.

- Ja nią nie handluję, dlatego licencji nie mam - powiedział Smolin, nie odwracając się do rozmówcy.

- Rozumiem, rozumiem, nikt też was nie oskarża... A licencja na handel wyrobami z metali szlachetnych??

- Analogicznie. Nie handluję, więc nie mam.

Do sejfu też się dobrać, kalkulował tymczasem. A jakże inaczej? W sejfie, jasny gwint, znajdzie się niemało *blitu*. Również i to z czasem uda się wyszarpnąć, ale znowu czas i nerwy, zresztą połowa monet przyjęta do sprzedaży komisowej... S-suki, kozły...

Major Letiagin przechadzał się wzdłuż ściany, z nieudawanym zachwytem oglądał pociemniałe płótna z okrętami, idącymi pod pełnymi żaglami, i malowniczymi pejzażami, dzwony cerkiewne, gramofony i inny chłam.

- Ciekawie tu u was - odezwał się niemal wzruszony. - Tyle dawnych rzeczy... Nie chciałoby się odejść...

- A to nich pan zostanie - zaproponował Smolin. - Na stróża przyjmujemy, pensja pewnie nie za bardzo?

Major przeszył go wzrokiem, ale przemilczał.

Przedstawiciele władzy wynieśli się dopiero coś koło ósmej wieczorem. Razem z nimi, jak należało oczekiwać, na jak najbardziej prawnej podstawie, ulotniła się cała biała broń i wszystkie złote monety, w zamian za to została pokaźna ilość oficjalnych papierów. Smolin od ręki przeczytał je jak najuważniej, wyszukując pomyłek. I wyszukał - aż siedem, choć drobnych, ale każdą z nich doświadczony adwokat będzie potrafił rozdmuchać do

olbrzymich rozmiarów, na wszelkie sposoby rozgrywając również i liczbę. *Aż siedem*, wasza dostojność...

Chociaż tyle przyjemności w tym życiu, nie? Smolin z ciężkim westchnieniem złożył papiery w równiutki stosik, znacząco kaszlnął i uniósł spojrzenie na Goszę. Ten sterczał przy ścianie, wyraźnie starał się ująć sobie wzrostu, gorzko żałując, że nie może na kształt myszki śmignąć do dziurki.

Do sklepu ostrożniutko weszli Szwarz, Kot Uczony i Feldmarszałek. Przybyli tu jeden po drugim już dawno, ale zauważyli uwijających się smerfów - dlatego przez cały ten czas krążyli w pobliżu.

- Wejdźcie do pokoju - powiedział do nich Smolin, uprzedzając naturalne w takiej sytuacji pytania. - Jeszcze jestem tu zajęty...

Powoli ruszył w stronę Goszy, uśmiechając się bardzo złowroźnie i uderzając pięścią w lewą dłoń. Idąc cedził przez zęby:

- Przecież ostrzegali cię, głupku... Dobrze wiedziałeś, że mendy trzęsą antykwariaty z uwagą i metodycznie... Kurwa, słów mi brak, wpaść z powodu parszywego kordzika, biorąc za niego pięć paczek rubli...

Gosza wolniutko się cofał, aż dotknął plecami olbrzymiego przedwojennego kredensu, dopiero co przywiezionego z konserwacji - wycofywać się dalej nie było już gdzie z jak najbardziej technicznych powodów. Smolin zbliżał się kręcąc głową:

- Niby nic takiego, ale jak cela będzie z ciebie rzeć, to jakby majtki ze sznurka gwizdnąć... Pięć paczek...!

Podszedłszy blisko przestraszonego sprzedawcy zatrzymał się, ale wciąż spoglądał groźnie. Gosza, sądząc po minie, już się pogodził, że porządnie oberwie. Jednak Smolin nie kwapił się z podniesieniem ręki: jakby nie było swój chłopak, od dawna pracuje, sprawdzony w wielkim i małym, takich trudno szukać i wychowywać, biznes antykwaryczny jest pod tym względem konserwatywny. A zresztą, jeśli wspomnieć wszystkie przypadki, kiedy stare lisy poślizgnęły się na zwyczajnym głupstwie...

Mimo to, ze względów wychowawczych jakiś czas postął z groźną miną, trzymając Goszę w niepewności. Uznawszy, że moralnej egzekucji stało się zadość, rozprostował kułaki i poklepał udręczonego chłopaka po ramieniu:

- No dobrze, nie będę, coś ty... Jakoś przeżyjemy, bywało gorzej... Tym bardziej żeś, cynicznie mówiąc, firmy nie podłożył, a tylko siebie. Pochwalam. Tak właśnie powinni postępować prawdziwi pionierzy, czy skauci...

- Przecież nie jestem głupi... Wiem, co to grupowy...

- Zuch - poważnie odezwał się Smolin. - Zasadę brać na siebie wymyślono nie z romantyki, a z powodów na wskroś praktycznych... Dobra. Wyciągać cię, oczywiście, będziemy, cóż z tobą zrobić... Opowiedz, jak to było?

Najpierw bezładnie, później coraz bardziej dochodząc do siebie, Gosza opowiedział standardową, ogólnie biorąc, historię: zajrzał do sklepu człowieczek, taki bardziej kontaktowy, szczerą duszą, wystający T-shirt spod koszuli, uśmiech na sześćdziesiąt cztery zęby. Słowo po słowie i okazało się, że jeden były mareman chce dać upominek innemu byłemu maremanowi, z którym razem łańcuch kotwiczny z rdzy czyścili pilnikiem i rekiną szczotką odpędzali od tajnego radaru w gruszcze dziobowej. Z pieniędzmi krucho, więc dobrze byłoby coś tańszego, ale koniecznie prawdziwego... No, a dalej nawet nie warto było słuchać. Wszyscy się na to łapiają, łapali się i będą się nadal łapać.

- Najważniejsze, że, drań, wyglądał przekonująco...

- A cóż ty chcesz - powiedział Smolin w zamyśleniu. - Powinien. Znaczący, że myślący operatywny, to nie baba z orderem Lenina ani „zbiedniały profesor”, których widać na kilometr... Co napisał w notatce?

- Jak było...

Smolin skrzywił się z niezadowoleniem:

- Malutkie dzieci, jak Boga kocham, pokolenie niepełzonych idiotów... Ja rozumiem, że ciebie, cnotko ty nasza, pierwszy raz w życiu mendy przydusiły, ale przecież trzeba było myśleć...

- A co miałem robić?

- Słuchaj uważnie - powiedział Smolin wydzielając sylaby.

- Niebawem wezwą cię na pasjonującą procedurę pod nudną nazwą „wszczenie sprawy karnej”. A do tej chwili nikt nie uprzedził cię na piśmie o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań... Niczego takiego nie było?

- Nie było...

- No widzisz... Zakarbuś sobie. Zeznania napiszesz nowe. A sprawa miała się tak: ten zasrany nabywca powiedział, że chce pokazać kordzik innemu, który siedzi w samochodzie i z jakichś swoich powodów nie może przyjść do sklepu. Ty, nie mając szczególnego zaufania do ludzkości, zgodziłeś się, ale wzięłeś od niego zastaw - pięć tysięcy rubli, żeby nie było tak przykro, jeśli da drapak z unikatem. Trybisz? Właśnie tak było. Brałeś od niego zastaw. Innymi słowy, żadnej „sprzedaży” nie było. Pojąłeś?

- Aha. A jeśli pytają...

- Dlaczego najpierw wyjaśniłeś tak, a później siak? No oczywiście, że pytają, nie są

przecież głupi, znają przepisy... Ale tu będziesz trwał przy swoim, jak posąg: pierwsze wyjaśnienie składałem w stanie silnego wzburzenia... tylko słówka odpowiednio dobieraj, nie takie urzędowe, żeby nie jechać biurokratyzmami... Ogólnie, pierwszy raz w życiu przytrafiła ci się taka nieprzyjemność, zdenerwowałeś się, nie bardzo wiedziałeś co się z tobą dzieje, nie do końca rozumiałeś, co się wokół ciebie dzieje - więc pod dyktando gliniarzy, którzy cię stłamsili, naplotłeś co tylko chcieli. A teraz oprzytomniałeś, na trzeźwo wszystko zważyłeś, przypomniałeś sobie, jak było naprawdę... i już od tego masz nie odstępować, jasne?

- Przecież oni rozumieją...

- No oczywiście, że rozumieją - powiedział Smolin, uśmiechając się. - Nie takie rzeczy widzieli i słyszeli. Tylko że, jak ci *udowodnią*, a co najważniejsze, sędziemu, że wszystko było nie tak, jak ty przedstawiasz, a właśnie tak, jak oni twierdzą? Twoje słowo przeciwko ich i nic więcej. Jeśli nie nagrywali rozmowy i nie fotografowali... jestem pewien, że nie było ani jednego, ani drugiego. We wszystkich trzech poprzednich przypadkach nie było niczego podobnego. Damy radę. Najważniejsze, to żebyś obstawał przy swoim i zapamiętał na zawsze: dobrowolne przyznanie się i współpraca ze śledztwem nie dają żadnej ulgi, wprost przeciwnie, obciążają... No i wyciągać cię będziemy ze wszystkich sił. Wykręcimy się, nie pierwszyzna... Zwijaj się do domu, wypij kapkę, wyśpij się i bądź gotowy na wszystko, niczym ta żabka w kamionce ze śmietaną...

Dodał otuchy poklepując po ramieniu Goszę, który odrobinę poweselał, i nie oglądając się poszedł do swojego pokoju. Już z oddali było słychać, jak Kot Uczony przeklina wszystkie organy praw obywatelskich ile ich tylko jest na świecie, a zwłaszcza szantarskie. Przyczyny były jak najbardziej życiowe: po inwentaryzacji zawartości kościejowego schowka, Smolin odpalił całej trójce jakąś dołą - a raczej niewielką premię. Premia Chiżniaka właśnie miała postać, między innymi, dosyć rzadkiej i nietaniej klingi. Nie chciało mu się zanieść jej do domu i zostawił tutaj, gdzie razem z innymi zgarnęli ją Stróże prawa.

- Przeklinaniem nieszczęściu nie pomożesz - powiedział Smolin, stając w drzwiach. - Podobnie jak innymi pięknymi słowami. W ogóle, orły, powiem wam szczerze, ostatni incydent w danym momencie niezbyt mnie interesuje. Bywało gorzej, a przecież wytrwaliśmy... Trzeba działać, ale w innym kierunku...

Każdemu z nich z osobna i wszystkim razem Smolin ufał absolutnie. Pracowali u niego nie dla pensji i, jeśli sięgnąć do korzeni, żadną miarą nie byli tymi, którzy dumnie mienia się „przyjaciółmi”. Diabli wiedzą, od jak dawna byli z nim związani wspólnym biznesem, często wchodzili w spółkę i przysług oddawali sobie nawzajem niemało. Krótko mówiąc, było między nimi coś, co czasem jest trwalsze od przyjaźni, jakby drużyna scalona

wspólnymi zainteresowaniami...

- Małemu właściwie nic nie zrobią - kontynuował Smolin.

- My nie musimy nic robić, starać się o to będzie mądry papuga i to jego sprawa. Mnie interesuje co innego. Diabelnie chciałbym się mylić, ale nie mogę, komilitoni moi i sokoły, pozbyć się wrażenia, że za kulisami kryje się ktoś nowy. Że w oddali mający jakiś gracz, o którym nic nie wiemy, on zaś o nas wie więcej, niż bym chciał... Ktoś wlaźł do gry.

- Ja też kombinuję... - odezwał się Feldmarszałek.

Dwaj pozostali zgodnie przytaknęli głowami: czasu na przemyślenie wszystkiego, co się wydarzyło było dosyć, więc obeszło się bez sporów i dyskusji.

- Ostatecznie nic z tego wyjdzie - powiedział Smolin. - Nikogo na poważnie nie wsadzą, nikogo mocno nie przycisną, nawet wszystko skonfiskowane wcześniej czy później przyjdzie im zwrócić. Nerwy, co prawda, popsują na długo i fest, ale ja nie o tym... Nie podoba mi się ogólna sytuacja. Czym by się nie skończyło, to szantarski rynek białej broni już jest praktycznie sparaliżowany. I w tym paskudnym stanie rzeczy będzie trwał jeszcze długo, zarówno dlatego, że teraz będziemy wzdrygać się na każdy szmer, i dlatego, że wszystko nam odebrane będziemy wyciągać długo... Wszystkie sklepy przeczesali...

- Oprócz Wrubla - obojętnie odezwał się Feldmarszałek.

- To znaczy?

- U Wrubla zrobiła się kaszana - oznajmił Feldmarszałek. - Właśnie się dowiedziałem i przyjechałem, żeby wam powiedzieć... Krótko mówiąc, jak podesłali Wrublowski do Unikatu podstawionego kozaczka, a właściwie dwóch, to jego samego nie było, z powodu kolejnego okresu nieprzerwanego tankowania, a jego panienki coś zwąchały i niczego nie sprzedały... Gdyby sam Wrubel był na miejscu, to wpadłby, po pijaństwie nie ma ani bezpieczników, ani hamulców... Miał głupek szczęście.

- Szczęście - wycedził Smolin.

To tak, znaczy... Wszyscy wpadli, oprócz Wrubla... Smolin pamiętał bardziej nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, które zdarzały się z jak najbardziej naturalnych powodów, ale wszystko jedno, pozostał pewien osad, jak w znanym dowcipie. Jakoś to było nie w porządku, że najbardziej zgniły szantarski handlarz antykami, który, mówiąc wprost, nie był lubiany za rozliczne podłości, wtopy i przewiny pozostał czysty. Mając na uwadze zwykłą praktykę, to on powinien wpaść jako pierwszy - przecież, gdyby go „kozaczekowie” zastali nawalonego, to nie tylko by im opowiedział coś kompromitującego siebie, ale i do magazynku zaprowadziłby, nagadałby na siebie z marszu na dwa paragrafy karne i pół tuzina administracyjnych...



- Dobra - Smolin się wyprostował. - Pies z nim, teraz nie o niego mam ból głowy... Mamy otóż, gentlemani, jeden niewątpliwy ślad: Daszeńka Berger. Niech Bóg broni, w żaden sposób jej nie kojarzę z tym, co się dzieje, ale jest jeszcze jeden aspekt: ona akurat teraz ucieleśnia swoją osobą ten nowy, dziwny i niezrozumiały kanał, który ma miejsce na naszym antykwarycznym ryneczku... Ktoś jeszcze jest, oprócz nas, zęba dając. Jak się wydaje, ona jest na jego usługach, sama nie odważyłaby się pchać w te rozgrywki. A ona się pcha, jak najbardziej.

- A czemu od razu nie odważyłaby się? - Kot Uczony wzruszył ramionami. - Dziewka mądra, dziadek ją podszkolił, chwyta co i jak...

- Mieszkanko - powiedział Smolin. Jej mieszkanko wyłazi poza ramy. To, mówcie co chcecie, nie jest żadne tam wynajmowane mieszkanko, to jest chatka człowieka niebiednego i w antykach zorientowanego. Porcelana jest tam ciekawa i kilka obrazów na ścianie, namalowanych nie przez naszych łowców turystów pod „Światem dziecka"... Wszystko to razem dyktuje ostrożność...

- Jest jedno ale - odezwał się Feldmarszałek, na którego prostym męskim obliczu odbijała się natężona praca myśli. - Jeśli nią kręci ktoś starszy i mądry, to za nic nie przystałby na to, żeby wstawiać odznaczenia z Kościejowego mieszkanka do pierwszego lepszego sklepu, obciążając tego tam Michajłę...

- Z tym pewnie chciała na własną rękę się uwinąć - zaproponował Kot Uczony. - Nie tłumacząc się. Liczyła na to, że w dziadkowej chatce znajdzie niezliczone skarby, a gdy natknęła się na chłam, opylila go przez Miszę, żeby dostać choćby kopiejkę... Stiopa, przecież ona jest maleńka, skąd u takiego smarka spryt...

- Wszystko to abstrakcja - wtrącił się Szwarz, od dawna usiłujący powiedzieć swoje zdanie. - Teoria. Woluntaryzm i dekadencja. Nic nie osiągniemy przelewaniem z pustego w próżne. Wziąć by tę Daszeńkę, wsunąć jej do majteczek lutowniczkę i popytać od serca... - podniósł łąsko widząc, że dwaj pozostali obrócili się do niego z otwartymi ustami. - To ja tak, czysto teoretycznie, nie jestem idiotą, a my nie jesteśmy w kinie... Ale jakiś ruch nie zaszkodziłoby wykonać, bo nic a nic nie osiągniemy pustym gadaniem...

- A konkretnie?

- Co, konkretnie - uśmiechnął się Szwarz. - Nikt nam nie każe, żebyśmy sami wyłazili... ale możemy co innego zrobić. Chcecie roboczy schemat? Cziksę łapią w bramie dwa zupełnie nieznanne jej organizmy o jak najbardziej bandyckim wyglądzie, długo mającą przed buzią okropnymi nożykami-skalpelami, a następnie przejmująco oznajmiają: jeśli ty, suchko obdarta, kiło nieleczona będziesz jeszcze płatać się pod nogami poważnym ludziom z

rynku antykwarycznego, to my ci... A dalej, to już pełna swoboda fantazji, można tu tyle różności wymyślić... Wadim słusznie zauważył: to jeszcze głupiutka dziewczynka... Co będzie robiła w takiej sytuacji śmiertelnie wystraszona smarkata?

Przez jakiś czas była cisza, po czym Feldmarszałek wykrzyknął z zachwytem:

- A ja cię całe życie miałem za debila!

- Wielkie dzięki - Szwarz ukłonił się z wielką godnością. - Tylko że my jesteśmy z rodowitych antiligentów, cokolwiek mamy w durnej łepetynie...

- No właśnie - uśmiechnął się Smolin. - Śmiertelnie wystraszona smarkata oczywiście niezwłocznie rzuci się po pomoc i wsparcie moralne... i jeśli nasz Iks istnieje, ku czemu ja się z uporem skłaniam, to właśnie do niego parszywa poleci, jak tylko rzekomi oprawcy znikną... To jest myśl. Podziękowanie ode mnie, szeregowy Szwarz... Tylko zachowajmy te warianty jako ostateczność. Znacie moją delikatną naturę: spraw kryminalnych się boję jak diabeł święconej wody... a to, co proponuje Szwarz, jak by nie patrzeć, ma wiele wspólnego z karalnością...

- E tam, jeśli czysto...

- A jeśli brudno? - przerwał Smolin. - Chcieliśmy jak najlepiej, a wyszło jak zawsze... Fatalnym zbiegiem okoliczności właśnie w tym momencie, kiedy „oprawcy” będą błyskać jej przed nosem kosą do wypuszczania flaków, zjawi się sąsiad karateka, a nawet patrol milicji... Wszystkim będzie wtedy wesoło, tylko nie nam.

- Ale myśl...

- Przecież mówię, że myśl jest dobra... - z naciskiem powtórzył Smolin. - Ale wykorzystamy ją w ostateczności. Jeśli nic innego nie pozostanie, gdy wszystkie możliwości nie dadzą zadowolających nas wyników.

Szwarc zasepił się:

- A teraz co, mamy siedzieć i łamać głowy?

- A kto mówi, że koniecznie trzeba siedzieć kamieniem? - pojednawczo odezwał się Smolin. - Ja tego nie powiedziałem, ani też nikt z obecnych... Zresztą oprócz Daszki mamy kandydata do szczerzej rozmowy. I w przeciwieństwie do Daszki, znajdzie się coś na czym go można będzie złapać... Krótko mówiąc, pilnych spraw nikt z was nie ma? To pięknie, zbierajcie się...

\*

Najciężej półtoragodzinne siedzenie w aucie znosił Szwarz, był tu najmłodszy, pełen energii, dlatego też jawnie cierpiał, kręcił się i stękał, aż w końcu Smolin zmuszony był go ostro przywołać do porządku. Pozostali również byli zdania, że nie ma nic gorszego w życiu,

niż czekanie - ale jakoś wytrzymywali...

Półtorej godziny nic ciekawego się nie działo. Wciąż siedzieli w samochodzie, okno „niedobrego mieszkania” było ciemne, Daszeńka się nie pojawiła. Jednocześnie w domu rodziców również jej nie było - co od czasu do czasu ustalał Szwarc, który tam dzwonił udając kolegę z roku. Zmierzch już gęstniał idyllicznie, na niebie wkrótce miały się zaświecić gwiazdy - a tu wciąż nic.

Nagle coś się pojawiło - ściślej biorąc pojawiło się żelastwo, które optymiści z WAZ do tej pory z uporem nazywają „autem”. Z początku nie zwrócili uwagi na parkującą jakieś piętnaście metrów od nich „ósemkę”, ale oświetlił ją wjeżdżający na podwórze samochód. Smolin zauważył numer w lusterku wstecznym i senność ustąpiła natychmiast.

- A zwierz pędzi, i to wprost na łowcę... - zanucił linijkę z dawnej popularnej piosenki dziecięcej. - Chłopcy, z tyłu...

- Kto?

- A ta-am...

Szwarc przyjrzał się:

- Ja cię, przecież to botanik! Dokładnie... Bierzemy?

- Nie jesteś w Chicago, młodzieńcze - po namyśle odezwał się Smolin. - Tyleśmy tu sterczeli, że powinniśmy jeszcze poczekać, a nuż ujrzymy coś pożytecznego...

- A jeśli drapnie?

- Na tym? - z nutą obrzydzenia odpowiedział pytaniem Smolin. - No nie, na ogonie będę mu wisiał, żeby nie wiem co... Ale nie wydaje się, żeby miał drapnąć. Widać, że zakotwiczył się mocno. I oka nie spuszcza z tej samej klatki. Jako człowiek z pewnym doświadczeniem życiowym, moi panowie, czuję kolizje i namiętności nie na żarty...

- Wasia! - Feldmarszałek trącił go łokciem.

- Widzę... Siedzimy cicho, wszyscy! - polecił szeptem Smolin.

Daszeńka Berger we własnej osobie wyfrunęła z toyoty Camry, która płynnie przemknęła obok nich i bezgłośnie zatrzymała się przed wejściem. Obejrzawszy się, pomachała ręką komuś niewidocznemu w mroku za przyciemnionymi szybami i auto statecznie przepłynęło ku wyjazdowi na ulicę.

- No proszę! - odezwał się Smolin, zupełnie już cichutko. - Zaczęło się, zaczęło...

- Dasza!

Zawołał, rozumie się, nie któryś z nich, a Misza, kangurzymi skokami pędzący w stronę klatki. Wymieniona z imienia obróciła się do niego z takim oburzeniem (latarnia uliczna dawała wystarczającą ilość światła, żeby zobaczyć jej twarz), że Smolin natychmiast

wyciągnął pewne wnioski na potwierdzenie już powziętych niepewnych hipotez i niejasnych szkiców...

- Romeo i Julia - zachichotał Kot Uczony. - Epizod, którego nie braliśmy pod uwagę...

- Oczko - skomentował Szwarz.

- Cynicy jesteście, panowie - nie bez smutku podsumował Smolin. - Tutaj tragedia się rozgrywa, a wy byście tylko rzeli...

Rzeczywiście, nie słysząc ani słowa z cichej rozmowy, doskonale widzieli osoby mikrospektaklu i z gestów doskonale rozumieli treść nieskomplikowanej sztuki: długowłosego junaka najpierw o coś stanowczo pytał, później próbował coś wyklarować, jakiejś prawdy się doszukać, przekonać o czymś. Daszeńka natomiast, przytupując z niecierpliwości, odpowiadała krótko i ostro, z bardzo niezadowoloną, nawet pogardliwą miną. Człowiek z takim doświadczeniem życiowym mógł szybko określić, że na jego oczach rozwija się klasyczna fabuła: On wciąż jest pełen płomiennych i wysokich uczuć, natomiast Ona, widać jak na dłoni, już dawno wyrzuciła byłego przyjaciela z serca na śmietnik historii i na dobrą sprawę patrzeć na niego nie ma chęci...

- Zaraz jej przylutuje - z hazardem kibica wyszeptał Feldmarszałek. - Przecież się od niego opędza, widzieć go nie chce...

- Założymy się, że nie przylutuje? - z takim samym hazardem odezwał się Szwarz. - Przecież ma uczucia, to przecież nie granda olchowska, a inteligentny chłopczyk podobny do mnie w poprzednim życiu...

- Sza! - cicho polecił Smolin. - Koniec zabawy w totka... Przygotować się! Zaczyna się finał...

I rzeczywiście, Daszeńka zdecydowanie skierowała się do wejścia do klatki. Były przyjaciel serca rzucił się za nią, usiłował chwycić za łokieć - ale dziewczyna, nie odwracając się ku niemu nawet na milimetr, strząsnęła jego dłoń tak, że najmniejszej wątpliwości nie mogło pozostać najbardziej romantycznemu idealiście. Przez chwilę Smolin nawet poczuł przelotne współczucie dla młodego idioty, który miliard pierwszy raz od czasu istnienia ludzkości nastąpił na te same grabie...

Pstryknąwszy za okno niedopałek, uruchomił silnik i już bez najmniejszego wahania rozkazał:

- Wadim, ruszaj! Weźmiesz smarkatego, a Szwarz złapie...

Kiwnąwszy głową, Chiżniak wyskoczył z samochodu zostawiając drzwi otwarte. Odrzucony kochanek stał na tym samym miejscu z miną tak żalną i smutną, jakby decydował o ostatecznym wyborze między pętlą, trucizną, skokiem z pięćdziesięciometrowej

wysokości głównego szantarskiego mostu i innymi smutnymi wariantami. Trzema skokami Kot Uczony znalazł się przy nim i przymilnie spytał:

- Młody człowieku, nie wie pan, *która godzina?*

Smolin zdjął nogę z pedału hamulca i jeep odrobinę cofnął na tylnym biegu. Ledwie Misza zdążył się zorientować, że to do niego ktoś zwraca się z jakimś głupstwem, Kot Uczony błyskawicznie wyprostował rękę, układając palce w łódeczkę i z łatwością trafił go w szyję z należytym efektem: chłopak ochnął, czknął i przysiadł, próbując zaczerpnąć choćby łyk powietrza, ale jeep już stał z tyłu. Szwarz, wysunawszy się przez otwarte drzwi złapał ofiarę za kołnierz koszuli i jednym mocnym szarpnięciem wciągnął do środka. Kot Uczony pospiesznie wskoczył do wnętrza i Smolin wyrwał do przodu. Na jego oko, nikt wokoło nawet nie zauważył sceny z hollywoodzkiego filmu akcji, która zajęła nie więcej niż parę sekund. Wyjeżdżając na ulicę, odczuł niemałą dumę z siebie i kompanów: po raz pierwszy w życiu się tym zajmowali, ale akcję przeprowadzili tak czysto, jakby całe życie nic innego nie robili, tylko porywali z ulic spokojnych obywateli. Nowicjusze mają szczęście...

Skręciwszy w następną ulicę i po przejechaniu kilku przecznic jeszcze raz skręciwszy, zjechał na pobocze w miejscu, jak żadne inne pasującym na prywatną rozmowę, niezwracającą niczyjej uwagi. Była tu budowla, składająca się z jednego bloku, za to zdającego się nie mieć końca, doprowadzona jak dotąd tylko do pierwszego piętra. Po obu stronach stały budynki, nabite licznymi firemkami, biurami i kantorkami, o tej późnej godzinie, naturalnie, wyludnione. Dookoła placu budowy, oczywiście, pysznił się solidny parkan, ale oni nawet nie mieli zamiaru tam wchodzić - najważniejsze, że przechodniów tu praktycznie nie było, miejsce głucho i źle oświetlone...

Zgasiwszy silnik, Smolin odwrócił się do tyłu i spojrzał na Miszę. Jeniec już doszedł do siebie na tyle, że próbował się rozpychać i wyrwać, ale natychmiast został ściśnięty z obu stron i uspokojony widokiem podsuniętej pod sam nos krzepkiej pięści Szwarca, której towarzyszyło pouczenie:

- Siedź cicho, jak zajaczek pod choinką, bo tak przylutuję...

- Ty się tego wujka nie bój, Miszeńka - odezwał się Smolin ojcowskim tonem. - Wujek, w zasadzie, dobry. Ale jeśli nie będziesz go słuchał, to ci w rzeczy samej może organizm zrujnować... Siedź cicho, dziecinko. Ja rozumiem, nagromadziła ci się masa pytań: co za jedni, dlaczego, jakim prawem... Przyjrzyj mi się, kochany, może ci coś przyjdzie do głowy...

Nie patrząc, sięgnął ręką i nacisnął włącznik na suficie. Rozbłysła lampa i oświetliła go dosyć wyraźnie. W oczach jeńca zamajaczyło jawne poznawanie.

- Przypomniałeś sobie - z zadowoleniem stwierdził Smolin. - Spotkaliśmy się przelotnie w babci Fainy, a poznała nas czarująca dziewczyna Dasza... Wasilij Jakowlewicz jestem, jeśli zapomniałeś. Teraz ty możesz zadawać pytania... tylko błagam, dla oszczędności czasu, wyłącznie sensowne, żebyśmy nie przeciągali...

- Co to za gra? - łypiąc spod oka, rzucił pojmany.

Szczególnego strachu Smolin w nim nie dostrzegł i to było dobre, ponieważ ułatwiało zadanie i oszczędzało czas...

Kot Uczony, skrzyżowawszy spojrzenia ze Smolinem, odezwał się przyjaźnie:

- My, młodzieńcze jesteśmy kwartetem wędrownych pedofilów. No, jest taka drobna namiętność... Jechaliśmy obok, wypatrzyliśmy odpowiedniego chłopaczka i daliśmy upust ciemnym instyktom...

- Kolega się myli - wtrącił Feldmarszałek. - Jesteśmy raczej kółkiem kroju i szycia abażurów z ludzkiej skóry. Patrzymy, materiał odpowiedni...

- Straszy, podlec - poufnie oznajmił Szwarz. - Jesteśmy, oczywiście, pedofilami i nic poza tym. Patrzymy, chłopaczek się nudzi, jak tu go nie poderwać... - Przerzucali się replikami leniwie i absolutnie naturalnie, czyniąc uwagi na temat fryzury jeńca i jego subtelnej figury, chichotali i paplali, jakby Misza w ogóle nie istniał. Wyprawiali to wszystko, rzecz jasna, po to, żeby doprowadzić klienta do właściwego stanu moralnego, dać mu do zrozumienia, że jest tu jakby meblem bez żadnych praw człowieka i własnego zdania...

Smolin jakiś czas nie przeszkadzał im w rozrywce, aż wreszcie uznał, że uwertura jest dostatecznie długa. Wysiadł, zamienił się miejscem ze Szwarzem - czujnie patrząc, żeby jeniec, pozostawiony na moment przed otwartymi drzwiami, nie wyskoczył. Usiadł obok, zapalił. Uśmiechnął się, gdy zabrzmiało dosyć krnąbrne:

- Czego ode mnie chcecie?

- Rozsądne pytanie - z powagą powiedział Smolin. - My, Misza, chcemy jednego, przywrócić sprawiedliwość. Zwrócić ukradzione. To znaczy to, co ty mi ukradłeś. Najbezcenniejsze w świecie. Licho wie, jak wy, dzisiejsza młodzież, patrzycie na takie rzeczy... ale mnie, człowiekowi starszego pokolenia, kategorycznie nie odpowiada, jak mi coś kradną...

- Ja niczego panu nie ukradłem! - jak należało się spodziewać, odpowiedź wyrażała oburzenie.

- To ty tak myślisz, serdeńko. A w rzeczywistości wszystko jest dokładnie na odwrót. *Mnie* nie okradłeś - ale ukradłeś *moje*. Nie rozumiesz? Pamiętasz, jak dwa czy trzy dni temu byliście w mieszkaniu dziadka Daszki? Ty, ona i jeszcze parka jakichś dekadentów.

- My?!

- A to już brzmi diablo nienaturalnie - powiedział Smolin. - Pachnie kiepską teatralnością. No, wiadomo, doświadczenia w takich sprawach nie masz... Takie niedomyślnie pokolenie, że rzygać się chce... Znaczący w chacie nie byliście? Żadnych odznaczeń w kieszeniach nie wyносилиście? To jak, w takim razie, wytłumaczysz ten oto papiererek?

Kiwnął na Szwarca, żeby włączył górne oświetlenie, a gestem wprawnego sztukmistrza rozłożył przed rozmówcą kserokopię pokwitowania z Fregaty i powiedział przymilnie:

- A co będzie, jeśli porównamy te dane osobowe i podpis z twoimi? Szczeczka opadła, młodzieńcze? Czy też będziemy przycinać całkiem już fantastyczną wersję: że ktoś, diabelnie do ciebie podobny i umięjący podrabiać twój podpis, z lipnym dowodem na twoje nazwisko, w którym dane są zbieżne z danymi twojego dokumentu, poszedł do Fregaty i wstawił odznaczenia? A ciebie, oczywiście, wystawili? Najmodniejsze słówko w kryminałach, tak filmowych, jak i drukowanych. Według wszelkich standardów hollywoodzkich teraz powinienes wybuchnąć gradem przekleństw: „Wystawili mnie, wystawili mnie!”. Będiesz wrzeszczał? Czy jesteś mądrzejszy? Pamiętaj, że właściciel Fregaty, od razu uprzedzam, rozpozna cię momentalnie... Więc wystawili cię, czy nie? Byłeś we Fregacie osobiście?

Zrobił dobrze obliczoną pauzę. Student robił wrażenie człowieka ogłuszonego zza węgła workiem z piaskiem w ciemności. Był całkowicie zmieszany. Oczywiście, nawet nie mógł pomyśleć, że to brudna sprawa, że mogą go wziąć za kark nieżyczliwie nastawieni ludzie, po cóż więc miał szykować przekonujące wykrety i układać linię obrony?

- W ogóle, to ty nic do tego nie masz - wielkodusznie powiedział Smolin. - Nie jestem zwierzęciem, ja wszystko doskonale rozumiem... Co więcej, jestem przekonany, że Daszeńka także nie miała pojęcia, że dziadek wraz ze swoimi zbiorami mógł mieć też obce. Ale tak już karty się rozłożyły. Popatrz na zdjęcia. Właśnie ten order, i ten, i te dwa - to moja prawna własność. Mogę to momentalnie udowodnić. Świadców mam pełno: tych, od których je kupiłem jak najbardziej legalnie i od tego, który parę z nich mi konserwował... Uczciwi, praworządni ludzie... tak samo jak ja. Nie będziemy cię bić, a już tym bardziej wulgarnie znieważać - cóż to za banał, a zresztą, co by to dało... Ja najzwyczajniej w świecie teraz pojedę do najbliższej komendy dzielnicowej, która działa całą dobę i złożę doniesienie, w którym ze smutkiem doniosę, jak pewien młody człowiek na moich oczach włamał się do mojego zamkniętego samochodu i wyjął z niego saszetkę, w której między innymi były te właśnie ordery. Goniłem go, ale nie dogoniłem. Natomiast doskonale zapamiętałem jego paskudną mordę. Również moi przyjaciele, w liczbie trzech, którzy wtedy byli ze mną i również bez powodzenia za tobą gnali, zapamiętali cię... No, a potem włączy się do sprawy

pan Demidow, właściciel sklepu Fregata i aktywnie współdziałając ze śledztwem poda, jak się u niego zjawileś, jak wstawiłeś te właśnie odznaczenia na swój dowód i jak poznawszy te spośród nich, które były moje, powiadomił mnie przez telefon... Nawiasem mówiąc, wszystko to będzie najczystsza prawda. Później pojawi się poważny człowiek, z zawodu konserwator i opowie, jak mi odnowił ten order i jeszcze ten, i znów będzie to czysta prawda... Wlepią ci, Miszeńko, całkiem zgoła niewesoły artykuł kodeksu karnego dotyczący kradzieży przedmiotów o znacznej wartości artystycznej i historycznej... zresztą co tam, po prostu mających wartość rynkową około pięćdziesięciu tysięcy rubli...

- Ale przecież ja...

- No tak, oczywiście - przerwał mu Smolin. - Ty będziesz twierdził, że do mojego samochodu w życiu nie zaglądałeś. Że wszystkie, co do jednej blaszki, w kwartecie gwizdnęliście z mieszkania nieboszczyka dziadka Daszki... - Zrobił kolejną pauzę. - A wiesz co? Serce mi podpowiada, że zarówno Daszeńka, jak i twoi koleżkowie w najżywsze oczy wszystkiego się wyprą. Oświadczą, że w żadnym mieszkaniu nie byli i niczego nie brali. Dlatego że, z punktu widzenia prawa, Daszeńka również dokonała pospolitej kradzieży, nie miała bowiem najmniejszego prawa wchodzić nocną porą do mieszkania dziadka, niechby nawet rodzzonego, i cokolwiek stamtąd brać, choćby pudełka zapalek... Czy to bez powodu sama nie poszła do sklepu, tylko ciebie, głuptaska, wypchnęła do przodu? Ano właśnie... Jeśli nazywając rzeczy bez dyplomacji i dobrych manier, to ciebie, kochasiu, wykorzystano jak wyrób apteczny pod nazwą kondom... Nikogo z nich w tej historii nie ma - ani Daszki, ani tamtych dwóch. Tylko ty jesteś...

- I siedzieć ci, gołąbku, w więzieniu śledczym będzie bardzo wesoło - radośnie podchwycił Szwarz. - Lubią tam takich śliczniutkich, z ciebie, Miszeńka, taką Daszeńkę walną, że przyjemnie będzie popatrzeć... I będziesz miał ksywkę Maszunia-studenteczka...

- Mój przyjaciel troszeczkę przesadza, Misza - powiedział Smolin. - To, że cię na pryczy będą cwelić, to wcale nie jest stuprocentowe prawdopodobieństwo, to zależy do jakiej chaty trafisz. I jak się postawisz. Aczkolwiek... Wybacz, ale ja mogę wnioskować z doświadczenia dwóch moich podróży za druty, dlatego powiem otwarcie: takich słabiaczków, nieprzystosowanych do zony, często właśnie ustawiają sobie rakiem... Dobra. Nie będziemy od razu o najgorszym, niekoniecznie cię pod celą zrobią Mańką... ale sama odsiadka zniszczy ci całe ułożone i spokojne życie. A już dla taty i mamy, uczciwych radzieckich ludzi pracy, będzie to cios straszny... Całe życie ci chrupnie, jak suchy herbatnik... Ja nie żartuję, kochany. Jestem w poważnym nastroju. Zaraz jedziemy do najbliższej psiarni i zgodnie wszyscy czterej napiszemy oświadczenie, że właśnie przypadkiem zobaczyliśmy cię na ulicy, capnęliśmy i



dostarczyliśmy... Jeszcze raz wybacz prozę życia, ale tata i mama nie mają takich dochodów, żeby ci dobrego adwokata podłapać. Zresztą sprawa jest nader oczywista. Ty, oczywiście, u proroka będziesz truł o Daszy i kolegach... ale, powtarzam, jesteś pewien, że oni będą cię bronić? - Ułożył zdjęcia w równy stosik, schował je do kieszeni i ciągnął dalej znudzonym głosem: - Czas, żebyś i ty, kochany, jakoś się odezwał, ja już wszystko powiedziałem, aż mi w gardle zaschło... No?

- Proszę posłuchać... Przecież sam pan mówi, że ja nieumyślnie... To ja jutro, zaraz z rana wszystko zabiorę i oddam... Niech pan wybaczy, oczywiście, przecież nic nie wiedziałem...

- Chłopak z ciebie jakby niegłupi - odparł Smolin. - Przyszły historyk sztuki, znaczy, że masz do czynienia z duchowym dziedzictwem ludzkości i takimi tam bzdurami... Zastanów się, czemu tracimy czas na ciebie? Zważywszy, że z punktu widzenia prawa sytuacja jest dla nas jak najbardziej czysta, skierowana wyłącznie w stronę naszej korzyści... Wysil mózgownicę, sokole jasny...

- Będziecie żądać pieniędzy?

- A żebyś ty... - Smolin się skrzywił. - Student, inteligentny chłopiec... Twoje pieniądze nie są mi potrzebne, a przecież ich nie masz... Mnie nie pieniądze są potrzebne, a największa wartość naszego wieku - informacja. Nie będziemy ciągnąć kota za jaja, już późno... Krótko mówiąc, odpowiesz mi na kilka pytań - i idź sobie jak wolny człowiek. Ordery, naturalnie, oddasz...

- Jakie znowu pytania? O co?

- O *kogo* - poprawił Smolin. - O naszą czarującą Daszeńkę. Jak to mówią, to i tamto...

- Niczego o niej nie będę mówił.

- Przecież nie powiedziałem, co mnie konkretnie interesuje...

- Wszystko jedno.

- Podobna odmiana istoty ludzkiej zwykle określana jest mianem głupca - powiedział Smolin. - Pomówmy więc o jeszcze jednym aspekcie problemu... Jak mężczyzna z mężczyzną. My tam, koło jej domu, długo sterczeliśmy. Doskonale widzieliśmy, jak cię, wybac bezpośredniość, popędziła ostatecznie i bezpowrotnie. „Żeby twoja noga tu więcej nie powstała!” Coś w tym rodzaju, nie? A jeszcze dobrze widzieliśmy, zresztą ty z pewnością również, jak ją przywiózł gość pięknym dużym autem. Ten gość, jak podpowiada mi znajomość życia, mocno i na długo zajął twoje miejsce... I co, w tych okolicznościach twoja wierność wruszy Daszeńkę i ją zachwyci? I wróci do ciebie, jak w meksykańskim serialu? Przecież sam rozumiesz, że to bzdura... Dasza to absolutne i skończone ścierwo, jeszcze tego

nie wiesz? I do więzienia parszywego pierożka z kocim mięsem ci nie przyniesie. Przeciwnie, nawet się ucieszy, że wszystko się tak ładnie ułożyło: ty będziesz kukał na pryczy, a ona beztrasko będzie krążyć w wirze rozkoszy ze swoim bogatym Buratinem. Nie będziesz miał okazji wystawać przed klatką i domagać się wyjaśnień... Tak więc, nie ma co się bawić w szlachetności, przede wszystkim dlatego, że ona nie jest tego warta. Ty do niej z całym sercem, tyś ją wyniósł do grona Pięknych Dam, a ona cię wykorzystwała, jak ten towar apteczny...

- Bądź chłopem - dodał Kot Uczony. - Takich jeszcze będziesz miał wagon z przyczepą...

Rozmowa przybrała inny ton. Jeńca teraz nie straszili, a przeciwnie nieomal ze skąpą łzą męskiego współczucia w oku pocieszali i zwodzili obietnicami, dzielili się smutnym doświadczeniem życiowym, nabytym w młodości, oraz dawali pożyteczne rady ludzi, którzy już pożyli i napatrzili się na kobiecą przewrotność. Jednym słowem, bajerowali i obrabiali na całej linii, pomału tworząc wrażenie, że trzeba szybcutko opowiedzieć wszystko o przewrotnej przyjaciółce, ponieważ będzie to nawet swojego rodzaju postępek supermana - ona cię, chłopcze, wykiwała, to wytrzymaj sobie o nią nogi i zmień buty... Naciskali też na urażoną ambicję i na całkiem zrozumiały strach przed nieprzyjemnościami ze strony prawa. Gdyby miał mocniejszą osobowość, musieliby się z nim pomęczyć, ale chłopczek okazał się miękki...

Szczerze mówiąc, niczego szczególnie ciekawego Smolin się ostatecznie od niego nie dowiedział. Do Fainy Misza woził Daszeńkę ze trzy razy i za każdym razem wizyty były powszednie i zwyczajne: pili herbatę, rozmawiali o najrozmaitszych drobiazgach. O typie z czarnej toyoty student nie mógł powiedzieć niczego konkretnego: po prostu, gdy został odstawiony na bok i porównał pewne wcześniejsze obserwacje, nabrał podejrzeń, że pojawił się rywal mający więcej szczęścia - o czym właśnie ostatecznie się przekonał dzisiejszego wieczora. Ci dwaj, którzy byli z nimi w mieszkaniu to koledzy z jednej grupy, starzy kumple, Dasza serdecznie poprosiła chłopców o małą przysługę, a oni, jako szarmanccy kawalerowie nie potrafili odmówić damie - w najmniejszym stopniu nie przejmując się prawnym tłem tej nocnej wizyty...

Słowem, zysk z przesłuchania był niewielki. Ale... Skórka na pewno była warta wyprawki: wysiłek okazał się niewielki, natomiast znalazły potwierdzenie pewne wersje i hipotezy: o tym, że obok Daszeńki jest jakiś, bezwarunkowo nadziany koleś i o tym, że ona ni stąd, ni zowąd zaczęła się kręcić wokół Fainy. To już były nie domysły, a surowe fakty, niechby nawet niewiele wnoszące jasności o tym, co się dzieje... Całkiem blisko toczyła się

czyjaś ukryta gra, jakżeby inaczej! Jak by nie było, numer toyoty mocno wrył się mu w pamięć, a to już coś...

Wtedy właśnie Smolin poważnie pożałował, że nie jest ostrym mafiosem z bulwarowych powieści: rzeczywiście, nic prostszego, jak wywieźć Daszeńkę gdzieś w zaciszne miejsce i wypytać o różne rzeczy, czule pomachując lutownicą - jednak w realnym życiu za takie wyczyny załapiesz taką kupę nieprzyjemności, że trzema spychaczami jej nie zmożesz. To nie rok dziewięćdziesiąty, a nawet nie dziewięćdziesiąty piąty...

- Wróćmy do Fainy... - odezwał się zamyślony Smolin. - Daszka nie proponowała jej jakichś transakcji? Sprzedać obrazy, podarować jakiejś fundacji czy muzeum? Albo jeszcze coś?

- Nie, przy mnie niczego podobnego... Ja przecież cały czas z nimi siedziałem... Może beze mnie? A w ogóle o co chodzi?

- Wciąż o to samo - Smolin ciągle o czymś myślał. - Coś się szykuje, a co, nie wiadomo... Dobra, chłopcze, to, koniec końców, nie twój kłopot. Najważniejsze, żebyś trzymał się z dala od tej miłej panienki, bo cię tak podstawią...

Zauważywszy w półmroku jakieś niezrozumiałe poruszenie, spojrzął zezem w bok. W wysokaśnym parkanie z desek, otaczającym budowę, była dziura, akurat na kamaza, skąd w krąg światła latarni ulicznej wysunęła się mizerna postać człowieka o niewątpliwie tadżyckim wyglądem, był to jeden z tych, w większości nie posiadających dowodu, mieszkańców Azji Środkowej, którzy masami ratowali się w Szantarsku przed straszną nędzą i innymi trudnościami życia w dalekiej ojczyźnie. Stróż... Postąpił niepewnie trzy kroki do przodu - coraz krótsze - przyjrzał się dżipowi i ostrożniutko, z cicha spytał:

- Czego tu, e?

- Zabierz go - z rozdrażnieniem w głosie Smolin polecił Szwarcowi.

Szwarc otworzył drzwi ze swojej strony i dosyć głośno syknął:

- Odejdź, nie lukaj! Tutaj ludzie heroinę ważą na dokładnej wadze, a ty szczekasz... Spadaj!

Słyszając takie rzeczy, chudziutkiego czarniawego gasterbeitera ogarnęło przerażenie, więc prędko cofając się zniknął za ogrodzeniem, wyraźnie bez zamiaru wszczynania alarmu.

- No dobrze - powiedział Smolin - nie obraż się, ale swoje orderki, oczywiście zabiorę...

- Ja to rozumiem...

- To super. Wszystko pozostałe mnie nie interesuje, ponieważ to nie moje. Niech sobie

leży i sprzedaje się o ile się uda.

- A jeśli ona spyta... Przecież będziemy dalej się kontaktować, z pewnością... Przecież nie powiedziała, że już nie chce mnie znać, mowa była tylko o tym...

Zamilkł, zwieszając głowę. Wyglądało na to, że do tej pory miał nadzieję, że wszystko cudem w jeden moment wróci jak było. Smolin nie zamierzał dyskutować z nim na ten temat - i tak niczego nie da się udowodnić, wszyscy w tym wieku byliśmy idiotami, romantykami i idealistami...

- To opowiedz jej czystą prawdę - powiedział. - Że napadło na ciebie złe chłopisko Smolin z podręcznymi, odebrał ordery i wypytywał o wszystko... Misza, korzystnie jest mówić prawdę, jeśli niczego nie zmyślasz, nie zapłaczesz się i nie pomylisz...

## Rozdział 5.

### CODZIENNOŚĆ I MAŁE ŚWIĘTA

Ten osobnik najbardziej kojarzył się Smolinowi z wizerunkiem wiejskiego nauczyciela z głębokiej prowincji: malutki, szczupłutki, z rzadziutkimi wąsikami i śladem odrobiny inteligencji na wągrowatym czole. Garniturek lichutki, krawat klasy „na gumce” - klasyczna ofiara reform rynkowych i innych liberalnych wykrętaków (przy czym, jak należy, usilnie wyężdżająca gardło w popieraniu reform).

Miał wrażenie, że nieproszony gość był odrobinę zdenerwowany - nie oglądał się z zaszczutą miną i nie wzdrygał przy najłżejszym szmerze, ale wyraźnie nie przejawiał całkowitego spokoju ducha. Wytartą teczuszkę najpierw postawił przy stole, potem wziął na kolana, po czym znowu postawił...

Smolin, który przyglądał mu się z pewnym zaciekawieniem, zrobił obojętną minę i z wielką cierpliwością spytał:

- Rozumiem, że ma pan do mnie sprawę?

- Tak, poradzono mi właśnie... Proszę wybaczyć, nie wiem, jak się do pana zwracać...

- Wasilij Jakowlewicz. A do pana?

- Jewtiejew Nikołaj Pietrowicz... Z Priediwińska... Chciałbym tu coś sprzedać, słyszałem, że pan kupuje...

Smolin siedział z obojętną miną, ale myśli, jak zwykle w takiej sytuacji, kotłowały się z zawrotną szybkością. Priediwińsk leżał na północy obwodu - miasto rejonowe w tajgowej głuszy. To dzisiaj, ale kiedyś, półtorej setki lat wcześniej, właśnie on, a nie Szantarsk był stolicą guberni. Zamieszkiwało tam wówczas ze dwadzieścia razy więcej ludzi niż w Szantarsku. Były tam gubernialne urzędy, targi, kupieckie hulanki, garnizon, pałac arcybiskupi, murowane domy, cerkwie, nawet prawdziwy teatr, który po pijanemu założył uznawany za oryginała właściciel kopalni złota Butorin, działającej zresztą do dnia dzisiejszego, i wiele innych rzeczy. Później, już za Aleksandra II, z całą mocą wkroczyła ekonomia: nowy trakt transsyberyjski przeniósł się bardziej na południe i przeszedł przez Szantarsk, do którego dość prędko przeniosła się z północy cała wymieniona cywilizacja, a wielki i ożywiony niegdyś Priediwińsk podupadł na zawsze.

To - sucha historia, co zaś tyczy się biznesu antykwarycznego... W Priediwińsku do dzisiaj znajdują się ciekawe, rzadkie egzemplarze, więc usłyszawszy tę nazwę, każdy

zorientowany antykwariusz siłą rzeczy robi stójkę, właśnie jak teraz Smolin...

Jednak nie należy zapominać o innej stronie medalu - w dzisiejszych nieprostych warunkach, gdy nad szantarskim handlem antykami unosi się cień majora Letiagina...

- Niech pan pokaże - powiedział Smolin znudzonym głosem. - Jeśli coś ciekawego, to czemu by nie...

Przybyły pospiesznie podrzucił teczkę na kolana, szcęknął staromodnym zatraskiem, pogrzebał w jej wnętrzu i głuchym stuknięciem położył na biurku coś wyraźnie ciężkiego, okrągłego kształtu, rozmiaru talerza, zawiniętego w białą plastikową reklamówkę. Zaczął nerwowo rozwijać. Smolin przyglądał się, jak zwykle w takich przypadkach, z miną wyrażającą całkowity brak zainteresowania, niemal obojętność mówiąca: ach, ileż tego chłamu tu znoszą...

Dźwięknęło, szcęknęło... Smolin naprężył się wewnętrznie, jak łowny kocur, który poczuł mysz.

Leżały przed nim dwa przedmioty z brązu, poczerniałego od upływu czasu, w ciemnej, prawie czarnej patynie, gdzieniegdzie dotknięte zielonymi plamkami tlenku. Prawie okrągły talerz z wymyślnymi zdobieniami na górnej części (coś jakby dwie zwierzęce głowy) oraz sprzączka w kształcie wilka, na odwrotnej stronie zachowało się jedno z dwóch zapięć. Zwierzę - bez wątplenia wilk, Smolin widział niemało podobnych, tylko że wszystkie były malutkie, ten zaś ze dwa razy większy od wszystkich widzianych dotąd, na półtora palca wskazującego. Najczystszej wody archeologia. Scytowie, ściślej biorąc. Smolin miał w tych sprawach duże doświadczenie. Dokładnie, *scytówka*. W obu stolicach miał dwóch, może trzech poważnych nabywców właśnie takich rzeczy - kolekcjonerów z budzącym szacunek stażem i doświadczeniem...

Jakby się nie przyglądał, i zwyczajnie na oko, i przez lupę, nie mógł dostrzec oznak fałszywki. W ostatnim czasie namnożyło się bez liku chałturników, którzy wciskali łosiom podobne „unikaty”, pokryte prawie na palec zielonym tlenkiem: znawca jednak łatwo odróżni prawdziwy tlenek, wyrażając się górnolotnie, nalot stuleci, od lipy, wykonanej przy pomocy wcale nie najrzadszych substancji chemicznych...

Z oględzin wynikało, że rzeczy są autentyczne. Ciekawe. Takich każdy stara się nie wypuścić z rąk...

Jednak - druga strona medalu...

Smolin z obojętną miną wykonywał teraz olbrzymią pracę myślową. Szare komórki pracowały z najwyższym natężeniem, dzwoniąc z napięcia i wydzielając zapach przypalonej izolacji.

Teoretycznie biorąc, ten wierzący się na krzeselku osobnik o wyglądzie prowincjonalnego nauczycieliny w pełni mógł się okazać kolejnym „żywcem” najlepszego przyjaciela szantarskich antykwariuszy, majora Letiagina, zamierzającego swoim miłym zwyczajem podłożyć kolejną świnie. No, ale w praktyce...

Przy sprzedaży tego rodzaju rzadkich przedmiotów archeologicznych pojawi się ryzyko kolizji z kolejnym artykułem. Natomiast kupno podobnych unikatów jest obciążone znacznie mniejszym zagrożeniem. Nie mieszczą się w kategorii „wiadomo, że kradzione”, bo skąd Smolin mógłby wiedzieć, że jego klient dopiero co wyczyścił jakieś muzeum, czy zajmował się nielegalnymi wykopaliskami? Pozostało po dziadku, sto lat leżało w komodzie, dzieciaczki trzech pokoleń się bawiły, pogubiwszy połowę... Smolin w ogóle może nie wiedzieć co to jest „archeologia” i „kolekcjonerstwo” - po prostu zaproponowano mu ładne rzeczy i on je, po namyśle, kupił. Wyłącznie dla osobistego użytku, żeby powiesić nad stoliczkiem do prasy, żeby cieszyły oko... Moda teraz taka, powszechny szaf... Jedna sprawa, kiedy proponują ci za nieczysty towar oznakowane banknoty, a całkiem inna - gdy sam kupujesz...

Ostatecznie, postanowił zaryzykować.

- Uczciwie mówiąc, nie jestem wielkim specjalistą - powiedział, rozpoczynając pasjonujący pojedynek „sprzedawca-kupujący”, który jako taki czasem drażnił nerwy mocniej niż dźwięcząca moneta.

- Pokazywałem komuś... U nas... Mówią, że wszystko prawdziwe. Unikaty archeologiczne. Scytyjski brąz.

- A skąd w Priediwińsku znawcy... - skrzywił się Smolin.

- Co pan mówi! Mamy dobre muzeum... nie słyszał pan?

- Ależ oczywiście, słyszałem...

- Muzeum powstało jeszcze w osiemset czterdziestym trzecim - z dumą powiedział Jewtiejew. - Ludzie tam znają się na rzeczy, niektórzy są nawet w Moskwie znani.

Była to czysta prawda, ale Smolin, jak przystało na dobrego kupca-chytrusa, dalej siedział z obojętną, nieomal pogardliwą miną.

- Po dziesięć tysięcy za sztukę...

- Nie dolarów, mam nadzieję?

- Ale co pan! Rubli, oczywiście...

- Jednak... - Smolin pokręcił głową. - Dałbym za każdą równiutko po pięć.

- A ja bym, proszę wybaczyć, w żaden sposób nie wziął - z nieoczekiwaną twardością zaprzeczył Jewtiejew. - Warte są po dziesięć. Bezwzględnie warte.

Smolin doskonale wiedział, że gość wymienił boską cenę. Jeszcze jeden niuans wesołego rzemiosła antykwarycznego: w stolicach za takie rzeczy można wziąć znacznie więcej, krotnie - ale trzeba mieć odpowiednie kontakty i stałą klientelę. Kto się wybierze do Moskwy, bądź Pitra, nie mając minimalnych kontaktów, nie zyska nic, figę się wzbogaci - nie dadzą tamtejsze rekiny należytej ceny, och nie dadzą...

Tymczasem doskonale wiedział, że swoim starym kontaktom te rzeczy wrzepi co najmniej po dwadzieścia. Tak więc wypuścić człowieka z rąk w żaden sposób nie należało.

Nie mógł jednak zgodzić się od razu - zgodnie z tradycjami wschodniego bazaru trzeba wycisnąć z sytuacji wszystko, co tylko można i skapitulować nie wcześniej, zanim zostaną wyczerpane wszystkie warianty...

- A powiedzmy, po siedem? - zaproponował od niechcienia.

- Nie pójdzie.

- Ciężko z panem... No, po osiem?

- Wasiliju Jakowlewiczu, mówię panu, nie pójdzie - twardo powiedział prowincjusz, jak się okazało, twardy orzeszek.

- Nie zaczynamy długich debat. Albo po dziesięć, albo sobie pójdę...

- A dokąd? - zainteresował się Smolin z miną światowca.

- A, proszę... - gość z pewnością siebie sięgnął do lewej wewnętrznej kieszeni swojej niereprezentacyjnej marynareczki (doskonale pamięta, gdzie co ma, nie gapa), wyjął równiutko złożoną w czworo kartkę papieru i położył przed Smolinem.

Dość było jednego przelotnego spojrzenia. Kaligraficznym pismem były tam wypisane adresy Dukata, Eldorado, Fregaty i Unikatu - wraz z telefonami do każdego sklepu.

- Kupiłem na dworcu informator *Caty Szantarsk* - ochoczo wyjaśnił Jewtiejew. - Wypisałem te oto... Niech pan wybaczy łaskawie, ale zajrzałem do pana w pierwszej kolejności dlatego, że jest pan najbliżej dworca. Do pozostałych trzeba iść i iść...

Smolin uśmiechnął się:

- Widzę, że na krzywej kobyle pana objechać się nie da...

- No, cóż - odezwał się prowincjonalny inteligent z czymś w rodzaju skromnej dumy.

- Pan rozumie, Wasiliju Jakowlewiczu, jeśli jesteśmy głuchą prowincją, to bynajmniej nie znaczy automatycznie, że jesteśmy głupi. Po prostu jesteśmy dalej od cywilizacji, miasteczko mniejsze, a i pieniądze w obrocie, według szantarskich pojęć, mizerne. Ale to jeszcze nie znaczy, że swojej korzyści nie umiemy dopilnować. Cokolwiek kojarzymy... Mimo wszystko Priediwińsk to nie wieś, a stare miasto, chociaż podupadłe... Więc jak, dobijemy targu? Jeśli nie dojdziemy do zgody, to mam jeszcze cztery możliwości, gdzieś musi się udać...



- Jest pan taki pewny, że będą zawierać z panem... taką transakcję? - od niechcienia rzucił Smolin.

- Tak, w ogóle... Troszkę słyszeliśmy o waszych antykwarycznych sprawach. Nasi u was bywają, wasi u nas...

- A konkretniej?

- Sroka na ogonie nosi - Jewtiejew z miną całkowitej prostoty rozłożył ręce. - Jak to na prowincji...

Teraz już Smolin nie miał wątpliwości, że ma do czynienia bynajmniej nie z proletariuszem od sochy, a z kimś cokolwieczek zorientowanym w biznesie antykwarycznym. Ten mizerak się kontaktował, używając fachowego określenia, najwyraźniej przeprowadził jakieś badania marketingowe.

Jewtiejew dodał, jakby od niechcienia:

- To są, że tak powiem, wzory. Jeśli dojdziemy do porozumienia, to bardzo szybko będzie można sprawę kontynuować...

Teraz Smolin wiedział dokładnie, że tego klienta absolutnie musi przytrzymać. Wcześniej nie zdarzyło mu się słyszeć o Priediwińsku jako o miejscu, *gdzie kopią*, ale, jeśli te przedmioty nie zostały wyniesione z jakiegoś muzeum, to znaczy, że i tam wszystko idzie, jak w starym szlagierze: trasy krzywe ryje podziemny mądry kret... A właściwie, czemu by nie? Jeśli są ludzie znający się na rzeczy, jeśli bardzo zapragnęli pieniędzy... W tamtych miejscach naprawdę można liczyć na nieliczne złoża nietkniętej scytówki, zresztą i późniejszych cywilizacji...

- A czy na pański dowód można rzucić okiem? - Smolin uśmiechnął się zniewalająco.

- Nie zamierzam sporządzać faktury, chciałbym tylko spojrzeć...

- Nie ufa pan? Myśli, że kradzione?

- No, co pan, po co wpadać w skrajności - odparł Smolin, nie przestając się uśmiechać.

- Po prostu podobne transakcje stawiają strony w niezręcznej sytuacji... Pan otrzymuje prawdziwe, obiegowe pieniądze, za które nie trzeba rozliczać się przed fiskusem, natomiast ja... Może się zdarzyć, że ja za własną wypracowaną kopiejeczkę nabywam niezły ból głowy. Dostrzega pan niuanse?

- No, skoro tak rzecz się ma... Bardzo proszę, nie mam się czego obawiać.

Smolin kartkował dowód pobieżnie, ale wczytywał się uważnie: rzeczywiście: Jewtiejew Nikołaj Pietrowicz, zameldowanie priediwińskie, wszystko jakby się zgadza. Oczywiście, dowód osobisty to nie przedmiot antykwaryczny, tutaj Smolin nie podjąłby się ze stuprocentową pewnością ujawnić podróbki, ale, na jakiego groma miałby przyjść z taką

„lipą" dla nędznych dwudziestu paczek? Jeśli to jest podróbka, to z fałszywkami takiej klasy chodzą ludzie, którzy polują na miliony...

- Przekonuje - powiedział, zwracając dokument. - Więc skąd drwa, szanowny Nikołaju Pietrowiczu? Ziemia-mateczka?

- Miejsca są u nas piękne, dzikie, słabo zaludnione - powiedział gość z uśmiechem. Pójdą ludzie na grzyby albo jagody, a po drodze, zupełnie przypadkiem, jeszcze coś innego zbiorą... Tylko, jak na razie, nie było okazji, żeby zbyć... Mnie wysłali więc na zwiady, jako wspólnego gońca, że tak powiem...

„Spółka - pomyślał Smolin. - No, należało się spodziewać, takimi rzeczami przecież lepiej zajmować się w grupie, zamęczyć się można przy penetrowaniu w pojedynkę obiektu w rodzaju kurhanu czy cmentarzyska. Dobra, bierzemy..."

Wysunął szufladę biurka, odliczył cztery czerwono-ceglaste papierki i położył przed Jewtiejewem. Tamten z udawaną niedbałością, wyraźnie starając się sprawić wrażenie człowieka solidnego, złożył je wpół i wsunął do kieszonki pod klapą marynarki.

- Tak więc, o dalszym... - zaczął już znacznie pewniej.

I taktownie zamilkł, gdy komórka Smolina zadrgała na blacie, zamigała i z wielkim natchnieniem zaczęła odgrywać *Yesterday*. Zobaczywszy kątem oka wyświetlone „Inga", Smolin ochoczo pochwycił telefon.

- Wasilij Jakowlewicz? Tu taka sytuacja... Mam do pana sprawę, bardzo ważną...

- Cóż, jestem diabelnie ciekawym człowiekiem... Gdzie pani jest?

- Teraz jestem zajęta, można wieczorem... chciałabym.

- Jak sobie pani życzy.

- Taka rzecz, że lepiej byłoby nam usiąść gdzieś w spokojnym, cichym miejscu i lepiej nie przy ludziach...

„Ciekawe sprawy", pomyślał Smolin i nie bez zapału, mrużąc oczy, tonem wielkiego światowca zaproponował:

- A co, jeśli u mnie w domu? Zwykle nie ma tam nikogo, nie licząc starego wiernego lokaja...

Gdyby nie obecność postronnego, to rozmowę, bardzo możliwe, poprowadziłby bardziej swobodnie - tylko odrobinieczkę - ale cóż robić...

- Niech będzie. Powie pan, dokąd przyjechać?

- Sam po panią przyjadę, może być? Mój kurnik dość trudno znaleźć nienawykłemu człowiekowi...

Przecież nie będzie dyktował adresu przy postronnym!

- Dobrze. Koło siódmej będzie pan mógł? Przy fontannie z amorkami?

Gorzko żałując, że tym razem nie uda się mu błysnąć żadnym figlarnym kalamburem (à propos amorków) po prostu powiedział, że będzie mógł i dziewczyna się wyłączyła. Odczuwając pewną poprawę nastroju, odłożył komórkę i wesoło zainteresował się:

- Tak więc, coś pan zaczął o dalszym ciągu?

Jewtiejew sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki - tym razem do prawej - wyjął dość grubą kopertę, a z niej paczkę fotografii i bez słowa położył je przed Smolinem.

Jakość ich była, oczywiście, nie najlepsza, aparat nie najnowocześniejszy, najpewniej byle jaki polaroid, jakimi w Szantarsku, nie mówiąc już o bardziej rozwiniętych miastach, już dawno się nie posługują: no jasne, Priediwińsk... Jednakże utrwalone na zdjęciach starożytności - jedna w szerokim kadrze albo kilka jednocześnie - można było rozpoznać bez problemu. Blaszane sprzączki w kształcie zwierząt i ptaków, para kindżałów (powinny być niebrzydkie w naturze), pas w formie niezamkniętego koła (do licha, diadem, stuprocentowa scytówka, Arturycz będzie wrzątkiem sikał i nie będzie żyłował!), inne sprzączki, okrągłe i podłużne... W sumie, niezłe popracowały prowincjonalne krety. Jest koło czego się zakrzętać - oceniał zbiory, rzecz jasna, z absolutnie beznamietnym wyrazem twarzy...

- A tu mam, kulturalnie się wyrażając, price...

Przed Smolinem pojawiła się jeszcze jedna kartka, na której tym samym wyrobionym charakterem było wypisane: „Jeleń”, „Lew”, „Sprzączka okrągła z ornamentem solarnym” i tak dalej. Przy każdej pozycji były dopisane ceny. Te również całkowicie Smolinowi odpowiadały - uwzględniając zysk, oczekiwany w obu stolicach.

- To wszystko, co na razie mamy - powiedział Jewtiejew, widząc, że Smolin skończył czytać. Jest pan zainteresowany?

- Tak, oczywiście - odparł Smolin.

Teraz w najmniejszym stopniu nie wątpił, że ma do czynienia z uczciwym „czarnym archeologiem”, a nie złodziejem muzealnym. Na zdjęciach jest nie mniej niż trzydzieści przedmiotów, o *tak* dużej kradzieży z muzeum dawno nikt nie słyszał, aczkolwiek podobna informacja wśród swoich momentalnie roznosi się po całym kraju, zresztą i mendy wnoszą swój wkład, pojawiając się regularnie z kolejnymi listami poszukiwanych przedmiotów... Sami machają łopatami, zapracowując proletariackie odciski.

- Tylko, że ceny... - nie powstrzymał się od zwykłej przyśpiewki.

- A co? Ceny jak ceny, całkiem umiarkowane - Jewtiejew wrzucił ramionami i z niezależną miną człowieka, który uświadomił sobie cenę nie tylko całego towaru, ale i siebie, dodał: - Są jeszcze dwie sprzączki blaszane, podobnego rozmiaru, po prostu nie zdążyłem ich

sfotografować - dotknął palcem wilka. - Wie pan, kiedy wybierałem się w drogę do pana, rozmawialiśmy jak należy, braliśmy pod uwagę różne warianty... Ma pan szczęście, że jesteśmy nowi w tym interesie, no, mam nadzieję, z czasem się dotrzemy... Krótko mówiąc, trzysta tysięcy za wszystko. Hurtem.

Smolin patrzył w sufit, udając, że myśli z natężeniem. W rzeczywistości decyzję podjął, gdy tylko usłyszał sumę. W najgorszym razie zysk był rubel za rubel, a całkiem możliwe będą nawet lepsze pożytki. Nie ma więc sensu targować się z pianą na ustach o dziesięć czy piętnaście procent, tych prowincjonalnych kopaczy trzeba niezwłocznie wziąć w monopolistyczne władanie. Sądząc po tym, co widział na zdjęciach, współpraca będzie interesująca i obiecująca...

- Chyba się zgodzę - powiedział powoli. - Kiedy będzie pan mógł przywieźć towar?

- Nie wcześniej, niż w następny weekend - powiedział Jewtiejew z żalem. - My, Wasiliju Jakowlewiczu, wszelako jesteśmy budżetowcami, musimy chodzić do pracy, a pociągiem tam i z powrotem akurat zajmuje obydwie wolne dni...

- To co, nikt z was nie ma samochodu? - ze szczerym zdziwieniem spytał Smolin, spojrzał na marynarczynę i krawat gościa, smutnie pokiwał głową. - No tak, Priediwińsk... Czasy też nie najlepsze dla inteligentnych ludzi...

Takie terminy kategorycznie mu się nie podobały. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. W żaden sposób nie można wykluczyć, że przez tydzień znajdzie się inny zainteresowany. Podobne rzeczy, niestety, zdarzały się, ci prowincjusze, niepłoszone dzieci przyrody, mogli jeszcze gdzieś zostawić ślady, wpaść w pole widzenia konkurencji. A wtedy... Trudno czekać tydzień, gdy na włosku wisi transakcja z minimum stuprocentowym zyskiem. Do Priediwińska jest około czterystu kilometrów, autostrada to nie ścieżka w tajdze, jeśli wyjechać wcześniej, do wieczora można wrócić z powrotem...

- Więc... - powiedział zdecydowanie - ja mogę do was przyjechać. Dzisiaj mamy sobotę... Do wtorku włącznie mam wszystko zajęte i już nie mogę zmienić planów... W środę, tak przed obiadem, mogę u was być. Zgodna?

- Po prostu znakomicie! Proszę, zapiszę panu mój telefon służbowy, na godzinkę pod jakimś pretekstem będę mógł się wyrwać...

Jednym słowem, śmiało można powiedzieć, że rozstali się jak najlepsi przyjaciele, a ściślej - pewni partnerzy. Smolin, pożegnawszy nieoczekiwanego gościa, wrócił do myśli i spraw mniej przyjemnych, które toczyły się na miejscu.

Przyszło mu do głowy, że przez cały czas jakoś lekceważył całkiem oczywisty obraz, który nieoczekiwanie pojawił mu się przed oczami: mieszkanie Daszy i wręcz

demonstracyjnie stercząca na widocznym miejscu porcelana. Zestaw figurek wskazywał na nieprzypadkowego człowieka, wyraźnie kolekcjonera ze smakiem - a to właśnie był ślad. W Szantarsku nie było poważnych kolekcjonerów, których by nie znał - taka to już jest specyfika rzemiosła. Na dobrą porcelanę ma parcie z siedem osób... tak, po śmierci Lipkina chyba właśnie siedem.

Myśląc dedukcyjnie, wśród nich może się znaleźć ktoś energiczny i zdecydowany, kto ma zamiar położyć łapę zarówno na obrazach wdowy, a być może, na czymś jeszcze, by wzbogacić się szybko i bezwstydnie.

Z przekonaniem można wykluczyć tylko dwu - za to od razu. Profesor Chajt i generał Drobyszew - to po prostu nie ci ludzie, to oczywiste. Wplątanie się w tę sprawę byłoby dla nich tak samo nienaturalne, jak dla niego, powiedzmy obmacywanie pierwszoklasistki na placu zabaw.

Natomiast pozostała piątka... Rozważając teoretycznie, każdy z nich zasługuje na to, żeby być podejrzanym - nie z racji jakiejś kryminalnej biografii (niczego takiego nie ma cała piątka), a po prostu dlatego, że rozważając cynicznie, *są zdolni*. Teoretycznie zdolni i tyle...

Szarecki... Anzerow... Błagowolin... Pogosian... Łurich... No właśnie. Wyobrażając ich sobie, przypominając to i owo można przypuścić, że każdy z nich, nadzwyczajnie wrośnięty w gospodarkę rynkową, może się nie powstrzymać, gdy zamajaczy mu poważny zarobek. W szczególności, gdy nie przewiduje się ani mokrej roboty, ani czegokolwiek równie nieapetycznego...

Później przyszło mu do głowy, że listę podejrzanych należy jednak rozszerzyć. Nasz Iks może się okazać znajomym któregoś z piątki - solidnym, niebudzącym podejrzeń bliskim przyjacielem, któremu oddaje się do dyspozycji mieszkanie na spotkania z młodą femina. Tak jest przyjęte wśród kulturalnych ludzi. Przyjaciel przyzwoity, dziewczyna przyzwoita... Cóż, to także ślad - ale bardziej splątany. Do licha, to już robimy za śledczych! Kto by pomyślał, że kiedyś przyjdzie zajmować się takimi rzeczami w swoim mieście...

Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy, choćbyś pękł - gdzie szukać, jak? Do tego sprawy z numerem samochodu do tej pory nie udało się rozwiązać...

Nie mogąc rozwikłać dręczących go zagadek, wziął do ręki komórkę:

- Bryła? Ty dzisiaj czasem... nie planujesz czegoś z zawodówką? Będzie dzisiaj u mnie w gościach dama, więc pobyłbyś, jeśli nie sprawi ci kłopotu, profesorem filozofii, pokrzywdzonym przez antyspołeczne reformy... No, coś w tym stylu. A propos, jak tam ciekawscy, sterczą? Nie ma? To bardzo dobrze...

Poczęstunek Smolin przygotował na poddaszu - niewystawny, ale też nieprzypominający przelotnego bankietu. Koniaczek odkorkował, nakroił cytryny, postawił do góry nogami dwa zabytkowe pucharki strzemienne z dnem w kształcie wilczych głów. Niezastąpiona rzecz w pewnych sytuacjach - nalanego po brzegi już nie można postawić na stole, przewróci się i wszystko się rozleje, więc chcąc nie chcąc trzeba wypić do dna. Zaczęło w nim kiełkować jakieś ciekawe przeczucie co do gościa: czemu tym razem czarująca gwiazdka dziennikarstwa, wbrew swojemu młodzieżowemu stylowi, włożyła spódniczkę fasonową, niemal do kolan i bluzkę wystarczająco wymyślną, cała była przemyślana, jakby się wybierała do opery. Bez powodu takie metamorfozy kobietom się nie zdarzają.

„A może surowa rzeczywistość jest prostsza?“, pomyślał ze zmęczonym cynizmem, drobniutko krojąc szynkę ostrym austriackim nożem desantowym marki Glock, kupionym z racji jego nadzwyczajnej przydatności w gospodarstwie domowym. Być może major Letiagin podesłał tę ślicznotkę, żeby wywiedziała się wszystkiego, co tylko można. Albo, jeśli nie tak pesymistycznie patrząc, dziewczynka jest wyjątkowo bystra, znakomicie połapała się, że natrafiła na złotą żyłę, wcisnęła się tam, dokąd postronnych wpuszczają raz na sto lat, a i to przypadkiem. Więc ma zamiar ugruntować sukces, umacniając się na zyskownym miejscu - z całą praktycznością dzisiejszej młodzieży...

„A jaka to, właściwie, różnica? - pomyślał spokojnie. - Przecież nie będziemy dzieci podawać do chrztu, ani zakochiwać się romantycznie, gdzież tam w moim wieku, zresztą i charakter mam nie taki... My ludzie prości, korzystamy z chwili...”

Upewniwszy się, że przygotowania skończone, na palcach podszedł do schodów i przysłuchał się. Na dole swobodnie i gładko, jak rosyjska pieśń ludowa w wykonaniu mistrza, lał się tenorek Bryły:

- Wszystkie wielkie cywilizacje, nie od rzeczy wspomnieć, ginęły wyłącznie przez wewnętrzne sprzeczności, chociaż czasem nawet wydawało się, że winne są czynniki zewnętrzne...

Smolin z szacunkiem pokiwał głową, uśmiechając się w półmroku. Gdy przyjechał z Ingą, Bryła był nie do poznania: w starutkim, ale czystym garniturku i bielusińskiej koszuli z muszką, sprawiającą wrażenie prawdziwej, aksamitnej. Stary doliniarz zachowywał się bez zarzutu, wypowiadał się nader inteligentnie, jak wytrawny profesor, bez cienia fałszu czy naciągania. Nie wiedząc kim jest naprawdę, nawet nie pomyślisz, że... Sam Smolin dopiero teraz uwierzył, że stary rzeczywiście kiedyś rozmawiał jak równy z równym z wszelką możliwą elitą wczesnego okresu chruszczowowskiego, nie był przy tym zdemaskowany, ani nawet podejrzewany. Stara szkoła, moi panowie, to nie to, co wciskanie ludziom z Azji

Środkowej dolarowych papierków z dwoma ordynarnie dorysowanymi zerami i zakładanie piramid. Tutaj potrzebne jest indywidualne podejście do każdego klienta z osobna, nienaganne aktorstwo, gra najwyższej klasy. Wątpliwe, czy wśród młodego pokolenia znajdzie się ktoś bodaj z grubsza podobny - narkomani cholerni, umieją tylko w autobusie grabkami się bawić...

Schodząc po lekko poskrzypujących schodach, odezwał się gościnnie:

- No cóż, proszę... Eduardzie Walentynowiczu?

Doskonale rozumiejący podtekst, Bryła odpowiedział swobodnie, z pewną staromodną elegancją:

- Proszę wybaczyć, Wasiliju Jakowlewiczu, ale na mnie czas. Zasiedziałem się czemuś, a jeszcze w autobusie trzeba się będzie trząść prawie godzinę i na biurku stos książek. Reform gospodarczych Cromwella jeszcze nie tknąłem, a czas jest uprzejmy poganiać. Tak więc pozwoli pan, że się pożegnam...

Delikatnie skłonił głowę przed Smolinem, później przed Ingą, odwrócił się i pomaszzerował do wyjścia, kołysząc drewnianą laseczką z wymyślną rączką z brązu i białego plastiku. Bezgłośnie zamknął za sobą drzwi.

- Interesujących ma pan znajomych - odezwała się Inga z wyraźnym szacunkiem. - A on co, jest profesorem? Sądząc po pierwszym wrażeniu...

- Docentem - niewzruszenie wyjaśnił Smolin.

Laseczka była prezentem dla Bryły od któregoś ze starych kompanów, dożywającego swoich lat w Szantarsku w charakterze spokojnego emeryta. Wymyślną rączkę w sekundę można było odkręcić i stawała się rękojeścią trójkątnego sztyletu, długiego na piętnaście centymetrów, ale żeby to odkryć należałoby przedmiocik wsunąć pod rentgen...

- Pan, na pewno, spotyka się z masą interesujących ludzi.

- Trzeba. Taka praca. Zapraszam! Jak to mówią, czym chata bogata...

Pierwszy wszedł i zapalił światło. Inga zatrzymała się na górnym stopniu, rozglądała się jak zaczarowana.

- Gwoli ścisłości historycznej, to nie ja - powiedział Smolin. - To poprzedni właściciel tu wszystko wymyślił i urządził. Kapitan żeglugi wielkiej, więc sama pani rozumie...

- Co za różnica? Pięknie...

Podeszła do okna i na długo znieruchomiała. Widok rzeczywiście rozpościerał się wspaniały: pociemniała ku wieczorowi Szantara, potężna, majestatyczna, lewobrzeżne miasto, w dziwnym oświetleniu przez kryjące się już za dalekimi górami słońce - taki marsjański pejzaż z fantastyki czasów dzieciństwa Smolina, o którym ta smarkuła na pewno

pojęcia nie miała...

Podziwiała panoramę, Smolin zaś przyglądał się jej z niekłamanym zainteresowaniem estetycznym. Co tam mówić, była ładną dziewczynką.

Odwróciła się:

- A co, pan tak sam tu mieszka?

- Co robić. Tak wyszło... No, ale dlaczego stoimy? Proszę usiąść. Kropelki koniaku pani nie odmówi? W takim razie proszę... proszę, proszę, to właśnie jest kieliszek.

- Jak ciekawie... A czemu one są takie?

- To jest tak zwany strzemienny, który lubią wychylać bohaterowie klasyków. Od słowa „strzemię”. Wsiadają ochotnicy na koń, podają im takie kieliszki i do dna. Proszę. Bez toastów, co? Po co je, wyteżając się, wymyślać...

Stwierdził, że dziewczyna swój „arszyn” wychyliła chwacko (a nie był to przecież naparstek), Zatkano ją tylko troszeczkę, ale szybko złapała oddech. Z galanterią podsunął jej talerzyk z cukierkami - antykwaryczny, a jakże, z dobrego niemieckiego srebra przedrewolucyjnej próby, a do tego na dnie miał elegancki monogram pod baranowską koroną z siedmioma kuleczkami na siedmiu pałkach (jak się wydaje, w czterdziestym piątym zaczęła się jego wędrówka na wschód).

- Jeszcze?

- Oj, co pan, w takim tempie... W ogóle to ja ze sprawą...

- Jak sobie pani życzy. Nie mam zamiaru pani upijać... natomiast ja, jeśli pani pozwoli... Dzień miałem nerwowy...

Nalał sobie i, zgodnie z przykazaniami klasyka, niezwłocznie wypił. Znając swoje miary i dawki także tym razem wzgardził zakąską. Inga spozierała na niego z jakimś niepojętym wyrazem twarzy - jej policzki pikantnie się zarumieniły, była cała taka... „Nie wytrzymam - pomyślał. - Przejdę do ataku. Nie wychodząc poza ramy oczywiście. Da kosza to da, nie jest to śmiertelne. Śliczna, parszywka...”

- A co, znowu pana milicja szarpała? - nagle spytała Inga z tą samą niepojętą miną.

- Mnie? - wzruszył ramionami. - A czemu miałyby mnie szarpać? Skąd ten pomysł?

- No, po tym wszystkim, co się w mieście wyprawia... W handlu antykwarycznym, mam na myśli... - I sama sięgnęła po srebrną wilczą głowę, która pozostawiła cieniutki wilgotny obwódzik na białej serwetce. - Można?

- Ależ proszę... - powiedział Smolin, nalewając jej, a zarazem i sobie. - I toast nasunął się à propos: można od razu za pomyślność handlu antykwarycznego i za obecne tu damy...

Postawił pusty kielich, zczekał aż dziewczyna opanuje lekkie pieczenie alkoholu i



dokończy cukierka, po czym spytał z udawaną groźną miną kreskówkowego złoczyńcy:

- A czy powie pani, skąd ma informację, za którą zanurzają w Szantarze ludzi z kamieniem u nóg? Mam na myśli, kto pani powiedział, że w handlu antykwarycznym „coś się dzieje”, a jeszcze i milicja jest w to wmieszana?

- Przecież mówiłam, że mam zamiar spotkać się z panem w konkretnej sprawie. O, proszę spojrzeć...

Obejrzawszy się, podniosła z podłogi swoją torebkę i wyjęła z niej złożoną w czworo kartkę papieru. Smolin rozwinął ją. Tekstu było niezbyt wiele, ale treść zajmująca: sukiennym, urzędowym, pełnym kancelaryzmów językiem powiadamiano, jak dzielne organy ochrony prawa w ostatnich dniach położyły kres podstępnej działalności szantarskiej „domorosłej mafii” antykwarycznej (dobrze chociaż, że wzięli w cudzysłów, mądrale). Wymieniona mafia, chociaż domorosła, rozwinęła się na całego: absolutnie bezprawnie handlowała białą bronią, brała do kieszeni pieniądze obok kasy, dla swoich merkantylnych interesów zbywała komu popadnie „przedmioty o znacznej wartości kulturalno-historycznej”, a także na całego handlowała radzieckimi odznaczeniami, tym samym targając się na świętości. I tak dalej w tym samym duchu. Zapewniano, oczywiście, o niedopuszczeniu w przyszłości i nieuniknionej karze, czekającej każdego, kto się pokusi.

- Przyniesiono to...

- Tu nawet tłumaczyć nie ma potrzeby. Centrum prasowe dzielnego zarządu spraw wewnętrznych, po stylu i manierze wypowiedzi widać... - niedbale rzucił paperek na stół. - Będziecie to drukować?

- Tak, redaktor kazał. To panu... bardzo zaszkodzi? - spytała z wyraźnym współczuciem.

- Ależ nic podobnego - wzruszył ramionami. - To pani się pierwszy raz z czymś takim spotkała, my zaś takich kampanii walki i wykorzeniania przeżyliśmy do diabła i trochę. A wszystko koniec końców cichnie. Dlatego że mądrym ludziom w pagonach wystarcza prawdziwych trosk kryminalnych, nie zawracają sobie głowy nami zbyt długo... Nie jest to śmiertelne, ogólnie rzecz ujmując. Po prostu... Po prostu nerwy psuje i tyle. Jest powód, żeby kolejny raz podyskutować o tępotcie niektórych naszych ustaw. Czy pani kiedykolwiek słyszała o złoczyńcy, który poszedłby rabować kasę ze szpadą z osiemnastego wieku?

- Jakoś nie miałam okazji.

- Ja również. Przez całe życie tylko raz słyszałem, że przestępcy użyli broni z antykwariatu. To było na Uralu. Jacyś sprytni chłopaczkowie wzięli amerykańskiego colta liczącego sobie sto dwadzieścia lat, wepchnęli do niego naboje od makarowa, owinięte

miedzianym drucikiem, żeby w bębnie nie latały - no i kogoś załatwili... W porządku, to broń palna. Ale w życiu nie słyszałem o przestępstwach z użyciem antykwarycznej broni białej. Na to trzeba być skończonym paranoikiem... A to wszystko jest do dziś obstawione masą idiotycznych zakazów... Wyjaśnię na przykładzie. U moich kolegów odbyły się rewizje w sklepach, z konfiskatami... no, wie pani o tym? A wie pani, czemu nikt z nas nie bierze tej osławionej licencji na prawo obrotu zabytkową bronią białą? Nie dlatego, że procedura jest szczególnie dokuczliwa. Po prostu trzeba by było zaprowadzić jeszcze księgę sprzedaży, żeby do niej wpisywać dane osobowe każdego, kto kupi tę dwustuletnią szablę... A to nie każdemu się podoba. Zwykły lojalny obywatel nie chce, żeby o nim wiedziano. Ponadto, posiadając dziesiątkę wspomnianych dwustuletnich szabel przepisy narzucają obowiązek trzymania ich wyłącznie w żelaznej skrzyni, pod zamknięciem, w pokoju z kratami w oknach i żelaznymi drzwiami... Czy to realne? A zresztą, to przedmiociki drogie, nie każdy chce je ujawniać... Oczywiście, jest pewien postęp... W czasach radzieckich należało rejestrować także wszelkie przechowywane w domu złote i srebrne monety... Pewien postęp jest...

- A za granicą jak jest?

Smolin uśmiechnął się gorzko.

- A za granicą, prawdziwa rozpusta. Antykwaryczna biała broń leży w sklepach stosami, sam widziałem w Paryżu, kupują i sprzedają, nie pokazując nawet biletu na tramwaj. Starą broń palną, nawiasem mówiąc, również. A u nas nie tak dawno zmuszali, żeby w muzeum wiercić dziury w lufach pistoletów z szesnastego wieku. Uważano, że jeśli złodziejaszek go gwizdnie, nabije prochu, kulę wyciorem wbije, knot przytknie i ja-ak pójdzie grzeszyć... Do diabła, za granicą najspokojniej kolekcjonują nawet czołgi i transportery opancerzone. No, oczywiście, działa i karabiny maszynowe są absolutnie niesprawne... Słowem, pozostajemy za całą planetą. Idiotyzm na idiotyzmie.

- A czemu tak?

- Chce pani czystą prawdę? Nie wiem. I nikt nie wie. Są idiotyczne ustawy, ale nikt nie spieszy się ich zmieniać. Przynajmniej dobrze, że domyślili się odwołać artykuł za przechowywanie, przecież w poprzednim okresie ludziom niszczyli życie z powodu jakiegoś kawałka żelaza z czasów napoleońskich... Widzę, że jeszcze ma pani coś w zapasie. Zobaczmy zatem...

Tym razem była to rozkładówka stołecznej gazety - grubej, kolorowej, popularnej, umiarkowanie żółtej. To już Smolin czytał z większą uwagą, skończywszy zaś zaklął w duchu bez porównania bardziej soczyście i emocjonalnie.

To było już niebezpieczne. Te same bajdy o podstępnej szantarskiej mafii

antykwarecznej, ale podane bez porównania subtelniej i interesująco, wyłożone dobrym stylem, ostrym piórem. Jak się to mówi, wyższy pilotaż: niczego nie twierdzi się wprost, ale czytelnik (oczywiście ten niedoświadczony) na pewno będzie miał wrażenie, że w głębinie syberyjskich rud okopała się szajka kryminalnych potworów cynicznie handlujących niezwykle rzadkimi i drogimi, unikatowymi przedmiotami, które powinny uczynić zaszczyt Ermitażowi. Dla garści brzęczącej monety targają się oni na świętości, sprzedając chwalebne odznaczenia bojowe i za pracę ojców oraz dziadów...

- Dla informacji - powiedział Smolin. - Za granicą dopuszczony jest obrót nawet współczesnymi odznaczeniami, bez najmniejszych kruczków prawnych. Jeśli człowiek chce sprzedać swój albo ojcowski medal, to jest jego osobista sprawa.

- A może we wszystkim, co dotyczy odznaczeń, jest siemiężna prawda? - spytała Inga. - Może mają rację? - kiwnęła na leżące na stole oskarżycielskie artykułiki.

- Pomyślmy logicznie - Smolin chytrze zmrużył oczy. - Grzech handlować odznaczeniami bojowymi, tymi za pracę w ZSRR oraz w dzisiejszej Rosji, ponieważ one, mówiąc górnolotnie, symbolizują chwałę bojową i pracowniczą? Tak? Więc w takim razie proszę mi powiedzieć, czemu dany zakaz nie dotyczy carskich odznaczeń, którymi można handlować w biały dzień na każdym rogu choćby wiadrami? Co, z nimi nie wiąże się chwała wojenna? I to jaka! To proszę mi wytłumaczyć zrozumiale i przekonująco: czemu zabroniona jest sprzedaż orderu bojowego mającego dziewięćdziesiąt lat... a dokładnie taki sam znak chwały wojennej, ale mający dziewięćdziesiąt jeden lat można swobodnie sprzedać? Może pani to wytłumaczyć?

- Nie - uczciwie przyznała Inga.

- Proszę się nie smucić - Smolin napełnił kieliszki. - Nikt nie może. A wie pani w czym tu kryje się paskudna pikanteria? Georgijewski Krzyż i Order Bojowego Czerwonego Sztandaru często mogą należeć do tego samego człowieka, jest na to masa przykładów. Miała pani dziadka... ach nie, biorąc pod uwagę pani młode lata, raczej pradziadka. W czasach carskich zasłużył na Georgija, później poszedł do Armii Czerwonej i dostał tam, mówiąc umownie Bojowy Czerwony Sztandar. Krzyż może pani sprzedać, jak już mówiłem, zupełnie swobodnie, natomiast za Sztandar najbardziej humanitarny na świecie sąd tak panią łomotnie... A przecież należały do tego samego człowieka, okrytego chwałą, tylko że nie zabitego... Co pani myśli o takich kazusach?

- To jakiś surrealizm - Inga się skuliła.

- Możliwe. Tylko że w tym surrealizmie gotujemy się całe świadome życie... i ktoś, nie wykluczając niektórych tu obecnych, miał problemy wyłącznie za to, co w całym

cywilizowanym świecie uważane jest za zupełnie niewinną, przyzwoitą działalność... Teraz przynajmniej rozumie pani, moja piękna, do jakiego teatru absurdu panią zanosło? Oto tematy, jest ich tu cała sterta...

- A co będzie, jak o tym napiszę? - zapytała Inga z pijanym entuzjazmem.

- Nic się nie zmieni... Dziadek stary, dziadek lepiej zna życie na grzesznej ziemi.

- Więc nic nie można zmienić... Co pan tak na mnie patrzy?

- Myślę, że czas zamówić pani taksówkę, kochana Ingo. Najwyższy czas.

- Wcale nie jestem pijana...

- Zgadzam się. Tylko że jest pani już na granicy... raczej nie pani, a my. Lepiej, żeby pani trafiła do domu, do taty i mamy...

- Mieszkam tylko z mamą.

- Znaczący, że do mamy. Późna godzina, okolica pustawa, a ja nie jestem dżentelmenem, uczciwie pani mówię. Mam wszelkie odruchy normalnego faceta...

- Będzie się pan domagał? - spytała tonem, w którym można było wyczuć pewną kokieterię.

Smolin wstał, zrobił dwa kroki, stanął przed nią i poważnie powiedział:

- Domagać się nie będę. „Domaganie się” w moim głębokim przekonaniu to ordynarny i żalony proces: spocony i gwałtowny facet głupio się miota, łapie pannę za kolana, plecie głupoty... Natomiast przedsięwziąć coś mogę... zwłaszcza, jeśli jeszcze łykniemy cokolwiek. Chciałbym popatrzeć na gościa, który w danej sytuacji nic by nie robił... każdy normalny chłop aż zęby zaciska, gdy patrzy na panią...

Inga powoli podniosła się, stanęli twarzą w twarz. Smolin patrząc jej w oczy, dwoma palcami odsunął kosmyk włosów z jej policzka, przesunął po nim grzbietem dłoni - a ona przywarła całym ciałem. Należało je śmiało obejmować. Więc objął. I wszystko wyszło wspaniale, Inga, co prawda, od czasu do czasu odrobinę się opierała - ale tylko dla porządku, żeby zdarzenia nie pędziły galopem...

## Rozdział 6.

### W KTÓRYM WRESZCIE BŁYSKA STAL

Wyślizgnąwszy się o świcie z pościeli cichuteńko, żeby nie obudzić beztrosko śpiącej Ingi, Smolin z największą przyjemnością najpierw poszedł do toalety. Szczególnej przesady w picciu alkoholu wczoraj nie było, więc głowa specjalnie go nie bolała i w ustach nie czuł śladów osławionego noclegu szwadronu. Słodko ziewnąwszy i podrapawszy się po gołym brzuchu, jak zwykle wziął ze stołu komórkę, żeby spojrzeć jak wygląda sprawa z nieodebranymi połączeniami.

Spis połączeń prezentował się ciekawie. Sądząc po doskonale znanych numerach, wczoraj, późno w nocy, dwukrotnie dzwonił Chevalier (aczkolwiek to nie było w jego zwyczaju), natomiast Szwarc również wykazał niezwykłą stanowczość: od północy do trzeciej dzwonił sześć razy, od szóstej rano zaś jeszcze czterokrotnie. Wcześniej coś takiego, szczerze mówiąc, się nie zdarzało i Smolin nawet się odrobinę zaniepokoił: czyżby stało się coś nieoczekiwanego i strasznego zarazem?

Na palcach zszedł na parter, skręcił do pokoju gościnnego, zamknął dokładnie drzwi i zadzwonił do Szwarca. Tamten odezwał się po drugim dzwonku.

- Stało się coś? - spytał Smolin, wciąż jeszcze pełen uczuć trudnych do opisanania.

- U nas nic - odparł Szwarc zagadkowo. - W ogóle zaś to tak... Wyjdź.

- Dokąd? - tępo spytał Smolin.

- Na dwór! - zachichotał Szwarc. - Już pół godziny sterczę przy furtce, jeśliś, szefie, jeszcze nie zrozumiał...

Rzucił się do okna i rozsunął zasłonki. Rzeczywiście - przed zielonym metalowym płotkiem, okalającym malusieńki ogródek, stało auto Szwarca z nim samym, rzecz oczywista, w środku.

Smolin jak stał wyszedł na dwór - bosy, goły do pasa, w wygniecionych spodniach od dresu, co w jego patriarchalnej dzielnicy było rzeczą powszednią, w istocie to przecież wieś...

Rozumie się, natychmiast przybiegła Kat'ka, z radosnym piskiem zaczęła skakać to wokół niego, to na niego. Uspokajając ją to groźnym syczeniem, to czułą namową, Smolin dotarł do furtki i nie bez trudu się przez nią przecisnął, bosą nogą odpychając Kat'kę. Obszedł samochód, otworzył drzwi i klapnął na fotel pasażera.

- Ciekawe mam rzeczy, boss - powiedział Szwarc nie tracąc czasu na przywitania. -

Wczoraj o dziesiątej wieczorem pojechałem do naszego botanika, tak jak kazałeś, chciałem uprzejmie zaprosić go na rozmówkę...

- I co?

- A tam, diabli wiedzą co, mamusia we łzach histeryzuje, papcio w rozstroju, wszyscy na aucie... - ciągnął Szwarz bez cienia wesołości. - Krótko mówiąc, wczoraj przyżenili kosałkę naszemu Miszeńce na cacy. Poglaskał go ktoś piórkiem tylko jeden raz, ale tak, że wystarczyło. Około czwartej w dzień, na skwerze przed DK Tiaźmasza... Takie buty.

- Ta-ak... - powiedział Smolin, czując nieprzyjemny chłodek w dołku, a może pod sercem. - Szczegóły jakieś znasz... Znaczy, że rozmawiałeś z rodzicami?

- A jakże. Miałem się zmywać? Udałem kolegę z roku, jako że wiek pozwala, powiedziałem, że niby po konspekty, bla bla... Nawet herbaty nalali w przerwach między szlochami. Tak więc, jeden raz piórkiem. Około czwartej po południu, na skwerze... Obok niego i w kieszeniach, mendi mówiły, było kilka porcji czadów, ale jakich konkretnie nie wyjaśniałem, albo oni nie kumają takich subtelności, albo nie powiedzieli im dokładnie... mendi, sam rozumiesz, przede wszystkim tańczyły wokół dragów: czy nie brał, czy nie zajmował się dilerką... Taki oto niewesoły obrazek... Mendi jakoby wygadały się, że nie ma świadków...

- Dalej.

- A, to wszystko. Co tam jeszcze... Ja i tak wszystko, co ci opowiedziałem, dwie godziny z nich wyżymałem, po kropelce... Sam rozumiesz, jak oni teraz... Lamentują, że synek, anioł i krew z krwi, w życiu nie zniżyłby się do handlu dragami, ani do brania, ale to o niczym nie świadczy, nie? Mógł opylać ziółka z braku kabony. Daszka to nietania lala, na nią trzeba było rujnować się nie na żarty...

- Mógł. A mógł i nie opylać... Czas i miejsce zbijają mnie z tropu. Nie to miejsce, co?

- Dokładnie - przytaknął Szwarz. - Dwa domy od skwerku jest dzielnicowa psiarnia, w tych miejscach w życiu nie było dilerki, ani nawet nurków, spokojny skwerek, tam nawet po ciemku bezpiecznie, w odróżnieniu od wielu innych miejsc... Mógł oczywiście i nie opylać. Czy to problem sypnąć do kieszeni i koło trupka garść porcji? Takie buty, szefie. Jeśli go zaciukali za swoje jointy, pies z nim, rozetrzeć i zapomnieć. Ale jeśli w związku z naszymi sprawami, trzeba to przemyśleć... Choćby teoretycznie.

- Szczerze? Diabelnie bym chciał, żeby to w żaden sposób nie było związane z naszymi sprawami. Dlatego że dla naszych spraw jest to nadzwyczajne wydarzenie, nie na żarty... Nie pamiętam w ciągu ostatniego ćwierćwiecza żadnego nieboszczyka w naszych sprawach. Mordy objęli, ręce łamali, ale żeby nieboszczyk, to już całkiem inna sprawa.

Muszę przyznać, że robi mi się nijako...

- Mnie też - przyznał Szwarz. - Jakoś to nie pasi. Zdarzało się, że ciukali kolekcjonerów, ale czysto dla rabunku, ale tak...

- Ano właśnie - z namysłem powiedział Smolin. - Nawet w najbardziej walniętych czasach nie było trupów... Psują się obyczaje, czasy nastają idiotyczne... Dobra, co tu skomleć... Dopuszczamy wariant, że zabili chłopaczka z powodu naszych spraw, pod którymi, rzecz jasna, rozumie się wszystko, co się ostatnio wydarzyło... Dlaczego? Motyw, wersje? I błagam cię, przestań odgrywać żula, przecież jesteś wnukiem profesora i synem docenta, gadaj normalnie...

- Motywy? - Szwarz wzruszył ramionami. - Myślałem o motywach, gdy czekałem, aż się obudzisz... I jak tylko nie wyteżalem zwojów, to na razie majaczy mi się jedno: chłopaczek poszedł do swojej ukochanej Daszeńki. Albo powiedział nie to, albo powiedział nie tak. Rozumiesz?

- Rozumiem, zdaje się...

- Właśnie... Z głupia frant palnął coś, co ta suczka odebrała jako sygnał alarmowy, wymagający podjęcia działań. Natychmiastowych i ostatecznych. Spryciula, pobiegła do kogoś, kogo nie znamy, a ten już... Chłopaczek stał się dla nich diabelnie niebezpieczny. Może bali się, że *coś* rozpowie... mógł o czymś takim wiedzieć, nie? O czymś, do czego nie przywiązywał znaczenia... a my nie wiedzieliśmy, co to jest, dlatego też nie pytaliśmy... Chcesz znać mój, z pewnością głupi, pomysł? Być może, rozgadawszy się mógł im coś popsuć? No, a na co mają chętkę sam beze mnie kumasz... Wdówka-starucha, nie?

- Jeśli nie tak było, jeśli go koknęli nie za dragi, a za nasze sprawy...

- No, boss, skoro już wymagasz ode mnie, żebym się wypowiadał w familijnym inteligentkim stylu... Proszę uprzejmie. W zaistniałej sytuacji należy brać pod uwagę obydwie warianty. Zgadzasz się z takim sformułowaniem?

- Absolutnie. W związku z tym pędź do Kuźmicza, niech oka nie spuszcza z babcinego domu, niech nocnik przy oknie postawi, żeby do wychodka nie odchodził. Pieniędzy dorzuć, żeby czuwał. Zasad mam nie za dużo, sam to wiesz, ale niektórych święcie się trzymam: w pewnych sytuacjach można kłamać, kręcić, motać, kitować... Jednego nie wolno: brać towaru na siłę. Nie dlatego, że jest kodeks karny, ale dlatego, że to jest kategorycznie niezgodne z zasadami. Przyzwoity antykwariusz tak nie powinien się zachowywać. Ale zdaje mi się, że mamy pod nosem kreta, który zamierza tę złotą zasadę złamać...

- Myślisz?

- Teraz już jest jasne, że po dobremu babunia obrazów nie odda nikomu i za nic - powiedział Smolin. - Tu zaczyna się nieskomplikowany logiczny łańcuszek. Leć już.

- Myślisz, że oni tam coś... zrobią?

- Może myślę, może wierzę... - powiedział Smolin jakby do siebie. - Po prostu... Po prostu, ani trochę bym się nie zdziwił, gdyby się coś stało. Jeśli dopuszczamy, że chłopaczka kropnęli nie z powodu lewych spraw, ale naszych, to jednocześnie automatycznie należy dopuścić masę innych nieprzyjemnych rzeczy. Skoro już się zaczęła niepojęta nikczemność, zupełnie bezgraniczna, to trzeba być na wszystko gotowym... Wiele babuni trzeba? Wcale nie potrzeba jej uciszać na zawsze, wystarczy do herbatki dosypać środka nasennego, przecież jest czarująca osóbką, która często tam bywa i pija z Fainą herbatę...

- Ja bym tę osóbkę...

- Niestety, niedostatek - przerwał Smolin. - Ale, wiesz co... Skoro już zaczęła się nam powieść akcji w miękkiej okładce i z topornymi obrazkami... Pomyślałem sobie... Słuchaj, zanim pojedziesz podkręcić Kuźmicza, znajdź Feldmarszałka i Kota. Szybciutko przygotujcie i sprawdźcie...

- Co?

Smolin skrzywił usta w uśmiechu:

- No, nieskomplikowany spektakl z minimum dekoracji, ściślej biorąc, z minimum rekwizytów... Babciną klatkę w tamtym domu pamiętasz? Wspaniale. To powinieneś też pamiętać, że na klatce schodowej są okienka wychodzące na przeciwległą stronę, więc człowiek, który obserwuje wejście, wszystkiego nie zobaczy... Krótko mówiąc: zjawiasz się u babci wyelegantowany, w krawacie i z bukietem kwiatów. Dajesz je w moim imieniu, parę minut zabawiasz ją świecką rozmową i spływasz... ale z klatki wychodzisz wlokąc kilka - kilka! - starannie zapakowanych przedmiotów, w których człowiek mający jakie takie pojęcie momentalnie rozpozna zawinięte obrazy... Pojmujesz? W zasadzie to nietrudno zorganizować, jeśli popracuje się mózgiem i rękami...

- Tak-tak-tak... Myślisz, że na babcię jeszcze ktoś...

- A czemu by nie? - Smolin wzruszył ramionami. - My co, jesteśmy najmądrzejsi w tym miasteczku? Jeśli ktoś działa z rozmachem i nie jest głupi... Jest tam kilka domków, w których aż się roi od zubożałego ludu w rodzaju Kuźmicza, za podobną fuchę złapią się obiema rękami... I jeśli u kogoś powstanie wrażenie, że babuła zaczęła opylać obrazy... Akcja nastąpi bardzo szybko. A ja Kuźmicza dzisiaj przez kogoś ubezpieczę...

- I stukną wtedy babulę, jak amen w pacierzu... - mruknął Szwarz.

- Bardzo wątpię - po namyśle odezwał się Smolin. - To już zgoła inny artykuł, jak



wiesz. Szczerze mówiąc, jeśli ktoś wymyślił sposób na wyrwanie jej tych obrazów, to wcale nie musi przy tym babuli zaciukać. Jakby nie było, to i tak trafią one do kolekcjonerów, którzy swoich zbiorów nie ujawnią... Tak więc o Fainę niezbyt się martwię... No dobrze, z gadania nic nie będzie. Zrozumiałeś zadanie? To pięknie...

Wysiadł z samochodu, cichutko zamknął drzwi i wrócił na podwórze. Przysiadł na porządnie zbitej ławce, która również została w spadku po poprzednim właścicielu. Smolin właściwie nic tu nie dobudowywał, nie miał na to czasu ani chęci.

Oczywiście, podbiegła Kat'ka i rozwaliła się na grzbiecie u jego nóg, wystawiając goły szczeniący brzuch. Smolin machinalnie ją drapał, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach.

W tym, co się działo, były niedobre niuanse, ważne, wieloznaczne, nieprzyjemne i Allah raczy wiedzieć jakie jeszcze. Pozwalające wszakże sądzić, że sprawa pachnie nie szeregiem przypadków, a czymś przemyślanym i zorganizowanym działaniem...

Wymownie o tym świadczył artykuł w moskiewskiej bulwarówce. W nocy rozmawiał z Ingą na ten interesujący temat i niektóre niuanse wyjaśnił. Za moskiewską sensacją w żaden sposób nie mógł stać gorliwy major Letiagin - zbyt fantastyczny łańcuszek zbiegów okoliczności musiałby się zdarzyć, żeby szeregowy prowincjonalny łaps, operujący pięć tysięcy wiorst od stolicy, znalazł dojście do znanej, niebiednej i popularnej gazety. Przede wszystkim nie ma on takich możliwości.

A zresztą, po co mu to? Chciał rozreklamować siebie i swoje sukcesy na niwie walki z podstępą mafią antykwaryczną? Ale w artykule nie wymieniono ani jednego nazwiska stróżów porządku, wszędzie bezosobowe określenie „szantarskie organy ochrony prawa". Gdyby zadufany w sobie major znalazł dojście do tej gazety, to oczywiście zatroszczyłby się, żeby jego nazwisko błyszczało na widocznym miejscu... Każdy by tak postąpił.

Idźmy dalej. Autor artykułu, zapewniała Inga, naprawdę istnieje - zamieszczona tam jest nawet jego fotografia. Stary autor tekstów do owej gazetki, stały współpracownik. Gdyby mu informację podrzucił któryś z szantarskich pismaków, to już na pewno zadbałby, żeby i jego nazwisko mignęło. Ale żadnej wzmianki o szantarskich dziennikarzach w artykule nie ma.

Wniosek? Prosty i nieprzyjemny: ktoś z układami w stolicy przepchnął do gazety frapującą informację. I ten ktoś nie ma żadnego związku z ludźmi w pagonach. Stąd płynnie i prawidłowo wynika kilka dosyć prostych wniosków: na szachownicy rzeczywiście pojawiła się nowa figura, należy więc rozpatrywać wszystkie wydarzenia właśnie z tego punktu widzenia, ponieważ, jak powszechnie wiadomo, lepiej przesadzić z czujnością, niż nie

dopatrzeć...

Pozostał jeszcze jeden epizodzik, skrajnie zagadkowy i nawet bardzo niepokojący...

„A czasami z rąk do rąk po cichuteńku przechodzą całe garście złotych monet z profilami dawno zmarłych koronowanych osób. Jak ta rozkosz trafia do Szantarska - to inna historia..

Właśnie tak, dosłownie. Smolin znał to na pamięć. Chyć tu była w tym, że on sam czasem dostarczał klientom złoto, które tu przywozili nie zwykli dostawcy, ale przynosił zaufany człowiek z pewnych byłych bratnich republik. Nie „Bóg wie jakie obroty” - w każdym razie bynajmniej nie garście, tu gryziپیórek mocno przesadził, zresztą monety były kupowane na miejscu jak najbardziej zgodnie z prawem od ich obecnych posiadaczy. Właśnie, tylko że te niewielkie ilości mniej więcej raz na dwa miesiące podróżowały przez granice, nie zostawiając śladu w urzędowych dokumentach.

Dwadzieścia czy trzydzieści monetek można z określoną bezczelnością prymitywnie przewieźć w kieszeni - oczywiście, jeśli podróżuje się wyłącznie pociągiem przez „szczęśliwe” granice, gdzie władza nie ma zwyczaju rozbierać do naga wszystkich pasażerów...

Ale pikantność sytuacji akurat jest w tym, że te działania do tej pory pozostawały tajemnicą. Podczas epidemii milicyjnych rajdów do sklepów antykwarycznych, która ogarnęła Szantarsk, ani razu, u nikogo złota nie zajęto, chociaż czasem było ono w sejfach i szufladach biur - ponieważ, w przeciwieństwie do białej broni, na nielicencjonowanym obrocie złotem nikt nie był złapany. To znaczy, że sprawa zyskiwała nowy wymiar. Stołeczny pismak poruszył to, czym milicja na razie nawet się nie interesowała. To, że wszystko było dziełem głupiego zbiegu okoliczności, że łajdak dodał dla efektu, przypadkiem trafiając w dziesiątkę, było absolutnie nie do uwierzenia, zbyt dużo tu było zbiegów okoliczności, to nie mógł być przypadek...

Wowę Bagdasariana, który zajmował się przewożeniem monet, Smolin znał tak dawno, że co do niego nie miał najmniejszej wątpliwości: w życiu nie wyda, nie doniesie, przypadkowym ludziom w żadną pogodę się nie wygada. Natomiast Wrubel, skończony alkonauta... Nie tak dawno Wowa, który znał Wrubla ze dwadzieścia lat, uległ jego gorącym prośbom i zabrał go ze sobą do bliskiej zagranicy. Wrubel tam coś kupił, pomyślnie tu sprzedał i nic by nie było, gdyby nie jego maniery picia z pierwszym napotkanym i rozwiązywania przy tym języka, jak sznurowadła...

Ciężko westchnąwszy, Smolin ostatni raz podrapał różowy brzuch suki i wstał z ławeczki zapewniając:

- Poczekaj trochę, zaraz ci przyniosę żarcie...

Usłyszawszy ciche poruszenia na piętrze niespiesznie wszedł na poddasze - bez szczególnego skrepowania (niby skąd?), ale z wyraźnie odczuwaną ciekawością. Nastąpiła najbardziej interesująca chwila, doskonale znana każdemu facetowi z niemałym doświadczeniem życiowym. W takich właśnie przypadkach rankiem zdarza się nie to najbardziej interesujące, ale raczej najbardziej nieprzewidywalne: weź i zgadnij z góry, jak się zachowa kolejna przyjaciółka, która przypadkiem została w twojej pościeli do rana, dodatkowo po raz pierwszy. Możliwość jest masa, moi panowie, i nie wszystkie są pokojowe i nieszkodliwe, czasem trafi się coś dręczącego... Włącznie z energicznymi oświadczeniami typu: „Tak, szafę przesuniemy tam, tu będzie moja toaletka, a pokój dziecienny wykleimy tapetą w kwiatki i Kubusie Puchatki...”

Niczego szokującego nie zobaczył, a tym bardziej nie usłyszał: Inga siedziała na łóżku, owinięta prześcieradłem z charakterystyczną poranną super cnotliwością, która czemuś właściwa jest kobietom w takiej sytuacji. Spoglądała na niego z niemym pytaniem - i to było mu znajome, aha, facet powinien coś powiedzieć lub zrobić tak nieomylnie, że wszystko ustawi na swoje miejsca i wprowadzi pełną jasność. No cóż, nie najgorszy wariant, otwarcie mówiąc. Znacznie bardziej jest stresujące, gdy przyjaciółka pierwsza zabiera głos i wypowiada jakąś głupotę, w rodzaju: prawda, kochany, że czarodziejskie więzy tej nocy złączyły nas od tej chwili na zawsze? Pływaliśmy - wiemy.

Dlatego też Smolin, którego życie bardziej biło niż głąskało, podszedł, usiadł obok na tapczanie, całkiem beztrzesko uśmiechnął się do dziewczyny i spytał:

- Wszystko w porządku, prawda? Nikt głupstw nie narobił i nie nagadał, a pić to ty, ogólnie biorąc, umiesz, i śliczna jesteś o każdej porze doby...

Inga najwyraźniej poczuła ulgę, trochę niepewnie się uśmiechnęła. Zwolna uniósłszy rękę, Smolin pogłaskał ją po policzku i zapytał:

- Nikt niczego nie żałuje? Nikt nie płacze gorzkimi łzami na podstępność mężczyzn i własne niedoświadczenie?

Inga pokręciła głową, uśmiechając się już spokojniej i pewniej.

- Nie będę ci plótł romantycznych słówek. Wczoraj też ich nie plotłem. Jesteś po prostu cudowna i to wszystko. Może to nie jest nadmiernie romantyczne, ale nudny ze mnie człowiek, co tam... Tylko... Beztrzesko rozbiegamy się, jak na wskroś nowocześni ludzie, czy uważamy, że nasze kontakty się rozpoczęły?

- A ty, czego chcesz?

- Kontaktów - odparł Smolin patrząc jej w oczy.

- A to mamy zbieżność, ja również... - Inga już całkiem pewnie wyciągnęła rękę, dotknęła palcem wskazującym jego jedyne tatuażu na przedramieniu. - Co to? Jak gdyby niedźwiedź, ale na czym się rozsiadł w żaden sposób nie mogę zgadnąć... Szczerze mówiąc, już wczoraj byłam ciekawa...

- Na krze on siedzi. Na krze lodowej...

- A czemu?

- No, to taki symbol łagrowy, kotku - powiedział bez uśmiechu. - Sam na krze. Człowiek, który jest samotny na sto procent: ani z grypsującymi, ani z „chłopami”, ani tym bardziej z administracją. Do żadnych „rodzinek” nie wchodzi, ani po stronie tych, ani tamtych... Jednym słowem, sam na krze...

- Fajnie... To postawa...

„Właśnie - Smolin ciągnął w duchu. - Nie wolno tylko się rozluźniać, ile wysiłku zazwyczaj kosztuje wywalczenie takiej postawy i życie zgodnie z nią... Nie jest leciutko, delikatnie mówiąc”.

- A ja myślałam...

- Co?

- No to trudno sformułować... Myślałam, że wsuniesz mi setkę na taksówkę i niedbale odprawisz...

- T-to niby dlaczego? - Smolin zdziwił się szczerze. - Różnie bywało u mnie z kobietami, ale nie mam zwyczaju niedbale ich odprawiać... Ze schodów zrzucąłem, owszem. Ale zawsze był powód. Jeśli zasłużyła...

- Po prostu... Jesteś jakiś twardy...

- Nie jestem twardy, kochanie. Ja po prostu w duszy się nie rozluźniam... no, bardzo rzadko.

- A ja?

- A ty podobasz mi się. Diabelnie. Ot i cała siermiężna prawda. Jeśli nie odstrasza cię chłop trzydzieści lat starszy...

- A czemu miałyby mnie odstraszać? Do tej pory nie przestraszył... i nie rozczarował...

Jej uśmiech nie był wolny od przekory - w chwilę później prześcieradło znalazło się na podłodze, dziewczyna w objęciach, małośni owczarek Kat'ka zaś bardzo długo nie nakarmiony...

\*

Chevalier nie sprawiał wrażenia udręczonego czy zduszonego, ale wyraźnie był nachmurzony.

- Wybacz, że wcześniej unikałem konkretów - powiedział na moment odwracając spojrzenie. - Nie wszystko było zrozumiałe...

- Coś się stało? - ostrożnie spytał Smolin.

- To, co się stało, akurat się skończyło... Widzisz, dwa tygodnie chodziłem z artykułem i zobowiązaniem o nieopuszczanie miejsca pobytu.

- Bywa. A czy można niedyskretnie spytać o jaki artykuł chodziło?

- Bezprawne posiadanie broni palnej.

- No cóż, całkiem przyzwoity artykuł dla solidnych ludzi w rodzaju nas obu. Ani wulgarnego „chuligaństwa”, ani haniebnej „pedofilii”, ani czegokolwiek humorystycznego w rodzaju „stratowania zasiewów”... Comme il faut... Chevalier, ja nawet nie dopuszczam myśli, że pan z głupia frant nabył chińską „tetetkę”, z którą miał zamiar obrabować kasę oszczędnościową. Sprawa pachnie antykami, czy nie?

- Właśnie - starszy pan uśmiechnął się nieco zawstydzony.

- Bronią palną się nie pasjonuję, w przeciwieństwie do kling, ale przecież każdy człowiek ma prawo do niewinnego bzika... Krótko mówiąc, kilka miesięcy temu całkowicie przypadkowo trafił mi się nagant. To śmieszne, ale skądś nagle mi się go zachciało. Żeby był, żeby leżał w biurku, żeby można go było od czasu do czasu wyjąć i popstrykać... Przypomniał mi się ojciec, być może jego naganta od trzeciego roku życia pamiętam... Śmieszne, nie?

- Wcale - szczerze powiedział Smolin. - Co drugi pana zrozumie, nie licząc co pierwszego, z wyjątkiem zagorzałych pacyfistów. Zdradzę panu straszną tajemnicę: w życiu sprzedałem na pewno z pół setki luf, od skałkowych z osiemnastego wieku do mniej więcej nowoczesnych. I zawsze, jeśli czas pozwalał, na kilka dni zostawiałem sobie, żeby się pobawić. To jest ściśle męska rzecz, Chevalier, co w tym śmiesznego...

- Wspaniały był: z dziewięćset dziesiątego roku, z samonapinaczem, ze znakiem Siestroreckiej Fabryki Broni... Należałoby go doprowadzić do nieprzydatności, ale postanowiłem poczekać. Można było kupić naboje, chciałem postrzelać w tajdze... Ale nieoczekiwanie do mnie wpadli. Znaleźli. Mam wrażenie, że wiedzieli, gdzie szukać. Czy nic ci nie mówi nazwisko Letiagin?

- Jeszcze jak mówi - wycedził Smolin przez zęby. - Słyszał pan kątem ucha o naszych nieprzyjemnościach? - Ze złością pokręcił głową. - Chevalier, i oni wyszykowali panu artykuł? Jak prymitywnemu olchowskiemu gitowi?

- Zdaje się, że tak to wyglądało... - uśmiechnął się nie to, żeby drapieżnie, ale zdecydowanie nie po starczemu. - I szło bardzo poważnie... mam wrażenie, że ten major Letiagin jest człowiekiem odrobinę prymitywnym, próbował na mnie swoje rutynowe

chwyty, jakbym był jakimś inteligentem-pianistą, a nie starym ćwikiem o znacznie bardziej zabawnej biografii... Ale dobrze zauważyłeś. Prasował mnie poważnie.

- A pan ani słówka! - z oburzeniem wykrzyknął Smolin. - Rapierkiem pan ze mną machał jakby nigdy nic?

- A po co?

- Na pewno bym coś wymyślił...

- Nie wątpię i cenię... - Chevalier delikatnie się uśmiechnął. - Jednak, o ile mnie pamięć nie zawodzi, ktoś całkiem niedawno kategorycznie odmawiał wszelkiej pomocy, zapewniając, że przywykł swoje problemy rozplątywać sam... Również i ja tak postępuję. Sytuacja nie była do końca przegrana. Inna rzecz, że z jakiegoś powodu jako sprzedawcę tego naganta wciskali mi właśnie ciebie. Dlatego przestrzegałem cię aluzjami... daruj, że aluzjami, ale wtedy wszystko to nie było takie jasne. Właśnie wczoraj wspomniany major Letiagin wyłaził ze skóry, żebym się przyznał: tyś mi go sprzedał i kropka, oni dobrze wiedzą, nieomal są świadkowie... Ale ponieważ wiedziałem, że to nieprawda, nie dałem się sprowokować. Trzymałem się tego, że kupiłem go od nieznanego człowieka, który, jak zapewniał, miał go w spadku po dziadku podoficerze...

- W jakim stadium teraz jest sprawa?

- Można powiedzieć, że w stadium całkowitego zakończenia - nie bez słusznej dumy powiedział Chevalier. - Mam, Wasiliju, masę byłych uczniów i po prostu życzliwych mi ludzi. Jakoś tak wyszło, że kiedy nagant trafił do ekspertów, w lufie już widniała dziura znacznej średnicy, iglica była spiłowana, a w wylocie lufy zaślepka, co momentalnie eliminowało ten przedmiot z kategorii broni palnej... Dla pana Letiagina był to wielki szok. Ale któż mu winien? Protokół konfiskaty pisali sami, a tam ani słówka nie było o istnieniu dziury... ale też nie było ani słówka o jej braku... Okazali się na tyle szlachetni, że nawet zwrócili mi ją wczoraj.

Wysunął szufladę biurka i z głuchym stuknięciem położył przed Smolinem naganta, rzeczywiście ozdobionego przewierconą u wylotu lufy, pod wyciorem, pokazną dziurą, co najmniej pięciomilimetrowej średnicy. Smolin odciągnął kurek - iglica była spiłowana o dobrą jedną trzecią (przy czym zarówno iglica, jak i dziura były starannie zamazane czymś w rodzaju oleju maszynowego z kurzem, żeby wyglądało, jakby zrobiono to dawno).

- Tak, tutaj nasuwają się słuszne pytania - powiedział Smolin. - Ktoś musiał, pardon, donieść. Wątpię, żeby pan pokazywał go wszystkim i nosił w kieszeni wszędzie...

Chevalier rozłożył ręce:

- No, od czegoś takiego nikt nie jest ubezpieczony. Wątpię, czy ktoś doniósł. Prędejj

już ktoś miał za długi język...

- A od kogo pan kupił, to sekret?

- Sekret, wybacz. Jeśli już obiecałem człowiekowi, że nigdy w życiu słówkiem nie pisnę, trzeba dotrzymać słowa, sam rozumiesz...

- Może on sam się wygadał?

- A jeśli tak, cóż robić? Do takich rzeczy trzeba się odnosić filozoficznie, ponieważ jest niezwykle istotna różnica między pojęciem „umyślnie donieść” a „wygadać się w panice”. Zgadzasz się?

- Zgadzam - burknął Smolin. - Jak mówili w nieśmiertelnej komedii: och, dobryś ty, bojarze... Ja osobiście przynajmniej raz dałbym w ucho gadatliwemu...

- Nie widzę potrzeby - sucho skwitował Chevalier.

- Dobrze, pańskie prawo... Znaczy, że próbowali mnie zrobić?

- Ano właśnie. Mowa była tylko o tobie, innych antykwariuszy nie tykali... a zresztą, z pozostałymi to ja się znam tylko z widzenia... Ale tobą się interesowali tak, że ślina im ciekła.

- Smakosze... - warknął Smolin.

- Ale to, monsieur, jeszcze nie najciekawsze... Następnego dnia po tym, jak przedstawili mi oskarżenie i uroczyście oznajmili, że przeciwko mnie zostało wszczęte postępowanie karne, zjawił się u mnie ciekawy typek. Jak się należy wręczył wizytówkę, przedstawił się jako adwokat... Drobnym takim człowieczkiem, ruchliwym, jednym słowem, nijak nie wyglądał na poważnego matacza. Ale mówił rzeczy przeciekawe. Zapewniał, że moja osoba zwróciła uwagę bardzo poważnych ludzi, którym wpadł w oko ten domek - obydwoma rękami zrobił wymyślny gest. - No, jasne, centrum miasta, stara budowla, przedrewolucyjna, kupiecka, niemały metraż... Krótko mówiąc, w oczy proponowali mi transakcję: albo sprzedaję im budynek, i nawet otrzymuję przy tym pewną kwotę, albo na stare lata czeka mnie zona, od której w żaden sposób się nie wywinę. Ów gość rozmawiał ze mną, jak z inteligentnym starym pianistą, całkowitym profanem w sprawach życiowych...

- Licho wie co... - Smolin był poważny. - Zdarza się czasem coś takiego, ale żeby do pana leżeć z takim prymitywem... Zupełny idiotyzm.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. We wszystkim widać było silny element nie tyle prymitywizmu, co czasem jawnej głupoty - powiedział Chevalier. - To dotyczy i Letiagina, i tego adwokacyny. Słowo daję, jak chłopcy, którzy naczytali się powieści kryminalnych... Poważni ludzie tak nie załatwiają interesów. Oczywiście, poważni ludzie czasem mogą udawać głupków, ale w moim głębokim przekonaniu nie w tym przypadku. Jakby nie było, przeżyłem dość długo, mam pewne doświadczenie... To rzeczywiście są prymitywy, nie mam

wątpliwości. Głupi najazd, bez uwzględnienia osobowości osoby poddawanej naciskowi, jej hipotetycznych możliwości... Dawno u nas takie głupoty się nie zdarzały. Gdyby obaj byli smarkaczami, to bym pomyślał, że mamy do czynienia z klasycznym nowym pokoleniem: młodzi idioci, którzy z przyczyny delikatnego wieku spóźnili się na wydarzenia i teraz próbują nadrobić stracone, prymitywnie, tępo. Słyszałem, że teraz po prostu dają im po fizjonomii i kopniakiem wyprawiają do domu, nie stosując surowych kar...

- Aha, słyszałem...

- Ale ci dwaj to ludzie wystarczająco dorośli - w głosie Chevaliera zabrzmiała nuta przygnębiającego zakłopotania. - Wszelako takie przedszkole założyli, że nawet gniewać się nie mam szczególnej chęci, po prostu śmieszne i nic więcej...

- Nie ma pan czasem tej wizytówki?

- Proszę.

- Muzajew Borys Witaliewicz... - na głos przeczytał Smolin. - Nigdy nie słyszałem. Zresztą, adwokatów znam trzech, może czterech, nie więcej, a mamy ich tylu... Zatrzymam ją sobie, jeśli można? A może pan ma zamiar... wyjaśnić?

Chevalier skrzywił się z obrzydzeniem:

- W najmniejszym stopniu. Jakbym nie miał się czym zajmować... Wątpię, by ci clowni mogli mnie na czymś złapać drugi raz, a to znaczy, że nie warto więcej o nich myśleć. Co prawda, niepokoi mnie, że i na ciebie się zamierzili...

- No, ja jestem w analogicznej sytuacji. Teraz mnie po prostu nie ma na czym złapać. Znalazł pan diabelnie trafne określenie, Chevalier. Clowni. To, co się teraz dzieje, aczkolwiek jest trochę niebezpieczne, jednak na dobrą sprawę ma oznaki głupiej clownady... To także jest... Chociaż... - spoważniał. - Nie można wykluczać, że ci clowni mają na sumieniu już jednego nieboszczyka...

- To znaczy?

- Słowo daję, choć nie mam jeszcze stuprocentowej pewności. Opowiem panu, jak będzie wszystko jasne, ale na razie... W ogóle to również głupi clown może zabić, rzecz w zasadzie nie jest trudna... Powiedziałbym nieco inaczej: to, co się tutaj dzieje mieści w sobie oznaki zarówno pewnego niebezpieczeństwa, jak i głupiej clownady... Tak będzie bardziej prawidłowo...

- Ale u ciebie wszystko w porządku?

- Absolutnie. Swojego chłopaka ostatecznie wyciągnę, sensowny, wierny, nie godzi się go porzucać. Zresztą, u innych także wszystko skończy się pomyślnie. Czy to pierwszy raz? Bywało gorzej. Tylko nerwy porządnie zszarpią i spowodują, że handel określonymi



rzeczami przez jakiś czas będzie zakłócony... niedojdy skończone...

- Jeśli potrzebna ci będzie pomoc... Czy znowu odmówisz?

Smolin uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko:

- Teraz, nie. Dlatego, że to, ściśle mówiąc, będzie nie pomoc, a wspólne działanie.

Skoro już i pan znalazł się w tej samej sytuacji...

- Subtelność masz naturę...

- Ależ skąd. Na podobieństwo cegły, jakie tam subtelności... Wie pan, czym diabelnie mógłby mi pan pomóc? Podając nazwisko tego, kto sprzedał panu naganta.

- Och nie, kochany, wybac - Chevalier rozłożył ręce. - Zasady, to zasady...

- Jasne - Smolin wstał. - Jeśli poczuję, że nie dam rady sam, zdecydowanie poproszę pana...

Już na ulicy pomyślał, że nie mógł się pomylić: właśnie przed dwoma miesiącami widział taki sam nagant z dziewięćset dziesiątego roku, ze znakiem siestoreckiej fabryki. Podobne zabawki to rzadka rzecz, jest mało prawdopodobne, żeby w jednym punkcie czasoprzestrzeni pojawiły się jednocześnie takie dwie...

U Wrubla ten nagant leżał na biurku w tylnym pokoju i Smolin, podobnie jak wielu by zrobiło na jego miejscu, od razu wziął go do ręki, pobawił się, spytał o cenę. A Wrubel, rozkładając ręce, ponarzekął, że już obiecał go poważnemu klientowi, więc odwołać niczego nie może. Rzecz święta, w takich przypadkach nie nalega się... Smolin odszedł z niczym. Czyżby to był ten sam...?

Z dziesięć minut sterczał na pierwszym stopniu estakady, po czym, gdy ukazał się pełzący wolno pociąg, bez pośpiechu ruszył do góry. Wyliczył dobrze: dziesiąty wagon zatrzymał się tak, że był doskonale widoczny - za dziewiątym, który właśnie w połowie znalazł się pod estakadą.

Niebawem ze stopnia zeskoczył Wowa Bagdasarian, cały w bieli z wyjątkiem niebieskiej bejsbolówki. Niezależnie od nazwiska wcale nie przypominał klasycznego człowieka z Kaukazu, jako że pochodzenia był słowiańsko-judejskiego, nazwisko zaś przyjął żony, czego, jak wiadomo, prawo nie zabrania, przeciwnie, nawet całkowicie dopuszcza. Czasem korzystnie jest robić takie manipulacje: oto już osiem lat, jak pan Bagdasarian w najmniejszym stopniu nie jest obciążony dawnymi kłopotami, które mogłyby dotyczyć posiadacza poprzedniego nazwiska Biuriukow...

Wowa nawet nie pomyślał, żeby się rozglądać w poszukiwaniu oczekujących go - od samego początku było umówione, że gwoli większej konspiracji Smolin nie będzie idyllicznie sterczeć na peronie, ale spotkają się przy samochodzie. Chwycił torbę beżowego koloru,

zarzucił na ramię i ruszył wprost ku jednej z budek, z której podziemne przejścia wiodły do budynku stacji...

Wtem wokół niego powstało zamieszanie - trzech cywile, jak diabełki z pudełka, z trzech stron zamknęli pierścień, jeden wziął go pod łokieć, drugi pokazał coś strasznie podobnego do czerwonej książeczki... zamienili parę zdań. Teraz trzymają za obydwie łokcie... i niebawem Wowa z sposepniałą, ponurą miną skrył się budce, czujnie ściśnięty z dwóch stron krzepkimi chłopaczkami po cywilnemu, trzeci zaś kroczył z tyłu również na bliskim dystansie... Bagdasarian był spalony...

Smolin cały czas stał na estakadzie, obserwując całe zajście - cóż, miał załamywać ręce w melodramatycznym geście? Tylko spoważniał na twarzy, zacisnął zęby czując się nadzwyczaj paskudnie: nie spodziewał się żadnych przykrych niespodzianek na dworcu... W jego głowie myśli, jak oszalałe, próbowały połączyć w logiczną całość pewne niejasne, niewyraźne sytuacje, których nie potrafił zrozumieć...

Ponieważ nie było tu absolutnie nic do roboty, krokiem nigdzie nie spieszącego się człowieka zaczął schodzić z estakady, trzymając długą laskę tak, żeby nie dotykała schodów. Parę razy ktoś na niego spojrział - do standardowych lasek z apteki Rosja-Mateczka przywykła, natomiast eleganckie laseczki zostały dawno zapomniane. Niech tam, lichy z nimi - strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Skoro tak się stało, nieoczekiwanie zyskał masę wolnego czasu, kilka godzin: najpierw Wowę przewiozą do psiarni (jeszcze nie wiadomo dokąd konkretnie), potem on, człowiek cwany, zażąda adwokata, do tego nie z ulicy, a swojego zaufanego, zanim tamten przybędzie, nieprędko zostanie zwolniony, żeby można było się z nim porozumieć...

Smolin zwolnił jeszcze bardziej, skręcił do parku, żałosnego, zaledwie półhektarowego ogryzka dawnego, stuletniego, uroczyście założonego przez szantarszczan na jakiś jubileusz. Sto lat temu park był ze dwadzieścia razy większy i ciągnął się od dworca do dzisiejszego głównego mostu. Władza radziecka i „klęci bolszewicy” nie mieli z tym nic wspólnego: miasto się rozrosło, ekologia się pogorszyła, a sosny, drzewa kapryśne, pomalutku zabrały się do wymierania, więc park (właściwie kiedyś po prostu uszlachetniony ławeczkami kawałek dzikiej tajgi) znalazł się w żałosnym stanie. Zresztą i teraz było to miejsce dosyć głucho, ponieważ głównym od jakichś pięćdziesięciu lat stał się inny park, właśnie przez ówczesnych bolszewików troskliwie zagospodarowany i w jakiejś na pół mistycznej tradycji nazwany na cześć Gorkiego.

Aleжки tu były niebrukowane, a wydeptane, ławek zostało bardzo mało, natomiast, jak łatwo się domyślić, butelek poniewierało się tyle, że nie zawsze zdążali je pozbierać okoliczni

menele. Stąd też Smolin, aczkolwiek zamyślony, to jednak bacznie patrzył pod nogi.

Wyglądało, jakby próbował wypatrzeć Złoty Gwóźdź. Miejscowa legenda głosiła, że kupiec Zajcew, znany w tamtym czasie szantarski frant, aby poniżyć swojego głównego rywala na tym polu, Butorina, na otwarcie parku przygotował żart: ciemną nocą wbił w ziemię i dobrze zamaskował gwóźdź podobny do kolejowego szyniaka, tylko odlany z czystego złota i stosownie oznakowany. Ważył, co ciekawe, dwa i pół funta, to znaczy kilogram z hakiem. Następnie uroczyście ogłosił, obiecując przy wszystkich, że równiutko za dziesięć lat przy świadkach gwóźdź wyciągnie i spożytkuje na cele charytatywne. Jeśli zaś jakies bydlę spróbuje prowadzić wykopaliska samodzielnie, to on, Zajcew, skręci go w barani róg i gołego puści do Afryki.

Gwoździa, oczywiście, po cichutku szukano - ale w tym, po pierwsze, usilnie przeszkadzała podgrzewana przez kupca policja, a po drugie, weź, znajdź go na dziesięciu hektarach dzikiej tajgi. Gdzieś po roku poddali się ostatni rozczarowani poszukiwacze skarbów i rozeszła się pogłoska, że Zajcew o wszystkim nakłamał, żadnego gwoździa wcale nie ma.

Jubileusz dziesięciolecia wbicia gwoździa przypadł na czas, kiedy w Szantarsku już mocno siedzieli bolszewicy, a Zajcew nie mniej mocno usadowił się w Harbinie - tak że żadnego uroczystego objawienia kilograma złota mieszkańcom, jak łatwo się domyślić, nie było. Niebawem o gwoździu całkiem zapomniano. Obecni etnografowie jak jeden byli solidarni z tymi, którzy uważali tę historię za czysty wymysł skłonnego do autoreklamy kupczyka - ale Smolin doskonale znał i tego człowieka, który przed jedenastu laty gwóźdź znalazł, i tego, który go obecnie posiadał. Od początku znalazca nawet nie pomyślał, żeby go przetapiać czy sprzedawać, trzymał jak skarb w oszklonej witrynie, w której było wiele cennych przedmiotów, zarówno z historycznego, jak i praktycznego punktu widzenia...

Smolin szedł powoli, to ścieżkami, to na przełaj, usiłując zebrać w myślach mgliste detale w coś konkretnego.

Cóż mamy? Mamy sytuację, w której, przeinaczając tytuł jakiegoś klasycznego angielskiego kryminału, jest zbyt wielu Wrubli. Ściślej biorąc, Wrubel jest jeden - ale spotykamy go i tam, i siam, gdzie nie spojrzysz, przy czym, co ciekawe, wszyscy antykwariusze jak jeden w gnoju, a Wrubel w białym...

Wrubel sprzedał Chevalierowi rewolwer i od tego się wszystko zaczęło. Zbieżność.

Wrubel - jedyny, który uniknął najść-rewizji. Przypadek.

Wrubel - jeden z niewielu, który wiedział o wyjazdach Wowy Bagdasariana, czasem wręcz znał dokładne adresy. Jeszcze jedna zbieżność.

Czy nie za dużo zbieżności i przypadków na jeden metr kwadratowy? Ale, z drugiej strony, skąd wziąć konkretne dowody? Takich, uczciwie mówiąc, absolutnie nie ma...

- Ej, wujku!

Smolin o mało co by się potknął zaskoczony, zatrzymał się i uniósł głowę, a w następnym momencie wprost skrzywił się z obrzydzenia: na tyle banalnie i wulgarnie, jakby na wymioty mu się zbierało...

Drogę zagradzały mu trzy egzemplarze płci męskiej i sądząc po tym, jak się rozstawili, jeden sterczał na drodze, a dwaj pozostali odcinali odwrót z lewej i prawej... co tam, sądząc po ich rozmieszczeniu, nie mieli zamiaru pytać o drogę do konserwatorium, ani przeprowadzać ze Smolinem ankiety społecznej w związku z globalnym ociepleniem. Najzwyczajniejsi chłopcy, o wyrazistej słowiańskiej powierzchowności, nie wielkoludy, ale i nie słabeusze, standardowi. Nie było widać, żeby byli pijani, a zresztą, z młodym pokoleniem teraz nic nie wiadomo, w każdym może siedzieć wstrzyknięte jakieś świństwo...

Stanęli tak, że każdemu wystarczyło zrobić tylko jeden krok, by wyjść na dystans uderzenia pięścią. Na razie w ich psotnych rączkach nic nie było, ale należało się spodziewać wszystkiego. Strachu Smolin, rozumie się nie odczuwał, żeby go naprawdę przestraszyć trzeba było czegoś więcej, ale odnieść się do sytuacji należało poważnie. Jak wyraża się Bryła, teraz wszystko jest poplątane, jak kłębek szpagatu, którym bawił się pijany kociak. Jakieś trzydzieści lat wstecz ze stuprocentowym niemal prawdopodobieństwem można było przewidzieć, kiedy mają zamiar po prostu ci opróżnić kieszenie, kiedy zęby powybijają z pijackiej dziarskości i na tym poprzestać, a kiedy jest poważny powód do niepokoju o życie. Teraz, niestety, żadnych jasnych zasad nie ma, może się stać co popadnie i zakończyć się czym popadnie...

Pauza, a także cały układ sceniczny czemuś się przeciągały i Smolinowi właśnie to zaczynało się nie podobać...

- No co, młodzi pionierzy? - spytał, żeby trochę wyjaśnić sytuację. - Papieroska trzeba, czy „chtóra godzina”?

Już zdążył zapamiętać twarze wszystkich trzech - może się to kiedyś przyda. Stwierdził też, że są zbyt opanowani, małowówni, nieruchomi jak na drobną żulię, wszystko jedno trzeźwą, pijaną czy ukłutą...

- Słysz, wujku Wasia - odezwał się ten, który stał pośrodku, wlepiając wzrok w oczy Smolina z beczelnym uśmieszkiem. - Tyś, mówią, facet niegłupi...

„Tak-tak-tak”, pomyślał Smolin. I nawet odczuł coś w rodzaju ulgi, niemal radości: amorficzne pogroźki bez nazwisk i twarzy nagle się zmaterializowały, aczkolwiek tylko

odrobinę. Szóstki<sup>30</sup> oczywiście, ale przecież jakaś jasność się pojawia...

- Przypuśćmy - powiedział spokojnie, leciuteńko dotykając opuszką kciuka występu na główce laski.

- No to rusz mózgownicą - odezwał się barczysty w błękitnym T-shircie, tonem, który jemu, zdaje się, wydawał się bardzo groźny. - Bo możemy ci mózg po ścianach rozsmarować...

- Krócej, dziecinko.

- Jeśli krócej, to żyj skromniej i nie pchaj nosa w każdą dziurkę. Zrozumiałeś?

- Zupełnie nie rozumiałem - odparł Smolin. - Ciekawe, gdzież to ja wam drogę przeszedłem?

- Ty nam, stary chrzanie, drogi przejść nie jesteś w stanie - obraził się, od razu było widać, że to herszt. - Drogę przeszedłeś poważnym ludziom, jasne?

- To znaczy, komu?

Smolin umyślnie go drażnił i chłoptaś, najwidoczniej, zaczynał pomalutku kipieć: taki rosły, taki muskularny, taki ostry, całą *Brygadę*<sup>31</sup> obejrzał na dwa razy, a tu zdarzenia toczą się zupełnie nieprawidłowo, klient się go nie boi, słownie się znęca...

Pozostali dwaj również zaczynali kipieć. „Niepotrzebnie - pomyślał Smolin - wcale niepotrzebnie, robotę należy wykonywać z zimną krwią i rozsądnie, straszyć nie chamskim tonem i skrzypiącym bicipsem. W jakiej to piaskownicy was odkopali?"

- Nie twój interes - w końcu uciał herszt. - Krótko, jeśli nie chcesz, żebyś miał nogi połamane, to nie kręć się koło babki z obrazami... Trybisz?

„Jeszcze jak - pomyślał Smolin. - Ach, jak to miło, drodzy moi, jednak jakiś ślad dajecie..."

- No co, zrozumiałeś, dupku zielony? - ryknął ten, który ustawił się po prawej od Smolina - nudziła mu się widocznie rola statysty, nic innego nie umiał, oprócz standardowej bójki w zaułku...

- Chłopcze - Smolin z lekkim uśmiechem popatrzył na „parlamentarzystę". - A co, głupich filmów się naoglądałeś? Nie wiesz, jak przyzwoici ludzie powinni rozmawiać z przyzwoitymi ludźmi? A zresztą, gdzie tobie, onaniście, męczennikowi...

Jego rozmówcę aż zatkało ze złości. Smolin ciągle stał w tym samym miejscu,

---

<sup>30</sup> Szóstka (ros. *szestiorka*) - człowiek na posyłki; nazwa pochodzi od najmłodszej karty, szóstki, w rosyjskiej talii 36 kart - przyp. tłum.

<sup>31</sup> *Brygada* - bardzo popularny rosyjski serial telewizyjny z 2002 r., 12 odcinków - historia grupy przestępczej, składającej się z czterech przyjaciół, a przede wszystkim jej lidera, Aleksandra Biegowa, ps. Sasza Bielyj - przyp. tłum

mocniej się tylko zaparł nogami w ziemię i starał się mieć wszystkich trzech w polu widzenia. Był prawie spokojny. Żaden z tych kołków nie miał gnata, odziani byli bardzo lekko, pistolet udałoby się szybko dostrzec, gdyby któryś miał go za paskiem czy w kieszeni. Oczywiście, może się okazać, że są superkaratekami w rodzaju Chucka Norrisa, ale chyba nie. Można głowę dać, że ma przed sobą zwykłą podmiejską grandę...

W ogóle, jak dotąd układało się nieźle. Był spokojny i gotowy rzucić się do ich gardeł na poważnie, a ta trójca nie mogła się pochwalić opanowaniem, kipiała, jak pielmienie na silnym ogniu, a to znaczy, że w razie czego również ich reakcja okaże się gorsza i należytej zręczności nie musi się obawiać. Przestrzegłby ich kto, że emocje w takich sprawach kategorycznie są przeciwwskazane...

- No, widzę, że ty naprawdę jesteś kozioł, nie rozumiesz...

Smolin odskoczył o kilka sekund wyprzedzając ich skok na niego. Nacisnąwszy kciukiem niewidoczny kościany przycisk na lasce, gwałtownie rozpostarł ręce. W lewej pozostał pusty futerał z ciemnego drewna, natomiast w prawej - czworograniasta klinga, długości jakichś siedemdziesięciu centymetrów, wąska i bardzo ostra. To, co nosił przy sobie Bryła, było żalonym podobieństwem do broni, to zaś, co teraz pobłyskiwało w ręce Smolina, było wykonane ponad sto lat temu przez Niemców w Solingen, którzy z oszczędności wykorzystywali klingi szpad z czasów napoleońskich. Kiedyś w Europie panowała powszechna moda na takie właśnie laski...

Czekał, sprężony i niebezpieczny. Tylko że smarkacze nic a nic nie zrozumieli, przelotne zdziwienie na ich twarzach momentalnie zmieniło się w szyderczą drwinę. Ten, który był po lewej od Smolina, wprost zarżał od nadmiaru uczuć:

- Ale z ciebie głupek, wujciu...

- Muszkieter, spójrzcie no - podjął drugi. - Pora-pora-poradujemy się...

Chichotali, spoglądali jeden na drugiego, niezmiernie pewni siebie, absolutnie nie wyobrażając sobie, do czego w zręcznych rękach jest zdolna bojowa szpada. Choćby nawet z czasów napoleońskich...

Jest! Jeden rzucił się naprzód, wyrzucając nogę w dosyć nieudolnym wykroku, który według niego zapewne miał być groźnym atakiem karate...

Smolin bez najmniejszego wysiłku zrobił unik, zwrócił się do przeciwnika prawym bokiem, zrobił oszczędny wypad, wbił ostrze w lewe ucho, natychmiast odskoczył i przesunął się nieco w prawo, na wolną przestrzeń...

Wszystko szło, jak sobie ułożył - osobnik, który doznał absolutnie nieśmiertelnego zranienia, najpierw wrzasnął, łapiąc się za ucho, później wycofał się tyłem kilka kroków,

ściskając ucho dłonią, wydawał przy tym dziwne dźwięki - coś pośredniego między jękami i westchnieniami. Ucho jest organem specyficznym. Jeśli zostanie zranione, krew tryska w szczególnie obfitych ilościach, więc niedoświadczonemu człowiekowi natychmiast zaczyna się wydawać, że już nadeszła kryzys, że śmierć jest nieunikniona...

Odprężyć się nie było kiedy: dwaj pozostali już parli na niego z gracją naćpanych zielem hipopotamów, należało więc działać dokładnie. Pierwszego powitał kaskadą błyskawicznych, niegłębokich, ale prawdziwych użądleń - w pierś, w ramiona, ręce, co tak samo nie było niebezpieczne dla życia, ale diabelnie bolesne. Na ostatek chlasnął przeciwnika klingą po ramieniu, przez pierś, jakby go kijem wałnął. Wyszło na piątkę - koleś zakręcił się w miejscu piszcząc i wzdychając z bólu, zaczął się cofać, wsłuchując się w reakcje organizmu i próbując zrozumieć, co się z nim dzieje. Jego biały T-shirt w jakichś dziesięciu miejscach pokrył się krwawymi plamami, co nie dodało mu ani zdrowego rozsądku, ani spokoju... Minus dwa.

Trzeci - właśnie herszt - nareszcie pojął, że wszystko jest bardziej poważne, niż wydawało się na początku. Dwa razy, wznosząc ręce jakby do bloku, wywinął się od klingi, która ze świstem cięła wieczorne chłodne powietrze. Smolin widział po jego wykrzywionej, przestraszonej twarzy, że przeciwnik myśli teraz nie o bójce, ale o tym, jak z niej się wyplatać. Zrobił mylący wypad, drugi, później zakręcił się w niezwykle pięknym piruecie, za który na pewno pochwaliby go skąpy na zachwyty Chevalier, odwrócił się do wroga lewym bokiem i wyrzucił rękę...

Krzyk napełnił cały park. Aczkolwiek nic strasznego się nie stało. Smolin po prostu silnym i precyzyjnym ciosem przebił parszywcowi obydwie policzki i natychmiast odskoczył.

Chłopak wrzeszczał wniebogłosy, zgarbiony, obydwoma rękami trzymał się za twarz. Z pewnością zdawało mu się, że nadeszła jego ostatnia godzina - chociaż, jeśli nie liczyć piekielnego bólu, nic strasznego się nie stało, każdy dobry doktor Ojbolu w dwie minuty zaceruje i odeśle do domu...

Szybkie spojrzenie rzucone na pole boju przekonało Smolina, iż odniósł zwycięstwo całkowite i ostateczne - jeden wrzeszczy trzymając się za policzki, jakby mu nie mordeń odrobinę pokieroszowali, ale bezpowrotnie wykastrowali, drugi wciąż jeszcze ścisła ucho, dzikim wzrokiem wpatrując się w zakrwawiony T-shirt, trzeci... trzeciego nie ma, tylko jego plecy migają już ze dwadzieścia metrów stąd, sady ile sił w nogach, drań bez poczucia kolektywizmu...

Należało zabierać się stąd jak najszybciej: na dworcu jest dosyć milicji, ostatecznie mogą sprawdzić, z jakiego powodu tym razem w parku rozlega się wrzask wniebogłosy - i

tłumacz się później, że nie ty z naganną białą bronią w ręku rzuciłeś się na trzech spokojnych obywateli, którzy rozmawiali pod sosenkami o teorii względności i zagadkach planety Merkury... Takiego się wywiniesz!

Zręcznie wsunąwszy klingę do pochwy-laski - sama się tam zatrzasnęła - Smolin kangurzym skokiem zerwał się z miejsca, nie patrząc na ogarniętych szokiem i cierpieniem przeciwników, przebiegł ze trzydzieści metrów, aż za ostatnimi drzewami ukazał się betonowy parkan, skrzyżowanie z semaforem i najprawdziwszy parowóz, który wieczny przystanek znalazł na cokole. Sprawdziwszy swój wygląd i upewniwszy się, że krwi nigdzie nie ma, wyszedł na wyasfaltowaną alejkę już powoli, spokojnie - solidny człowiek w średnim wieku, bez pośpiechu zmierzający na stację, odrobinę kuleje, dlatego opiera się na lasce (inwalida zawsze budzi współczucie, najważniejsze, żeby kuleć tylko troszeczkę, nie wolno przesadzać). Nawet nikt nie zwrócił uwagi...

Gdy doszedł do swojego pajero, skrupulatnie wytarł laskę chusteczką i wsunął pod wykładzinę przed tylnym siedzeniem (w razie kontroli łatwo się wytłumaczyć: podwiozłem kogoś z dobroci serca, naczelniku i on widocznie rzecz zostawił, pierwszy raz ją widzę, sprawdźcie odciski, jakże...). Zapalił papierosa i z dziesięć minut obserwował park.

Kolesie jednak się nie pokazali - nie widać było również, żeby w tamtą stronę wyruszyły patrole milicji. No jasne, będą tam siedzieć, tamować krew, kombinując jak dalej żyć i jak się zmyć nie zwracając niepotrzebnej uwagi... No i pies z nimi. Wątpliwe, żeby pobiegli do tego sympatycznego piętrowego budynku, milicyjnej rezydencji, ze skargą, że ich mizeraków bez najmniejszego powodu pokaleczył zły bandzior. Raczej będą chcieli zameldować temu, który ich wysłał...

A to przecież jeszcze jedna niteczka! Wystarczyłoby pójść za nimi...

Niestety, był samiuteńki i nie mógł się rozdziwić, a park nawet w dzisiejszym kształcie był diabelnie rozległy, więc chłopackowie mieli mnóstwo możliwości zniknięcia, bez możliwości trafienia w jego pole widzenia. Uczciwie przesiedział w aucie jeszcze pół godziny, ale pechowych napastników nie zobaczył.

Koniec końców plunął, uruchomił silnik i powoli zaczął wyjeżdżać na ulicę.



## Rozdział 7.

### ACH WERNISAŻ, ACH WERNISAŻ

Wykonawszy energiczny gest protestu, Smolin zdecydowanie powiedział:

- Nawet nie namawiaj, jestem za kierownicą... Wody z gazem, jeśli można, mogę się napić...

- Starzejesz się? - uśmiechnął się Rawil.

- Jakbyś ty, nie... - mruknął Smolin.

- Mam na myśli, że skrupulatnie przestrzegasz przepisów...

- Być może. Być może mającące na horyzoncie oznaki starości to właśnie zwiększony pociąg do przestrzegania przepisów i prawa... Twoje zdrowie!

Stuknął szklanką schwepsu w kieliszek koniaku trzymany przez Rawila i wypili każdy swoje. Posiedzieli, pomilczeli. Później Smolin, marzycielsko mrużąc oczy, wydeklamował:

- Właśnie, starość... A pamiętasz, Wierieszczagin, jak mnie po wydmach ganiałeś?

- No no, nie przesadzaj, Abdullah<sup>32</sup> - w tym samym tonie z uśmiechem powiedział Rawil. - Jakie „ganiałeś”, w tamtych dziecięcych czasach... Sam do mnie przyszedłeś...

- Na wezwanie - uściślił Smolin z uśmiechem.

- Jaka różnica? Nie było ani pościgów, ani strzelaniny. Sam przyszedłeś...

- No, i ty mnie wsadziłeś.

- A cóż ty, bratku, chciałeś? - Rawil spowaźniał. - Był konkretny artykuł i konkretne czyny, pod niego jak najbardziej podpadające...

- Ale dzisiaj o tych artykułach nawet śmiesznie jest wspominać...

- Wasia, ale przecież wtedy były... Tyś je naruszył, a ja cię wsadziłem. Dialektyka przyrody. Teraz, oczywiście, możesz mieć złośliwą satysfakcję wobec gliny, który przegrał...

- Wierzysz, nie wierzysz, nie mam żalu - odparł Smolin. - Po prostu czasem przykro, żeśmy na darmo stracili tyle czasu i nerwów. Okazało się przecież, że na darmo...

- Ja nie uważam, że na darmo - z uporem powtórzył Rawil.

Mój Boże, równiutkie trzydzieści lat upłynęło od czasu, jak Wasia Smolin z komsomolskim znaczkiem siedział przed swoim rówieśnikiem, który spoglądał na niego bardzo nieprzyjaźnie. Prawdziwym komsomolcem był towarzysz lejtnant Łatypow,

---

<sup>32</sup> Wierieszczagin, Abdullah - bohaterowie radzieckiego easternu *Białe słońce pustyni* (1970), reż. W. Motyl - przyp. tłum

przekonanym... i gliną, zresztą też prawdziwym, nie tanim i nie paskudnym. Smolin osobiście nigdy nie żywił do niego najmniejszej urazy. Tylko że od tamtej pory wiele wody upłynęło, były komsomolec wyżej podpułkownika się nie wspiał i - według wiarygodnych pogłosek - z największą radością został wypchnięty na emeryturę, właśnie dlatego, że nie pasował do nowych prądów. Roztył się i wyłysiał co nieco, dłubie sobie w swojej niewielkiej agencji ochroniarskiej, gwiazd z nieba nie nałapał i kapitałów nie uzbierał. „Na dobrą sprawę - pomyślał Smolin - to nie ja wygrałem, ale obaj przegraliśmy. Zapewne Rawil przeżył coś na kształt krachu ideałów - przecież wiele artykułów k.k., przestrzegania których pilnował ze wszystkich sił, uleciało jak pył, czyż to nie jest przegrana? Ale i ja, sługa Boży, zdrowy i hoży, nie mogę się pochwalić szczególnymi triumfami. Tyram sobie pomaleńku, przepisy naruszam umiarkowanie, raczej nie podpadam, ale czy to jest zwycięstwo? To wszystko nazywa się inaczej, to, co nam obu się przydarzyło..

- Czemu się smucisz? - spytał Rawil.

- Tak sobie - odparł Smolin. - Przypomniało mi się, jacy byliśmy młodzi i głupi... Jak tam u ciebie, żona, dzieci, wszystko w porządku?

- Bez problemów. A ty?

- Córka to piękność. Czarująca wnuczka.

- Ja mam dwie.

- No dobra, wystarczy przyjemności - powiedział Smolin. - Teraz najwyższy czas, żebyśmy pomówili o bólach w stawach i kluciu w plecach, nie? Będziemy całkowitą i skończoną starzyzną... Rawilu...

- No?

- Dowiedziałeś się czegoś?

- O czym?

- Nie chrzań. O kim.

Na twarzy emerytowanego łapsa pojawiła się nie tyle udręka czy smutek, ale określone oznaki lekkiego rozstroju duszy. Co potwierdziło tylko podejrzenia Smolina...

- Ale powiedz uczciwie? - poprosił delikatnie. - Ja rozumiem: honor munduru, kasta i tak dalej. Ja cię, mendo stara, powiem szczerze, od dawna i poważnie szanuję właśnie za to, że jest ci teraz przykro. Poważnie. Prawdziwy złodziej zawsze szanuje prawdziwego glinę... ja, co prawda, według nomenklatury nie jestem złodziejem w doskonale nam obu znanym sensie tego słowa, a ty od dawna jesteś na emeryturze, ale co za różnica? Tylko nie zalewaj

---

mi, proszę cię, że wilkołak w pagonach to również kasta. Suka to jest, a nie kasta... Nie mam racji?

Rawil ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w podłogę.

- Mocno ci dopiekl? - spytał nie unosząc wzroku.

- Nie to, żeby mocno. Ale bardzo ważne jest, żeby wiedzieć. Tylko kiwnij, a ja wszystko zrozumieję... Major Letiagin to wilkołak haniebny, który za każdy szmal przyjmie zamówienie z boku i się nie skrzywi... tak?

Po długim ponurym milczeniu Rawil, wciąż nie podnosząc wzroku, przytaknął.

Smolin nie poczuł najmniejszej radości, raczej był to ponury triumf.

- Wszystko pasuje - powiedział ze zmęczeniem w głosie. - W zasadzie, tak przypuszczałem...

To, że jego podejrzenia potwierdziły się, nie wyjaśniało żadnych zagadek, przeciwnie, stawiało nowe pytania. Jak to mówił Van Damme we wspaniałym *Strażniku czasu*? „Co może być gorszego od sprzedajnego policjanta?” - retorycznie spytał podły senator. Van Damme zaś odpowiedział mu najczystsą prawdą: „Ten, który go przekupił”. W naszym konkretnym przypadku - kto to jest? Ktoś musiał Letiagina przekupić i wysłać na zadanie, ale co do osoby kupującego trudno trafić na jakikolwiek ślad. Smolin więc stał w tym samym miejscu, nie posunął się ani o krok.

Rawil odezwał się z udawaną niedbałością:

- Nie mam prywatnych detektywów, robimy tylko w ochronie. Ty, jeśli co, powinienes się zwrócić do Sherlocka, pracuje z nim Daszka Ryża, oni akurat specjalizują się...

- Ach nie - przerwał mu Smolin. - Niepotrzebnie o tym pomyślałeś, nie potrzeba mi na razie żadnych detektywów. I nawet twoje biuro ochrony nie jest mi potrzebne. Wiesz, czego chciałbym od ciebie? Potrzebny mi prawdziwy gliniarz, najlepiej pracujący w miejskim wydziale spraw wewnętrznych Diwnego... Ktoś w rodzaju ciebie z młodości. Żeby nie bał się ważnych szyszek i nie prowadził sprawy na odwal się. Powinni jeszcze być tacy gliniarze, nie?

- No, mieć do czynienia z naprawdę ważnymi, to większe koszty własne, zawsze tak było...

- Ale nie, zdaje się, że niedokładnie powiedziałem o co mi chodzi - sprostował Smolin po chwili namysłu. - Żadnych szczególnie ważnych szyszek tu, zdaje się, nie będzie potrzeba. Po prostu, mogą szukać *powiązanych*... a w takich wypadkach niektórzy nie chcą mieć do czynienia i machają ręką. Tak więc, chciałbym takiego, żeby nie machnął...

- A co, dowiedziałeś się o dywersantach, którzy chcą podłożyć ładunek pod tamę?

- Żebyś nie wymówił w złą godzinę - Smolin machnął ręką. - Nie szukałbym wtedy gliniarza, ani prawidłowego, ani wilkołaka... Sprawa jest taka... - na chwilę zamilkł, po czym machnął ręką: - A, niech tam... Mówmy otwarcie. W Diwnym jest babunia, staruszka, wdowa po malarzu Biedriginie. Słyszałeś o takim?

- Oczywiście. Jakby nie było jestem z Szantarska...

- Babusi pozostały obrazy warte wielkich pieniędzy - ciągnął Smolin zdecydowanie. - Wokół niej zaczęła się niedobra krzątanina. Bardzo niedobra, Rawilu. Chciałbym się mylić, ale w tej sprawie jest już jeden sztywny... Nawet we mnie wczoraj był wymierzony postępek, łatwo podpadający pod kodeks karny... Ogólnie mam poważne obawy, że staruszkę mogą rąbnąć i będzie dobrze, jeśli ograniczą się do szmatki ze środkiem nasennym... zresztą dla niej i to może się okazać ponad miarę. Ja nawet boję się najgorszego... Nie zdołałem rozpoznać, co to za granda, ale wcale nie są podobni do humanistów, oj, nie są podobni... Próbuję coś przedsięwziąć, ale co my możemy, postronni cywilni obywatele? Potrzebny jest mi prawdziwy glina, któremu można zaufać... Żeby w razie czego podjechał z chłopakami i położył wszystkich mordą na asfalt, a później wypytał jak należy - uśmiechnął się. - Wyrażając się cynicznie, sprawa jest czysta i każdy glina może na niej zbić niełichy kapitalik moralny...

- Aha - odezwał się Rawil po dłuższej chwili milczenia.

- Znaczący, że nie udało ci się wycygnąć obrazów od babuni? i gdy na horyzoncie pojawili się inni chętni zdecydowałeś się spełnić obywatelski obowiązek?

- Jednak ty jesteś dobry glina... - powiedział Smolin z bladym uśmiechem. - Rozumie się, że próbowałem i nie udało mi się. Tylko że są tu pewne bardzo istotne niuanse, stary. Ja próbowałem od niej obrazy właśnie wycygnąć. I bądź pewien: nie za kopiejki, uczciwie oddałbym jej pieniążki, a mnie wystarczyłby zwykły procent. A teraz wokół staruszki, dają zęb, mającą klasyczne bandziory i złodzieje... Rawil, nie jestem aniołem, tylko zwykłym antykwariuszem ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Przecież ty jeszcze za Systemu byłeś w tym zorientowany, co ci będę tłumaczyć... Ale tak już się historycznie złożyło, że ja mam zasady. Niewiele, ale mam. A inni ich nie mają. Czaisz niuanse?

- Zdaje się, że...

- I o to chodzi. We wszystkim powinny być zasady, etykieta... zresztą dobrze, to są słowa. Zawładnąć zabytkowymi przedmiotami drogą przemocy, to jest głęboko nieprawidłowe. Tak się spraw nie załatwia. U nas do tej pory biznes był prowadzony w sposób względnie cywilizowany i stoi mi w poprzek duszy, gdy ktoś próbuje rozgrywać bezprawnie... Znajdziesz człowieczka?

- Na kiedy go potrzebujesz?

- Jak najszybciej. Może nawet na dzisiaj. Nie podoba mi się to wszystko, mam przecucie, serce się odzywa, w stawach łamie na zmianę pogody. Co robić, jeśli... Przerwał mu melodyjny trzel komórki. Słuchał w milczeniu, wstawiwszy tylko kilka wykrzykników. Na koniec powiedział ostro:

- Niedługo przyjadę - a wyłączywszy komórkę zaklął paskudnie.

- Znowu troski?

- Rawil, rany Boga - Smolin włożył w te słowa całą siłę przekonywania. Dobry glina potrzebny mi już teraz. W tej chwili. Sprawy rozwijają się całkiem paskudnie.

\*

Czujny staruszek Kuźmicz wprost promieniował dumą, puszył się niczym cietrzew na tokowisku. Założywszy ręce do tyłu, wyprostowany, chodził na skos po pokoju, nie mówił, ale przemawiał tonem pouczającym i zwycięskim:

- Obywatelka w operatywnym celu oznaczona jako Daria, przybyła o godzinie szesnastej minut trzydzieści siedem ciemnoszarym samochodem zagranicznym marki Toyota, co zostało przeze mnie stwierdzone na podstawie charakterystycznego emblematu na masce. Wymieniony środek lokomocji miał ustawiony na dachu żółty grzebyk z czarną szachowniczką, a poza tym żadnych innych oznak przynależności do taksówek nie nosił. Gdy obywatelka wysiadła, taksówka od razu odjechała i do tej chwili włącznie już się nie pojawiła. Obywatelka weszła do klatki, dokładnie nie mogłem zaobserwować, do którego mieszkania weszła, ale uwzględniając poprzednie obserwacje oraz dzisiejsze wydarzenia, można zaręczyć, że wciąż do tego samego, do obserwowanego. O godzinie szesnastej minut osiem obywatelka Daria wyszła na podwórze i zaczęła dzwonić przez telefon komórkowy. Po dziewięciu minutach przyjechała karetka pogotowia, a po następnych dziesięciu minutach sanitariusze wyprowadzili na dwór obywatelkę Biedryginę, która próbowała się opierać i w ogóle zachowywała się bardzo dziwnie...

- Dokładniej - przerwał mu Smolin.

Kuźmicz na moment przerwał zwycięski marsz i powiedział prostym powszednim tonem:

- Głupoty wyprawiała, Wasiliju Jakowlewiczu, naprawdę. To rzucała się z pazurami sanitariuszom do twarzy, to sprawiała wrażenie, jakby coś deklamowała z wielkim patosem, rzucało ją to tu, to tam, trzęsło, łamało... Jak, Boże zmiłuj się, w białej gorączce. Miałem możliwość obserwowania z boku tego wszystkiego. Dokładnie przypominam sobie...

- Co było dalej?

- Obywatelka została załadowana do karetki i odwieziona - Kuźmicz znowu przeszedł na ton urzędowy. - Daria od tamtej chwili pozostaje w mieszkaniu. Czy jest tam sama, czy nie, trudno powiedzieć. W tym czasie wielu wchodziło do klatki, ale nikt z nich wcześniej w obserwowanym przez nas mieszkaniu nie był zauważony, więc nie mogę twierdzić... Światło, w każdym razie, pali się we wszystkich dostępnych do obserwacji pomieszczeniach, sam pan widzi...

Smolin spojrzął na zegarek: zbliżała się północ. Stąd były doskonale widoczne okna kuchni i dwu z trzech pokoi - światło tam ani na moment nie gasło. Szwarz, wysłany pół godziny temu na zwiady na drugą stronę domu, zameldował, że światło pali się również w trzecim pokoju, zasłony są tam tak samo dokładnie zaciągnięte...

- Gdy pogotowie odjechało, zszedłem przed bramę - kontynuował Kuźmicz. - Stała tam grupka sąsiadów zainteresowanych tym, co się dzieje. Wśród nich przeważały wypowiedzi współczujące staruszce, a także mówiono, że babcia w przypływie szaleństwa obraży męża cięta na drobne strzępy, nieomal wszystkie porznęła. Dana informacja, jak mnie zapewniono, nadeszła od kuzynki, która właśnie wezwała lekarzy... Należy sądzić, że mowa tu być może tylko o obywatelce Darii... Nie mam nic więcej do dodania.

- Światło! - piorunującym szeptem odezwał się Smolin. - Wyłączcie światło!

Znajdujący się najbliżej Feldmarszałek uderzył w wyłącznik i światło zgasło. Smolin przywarł do okna, odsunawszy wyblakłą zasłonkę. Przed klatką zatrzymał się mikrobus, zdaje się toyota, wyskoczyło dwóch chłopaczków, odsunęli boczne drzwi, wyciągnęli duży objętościowo, ale sądząc po ich ruchach, lekki worek...

Smolin mimowolnie uśmiechnął się. Latarnia uliczna stała przy samej klatce, światła było dosyć, więc momentalnie rozpoznał, że byli to dwaj z trójki, która dzisiaj w parku próbowała zachować się wobec niego po chamsku. Jeden miał głowę przyozdobioną równą białą opaską, osłaniającą przede wszystkim ucho. Ten pierwszy wszedł do klatki, drugi zaś bez wysiłku zarzuciwszy sobie worek na ramię ruszył w ślad za nim.

- Feldmarszałek - zarządził Smolin, nie odwracając głowy. - Ruszaj na dwór, prędziutko, przebij mu oponę, a najlepiej dwie...

Technicznej strony sprawy nie poruszał, doskonale wiedział, że Feldmarszałek zawsze ma przy sobie wspianały wielofunkcyjny nożyk, z gatunku tych rozkładanych, które mają masę pożytecznych rzeczy. Feldmarszałek kiwnął głową i żwawo wyslizgnął się z mieszkania.

- No proszę - powiedział Smolin, wygodnie moszcząc się na parapecie. - Tu nie trzeba być geniuszem, informacji jest tyle, że właściwe wnioski wyciągnie każdy... Babuni na

pewno nasze ścierwo podsypało albo dołało jakiegoś dostatecznie szybko działającego ziała. Dlatego też palma jej odbiła... Także eskulapowie nie mieli wątpliwości z natychmiastową hospitalizacją. I kto tutaj udowodni, że Daszka to nie krewna, a piąte koło u wozu... Zwróćcie uwagę, gentlemani i towarzysze, że scenariuszowi nie brakuje pewnego wdzięku... Babcia Faina, proszę was, obrazy rwała na drobny makaron... W takim układzie można wszystko wynieść... A worek mają najprawdopodobniej wypchany skrawkami i strzępkami, którymi później będzie pokryte całe mieszkanie... Elegancko, zgadzam się, mają pomysł i fantazję nasi porąbani konkurenci. Kiedy babula wyjdzie na swobodę, co by nie mówiła, nikt jej nie będzie wierzył... Zdecydowanie mają fantazję kanalie...

Kuźmicz, który wreszcie przestał chodzić jak żuraw po pokoju, odkaslnął i z troską w głosie powiedział:

- Należałoby powiadomić organy...

- Organ, Kuźmiczu, już są powiadomione - odpowiedział Smolin.

Nie miał pojęcia, gdzie przyczaili się miejscowi stróże prawa, ale rekomendowany mu przez Rawiła tutejszy podpułkownik sprawił jak najlepsze wrażenie. Było jasne, że jako człowiek doświadczony przed czasem się nie ujawni i pojawi się na scenie, kiedy ostatecznie się przekona, że mu nie nakłamali i sprawa rzeczywiście jest na wskroś kryminalna... Od razu było widać, że to bity przez życie i służbę jegomość.

Smolin obejrzał się. Kuźmicz przysiadł na brzeжку obdartego krzesła i wprost skręcał się z niecierpliwości. Bardzo chciał, wspominając młode lata, natychmiast położyć kres czemuś niezgodnemu z prawem. Wręcz trząśł się od niebagatelnego owczego hazardu stary piernik. Natomiast Szwarz, usadowiwszy się znacznie wygodniej w jedynym wyściełanym fotelu, prawdopodobnie z czasów pobytu Gagarina i Che, zewnętrznych oznak niecierpliwości nie wykazywał, po prostu obracał na kolanie niewielki niemiecki rewolwer nabity solidnymi „gumkami”. Jako najmłodszy w drużynie, nie nabawił się jeszcze do syta gnatami i wiecznie taszczył ze sobą kupę wszelkich możliwych pukawek, a to pistolet gazowy, to „osę” z celownikiem laserowym, to różnorakie „gumy”. Zresztą dzisiaj jego cacka nawet mogły się przydać...

- Jasne, że nocować tam nie będą - powiedział Smolin.

- Wcześniej czy później wyjdą. Krótko mówiąc... Kuźmicz, będziesz czujnym sąsiadem, wrednym emerytem, który nie potrafi się nie zainteresować, co takiego nocną porą ładują do samochodu. Kumasze?

- A cóż tu nie kumać...

- Zrobisz tak, podejdziesz pierwszy i wsiądziesz na nich z całą możliwą wrednością.

Tylko błagam cię, jeśli coś takiego wyjmą, nie kozacz, ale padaj, my będziemy za tobą...

- Gdybyś wiedział, Wasiliju Jakowlewiczu, w jakich strzelaninach byłem - odparł Kuźmicz z godnością.

- Wszystko jedno. Jeśli pojawi się cokolwiek strzelającego, nie kuś losu... W takim przypadku będziemy ich wiązać ze szczególną troską... Szwarc, a Wadik co, wciąż nie daje znaku życia?

- Komórka ciągle wyłączona, przepadł...

- Cóż, bywa. Byczy się gdzieś, dekadent... Jeśli więc... Op!

Światło w jednym pokoju zgasło, niemal natychmiast również w drugim.

- Szybko! - rozkazał Smolin, zeskakując z parapetu. - Wychodzą, kurna mania, wychodzą...

Pierwszy wyskoczył z kryjówki i szybkim krokiem ruszył w stronę klatki. Zorientował się, że wyprzedza plan i przepuścił przodem Kuźmicza, złapał za łokieć prącego jak spychacz Szwarca. Kuźmicz, wyprzedziwszy ich, był w tej samej bluzie mundurowej, spodniach galife i wyglansowanych na błysk butach, jednym skokiem znalazł się przy samochodzie, do którego już najspokojniej podchodziła Daszeńka w towarzystwie dwóch chłopaków (wszyscy troje dźwigali grube pakunki, w których od razu można było poznać zwinięte płótna), zastąpił drogę dobranej paczce i dowódczym głosem, roztaczającym zarówno żelazo, jak też jad, ryknął:

- Za-atrzymać się, młodzi ludzie! A cóż to nocną porą dźwigacie?

Smolin zdążył ocenić: wszystkich obrazów na jeden raz nie daliby rady zabrać, na pewno mieli zamiar wrócić, dlatego światło w kuchni zostało - tam na pewno reszta czeka, tak samo troskliwie zwinięta, ale tym lepiej, dowody będą oczywiste...

Wyjął z kieszeni breloczek, pasujący do zestawu, który podłożył u Fainy, nacisnął guziczek i migające czerwone światełko upewniło go, że zabawka działa. Tymczasem stało się to, czego należało się spodziewać: ten z dwoma zdrowymi uszami, nawet nie zwalniając kroku, leniwym głosem poradził Kuźmiczowi, żeby spadał i spokojnie skierował się do samochodu.

- Halo! Obywatelu, zatrzymajcie się! - Kuźmicz złapał go za łokieć.

Mocnym szarpnięciem chłopak uwolnił się i wycedził:

- A ty co, stary, dawno nie lądowałaś mordą na płocie?

Był to najwyższy czas, by włączyć się do gry. Smolin szybko zrobił cztery kroki, zdecydowanie odsunął na bok Kuźmicza i powiedział ostrzegawczo:

- Niedobrze, chłopcy, obrażać takimi słowami zasłużonego człowieka... Niedobrze...



Daszeńka, która momentalnie go rozpoznała, wydała coś w rodzaju pisku. Chłopczkowie zareagowali także nerwowo, obaj upuścili pakunki i nie bardzo wiedzieli co robić...

Wykorzystując parosekundową przewagę, Smolin z całej siły wyrzucił pięścią dobrego znajomego dokładnie w zasłaniającą ucho opaskę, po czym usłyszał bolesny jęk. Wtedy z wielkim zadowoleniem kopnął amatora sztuki poniżej pępka, ale powyżej klejnotów, a kiedy tamten się zgiął, dołożył pięścią w czubek głowy. Drugi również nie zdążył piknąć: za jego plecami wychynął Feldmarszałek, kopnął go w zgięcie kolana i złożonymi dłońmi rąbnął w tył głowy, aż koleś bezwładnie poleciał w krzaki, w których uwiązał z wielkim trzaskiem.

Z tyłu już piszczały hamulce i Smolin, spokojnie obejrzawszy się, ujrzał jak z wymalowanego stosownymi napisami i emblematami żiguli wyskakują chwaccy prywatni ochroniarze, sumiennie wyekwipowani i uzbrojeni. Pokazawszy im bezbronne ręce wyraźnie powiedział:

- Wszystko w porządku, chłopcy, to ja was wezwałem, obiekt szesnaście myślnik siedem, zapisany na obywatelkę Biedryginę...

Cała jego drużyna, włącznie z Kuźmiczem, zachowywała się nader wzorowo i praworzadnie: stali potulnie - zresztą podobnie jak Daszeńka, na tyle oszołomiona zmieniającymi się jak w kalejdoskopie epizodami, że zamarła na betonowym schodku klatki z dwoma grubasnymi rulonami pod pachami. Z krzaków próbował się wydostać ten uderzony przez Feldmarszałka, natomiast ten, którego popieścił Smolin, siedział w kucki i wydawał jęki.

Ochroniarze czujnie się im przyglądali, celując z „Sajgi” i dwóch pistoletów nieznanego na razie przeznaczenia. Jeden, zapewne starszy patrolu, wreszcie wydał rozkaz:

- Nie ruszać się! Zaraz wszystko ustalimy...

Nagle obok rozbłysły i zaczęły z zaciętością chlastać światła, czerwone i niebieskie. Dwa samochody milicyjne, zalewając nocną ulicę miganiem, nadjechały z dwóch stron, zahamowały z piskiem i zgrzytem, były to podniszczone łaziki księżycowe, które już swoje przeszły. Wysypali się z nich mający określony cel Stróże porządku, swoim miłym zwyczajem wrzeszczący, żeby ich przypadkiem nie pomylić ze strażakami:

- Milicja! Wszyscy stać!

Smolin nie pamiętał, kiedy na widok milicjanta odczuwał taką radość. Stał z błogim uśmiechem, wiedząc, że pierwszą rundę wygrał.

Podpułkownik Priachin, przysadzisty i stateczny, ukazał się zza pleców swoich podwładnych, którzy zdążyli otoczyć pierścieniem wszystkich obecnych (w tym także

prywatnych ochroniarzy). Bez pośpiechu, kołysząc się podszedł do Daszeńki i przymilnie zapytał:

- A co to takiego, panienko?

Daszeńka wytrzeszczała na niego oczy z niewymownym przerażeniem, jak ptaszek na hipnotyzującą go zmiję, jej ładniutka buzia nie wyrażała nawet cienia procesów myślowych, tylko bezmyślny strach. Szkoda, że nie istnieje na świecie telepatia i nie mogła usłyszeć skierowanych do niej myśli Smolina: „No, co suczko? Myślałaś, że to taka wesoła i zyskowna gra? To się teraz babraj, paskudo...”

Jakby nie było, pierwszą rundę miał wygrać.

\*

Już dawno minął świt, zbliżała się godzina szósta, gdy Smolin powoli jechał wąską ulicą swojej „wioseczki”. Chwilami strasznie ziewał, ale miał wszelkie podstawy, żeby odrobinę czuć się dumnym. Do protokołu milicyjnego cała ta historia trafiła w takim kształcie, jak zaplanował: szacowni obywatele, w liczbie trzech, zasiedzieli się w gościach u swojego znajomego, emerytowanego wojskowego Kuźmicza i zauważywszy podejrzaną ruchy w mieszkaniu ich wspólnej znajomej obywatelki Biedryginy, która, o czym doskonale wiedzieli, przebywa w szpitalu, zaniepokoiłi się i postanowili spełnić obowiązek obywatelski, to znaczy sprawdzić, co to za ludzie kręcą się po nocy w mieszkaniu staruszki. No i okazało się, że te osoby (dwie płci męskiej i jedna - żeńskiej) o pierwszej w nocy wynoszą z mieszkania wymienionej obywatelki niemałą liczbę obrazów, mających niemałą wartość materialną, jak również kulturalną. Zaświadczyli o tym zarówno pracownicy prywatnego biura ochrony, jak i funkcjonariusze milicji, którzy zupełnie przypadkowo znaleźli się na miejscu zdarzenia. Innymi słowy, prawie nic nie trzeba było wymyślać - należało jedynie cokolwiek przemilczeć. Jak to jest u Simenona? Sędzia nie skłamał, po prostu nie powiedział całej prawdy...

Szczerze mówiąc, Smolin nie spodziewał się, że ktokolwiek z zatrzymanej trójki będzie wsadzony, czy nawet sądzony. Na pewno ten, który im zlecił robotę, zawczasu zatroszczył się o „legendę” - i teraz będzie czyścił swoich ile sił. Ten ktoś, należy przypuszczać, jest niegłupim człowiekiem...

Korzyść wynika z czegoś innego. Po pierwsze, ratując swoich z opresji, nasz nieznamy w takim, czy innym stopniu się ujawni - pojawią się niteczki, śladziki i tym podobne. Po drugie, ten Priachin, jak zapewniał Rawil, jest sensownym gliną, a nikt z zatrzymanych na pewno w życiu nie siedział naprzeciwko chwytnego gliny, umiejącego rozwiązać języki nawet nie takim szczeniakiem. Na gorąco, zmieszani i wystraszeni, na pewno

wygadają się - z tego również może być jakaś korzyść...

Jednym słowem, sytuacja przestała przypominać szarpaninę na ślepo w gęstej mgle. Z pewnością wkrótce pojawi się jakiś konkretny i...

Zahamowawszy ostrożnie przed swoją bramą, Smolin wprost wytrzeszczył oczy. Nie, to nie złudzenie - na ławeczce pod płotkiem siedział nie kto inny, tylko Kot Uczony, który jeszcze wczoraj zniknął na amen z pola widzenia grupy. Wyglądał na zadowolonego z życia, był wprost odlotowy. Stała przy nim mocno wypchana torba, w ręku uczonego męża zaś dwulitrowa butla piwa, z którego ze smakiem pociągał. Smolin widział z samochodu przez niewysokie boczne skrzydło ogrodzenia, że Kat'ka ułożyła się naprzeciwko bramy, wyciągnięta jak struna w zamyśleniu i czujnie obserwowała dziwnego gościa okupującego ławeczkę.

Początkowo Smolin pomyślał o najgorszym - że Irka, dowiedziawszy się o kolejnej eskapadzie mężulka w sprawach damsko-męskich, bezlitośnie wyrzuciła go za drzwi, więc Kot Uczony zmuszony jest wędrować po znajomych w poszukiwaniu noclegu, póki połowica się nie uspokoi. Jednakże Wadik wcale nie sprawiał wrażenia ponurego, przeciwnie, wyglądało na to, że jest w siódmym niebie...

Smolin przysiadł obok na zielonej ławeczce, wyjął papierosy i spytał:

- Skąd się tu wzięłeś?

- No, nie odbierałeś telefonu...

Smolin przypomniał sobie, że nie włączył komórki, gdy o świcie opuszczał komisariat milicji.

- Rzeczywiście... A co za pośpiech?

Przysassawszy się na dłuższą chwilę do butelki piwa, Kot Uczony przez pewien czas wyraźnie się delectował. Później, zagadkowo uśmiechając się, rzekł:

- Nie mogłem wytrzymać. Wasia, rozpiera mnie...

- I cóż cię rozpiera, mój drogi? - parsknął Smolin.

- Zasłużona radość zwycięzcy, duma i triumf...

- A dokładniej? To znaczy, z jakiego powodu?

- Chcesz piwa?

- A daj. My też, żebyś wiedział, święcimy mały triumf...

Podniósł do ust butelkę i pociągnął porządny łyk. Niebo było błękitne, ciągnęło porannym chłodkiem, wokoło - cisza. Życie wydawało się wcale nie takie paskudne, a do starości jeszcze było daleko.

- Miałem wolną chwilę i postanowiłem zająć się sprawą towarzysza Kutiewanowa -

oznajmił Kot Uczony, uśmiechając się szeroko. - To znaczy, zagłębiłem się w papiery Kościeja... Pamiętasz film *Cały świat w kieszeni*?

- Coś takiego...

- Tam urkowie rąbnęli bankową pancerkę... Wywieźli w góry i kombinowali, jak ją otworzyć... W tym filmie grała niesamowita nadbałtycka suczka, od której mi zęby cierpły. Później razem z kolesiem skoczyli do przepaści i lecieli długo, pięknie i smutnie...

- Teraz sobie przypomniałem - Smolin ze zmęczenia nie odczuwał najmniejszej ciekawości. - I co?

- Tam była pancerka i tu mamy pancerkę... A teraz, uwaga! - Kot Uczony uniósł palec.

- Na zakończenie jednego odcinka chłopaczek wypowiedział koronne zdanko. Pod którym ja się podpisuję...

- No?

- A zdanko brzmiało tak: tato, zdaje się, że wiem, gdzie jest pancerka...

*Krasnojarsk, 2008 r.*